

**Danielle Steel**

**PIĘTNO**

Przełożyła

Małgorzata Pacyna

Fragmety poetyckie z Tennysona i Dantego przełożył Robert Stfler

almapress

Oficyna Wydawnicze Warszawa 1993 ^

PIĘTNO RAYENSLEY

Tytuł oryginału The Ravensley Touch

Projekt okładki Maciej Sadowski Redaktor Andrzej Naglak

Aleksandra Ławniczak Redaktor techniczny Włodzimierz Kukawski

Korektor Elżbieta Wygoda

Miłość, co drugich do miłości zmusza, Tak mnie poniosła ku jego uciesze, Że wciąż,  
jak widzisz, pragnie go ma dusza. Dante: Piekło

Lord Ayisham TYGRYS

Alyne Leigh

Justin

Rosamund żona Roberta 1804

Justin mąż Alyne 1832 (+1850)

Alessandro Falcone drugi mąż Alyne 1846

Bulwer Rutland Jethro Oliver mąż Ciarissy Fenton Cherry żona Harry'ego Fentona  
(fl833)

Laurel

^

S

Spotkali się pewnego wiosennego dnia roku 1852, by połączyć swe losy, nie wiedząc nic o mrocznej przeszłości, nienawiści, namiętności i śmierci, z której wyrosli. Jej twarz oczarowała go od pierwszego wejrzenia, kiedy to ujrzał ją podczas otwarcia karnawału. Pośród głośnych, wrzaskliwych, dziko podnieconych biesiadników przewijających się wzdłuż milowego Corso, wydawała się dziwnie nieobecna z ogromnym, białym psem u nogi, poważna wśród wirujących serpentyn, powodzi słodkości i jaskrawego konfetti. Uwięziony w tłumie miał dość czasu, by przyjrzeć się jej uroczej postaci, delikatnym policzkom i dużym, tajemniczym oczom. Gromada rozradowanych młodzieńców popchnęła go do przodu, ale wrażenie pozostało wbrew jego woli, nieuchwytnie lecz trwałe. Nazywał się Jethro Ayisham, miał dwadzieścia osiem lat, był młodym, obiecującym lekarzem - chirurgiem. Interesowały go wyłącznie sprawy praktyczne, bo nie był mężczyzną, który ulega fantazjom o kobiecie widzianej tylko raz.

Wolałby zapomnieć o karnawale i poświęcić więcej czasu na zwiedzanie starożytnego miasta lub na obserwację niezwykłych eksperymentów przeprowadzanych w szpitalu. Ale w Rzymie oddanym całkowicie

biesiadom i hulankom było to niemożliwe. Tak czy inaczej, nie mógł odmówić odrobiny radości Tomowi, który cierpliwie towarzyszył mu podczas wędrówki po Szkole Anatomii w Padwie. Siedział teraz na balkonie wciśnięty między gromadę chłopców i dziewcząt, obserwując procesję gigantycznych powozów, zorganizowaną przez arystokratyczne rody rzymskie, posuwających się wolno z turkotem w dół Corso, tuż za barwnymi zaprzęgami koni.

Z okien i parapetów, z dachów domów i palazzos powiewały w szalonym tańcu serpentyny i flagi, lśniące w wiosennym słońcu odcieniami szkarłatu, zieleni i błękitu, bieli, złota i srebra. Tuż obok, na balkonie leżały torby ze słodyczami i kosze do bielizny wypełnione po brzegi kwiatami dla każdej dziewczyny, która wpadłaby w oko ich właścicielom.

W dole mężczyźni, kobiety, dzieci, a nawet niemowlęta ubrane w najbardziej wymyślne kostiumy, ariekiny i pierroty, Turcy i Arabowie, zakonnice i kardynałowie, olbrzymy i karły przepychali się przez ulicę, przemykając między kołami pojazdów, z narażeniem życia nurkując pod końskimi kopytami.

Wielki, lepki cukierek wycelowany z niebywałą precyzją z przeciwległego balkonu uderzył Jethro w oko. Starł go z obrzydzeniem, a Tom parsknął śmiechem.

- Nie zwracaj uwagi na Jęta - powiedział, obejmując ramieniem śliczną dziewczynę. - Woląby teraz odcinać nogę jakiemuś biedakowi.

Wychylił się przez parapet.

- O, Boże, spójrz tam w dół. To niebywałe. Jethro odciągnął go do tyłu.

- Co robisz, idioto. Chcesz sobie złamać kark? Momentalnie jednak zapomniał o Tomie, koncentrując swą uwagę na tym, co działo się poniżej. -

10

Przesuwający się w dole pojazd pozostawiał niezapomniane wrażenie, a swym wyglądem przypominał miniaturowy zameczek z wieżyczkami i blankami murów obronnych. Obok przesuwały się w płaschach diabły w przerażających maskach, machając rozwidlonymi ogonami, potrząsając widłami, rycząc straszliwie; wysoka, szczupła postać w czarnej sukni i wiele innych postaci, ale on nie odrywał wzroku od dziewczyny, którą wypatrzył już wcześniej, w złocistej szacie i wianku z białych róż na ciemnorudych włosach o odcieniu jesiennego lasu. Jakiś młody mężczyzna pochylił się w jej stronę; zadumana, garbata postać w szkarłatnym kostiumie z aksamitu. To „Interno” Dantego, nie ma wątpliwości, ale kogo grała? Kierując się impulsem, chwycił garść kwiatów z koszyka i rzucił je w stronę dziewczyny. Opadły lekko na jej złotą suknię, a ona złapała kilka; bukiet w kolorze krwi. Podniosła wzrok, ich spojrzenia spotkały się. Zaśmiała się niskim, czarującym śmiechem. Wydało mu się, że ją pamięta; przed oczyma przesunęły mu się obrazy z przeszłości, ale znikły, zanim zdążył się im przyjrzeć.

- Wspaniała, prawda? - odezwał się z podziwem Tom. - Zastanawiam się, czy to jego córka.

- Czyja?

- Księcia Alessandro Falcone. Mówią, że jest dumny jak sam Lucyfer, ale dziś jego pałac jest otwarty dla wszystkich, tak twierdzi Luigi. Wybierzemy się?

Jethro zawahał się przez chwilę.

- Jutro musimy wyruszyć z samego rana.

- Do diabła z tym. Nie bądź zrzędą. Przecież to ostatni dzień karnawału.

Jethro uśmiechnął się. Tom Fenton miał dopiero siedemnaście lat i był szalonym młodzieńcem gotowym jak najpełniej wykorzystać włoskie wakacje przed powrotem do rygorów uniwersyteckiego życia.

- Dobrze. Pójdziemy - oświadczył. - Jeśli sprawi ci to radość.

- Nie zrzucaj wszystkiego na mnie - odparował

Tom. - Widziałem, jak pożerałeś wzrokiem signorinę Falcone. Ale z ciebie maruda!

- Już za późno na wypożyczenie jakiegoś kostiumu

- ostrzegł Jethro.

- Nic nie szkodzi. Luigi twierdzi, że to nie ma znaczenia. Zawsze możemy założyć maski - Tom z determinacją odrzucał wszystkie argumenty.

Popołudniowa zabawa trwała nadal. O piątej Corso w cudowny sposób opustoszało, przygotowując się do wyścigów. Na Piazza wprowadzono konie arabskie i ustawiono je pod kolumną sprowadzoną przez Augustyna z Heliopolis. Obelisk ten przez wieki przyglądał się rzymskim igrzyskom i wyścigom rydwanów w Circus Maximus. Na umówiony sygnał konie rzuciły się do galopu z Piazza del Popolo, pędząc bez jeźdźców w dół Corso. Bogate ozdoby połyskiwały w ich splecionych grzywach, a małe, ciężkie kulki przebite szpikulcami obijały się po ich bokach, podrywając do szybszego biegu. Doszło do gwałtownej sprzeczki między jakimś wrażliwym Anglikiem, który uważał to za okrucieństwo, a grupą bardziej praktycznych Włochów. Konie wpadły na grube kobierce rozłożone na drodze, by powstrzymać ich pęd. Przy burzliwych oklaskach wręczono nagrody, a Jethro odciągnął To-ma zanim między nim a jego porywczym przyjacielem

Luigi doszło do rękoczynów. Nim obaj młodzieńcy przebili się przez zatłoczone ulice do swego hotelu, oblewał ich pot, a zmęczenie i głód dawały o sobie znać.

Opuścili przecież hotel po bardzo wczesnym śniadaniu i przez cały dzień nie mieli prawie nic w ustach. W zajazdach włoskich posiłki serwowano zawsze bardzo wolno, dochodziła więc

dziesiąta, kiedy wykapani i przebrani ruszyli z pelerynami i maskami do Palazzo Falcone. Uliczki nadal pełne były tańczących i śpiewających balowiczów, trudno było znaleźć dorożkę, więc pomaszrowali w stronę Via Giulia. Palazzo okazał się mroczną, ponurą budowlą gotycką, demonstrującą światu swą odpychającą fasadę. Na posępnym dziedzińcu żarzyły się pochodnie.

Tu podjeżdżały powozy, z których wysypywali się goście w bajecznie kolorowych kostiumach, a wielka sala, rozświetlona ogromnymi, kryształowymi żyrandolami pękała w szwach.

Dziwne miejsce, pomyślał Jethro, rozglądając się dokoła. Każdy fragment ściany pokrywały sceny z mitologii klasycznej, bogowie i boginie, smoki i jednorożce, rogate satyry uganiające się za nimfami pośród pomarańczowych drzew, niegdyś radosne kolorami, teraz smutnie przygaszone. Złożone gryzmy utraciły dawny splendor, a

szkarłatny aksamit na fotelach i sofach świecił dziurami. Być może książę Alessandro był wielkim arystokratą, ale z pewnością nie narzekał na nadmiar gotówki.

Tom natychmiast wpadł w grupę młodzieży i zatopił się w tańcu. Jethro, czując się niezręcznie w czarnym smokingu, odnalazł spotkanego w szpitalu znajomego i wraz z nim ruszył w stronę obficie zastawionego stołu. Po drodze wymienił sztywny ukłon z gospodarzem przyjęcia. Książę Falcone był imponującą postacią, wyglądem przypominającą jednego z rzymskich imperatorów, Wespazjana, a może Tyberiusza. Upał na sali był tak intensywny, że Jethro zakręcił się parę razy na parkiecie, a potem wymknął się bocznym korytarzem i ostrożnie otworzył jakieś drzwi na jego końcu. Wszedł do małego pokoiku wyłożonego złoconą skórą hiszpańską, w którym stały krzesła i stoliki do gry

12

w karty. W środku nie było nikogo. Mała lampka oświetlała tackę z winem, ale nie miał już ochoty na trunki. Wyciągnął z kieszeni cygarniczkę i zapalił krótkie, ciemne cygaro. Na bocznym stoliku leżała sterta książek. Kiedy tak przeglądał je od niechcienia,

otworzyły się drzwi. Odwrócił głowę.

Dziewczyna w złotej sukni. Oparła się o framugę drzwi. Jej oczy pełne były przerażenia. W ręce trzymała bezwiednie wianek z róż, jej ciemnorude loki opadały luźno na ramiona. Suknia ze złotego brokatu rozdarta była na ramieniu, a na białej skórze widniała długa, krwawiąca rana. W szoku nie dostrzegła jego obecności. Odczekał chwilę i ruszył w jej stronę.

- Czy coś się stało, signorina? - zapytał cicho po włosku.

Instynktownie zebrała podartą suknię.

- Nie, nie. To nic takiego. Ja... Potknęłam się i upadłam, to wszystko. Chyba zwichnęłam sobie kostkę.

- Wolno pokuśtykała do krzesła.

Wyjął z ust cygaro.

- Jestem lekarzem. Mogę pani pomóc.

- To nie jest konieczne.

- Zobaczymy - powiedział, klękając na podłodze.

- Która to stopa?

Zawahała się przez chwilę, a potem wyciągnęła

lewą nogę. Wziął jej stopę w dłonie, zsunął złoty pantofelek i delikatnie ścisnął wąską kostkę w jedwabnej pończosze.

- Boli?

- Trochę.

Podniósł wzrok.

- Wydaje mi się, że to nic groźnego. Wystarczy zimny kompres i za kilka godzin ból minie.

Nadal jednak nie rozumiał, dlaczego miała podartą suknię, przerażenie w oczach i dlaczego drżała gwał-

l clownie na dotyk jego palców. To nie upadek był powodem jej strachu. Wstał.

- Mimo wszystko pewien jestem, że przeżyła pani szok. Polecam odrobinę brandy. Podszedł do stolika, napełnił kieliszek i podał jej alkohol.

- Czy muszę?

- To panią uspokoi.

Podniosła kieliszek, pociągnęła łyk i wykrzywiła twarz.

- Nie smakuje mi. W klasztorze zakonnice podawały nam brandy tylko wtedy, gdy byliśmy chore.

- A kiedy to było? - spytał z lekką przekorą.

- Ponad rok temu. Nie jestem już dzieckiem.

- Oczywiście, że nie.

Spojrzała na niego z ciekawością. Przystojna twarz, oliwkowa cera, grube, gęste włosy skręcone wokół szyi, chłodne, szare oczy, przenikliwy uśmiech.

Szybko zmieniła temat.

- Widziałam pana dziś po południu podczas karnawału. Stał pan na balkonie z Luigim Manfred! i jakimś młodzieńcem. Jest pan Anglikiem?

- Tak. Podziwialiśmy pani scenę. To bardzo śmiały temat - „Pieńko” Dantego. Wzruszyła ramionami.

- To pomysł Ugo. Uwielbia siebie w średniowiecznym kostiumie.

Mówiła teraz po angielsku, z delikatnym akcentem, który tylko dodawał jej uroku.

- No tak, teraz rozumiem. On grał Malatestę, a pani była Francescą da Rimini.

- Zgadza się.

- Niech pomyślę... Jak to brzmi? „Ci, którzy dryfują w przestworzach, lekko unosząc się na wietrze” - przypominał sobie słowa.

Otworzyła ze zdziwienia oczy. Ciemnofioletowe, otoczone długimi, jedwabistymi rzęsami.

- Zna pan Dantego? - zdumiała się.

- Z czasów studenckich.

- Czy lekarze czytują poezję?

- A dlaczego nie? Nasz świat to nie tylko chorzy i lekarstwa.

- Nie? - wybuchnęła nagle śmiechem, tym samym cudownym śmiechem, który zachwyił go tego popołudnia. - Muszę już iść. Będą mnie szukać.

Wstała, a Jethro otworzył przed nią drzwi. Zatrzymała się i wyciągnęła dłoń.

- Dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę uważać na kostkę.

- Będę pamiętać.

Delikatnie pocałował drobną, chłodną dłoń.

- Arrivederci, Signorina.

- Arrivederci.

Wymknęła się przez drzwi, a on odprowadził ją wzrokiem. Francesca da Rimini poślubiona przez okrutnego garbusa Gianciotta zakochała się szaleńczą miłością w jego przystojnym bracie Paolo. Kiedy tajemnica została odkryta, potępieni kochankowie zginęli z rąk zazdrosnego męża. Przypomnił sobie zamyśloną twarz mężczyzny na platformie. Znał dobrze te włoskie rody, ociekające krwią, pozbawione potomków, dekadencjonalne. Czy taki los czekał też tę cudowną dziewczynę? Z pewnością nie. Poniosła go tylko wyobraźnia. W tych nowoczesnych czasach nie zmuszano kobiet do nieszczęśliwych małżeństw, a zdradzani mężowie nie mordowali swych grzesznych żon. Zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył

na poszukiwanie Toma.

Była chłodna, wiosenna noc. Kiedy dotarli do hotelu minęła już północ. Karnawał dobiegł końca. Zaczęła

16

się środa popielcowa, początek postu, czas na pokutę po rozpuście i hulankach.

Pierwsi wierni udawali się na poranną mszę. Za kilka godzin wyruszą w długą podróż do Anglii, do domu. Nadszedł czas, aby zapomnieć o tajemniczych dziewczynach o złotoru-dych włosach i pomyśleć o nominacji na chirurga w Szpitalu św. Tomasza.

Nie przypuszczał wtedy, że życie potrafi zniweczyć nawet najstaranniej przygotowane plany.

Laurel nie powróciła na salę balową. Wspięła się stromymi, tylnymi schodami do pomieszczeń dla służby i przemknęła do swojego pokoju. Podobnie jak cały pałac, przeładowany był ozdobami i czasami przygniatał ją swą masywnością. Przygaśnięty blask minionych wieków-gobeliny pokrywające ściany, bogate, aksamitne kotary przysłaniające wąskie okno, wspaniale rzeźbiona podstawa ogromnego łóżka z czarnego dębu - ale dziś było to raczej schronienie a nie więzienie. Z ulgą weszła do środka i przekręciła klucz w masywnym zamku.

W kominku buzował ogień, bo noce wciąż były chłodne, a przed nim wylegiwał się wielki biały pies, który zamachał ogonem, kiedy podeszła bliżej. Spotkanie z angielskim lekarzem uspokoiło ją trochę, choć miniony wieczór wspominała z odrazą. Ugo wypił zbyt dużo, co nie należało do rzadkości, chociaż nigdy przedtem nie był tak natarczywy. Musiała więc nauczyć go, iż nie może traktować jej jak pokojówki lub dziewczyny przypadkowo poznanej w mieście. To w klasztorze dowiedziała się, w jaki sposób niektórzy mężczyźni korzystają z życia.

Przez całe popołudnie musiała się walczyć z gorącym oddechem na rzytmu, bolesny uścisk

w pasie, kiedy tylko ośmieliła się rzucić uśmiech młodzieńcom obsypującym ją kwiatami. Unikała go na sali balowej, ale złapał ją między jadalnią a hallem. Kiedy odepchnęła go, wpadł w furję.

- Co się z tobą dzieje? Nie bądź taką świętoszką. Za kilka tygodni bierzemy ślub.

- A kto tak powiedział?

- Ojciec i ciotka Elena...

- Ale ja się nie zgadzam! - wybuchnęła z taką wściekłością, że w mgnieniu oka stracił nad sobą kontrolę.

- Zrobisz jak ci każą, ty mała przybłędo, w przeciwnym razie pożałujesz - syknął zjadliwie.

Przyciągnął ją do siebie, ale stawiała mu opór, zwijając się i wykręcając niczym dziki kot, przerażona, że może ją skrzywdzić. Wyrwała się z jego uścisku i uciekła przed siebie. Nie pobiegł za nią. Nie musiał. Był synem księcia Falcone, a Alessandro był jej opiekunem. Czują się między nimi jak bezbronny więzień.

Spojrzała na przygotowane łóżko i kominek, ale nie dostrzegła nigdzie Diny, pokojówki. Zabawiała się prawdopodobnie z jednym z lokajów, więc Laurel nie wezwała jej do siebie. Z trudem rozpięła ciężką, złocistą, suknię i zrzuciła ją na podłogę. Obojętnie spojrzała na swoje odbicie w długim, stojącym lustrze, na pączkujące piersi pod delikatnymi koronkami satynowej halki, na krągłe biodra i długie, szczupłe nogi. Dobrze wiedziała, czego pragnął Ugo; nie chodziło o nią, nawet o jej ciało - to byłby tylko mały dodatek. Miała osiemnaście lat. Najbliższe tygodnie miały uczynić ją bogatą; spodziewała się dużej sumy od swego dziadka z Anglii, który obiecał jeszcze więcej po swej śmierci. Bajecznie bogaty handlarz herbatą uwielbiał swoją wnuczkę, a księżę Alessandro Falcone na gwałt potrzebował pieniędzy. Wiedziała, że planował jej małżeństwo ze swym synem, nie przypuszczała jednak, że nastąpi to tak szybko. Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze.

Chwyciła wiszący na umywalce ręcznik, zanurzyła go w dzbanku z wodą i przemyła długie zadrapanie, ślad po mściwym uścisku Ugo. Zadrzała na wspomnienie bolesnego dotyku. Przypomniała sobie dłonie angielskiego lekarza, silne lecz delikatne na stłuczonej kostce. Ból już prawie minął.

Nałożyła nocną koszulę i podniosła posrebrzaną szczotkę do włosów. Purpurowy bukiet, który rzucił jej tego popołudnia, stał na stole w wazoniku. Dotknęła go jednym palcem. To nedorzeczne, aby go zatrzymać. I tak kwiaty już zwiędły.

Właśnie rozczesywała włosy, kiedy ktoś pokręcił klamką, a potem gwałtownie zastukał w drzwi. | - Kto tam?

- To ja... Elena. Dlaczego zamknęłaś drzwi?

- Już otwieram.

Zawahała się przez moment, odłożyła szczotkę i przekręciła klucz. Elena Falcone wpadła do pokoju. Była niezamężną siostrą księcia, potężną, urodziwą kobietą około czterdziestki. Miała na sobie przepiękną, czarno-srebrną suknię, a jej twarz wyrażała złość. Zatrzasnęła drzwi i zwróciła się do dziewczyny:

- Co znaczy ta ucieczka z sali balowej i zamykanie się na klucz w pokoju? Coś ci dolega?

- Jestem zmęczona. To był bardzo długi dzień, a już minęła północ.

- To żadna wymówka. Alessandro jest oburzony. Doskonale wiesz, że w ostatnim dniu karnawału cała rodzina żegna wychodzących gości. To taki zwyczaj. Było tu wielu znaczących ludzi, ludzi, którzy są dla nas bardzo ważni.

18

19

- Ja nie należę do rodziny. Elena zmarszczyła brwi.

- To jeszcze nie powód. Wkrótce będziesz. Twoje miejsce było przy boku Ugo.

- Tak, aby każdy uwierzył, że jesteśmy zaręczeni. To dlatego zmusiłaś mnie do tej farsy na platformie, prawda? - Laurel podniosła wyzywająco głowę. - Powiem ci coś. Nie zamierzam poślubić Ugo.

- Ależ moja droga, nie bądź głupia. - Elena wpatrywała się w płonąca twarz i drżące dłonie dziewczyny.

Laurel była jak narwany żreback i wymagała delikatnego podejścia. Nie wolno było jej zranić. Elena zmieniła taktykę, ściszyła głos.

- Jesteś zmęczona i zdenerwowana. Nie wiesz, co mówisz, pomyśl tylko o swojej pozycji w rzymskiej elicie, jeśli wyjdiesz za Ugo. Powinnaś być wdzięczna Alessandro, że wybrał swego syna. To dla ciebie doskonała partia.

- Doskonała partia dla przybłedy. To masz na myśli? - Oczy Laurel wyrażały pogardę.

- Poradzę sobie bez tego. Gardzę Ugo. To brutal i dzikus.

Rozsunęła nocną koszulę.

- Spójrz, co mi dziś zrobił, tylko dlatego że mu nie uległam.

- Moje drogie dziecko, nie powinnaś mówić takich okropności. Jestem pewna, że Ugo nigdy nie dopuściłby się przemocy. Z pewnością sprowokowałaś go, a on ma gorącą krew jak wszyscy Falcone. Młodzi, zakochani mężczyźni potrafią się zapomnieć.

- Zakochani! Ugo nawet nie wie, co to znaczy

- rzuciła ze złością Laurel. - On jest zakochany w moich pieniądzech, pieniądzech, którymi spłaci swe karciane długi i uratuje upadającą fortunę rodu Falcone. 20

- Czy nie masz żadnego długu wdzięczności wobec Alessandro? Pamiętaj, co dla ciebie uczynił. Czy przez te wszystkie lata nie traktował cię jak córkę?

- Nie jestem mu nic dłużna. Mój dziadek zapłacił za wszystko. Alessandro trzymał mnie tu dla własnej przyjemności.

- Jak śmiesz wygadywać takie nikczemności! Alessandro to wspaniały człowiek.

- Tak, wiem, że jest ministrem stanu, dumnym ze średniowiecznych korzeni swego rodu, ale jest także mężczyzną.

Zadrżały jej wargi, odwróciła twarz.

- Kiedy po śmierci matki wróciłam z klasztoru, sam chciał się ze mną ożenić, ale Kościół nigdy nie uznałby tego małżeństwa.

- Nie wierzę ci. To stek kłamstw - wybuchnęła Elena.

- To prawda - zatkała dziewczyna - i ty dobrze o tym wiesz. Dlatego chcesz mnie wyswatać, prawda? Boisz się, że Alessandro mógłby się we mnie zakochać, a wtedy co stałoby się z tobą? Wróciłabyś do swego małego mieszkanka, żyjąc na jego łasce...

- Postradałaś zmysły - jednym ruchem Elena uderzyła ją w twarz. - To już histeria. Czas, abyś nabrała rozumu i przypomniała sobie, kim jesteś. Alessandro jest twoim opiekunem.

- Tak jak mój dziadek...

- On jest w Anglii, moja droga. To staruszek. Nie myśl nawet, że będziesz mogła się mu wyzalić. Alessandro nigdy by na to nie pozwolił.

Elena skierowała się ku drzwiom.



- Przyślę tu Dinę. Lepiej się połóż. Porozmawiamy rano.
- Nie potrzebuję Diny, nie potrzebuję nikogo - za-Ikała jak dziecko Laurel.

21

- Dobrze, rób jak uważasz, ale jutro przychodzi notariusz i będziemy omawiać kontrakt małżeński. Ślub odbędzie się zaraz po Wielkanocy.

- Nie - zaprotestowała rozpaczliwie Laurel. - Nie, nie wyjdę za niego. Nigdy...Nigdy...

- Uważaj na to, co mówisz, jeśli nie chcesz stać się obiektem plotek ze strony służby - nakazała chłodno Elena. - Dobranoc. Pomyśl o tym, co ci powiedziałam.

Poprawiła z godnością suknię i opuściła pokój. Laurel rzuciła się na łóżko w powodzi łez. Była jeszcze bardzo młoda, a już tak nieszczęśliwa. Nie płakała zbyt długo.

Podniosła się, a wielki pies usiadł przy niej, wyczuwając coś złego i wciskając nos w jej dłoń. Pochyliła się, by go pocałować.

- W porządku, Carlo. Już mi lepiej.

Usiadła na dywaniku przed kominkiem, objęła ramieniem psa i wbiła wzrok w płonący ogień. Nadszedł czas przemyśleń i rozliczeń, musiała zastanowić się nad swoją przyszłością. Czuła się tak bezgranicznie samotna.

Jej pozycja była co najmniej dziwna, stanowiła część tego domostwa, a jednak nie należała do rodziny. Gdyby jej dziadek nie wrócił do Anglii, gdyby żyła jej matka...bezsensowne spekulacje, pomyślała z rozpa-czą. Tak naprawdę niewiele łączyło ją z matką. Zachwycająco piękna wdowa po angielskim oficerze traktowała swą córkę'z dystansem, zwłaszcza kiedy Laurel dorosła i swą urodą zagroziła matce. Zawsze jednak była praktyczna. Nigdy nie pozwoliłaby, aby ktokolwiek wykorzystał Laurel. Poczucie miłości, jakiego pragnie każde dziecko, otrzymała od swego dziadka, człowieka, który z ubóstwa doszedł do wielkiego majątku, ale nigdy nie stracił poczucia rzeczywistości; jego upór i uczciwość zyskały mu szacunek . królowej Wiktorii i przyniosły tytuł szlachecki. Dziadek rozpieszczał ją aż do przesady. Laurel urodziła się we Włoszech, w biało-różowej florenckiej willi. Matka nigdy nie mówiła o swym życiu w Anglii, nie odpowiadała na pytania, jakby bała się otworzyć zapieczętowaną księgę. Wszystko, czego dowiedziała się Laurel pochodziło od jej dziadka. Opowiadał jej czasem o ojcu, którego nigdy nie знаła, a który utopił się, ratując jej matkę podczas straszliwej powodzi we wschodniej Anglii w roku 1833. Matka, wtedy już w ciąży, cudem uniknęła śmierci, a dziadek przywiózł ją do Włoch, by podreperowała swe zdrowie.

Joshua Rutland stał się bohaterem; przystojny, szarmancki, posiadał wszystkie cechy wymarzonego przez dziecko rodzica. Przypomniła sobie wspaniałe, szczęśliwe dni. Cieszyli się każdą chwilą. Jej matkę zawsze otaczała gromada adoratorów, ale wszystko zmieniło się gwałtownie, gdy pojawił się w ich życiu książę Falcone. Był wspaniałym arystokratą, a jego zdobycz okazała się prawdziwym triumfem, choć dziadek z całą mocą sprzeciwiał się temu małżeństwu. Laurel doskonale pamiętała zażarte kłótnie i to, jak pewnego dnia przyciągnął ją do siebie.

- A teraz mnie posłuchaj - nakazał swym grubym głosem. - Nie zamierzam wypychać dziurawych kieszeni tego zuchwałego Włocha moimi ciężko zarobionymi pieniędzmi. Wszystko przepiszę na ciebie, moja kruszyno. Twoja matka będzie mogła z nich korzystać, ale po jej śmierci cały majątek należeć będzie do ciebie, nawet ostatni pens. Rozumiesz?

- Tak, dziadku - odpowiedziała posłusznie, ale dopiero przed rokiem pojęła znaczenie tej obietnicy, kiedy to książe otwarcie ujawnił swe intencje.

Ugo, jego syn z pierwszego małżeństwa, starszy był od niej o siedem lat. Od pierwszej chwili poczuła do niego wstręt. Arogancki nie do wytrzymania,

22

z radością ośmieszał długonogą dwunastolatkę przed swymi eleganckimi przyjaciółmi. Po weselu dziadek powrócił do Anglii. Pisała do niego bez przerwy, a on czasem odpisywał jej nieporadnym pismem, którego nauczył się w bezpłatnej szkole dla ubogich dzieci. Matka Laurel zdobyła to, czego zawsze pragnęła - pewną pozycję w najwyższych sferach, a Laurel, niechlubne wspomnienie przeszłości, wysłana została do klasztoru w Lozannie. Po pierwszym miesiącu tęsknoty za domem polubiła to miejsce. Było nowe i ekscytujące. Po raz pierwszy w życiu miała przyjaciółki. Była tam też Jane Ashe, wrażliwa, wykształcona Angielka, wykładająca język angielski i historię. Laurel uważała ją za niezwykle mądrą osobę, choć panna Ashe miała dopiero trzydzieści lat. Polubiły się od razu, i to nie tylko dlatego, że obie uwielbiały konie. Panna Ashe, jak wiele Angielek, była doskonałym jeźdźcem i towarzyszyła dziewczętom podczas porannych przejażdżek. Laurel pisała do niej długie, rozwlekłe listy, opisując wszystko, co działo się w wielkim pałacowym labiryncie, w którym czuła się tak bardzo samotna.

Przypomniała sobie dzień sprzed osiemnastu miesięcy, w którym dowiedziała się o śmierci matki. Zginęła w wypadku, przejeżdżając przez Apeniny. Alessandro uratował się, ale matka umarła. Jane Ashe nie mówiła zbyt wiele. Tego dnia zabrała ją na wspinaczkę po górach. Pokryte śniegiem szczyty i głębokie doliny przyniosły jej ukojenie i siłę. Nocą, kiedy Laurel leżała już w łóżku, Jane przyszła do jej pokoju i przytuliła ją do siebie, pozwalając w łzach zapomnieć o samotności.

W kominku dogasał ogień, Laurel poderwała się z miejsca. Ktoś nadchodził korytarzem, skradając się cichutko na palcach. W panice przypomniała sobie, że po wyjściu Eleny nie zamknęła drzwi.

Przebiegła przez pokój, widząc obracającą się klamkę. Przekręciła ciężki klucz. Stała przez chwilę, drżąc bez oddechu, pewna, że to Ugo, wściekły i sfrustrowany postanowił zemścić się za jej opór. Miała już tego dosyć. Jeśli nie ucieknie teraz, wpadnie w pułapkę między bezlitosnym Alessandro a lubieżnym Ugo. Pałac pełen był Falcone, wujków, ciotek, kuzynów wywierających na nią presję. Widziała, co działo się z innymi dziewczętami y.muszanymi do małżeństwa bez miłości, szukającymi schronienia w dzieciach i religii. Laurel była inna. Po ci/iadku odziedziczyła upór. Nie chciała, aby stłamszono ją, aby żywcem została pożarta przez zachłanne pasożyty. Pojedzie do dziadka w Anglii, znajdzie pomoc u Jane Ashe. Kilkrotnie podróżowała między Rzymem a Lozanną. Na pamięć znała tę trasę. Miała wszystkie dokumenty podróży, a bankierzy dziadka przesłali jej właśnie wysoką miesięczną pensję. Zadrzała z podniecenia. Teraz albo nigdy. Jeśli będzie czekać, jej zapał osłabnie. Alessandro wyśle ją do wiejskiego domu we Frascati i zatrzyma tam tak długo, aż zgodzi się poślubić Ugo. Był do tego zdolny.

Natężyła słuch. Cisza. Po szaleństwach karnawału wszyscy będą spać do późnego rana. Rzuciła wzrokiem na mały złoty zegar na nocnym stoliku. Była druga trzydzieści. Jeśli do czwartej ubierze się i opuści dom, zabierając konie ze stajni,

będzie już daleko, zanim odkryją jej nieobecność. Nie zastanawiała się nad niebezpieczeństwami czyhającymi na samotnie podróżującą kobietę. Jakiś rok temu ścięto publicznie głowę bandycie, który obrabował i zamordował bawarską hrabinę udającą się z pielgrzymką do Rzymu.

Z uporem powtarzała sobie, że jej się to nie przytrafi, wiedziała, jak na siebie uważać. Zaczęła pakować mały kuferek, włożyła doń bieliznę i kilka innych niezbędnych rzeczy. Wyjęła z szafy

najskromniejszy strój do konnej ja/dy. Doskonale wyglądała w ciemnoniebieskiej, wojskowej kurtce / . aksamitu, ale nie zależało jej na wygląd/ie. Spięła włosy pod trójkątnym kapeluszem, a dokumenty podrózne i pieniądze wsadziła do bocznej kieszeni.

Zastanowiła się przez chwilę, a potem na kartce papieru zostawiła wiadomość, że udała się na mszę do Klasztoru Najświętszej Panny, by cały dzień spędzić na modlitwach i medytacjach. Laurel nie została wychowana w wierze katolickiej, ale w szkole klasztornej uczestniczyła czasami w mszach. Zaadresowała kartkę do Eleny i zostawiła ją w widocznym miejscu na toalecie. Jeśli się uda, minie kilka godzin, zanim zaczną jej szukać.

Teraz nadszedł moment najtrudniejszy. Przytuliła się do psa, szepnęła mu parę czułości do ucha, zgasiła lampę i chwytając kuferek, przeszła na palcach po korytarzu, kierując się ku pomieszczeniom dla służby. D/ied/iniec pogrążony był w mroku, wypaliły się już pochodnie, a na ziemi leżały zwiędłe kwiaty, konfetti, serpentyny niczym opuszczone pobojuwisko. Skierowała się ku stajniom. O tej porze krzatali się tu zazwyczaj stajenni, ale poprzedniej nocy jedli i pili do oporu, więc nikt nie zatrzymał jej, kiedy ostrożnie otworzyła drzwi do boksu Contessy. Koń poznał ją i parsknął cicho. Nie czyniąc hałasu, wyprowadziła go na podwórze i osiodłała. Chwyciła za uzdę i ruszyła w stronę bramy. Na szczęście odźwiernego nie było na służbie. Przygotowała sobie historyjkę o wyprawie do Klasztoru w Tivoli, ale Piętro opiwszy się tanim winem, spadł z platformy podczas parady i teraz jęczał ze złamaną nogą w miejskim szpitalu. Jego posterunek stał więc pusty. Z wysiłkiem podniosła ciężką, żelazną sztabę, otworzyła bramę i wyprowadziła Contessę na ulicę. Wdrapała się na jej grzbiet i pokłusowała w stronę Via Giulia.

26

»

Udający się do pracy mężczyźni dziwili się na widok elegancko ubranej dziewczyny, jadącej samotnie o tak wczesnej porze, ale na wpółsenni, nie wykazali większego zainteresowania. Kiedy dotarła do Via Flaminia i skręciła w drogę wychodzącą z miasta, niebo na wschodzie jaśniało już purpurą. W dole rozciągała się Kampania, naga i opuszczona. Doskwierał jej głód, od dawna nie miała nic w ustach, żałowała, że nie wrzuciła ilo kieszeni kawałka czekolady. Była jednak młoda, silna, знаła trudy podróży w siodle. Zdecydowała się na podróż do Viterbo. Stamtąd odeśle Contessę do pałacu, a sama wsiądzie do dyliżansu jadącego do Arezzo, a potem do Florencji i Bolonii. Marzenia o wolności pochłonęły ją tak bardzo, że nie zwróciła uwagi na trzech żołnierzy podążających z ciekawością jej śladem. Zjechała na bok i puściła ich przodem.

2

Tego samego ranka Jethro i Tom posprzeczali się nieco o drogę, w końcu zdecydowali się dotrzeć do Viterbo, by zwiedzić słynny Pałac Orsini, miejsce, którego nie powinien ominąć żaden podróżny. Kolejnym etapem było Jezioro Bracciano. Wyruszyli po wczesnym śniadaniu. Pędzili w chłodzie poranka. Około południa dogonili Laurel. Dostrzegli przed sobą K/czupłą postać w ciemnoniebieskim stroju i zastanawiali się, dlaczego tak elegancko ubrana, młoda kobie-tu na wspaniałym koniu podróżuje samotnie po gościnni. Zdumienie Jethro nie miało granic, gdy dogoniwszy JU zdał sobie sprawę, kim była. To śmieszne, ale przez

27

chwilę uwierzył w przeznaczenie. Otrzeźwiał natychmiast, uśmiechnął się uprzejmie i zdjął kapelusz.

- Dzień dobry, signorina. Nie spodziewałem się spotkać panią tak szybko po karnawale. Czy mogę zapytać, dokąd pani jedzie?

Tom cwałował już z drugiej strony. Laurel popatrzyła na nich nieco przerażona. Nie spodziewała się tego spotkania, nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- Jadę do Viterbo - odparła w końcu bez przekonania.

- Sama? Bez eskorty, bez służącej? - nie dawał za wygraną Jethro. - Czy to nie dziwne?

- Niby dlaczego? Często podróżuję sama.

- Coś takiego, naprawdę? - wykrzyknął Tom. - Zuch dziewczyna... chciałem powiedzieć... cóż, niewiele młodych dam, które znam zdobyłoby się na taki wyczyn, nie w takim kraju jak ten.

Tu spojrział podejrzliwie na swego towarzysza podróży.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze się znacie.

- Prawie wcale. Spotkaliśmy się zeszłej nocy. Zaoferowałem signorinie Falcone swą pomoc - rzucił lakonicznie Jethro. - Lepiej się przedstawmy. Nazywam się Jethro Ayisham, a to Tom Fenton.

- Jestem zaszczycony - Tom pokłonił się z przyjaznym uśmiechem.

- Jak tam stłuczona kostka? - ciągnął Jethro.

- Już lepiej, dziękuję.

- Czy książę Falcone wie o pani podróży? ;

- Oczywiście, że tak.

Laurel odsunęła się nieco, pełna niepokoju, że mogą odkryć jej prawdziwe zamiary.

- Pan wie, że książę nie jest moim ojcem. Jethro zmarszczył brwi.

- Ale myślałem...

28

Moja matka była jego drugą żoną. Teraz rozumiem. Zmarła przed rokiem.

Pod jego uważnym wzrokiem Laurel plątała się ' wyjaśnieniach.

- W Viterbo mam ciotkę - zaimprovizowała na poczekaniu. - Właśnie jadę, by ją odwiedzić.

- Oczywiście.

Jethro nie miał wątpliwości, że żadnej Włoszce z arystokratycznego rodu nie pozwolono by podróżować samotnie po Kampanii, bez bagażu, jedynie z małym kuferkiem. Najwyraźniej przed czymś uciekała, a była taka młoda, prawie dziecko,

spięta i niespokojna jak narowisty żrebak. Przy najmniejszym dotyku, pomyślał, zerwie się do ucieczki.

- Dobrze się składa, bo my także jedziemy do Viterbo - rzucił swobodnie. - Możemy trzymać się razem.

- Nie chciałabym pokrzyżować pańskich planów.

- Ależ skądże, zapewniam panią. Tom już otwierał usta w proteście, lecz zamilkł pod miazdzącym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, iż przyjmie pani nasze towarzystwo.

- Oczywiście.

Jechali bok przy boku. Jethro podtrzymywał rozmowę, Tom rzucał od czasu do czasu jakąś zabawną uwagę, dziewczyna odzywała się dość rzadko. Jethro czuł, że coś jest nie w porządku, nie wiedział jednak co robić. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że dziewczyna naprawdę pragnie odwiedzić swych krewnych. Po godzinie dotarli do ubogiej wioski i zatrzymali się przed gospodą. Była to stacja pocztowa o dobrej sławie, gdzie dyliżanse często zmieniały konie. Jethro zaproponował posiłek i krótki odpoczynek. Jego doświadczone oko dostrzegło wyczerpanie dziewczyny, a Laurel po bezsennej nocy i długim dniu w siodle zgodziła się z radością.

29

Zsiedli z koni, oddając je w opiekę stajennego i weszli do gospody. Przed nimi wpełchnęło się brutalnie trzech żołnierzy. Patrząc na ich podarte mundury i niechlujny wygląd Jethro przypuszczał, że są to dezercerzy z jakiejś bandy chłopskiego wojska. Po nieudanym powstaniu sprzed lat niektórzy z nich wciąż jeszcze włóczyli się po okolicy. Bez pracy i zarobku, siali postrach wśród przyzwoitych obywateli przywykłych do spokojnego życia. Właściciel gospody spojrzał na nich z odrazą.

- Mówią o sobie soldati! - warknął i splunął. - Raczej banditti! Trzeba uważać przy nich na sakiewki!

Po chwili zmienił ton, z ukłonem zapraszając nowych gości do środka.

- Proszę tedy, signore, tedy. Czym mogę służyć? Był to czysty, porządnie prowadzony zajazd. Laurel zdała sobie sprawę jak bardzo była głodna, gdy z jej talerza zniknęła porcja ravioli obficie polana sosem. Jethro z ulgą obserwował jej apetyt i zaróżowione policzki, kiedy pociągnęła kilka łyków wina. Nie chciał, aby zemdląła mu w ramionach.

Kiedy uprzątnięto naczynia i podano kawę, Jethro podjął decyzję. Wysłał Toma do stajni, by sprawdził, czy należycie zajęto się końmi, a sam zasiadł wygodnie w fotelu. Spojrzał na dziewczynę, z którą najwyraźniej połączył go los, czy chciał tego czy nie; podziwiał jej delikatne rysy i blask prześlicznej twarzy. Biła z niej odwaga i zdecydowanie. Nie znał żadnej dziewczyny, która podjęłaby się tak śmiałego zadania.

- Młoda damo - zaczął cicho - proszę mi powiedzieć, przed czym pani ucieka.

Podniosła głowę, spoglądając mu wyzywająco w oczy.

- Ucieka? Nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że pani wie - odparł zniecierpliwiony. - Chyba nie oczekuje pani, że uwierzę, iż udała się pani

i tak długą podróż samotnie, tylko po to, by odwiedzić pwą ciotkę.

i Laurel zawahała się przez chwilę. Poprzedniej nocy angielski doktor był taki uprzejmy. W swej samotności, instynktownie poczuła do niego zaufanie, ale jednocześnie mógł uznać za swój obowiązek odwiezienie jej do Rzymu.

- Niech pani posłucha - ciągnął, dotykając ręką jej dłoni - nie musi się pani bać. Nie jestem potworem. Wiele już w życiu widziałem. Być może będę w stanie pomóc.

Nie chciała działać pochopnie, ale postanowiła zaryzykować.

- To prawda - szepnęła ostrożnie. - Nie zamierzam zostać w Viterbo. Jadę do... Szwajcarii, do klasztoru, gdzie chodziłam do szkoły. Do Lozanny.

- Lozanna! - powtórzył zaskoczony Jethro. - Przecież nie może pani odbyć tak przerażającej podróży w pojedynkę.

- A dlaczego nie? - zapytała krnąbrnie. - Przebyłam I V trasę wielokrotnie.

- W powozie księcia i z odpowiednią eskortą. To 'upełnie co innego. Nie do pomyślenia, że mogłaby pani podróżować publicznym dyliżansem.

- Nie jestem głupia - odparowała wyniosłe. - Zapewniam pana, że potrafię o siebie zadbać.

- Czy mogę zapytać, po co wraca pani do klasztoru?

- To już nie pańska sprawa, ale jeśli musi pan wiedzieć, mam tam przyjaciół, którzy pomogą mi się dostać do Anglii. W Londynie mieszka mój dziadek. Mam zamiar do niego wrócić.

- Oczywiście książe Falcone nie miałby nic przeciwko tej wizycie.

- Ależ tak! - wybuchnęła.

- Dlaczego?

- Wie, że zostałabym tam na zawsze, a on... on ma inne plany względem mnie.

- Jakie plany?

Tak bardzo naciskał swymi pytaniami, że jej napięcie przerodziło się w gwałtowny wybuch.

- Chce, abym poślubiła jego syna Ugo....

- Ugo? Czy to ten mężczyzna, który...

- Był ze mną podczas parady, a potem... Nienawidzę go, czuję do niego wstręt. Jest brutalny, to potwór...

- Moje dziecko - odezwał się czule Jethro - jest pani taka młoda. Ma pani dużo czasu. Nikt nie może zmusić pani do niczego.

- Być może tak jest w Anglii, ale nie w Rzymie

- wykrzyknęła z wściekłością. - Pan nie zna Falcone, nie wie, do czego są zdolni.

Wszyscy byliby przeciwko mnie. Nie pozwolę na to.

- A jeśli panią dogoni?

- Nie dogoni - odparła z pewnością. - Jeszcze nie wiedzą, że uciekłam, nie po wiadomości, którą im zostawiłam.... chyba że pan... ale pan tego nie zrobi, prawda? Proszę obiecać, że mnie pan nie powstrzyma.

Patrzyła na niego błagalnie.

- Nie wiem - odpowiedział powoli. - Niczego nie obiecuję.

- To niesprawiedliwe - zareagowała z wściekłością.

- Zmusił mnie pan do zwierzeń, a teraz...

- Proszę się nie martwić - uśmiechnął się - nie odwiozę pani do Rzymu w kneblu i łańcuchach.

- Lubi pan żartować, a dla mnie to sprawa życia lub śmierci...
- Oczywiście, że tak. Pomyślmy o tym, kiedy dotrzemy do Viterbo, zgoda?
- Naprawdę?
- Naprawdę.

Ogarnęły ją wątpliwości, podniosła się z krzesła.

32

- W takim razie musimy niebawem wyruszyć. Pan Wybaczy, chciałabym się odświeżyć i przygotować do dalszej drogi.

Pozwolił jej odejść, mając nieprzyjemne uczucie, że odwleka jedynie trudną decyzję. Przywołał gospodarz, by zapłacić rachunek, kiedy do gospody wpadł jak burza Tom.

- Odjechała! - wrzasnął z oburzeniem. - Zupełnie irgo nie rozumiem? Wyprowadziła konia ze stajni i pogalopowała drogą jak szalona.

1- Co takiego? - krzyknął Jethro. - Nie mogła tego i D bić. Chyba ci się przywidziało.

- Nic podobnego. Widziałem ją z okna na piętrze. /uwołałem, ale nawet się nie odwróciła. Boże drogi, ale postrzeleniec! Czym ją tak przestraszyłeś?

- Niczym.

Wiedział jednak, że najmniejsze podejrzenie co do Jego intencji zabrania jej do Rzymu wystarczyło, by popędziła na złamanie karku, Bóg jeden wie, dokąd. Fego już było za wiele. Rzucił na stół garść monet.

- Reszty nie trzeba. Chodź, Tom. Musimy ją dogonić. Konie gotowe?

- Czekają na zewnątrz. Ojej, a to ci dopiero. Wskoczyli na konie i pognali gościńcem, a gospodarz, ^nrniając pieniądze, wzruszył ramionami na wspomnienie dwóch szaleńców, wybacząc im to błazeń-utwo. Nic innego jak sprzeczka kochanków.

Podrzucił W górę monetę i ponownie chwycił ją w dłoń. Żeby 11 k dobry Bóg zesłał mu więcej takich ekstrawagan-1< ich pomyleńców.

\* \* \*

<

| Laurel działała pod wpływem impulsu. Nie miała Umiaru wracać z tym nudnym angielskim kołtunem

33

o wypaczonym poczuciu odpowiedzialności. Kiedy zniknę mu z oczu, przekonywała siebie, odetchnie z ulgą. Bezlitośnie popędzała Contessę, a koń wypoczęty i nakarmiony gnał miarowym galopem. Jechała przez zagajnik, pełen drzew i krzewów, aż dotarła do rozstajów. Znak wskazujący drogę leżał na ziemi z odartym ramieniem. Drugie ramię wskazywało radośnie w niebo. Powstrzymała Contessę, kiedy dostrzegła opartego o drzewo mężczyznę.

- Czy może mi pan pomóc? - zawołała. - Którędy do Yiterbo?

Podszedł do niej wolnym krokiem.

- W prawo, signorina. Tędy.

Wyciągnął brudną rękę, a potem położył ją na cuglach. Był potężnym mężczyzną o niechlujnych, czarnych włosach i sumiastych wąsach. Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Chyba coś mi się należy? - odezwał się zuchwale. Niepewnie wyjęła z wewnętrznej kieszeni sakiewkę, a on chwycił jej nadgarstek tak, że sakiewka wylądowała w jego dłoni. Podrzucił ją w powietrze.

- Patrzcie, amigos - wykrzyknął ze śmiechem -jaka tłusta zdobycz!

Zbyt późno zauważyła dwóch innych mężczyzn wynurzających się z krzaków i zbliżających się w jej kierunku. W przerażeniu zamachnęła się batem. Trafiła jednego z nich w twarz, a on zaklął siarczyście.

- Basta! Co za diabolic! Zaraz się przekonamy. Chwycił ją za nogę, próbując ściągnąć z siodła. Contessa parsknęła i stanęła dęba. Mężczyzna upadł na plecy, ale jego kompan złapał dziewczynę za kostkę. Koń podskoczył, a Laurel wypuściła z dłoni bat. W mgnieniu oka znalazła się na ziemi. Olbrzym ścisnął ją ramionami. Chciała się uwolnić, ale on uderzył ją w twarz. Bandyty śmiali się głośno, spodziewając się doskonałej rozrywki z gorącą, młodą dziewczyną. Jeden z nich obrócił jej głowę i przycisnął się do niej Uniami. Kopnęła go z całej siły, a on pchnął ją tak mocno, że upadła na kolana. Nieoczekiwany wystrzał inaskoczył ich. Zamarli na chwilę w bezruchu. Nagle pojawili się dwaj galopujący jeźdźcy. Jethro, trzymając w dłoniach dymiący pistolet, rzucił parę włoskich obelg. Byli tylko drobnymi złodziejaskami przyzwyczajonymi do łatwych zwycięstw nad przerażonymi ofiarami. Jego pewna postawa przstraszyła ich, nie byli przygotowani do walki. Czmychnęli do swoich koni ukrytych w krzakach, popędzani przez Toma wymachującego pistoletem, miotającego angielskimi pr/ekleństwami.

Jethro pomógł Laurel podnieść się z ziemi. Była Nuda i drżąca. Zgubiła gdzieś kapelusz, a jej ciemno-i ude włosy opadały ciężko na ramiona.

- Jestem panu bardzo wdzięczna - wymamrotała, utr/epując kurz z ubrania.

- Nie wątpię. Po takiej ucieczce - mruknął szorstko Jethro. - To nie było zbyt mądre, prawda? Jeszcze uhwila, a byłoby czego żałować.

Nie odrywała od niego oczu, złość zmagala się X uczuciem ulgi.

- Myślałam... Myślałam, że chce mnie pan po-wrtrzymać...

- Ale myliła się pani, czyż nie? Jest pani ranna?

- Nie...

W tym momencie pojawił się Tom śmiejąc się do rozpuku.

- Ci dranie dostali nauczkę - oznajmił wesoło. ^lie zdążyli nawet zabrać swego łupu.

Jniósł w górę sakiewkę.

- Dziękuję - uśmiechnęła się do niego promiennie. lie wiem, co bym bez was zrobiła.

34

35

- Nie ma za co. To był pomysł Jethro, na który chętnie przystałem. Ratowanie dam z opresji, to coś dla mnie - rzucił radośnie Tom. - A co teraz, Jethro? Viterbo czy Rzym?

- Yiterbo - nakazał lakonicznie Jethro. - Dojedziemy do miasta po zmroku. Czy starczy pani sił na konną jazdę?

- Oczywiście - obruszyła się.

- Świetnie.

Pomógł jej zasiąść w siodle i ruszyli. Trzymali ją pośrodku na wypadek, gdyby znów zdecydowała się na ucieczkę. Tom zabawiał Laurel swymi opowieściami, Jethro nie odzywał się, pewny jednego - bez względu na konsekwencje, nie może zostawić tej dziewczyny i pozwolić jej na samotną podróż przez Italię do Lozanny. Wychowana w przepychu, nie zdawała sobie zapewne sprawy z niebezpieczeństw związanych z wynajęciem dyliżansu i woźnicy czy też przebywania w przydrożnych zajazdach



podczas tysięcznej podróży. Cały ten irytujący incydent groził poważnymi konsekwencjami.

Długo nie mógł się zdecydować na jakiegokolwiek działanie, ale następnego ranka wszystko rozwiązało się samo w najmniej oczekiwanym sposobie. Pojęcia nie miał, dlaczego postąpił w ten sposób, może dlatego, że nigdy nie znosił aroganckich tyranów i to już od nieszczęśliwych lat spędzonych w szkole prywatnej.

W Yiterbo nie było zbyt wielu zajazdów, wybrał najspokojniejszy i cieszący się dobrą opinią, a jako lekarz zalecił Laurel długi sen. Wielogodzinna jazda w siodle wyczerpała ją całkowicie, nie miała sił na sprzeczkę. Opowiedziała troszkę o sobie i przez moment Jethro nie wywierał na nią żadnego nacisku.

- To wszystko jest bardzo podejrzane - zauważył Tom późną nocą, dzieląc pokój z Jethro. - Co z tym

36

^robimy, Jet? Pojedziemy z nią do Lozanny? Trochę nam nie po drodze, prawda?

- Najrozsądniej byłoby odstawić ją do Rzymu.

- Do diabła z takim pomysłem! To jest najłatwiej-WE. - Tom rzucił się na łóżko, zrzucając buty. - Galop przez Alpy i pościg rozjuszonego ojczyzna z pistoletem w każdej dłoni, to ci dopiero zabawa.

- Czarny humor. Nie mam zamiaru działać tak dramatycznie.

- Doprawdy? - Tom rzucił mu szybkie spojrzenie. No, przyznaj się. Wpadła ci w oko ta panna, czyż nie, wujaszku Jethro?

- Zamilcz, zuchwalcze. Zważaj na to, co mówisz, albo zobaczysz, co potrafi silny wujaszek.

- Nie musisz przede mną udawać. Znam cię na wylot. Ukryty ogień.

- Wstrętny bachor!

Jethro zamierzył się w żartach na chłopaka, który uniknął ciosu i padł na łóżko, zwijając się ze śmiechu.

Tom był synem jego przyrodniej siostry, ale byli bardziej jak bracia niż wujek i siostrzeniec. Jethro uwielbiał beztroskiego młodzieńca. Zdawało się, że Chłopak tryska zdrowiem, ale w rzeczywistości miał bardzo słabe płuca. Przed Bożym Narodzeniem dostał IM palenia płuc, które zostawiło po sobie ciągły kaszel, H C 'lierry ubłagała swego brata, by zabrał ze sobą Toma do ciepłej i słonecznej Italii. Tom nienawidził swej liwkości, uparcie jej zaprzeczając i choć czuł się nieco lepiej, nadal był zbyt wątpliwy. Był dopiero marzec, M Jethro nie cierpiał przenikliwego zimna, nie mówiąc (i ró o śniegu i lodzie, które z pewnością napotkają W S/wajcarii, a wszystko to dla młodej, upartej kobiety, której prawie nie znał. Postanowił ruszyć wybrzeżem do Genui, a stamtąd wsiąść na statek płynący do Marsylii.

37

Nie spał prawie całą noc. Obudził się, opatulając kocami Toma, zwiniętego jak szczeniaka z nosem pod poduszką. Zszedł na podwórze, by dowiedzieć się o dyliżans odjeżdżający do Genui, kiedy przez bramę wjechał jakiś mężczyzna na wspaniałym, czarnym rumaku. Szósty zmysł wzmógł jego czujność. Obejrzał się szybko na zajazd. Ani śladu Laurel i Toma, a Contessa radośnie przeżuwała owies w odległej stajni. Mężczyzna nie zsiadł z konia. Skinął w wielko-pańskim geście i Jethro ruszył w jego stronę. Wprawne doktorskie oko dostrzegło zgarbioną postać, jedno ramię wyżej od

drugiego, szlachetną twarz zniszczoną rozpustą, wąskie oczy i szyderczo wykrzywione, cienkie usta. Ugo Falcone, mężczyzna, który siedział przy Laurel na platformie; Malatesta. Bez najmniejszego powodu, Jethro znienawidził go od pierwszego wejrzenia i natychmiast podjął decyzję.

\* \* \*

Laurel nie mogła zasnąć w maleńkiej sypialni. Była zdrętwiała i obolała, w twardym łóżu czuła się bardzo niespokojna. Silna potrzeba ucieczki z Palazzo Falcone zaczęła powoli słabnąć. Nieprzyjemny incydent z żołdakami nawiedzał jej sny. Podniosła się, spryskała twarz zimną wodą i nakładając suknię, spróbowała otrząsnąć się z koszmaru. Usłyszała tupot koni na bruku i podbiegła do okna. Serce stanęło jej w gardle, kiedy rozpoznała Ugo. Nie spodziewała się, że dogoni ją tak szybko. Ukryta za kotarą, w śmiertelnym przerażeniu dostrzegła zbliżającego się doń Jethro. Co mu mówił? Ugo wyglądał na zdenerwowanego, Jethro wyprostował się gwałtownie, ale po chwili wzruszył ramionami i ruszył w stronę stajni. Ugo zawrócił konia i popędził w kierunku bramy. Poczekała aż zniknie

widoku i zbiegła po schodach, wpadając na Jethro, który właśnie wszedł do środka.

- Widziałam go przez okno - zadyszała. - Czego chciał? Co mu pan powiedział?

- A jak pani myśli?

Chwycił ją za ramię i wyprowadził z korytarza do (tulalni.

- Skąd o mnie wiedział? - nie dawała za wygraną.

- Chyba natknął się na tych drani żołnierzy. Dokładnie nas opisali.

- Co mu pan o mnie powiedział? - ciągnęła.

- Powiedziałem mu, że o ile wiem, jest pani w drodze do klasztoru w Szwajcarii.

To mu pan powiedział! - wrzasnęła z oburzeniem = Jak pan mógł? Co ja teraz zrobię? Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Czyż nie wspominała pani o dziadku w Londynie?

- Tak. Mieszka na Ariington Street.

- Tak się składa, że ja też mieszkam w Londynie. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. 10 znaczy... że mogę jechać z panem?

- Pomyślałem, że to niezły pomysł. Podczas gdy (J go ściga panią na drodze do Bolonii i Florencji, my pojedziemy wybrzeżem do Genui. Już wynająłem powóz. Laurel nie mogła oddychać z podniecenia.

To cudownie... Nigdy nie myślałam... Nigdy nie (tiii/yłam... Dziękuję tysiącrotnie. /; i rzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała. Instyn-i.ownie przytulił ją do siebie, czując na sobie młode i»lo, delikatny zapach jedwabiu rudych włosów, ciep-i ust, kiedy w drzwiach pojawił się Tom.

- Co tu się dzieje? A o mnie zapomnieliście? Liurel odsunęła się z rumieńcem na twarzy. Jadę z wami do Anglii. Czy to nie wspaniałe?

- Rzeczywiście, wspaniałe - mruknął oziębło Tom.

- Co cię do tego skłoniło, Jethro?

- Powiedzmy, że nie podobały mi się maniery Ugo Falcone - stwierdził od niechcenia Jethro. - Pewnie tego pożałuję. Ale teraz musimy zjeść szybko śniadanie i ruszyć w drogę, na wypadek gdyby coś zwałchał i zawrócił.

- Jest pan rozgniewany - zauważyła zaintrygowana Laurel. - Co panu powiedział Ugo?

- Nic ważnego - odburknął. Nie miał ochoty powtarzać włoskich szyderstw. Aby chronić Laurel, musiał udawać całkowitą wobec niej obojętność. W wąskich oczach Ugo dostrzegł rodzącą się pogardę. Ugo zmierzył go wzrokiem i wycedził: „Czyż nie był pan na balu z Luigi Manfredim i jakimś jeszcze młodzieńcem?”

- Byłem tam.

- Tak myślałem - uśmiechnął się nieprzyjemnie.

-Czy wszyscy Anglicy są tak sztywni jak ty, konowale?

Miał ochotę wcisnąć mu tę obelgę w szydercze usta, ale taki krok zniweczyłby cały plan. Dziewczyna była nieletnia, a księżę Falcone miał ogromną władzę. Jeśli ich odnajdzie, bez skrupułów oskarży go o porwanie, a przed włoskim sądem nie mógłby liczyć na żadną obronę. Ogarnięty współczuciem dla dziewczyny, postawił wszystko na jedną kartę. Nie mógł się teraz wycofać. Nie znał jeszcze wielu faktów, ale postanowił poczekać. Musieli ruszać jak najszybciej. Zostawił Laurel i Toma przy kawie i gorących bułeczkach, a sam zajął się przygotowaniem do podróży. Gdy dopijali ostatnią filiżankę, załatwił odstawienie koni do Rzymu, a pod drzwiami czekał już powóz. Stajenny, który okazał się romantykiem podejrzewającym ucieczkę dwojga zakochanych, przekupiony małym upominkiem obiecał wskazać przeciwną drogę, na wypadek gdyby powrócił Ugo.

Tom i Laurel opuścili zajazd ze śmiechem, jak dwójka dzieciaków wyruszających na piknik. Jethro wdrapał się na siodło i ruszyli. Ich przewodnikiem był Jeszcze jeden włoski romantyk, czujący zapach przygody, popędzający konie na złamanie karku krętym, wiejskim gościńcem.

Laurel ogarnęło wspaniałe poczucie wolności. Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak bardzo przygniatał ją Palazzo Falcone, ile wycierpiała przez ostatni rok. Kochała swojego dziadka. W dzieciństwie był jej jedyną ostoją, wierzyła, że się nie zmienił. Serce /lidrzało jej z radości. Kiedy wczesnym popołudniem /utrzymali się na posiłek. Tom był już jej najlepszym przyjacielem. Kończyli właśnie lunch zabrany przezornie przez Jethro z zajazdu, gdy Tom podzielił się z nim niezwykłą wiadomością.

- To niebywałe, Jet, ale dziadek Laurel to Sir Joshua Rutland. Czy to nie ten sam, z którym wuj (Oliver) robił kiedyś interesy? Czy nie był on właścicielem części Ravensley?

Oliver, lord Ayshiam był przyrodnim bratem Jethro, starszy o jakieś szesnaście lat zajmował wysoką pozycję w Izbie Lordów. To on ocalił icdzinny majątek przed długami i hipoteką, to •»n doprowadził ich do obecnego bogactwa. Laurel ilostrzegła nagłą zmianę na twarzy Jethro i zaciśnięte /łowieszczę usta.

- Dziadek jest cudownym człowiekiem - rzuciła. Czy pan go zna?

- Spotkaliśmy się - odpowiedział sucho. - Bardzo dziwno temu.

- Mój ojciec był jego synem - ciągnęła z płonącym ^rokiem. - Kapitan Bulwer Rutland. Z Gwardii. Nie Inatam go. Utonął zanim się urodziłam.

- A pani matka?

40

41

- O mało co nie zginęła podczas powodzi w Anglii.

Zachorowała. Dlatego dziadek przywiózł ją do Włoch.

- I tam się pani urodziła?

- Tak, we Florencji. Dziadek mieszkał z nami, dopóki nie wyszła za mąż za księcia Falcone.

Osiemnaście miesięcy temu zginęła w wypadku dyliżansu.

Jethro spojrział z przerażeniem na jej czarującą twarz. Czy to możliwe, że była tak niewinna, że nie wiedziała nic o tragedii, która poprzedziła jej narodziny, o skandalu, który doprowadził do ucieczki do Włoch? Czy naprawdę pojęcia nie miała, kim była jej matka, kobieta o diabelskiej urodzie, która jego własnego ojca doprowadziła do szaleństwa i śmierci? Jakie to niezwykle, że los zetknął go właśnie z tą dziewczyną. Szok był tak niespodziewany, że nie potrafił go opanować. Podniósł się i surowym tonem nakazał:

- Nie możemy opóźniać podróży. Pakuj jedzenie, Tom. Ruszamy. Nie ma czasu do stracenia.

Przez wszystkie dni, kiedy pędzili wzdłuż wybrzeża, Jethro pozostawał zamknięty w sobie i mało rozmowny. Opiekował się nimi pieczołowicie, starając się zapewnić komfort Laurel, ale dziewczyna czuła się urażona bijącym od niego chłodem.

Przekonana była, że pożałował swej decyzji, nie zdawała sobie sprawy z mrocznych namiętności, jakie wywołało jej opowiadanie. Czasami droga dochodziła tuż nad samo morze, którego brzeg porastały sosnowe lasy. Któregoś dnia ujrzeli długie, płytke wozy ciągnięte przez jwisno-kremowe woły o rozstawionych rogach, a wypełnione marmurem z gór Carrara. Posilali się w połowie dnia przy drodze, nocą, wyczerpani niewygodną podróżą w powozie, zapadali w sen, a Laurel coraz bardziej intrygował wysoki, ciemny mężczyzna, którego niezwykła kurtuazja nie pozwalała się doń zbliżyć. Dla-

A^

czego? Zastanawiała się, dlaczego? Nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Ostatniego dnia nużącej podróży Tom dostał wysokiej gorączki. Przez cały ranek udawał, że nic się nie stało, ale jadł bardzo mało, trząsł się i pocił przez całą bezlitosną drogę do Genui. Jethro pomyślał o kilkudniowym postoju w mieście, ale nie miał odwagi opóźniać wyprawy. Im szybciej opuszczą Włochy, tym lepiej. Dowiedział się, że statek, mały przybrzeżny parowiec, nie wypłynie do Marsylii przed wieczorem. Zmusił Toma do pozostania w łóżku, a Laurel zaskoczyła go wnosząc w środku dnia filiżankę parującego napoju.

- To tisane - wyjaśniła. - Zakonnice nauczyły nas, jak to przyrządzać. To ludowe lekarstwo, dobre na

gorączkę. Sama kupiłam zioła i poprosiłam kucharza, aby pozwolił mi je przyrządzić.

Wzruszyła go jej troskliwość. Wziął w dłoń filiżankę i powąchał z niedowierzaniem.

- Nie musi się pan obawiać - odparła z godnością. - To nie trucizna. Sama

próbowałam. Często nam to

aplikowano i prawie zawsze gorączka spadała. Lekarze nie zawsze wiedzą najlepiej.

- Być może nie - zareagował oziębło Jethro. - Cóż, to mu chyba nie zaszkodzi.

^

- Na miłość boską, nie marudź - wtrącił niecierpliwie Tom. - Jeśli Laurel mówi, że to pomoże, to

widocznie tak jest. Wypiję wszystko, aby tylko pozbyć się tego przekłętą bólu głowy.

Połknął, krzywiąc się na gorzki smak napoju. Napar przynajmniej pomógł mu zasnąć na kilka godzin. Laurel została przy nim, przecierając mu czoło zimną wodą, a Jethro negocjował przejazd do Marsylii.

O dziewiątej weszli na pokład. Stateczek wyładowany był towarem i różnobarwnym tłumem pasażerów.

Jethro z największym trudem zdobył bilety, udało mu się zarezerwować tylko jedną kabinę.

- Przykro mi - powiedział, przypatrując się z niepokojem Laurel i Tomowi. - To wszystko, co mogłem zrobić.

- Zatem w kabynie zostanie Tom - zdecydowała.

- Czuje się już lepiej, ale jeśli będzie musiał siedzieć przez całą noc, znów się rozchoruje. Proszę się o mnie nie martwić. Noc jest piękna i ciepła. Z radością pozostanę na pokładzie.

Zaprowadzili Toma do kabiny i zapakowali go do

koi, mimo jego gorących zapewnień, że czuje się już lepiej. Potem Jethro rozejrzał się po maleńkim salonie wypełnionym mężczyznami, kobietami, dziećmi, psami i bagażami. Upał był nie do wytrzymania, a samo miejsce niezwykle hałaśliwe.

Przekupił jednego z członków załogi, zdobywając krzesło, które postawił w odosobnionym kącie pokładu. Owinął Laurel kocami i przyniósł jej kawę.

- Nie ma nic do jedzenia, obawiam się, że do samego rana.

- Nic nie szkodzi. To mi wystarczy - podniosła na niego wzrok. - A co pan robi?

Wzruszył ramionami.

- Zajrzę do Toma. Pogadam z kapitanem. Proszę

się o mnie nie martwić, panno Rutland. Późną nocą po krótkiej wizycie u Toma Jethro stanął

przy balustradzie. Statek posuwał się łagodnie po spokojnych wodach Morza Śródziemnego. Trzymali się blisko brzegu. W oddali dostrzegł nikłą linię plaży i światełka migocące w porozrzucanych wioskach. Księżyc zostawiał po sobie srebrną ścieżkę, ciemny aksamit nieba usiany był gwiazdami. Zawieszona nad jego głową latarnia rzucała swe światło na śpiącą Laurel, a piękno jej twarzy nie dawało mu spokoju.

Wiedział już, choć instynktownie się przed tym bronił, że na swą zgubę bliski jest zakochania się w córce kobiety tak nienawidzonej z całą siłą bólu wrażliwego, nieszczęśliwego dziecka; przepięknej, niezwyklej kobiety, która bez skrupułów dążyła do zaspokojenia własnych ambicji, zdradzając jego ojca, zgorzkniałego mężczyznę, po którym odziedziczył gorącą, pełną pasji krew, a który swe cierpienia zakończył samotną śmiercią na bagnach Greatheart Fen. Teraz już wiedział, dlaczego prześladowała go twarz Laurel, każdy rys, każdy ruch i spojrzenie, jej nieokreślony wdzięk budził w nim zachwyt i cierpienie. Ile nieczułości odziedziczyła po swej matce? Jak mógłby kiedykolwiek zaufać dziecku Alyne? Zacisnął dłonie na poręczu. Musi o niej zapomnieć, wyrzucić ją ze swego serca. Zawiezie ją do dziadka i na tym

koniec. Zrobi to, co do niego należy. Niech Joshua Rutland zajmie się tym dzieckiem, nieślubną córką swego nieobliczalnego syna i kobiety, którą uwiódł.

Zaskoczył go dźwięk jej głosu. Dotyk dłoni podział jak ogień. Skrywając w mroku twarz, Laurel zdobyła się na pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Dlaczego mnie pan tak nienawidzi, doktorze Ayisham?

- Dlaczego miałbym pani nienawidzić?

- Nie wiem - zapatrzyła się na morze. - Na początku był pan uprzejmy, potem nagle poczułam... to było jak mroźny wiatr. Rozgniewał się pan na mnie. Nadal jest pan zagniewany.

-- To niedorzeczne - odparł wymijająco. - To tylko pani wyobraźnia. Martwię się o Toma. Brak mu sił, a ja jestem za niego odpowiedzialny.

- O, nie. To zaczęło się przed chorobą Toma. Czy to dlatego, że sprawiam panu tyle problemów?

- Nie wolno pani tak myśleć.

Stała tuż przy nim. Widział jej twarz, bladą plamę w niewyraźnym świetle, duże, uważne oczy.

- Proszę mi wierzyć, pod opiekę Ugo Falcone nie oddałbym nawet psa. - Wybuchnęła śmiechem, czarującym, perlistym śmiechem.

- Teraz znam już swoje miejsce - przyznała ze smutkiem. - Ale jestem panu bardzo wdzięczna. Pan nie wie, co to dla mnie znaczy. Czuję się lekka jak powietrze. To tak jak wyjście z więzienia.

- Jest pani pewna, że dziadek ucieszy się na jej widok?

- O, tak - zapewniła gorąco. - Wiem to na pewno. Zaopiekuję się nim. Będziemy bardzo szczęśliwi.

Nadal była dzieckiem. Miał nadzieję, że jej pewność jest uzasadniona. Joshua Rutland musi być już starym człowiekiem, dobrze po siedemdziesiątce. Co pocnie z tak młodą dziewczyną wkraczającą dopiero w życie? Odezwała się z powagą:

- Wie pan o mnie wszystko. Proszę mi coś opowiedzieć o sobie.

- Tom mówi wystarczająco dużo za nas obu.

- Tylko o sobie i rodzinie - stwierdziła poważnie.

- Prawie nic nie mówi o panu.

- A co chce pani wiedzieć? - zapytał pobłaźliwie.

- Wszystko. Czym się pan zajmuje? Czy zawsze chciał pan być lekarzem? Co pana sprowadziło do Włoch?

- Na to nie wystarczy nocy - rzekł z uśmiechem.

- Ale po kolei. Kiedy miałem jedenaście lat, chłopak imieniem Ben był moim najlepszym przyjacielem. Był bardzo wrażliwy i kiedy wyjechałem do internatu, zmarł. To straszne. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego... dlaczego właśnie on? Nie znalazłem odpowiedzi.

- I dlatego chciał pan zostać lekarzem, aby ją znaleźć?

- Chyba tak. Już wtedy zacząłem o tym myśleć. Studiowałem w Edynburgu i Paryżu. Postanowiłem zostać chirurgiem, a na to trzeba było lat studiów i praktyki. Mam przyjaciela, który prowadzi doświadczenia w Szkole Anatomii w Padwie, to on mnie tu zaprosił. Tak się składa, że we Włoszech łatwiej jest

o ciała do sekcji zwłok. Czy to nie napawa pani obrzydzeniem?

- Oczywiście, że nie. Rozumiem. Jak inaczej można zrozumieć działanie ludzkiego ciała.

- Bardzo praktyczna uwaga.

Jej śmiałe poczucie rzeczywistości sprawiło mu przyjemność. Powoli opuściło go całe napięcie. Poddał się magii tego wieczoru, rozprawiając o rzeczach, które pochłaniały jego myśli, a ona słuchała uważnie, nie zawsze rozumiejąc, ale żadna wiedzy i zafascynowana mężczyzną, tak odmiennym od wszystkich innych ludzi, których spotkała w klasztorze i na dworze rodu Falcone.

Opowiedział jej o swej nominacji na chirurga w Szpitalu św. Tomasza, a ona spojrzała na niego zachmurzona.

- Nie wiem, jak pan może to robić. Sama myśl o skalpeli przeraża mnie.

Uśmiechnął się.

- Musi pani pamiętać, że im sprawniejszy chirurg, tym lepiej dla jego pacjenta, a teraz jest o wiele łatwiej. Czy słyszała pani o chloroformie?

- Czy to jakiś narkotyk? Pamiętam jak panna Ashe

- to jedna z nauczycielek w Lozannie - opowiadała nam o amerykańskim lekarzu, który używał czegoś o nazwie eter, usypiając ludzi podczas operacji.

- Chloroform jest jeszcze lepszy - zapewnił Jethro.

- Dwadzieścia lat temu odkryli go chemicy pracujący w Ameryce i Europie, ale początkowo nikt nie wiedział,

co z nim zrobić. Potem szkocki lekarz James Simpson wypróbował go na sobie i swojej rodzinie. Zorganizował chloroformowe przyjęcie. Wszyscy zaczęli go wdychać i w krótkim czasie padli na ziemię.

- Ale chyba nie... nie umarli? - spytała przerażona.

- Na Boga, nie! Obudzili się w doskonałej kondycji, zdając sobie sprawę, że chloroformu można używać do uśmierzania bólu. Czy pani wie, co to oznacza? Można zmniejszyć szok... można o wiele szybciej amputować bez śmiertelnego bólu, a pacjenci mają większe szansę na rekonwalescencję. Dużo myślałem o jego wykorzystaniu - stwierdził - i jestem przekonany, że można używać go podczas porodów. Niech pani sobie wyobrazi, co to znaczy dla kobiety, której poród się przedłuża. Ile istnień ludzkich można uratować.

Przerwał gwałtownie.

- Przepraszam, nie powinienem o tym mówić przy tak młodej kobiecie jak pani.

- Wiem, co pan ma na myśli, doktorze Ayisham.

Jedna z naszych służących umarła w ten sposób. Dziecko także. Czy tym będzie się pan zajmował w nowej pracy?

- Jeszcze nie jestem pewien - skrzywił się. - Najtrudniej jest przekonać szpitale, a także pacjentów do tego nowego środka. Rozmawiałem o tym z moimi kolegami. Starsi lekarze nadal nie chcą używać chloroformu. Nawet Kościół jest mu przeciwny. Ból pochod/i od Boga, a zatem należy traktować go jak zło konieczne, a jeśli umierasz w cierpieniu, to także jest wola Boga.

- A pan chce walczyć z tym przekonaniem?"

- Do ostatniej kropli krwi.

Poranny wiatr prześlizgnął się po otwartym morzu.

Poczuł jak drży.

- Ja tu opowiadam, a pani trzęsie się z zimna.

- Nie, ale może przejdziemy się kawałek.

- Dlaczego nie?

Wzięła ją pod ramię i ruszyli po pokładzie, przedzierając się między śpiącymi pasażerami, belami bawełny, stertami warzyw i klatkami z żywym drobiem. Nagle rozległo się głośne pianie koguta, Laurel podskoczyła, a następnie parsknęła śmiechem.

- Zwiastun poranka - odezwał się. - Chciałem panią o coś zapytać. Dlaczego nazywają panią Laurel? To piękne imię, ale dość niezwykle.

- Na imię mi Laura, ale gdy byłem bardzo mała mówiłam po włosku do służby, a po angielsku do matki i dziadka, bez żadnego powodu zaczęłam siebie nazywać Laurel. Dziadkowi się spodobało i tak już zostało. Wykrzywiła twarz.

- Elena, siostra księcia Falcone, zawsze mówiła do mnie Laura.

Świt zastał ich na dziobie statku. Niebo przed nimi rozjaśniało się różem, złotem i purpurą.

- Jak długo jeszcze? - spytała.

- W południe zawiniemy do portu.

- A co potem?

- Złapiemy pociąg do Lyonu i Paryża, a następnie do Calais. Statek pocztowy do Dover, a stamtąd do Londynu. Jeśli dopisze nam szczęście i dobre połączenia, za trzy, cztery dni będzie pani na Ariington Street.

- Czy jeszcze kiedyś pana zobaczę? - zapytała cicho.

- Oczywiście. Wpadnę, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Podniosła na niego wzrok.

- Obiecuję pan?

- Obiecuję... jak Boga kocham! - uśmiechnął się.

- Jestem głodna - oświadczyła nagle dziecinnym tonem. - Czy możemy tu dostać coś do jedzenia?

- Sprawdźmy.

Zawrócili, a z morza wstało słońce w złotej poświacie. Oślepieni jego blaskiem, w jednej chwili

potknęli się o zwój liny owiniętej wokół belki. Chwytał ją w ramiona. Przez moment stali blisko siebie, niczego dokoła nie widząc. Pocałował ją. Jej usta były ciepłe i delikatne. Po chwili wszystko minęło.

- Nic pani nie jest? - zapytał cicho.

- Nie, wszystko w porządku - zabrakło jej tchu. - Zobaczmy, jak czuje się Tom.

- Dobrze. Potem poszukamy jakiegoś śniadania. Tom nie spał już. Gorączka minęła, a on sam umierał z głodu. Laurel usiadła przy jego boku, a Jethro ruszył na poszukiwanie jedzenia. Tom nie dostrzegł żadnych zmian, ale ona nie była już tą samą dziewczyną. Wraz z pocałunkiem oddała Jethro część siebie. Połączyło ich coś niewypowiedziane tajemniczego, coś bardzo silnego.



Pięć dni później, w przenikliwie zimny, marcowy dzień, Laurel wysiadła z dorożki i weszła po schodach do wysokiego domu na Ariington Street. Za nią kroczył Jethro. Podstępny, szalejący wiatr zaczerwienił jej twarz, drżała mimo ciepłego palta, które kupił jej w Paryżu.

- Przyda się pani - oznajmił stanowczo. - Anglia to nie Włochy, a Londyn to nie Rzym. Śnieg może padać nawet w kwietniu.

Próbowała zwrócić mu pieniądze ze swych kurczących się oszczędności, ale stanowczo odmówił.

Była młoda i wytrwała na tyle, by cieszyć się długimi podróżami pociągiem i nawet przeprawa przez Kanał

50

w wiosennym sztormie nie była w stanie jej przestraszyć. Tom, ku swojej rozpacz, zapadł na okropną chorobę morską, ale Laurel stała obok Jethro, ciesząc się widokiem spienionych fal uderzających o lódź. Teraz, kiedy Jethro zadzwonił do drzwi, rozejrzała się dokoła z lękiem. Stali na wytwornej ulicy pełnej eleganckich domów ze świeżo pomalowanymi drzwiami, lśniącymi mosiądzem. Wszystko wyglądało tak statecznie, czysto i szykownie, tak inaczej niż rozkładający się splendor Palazzo Falcone. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Dziadka nie widziała od pięciu lat. A jeśli wygasło w nim uczucie, a jeśli już jej nie chciał przy sobie? Tom odjechał do domu w Ravensley. Brakowało jej radosnych pogawędek. Przełknęła ślinę, a Jethro dzwoniąc ponownie do drzwi, uśmiechnął się do niej uspokajająco. Drzwi otworzył lokaj w doskonale skrojonej liberii.

Na zapytanie Jethro, odpowiedział dość zniechęcająco:

- Przykro mi, sir, ale Sir Joshua nie przyjmuje nikogo.

- Ale ja nalegam. To sprawa ogromnej wagi. Służący zmieszał się nieco, pozostając pod wrażeniem zdecydowania nieznanego gościa.

- Proszę wejść, sir. I młoda dama też. Dowiem się, czy pani Grafton państwa przyjmie.

Wprowadził ich do jadalni, zastawionej bogatymi lecz ponurymi meblami z czerwonego mahoni. Kredens wypełniony był srebrem, a w pokoju panowała atmosfera posępnego przepychu. Czekali; Jethro stanął tyłem do buzującego kominka, a Laurel przycupnęła na skraju twardego krzesła z wysokim oparciem. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócili głowy. Do pokoju weszła kobieta, trudna do opisanego na pierwszy rzut oka, siwe włosy starannie wsunięte pod czarny, koronkowy czepek, szara twarz, szara poranna suknia

51

z jedwabiu, ale przenikliwe oczy notowały każdy szczegół, a na jej wąskich, zaciśniętych ustach rysowała się bezwzględność. Straszna kobieta, nie pójdzie z nią łatwo, pomyślał Jethro.

Przyjrzała im się badawczo i oznajmiła:

- Nazywam się Grafion, jestem siostrzenicą Sir Joshuy. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Ayisham, a to jest panna Laura Rutland, wnuczka Sir Joshuy.

Chciałaby jak najszybciej zobaczyć się z dziadkiem.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Obawiam się, że jest to niemożliwe.

- W rzeczy samej, czy mogę wiedzieć, dlaczego?

- Wuj mój miał atak tydzień temu. Jego stan jest bardzo poważny. Nie może nikogo przyjąć. Laurel poderwała się na równe nogi.

- Ale ja nie jestem nikt - wykrzyknęła gwałtownie. - Przybyłam tu, aby się nim zaopiekować.

- Nie pozwolę, aby właśnie teraz nachodzili go jacyś natrętni krewni.

Była wrogo nastawiona, a Jethro widząc w oczach

Laurel gotowość do walki, wtrącił szybko:

- Pani się myli, Madam. Panna Rutland o nic nie prosi. Jest córką zmarłego kapitana Rutlanda i przebyła długą drogę z Rzymu, by spotkać się z dziadkiem, do czego ma pełne prawo.

Alice Grafton zacisnęła usta. Wodziła wzrokiem po Laurel, notując każdy szczegół zniszczonego podróżą stroju.

- A więc to jest córka Bulwera - odezwała się pogardliwie. - Ona i jej matka aż nadto wykorzystały już hojność mojego wuja. Czego jeszcze się spodziewa?

Blade policzki Laurel nabrały czerwonego koloru. Wpatrywała się przez chwilę w tę nieugiętą kobietę, a potem zwróciła się do Jethro.

52

- Nic nie rozumiem. Kapitan Rutland był moim ojcem. O co jej chodzi?

Jethro rozumiał wszystko zbyt dobrze, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

- Nie martw się, moja droga. Ja się tym zajmę. Odwrócił się w stronę Alice Grafton i przemówił stanowczym tonem:

- Jestem lekarzem, Madam, i muszę zobaczyć się z Sir Joshua, by samemu stwierdzić, czy jest w stanie przyjąć swą wnuczkę. Jeśli odejdziemy, a on dowie się, w jaki sposób nas odprawiono, być może będzie pani tego żałować.

Alice Grafton zawahała się przez chwilę. Nie była głupia, dobrze знаła wybuchowy i uparty charakter swego wuja. Wycedziła z niechęcią:

- Dobrze. Zaprowadzę pana do niego, ale nie dziewczynę. Ona zostanie na dole.

Laura chciała zaprotestować, ale Jethro otoczył ją ramieniem.

- Proszę się nie denerwować. Ja się tym zajmę. Wszystko będzie w porządku.

Obiecuję.

Podążając po schodach za szeleszczącą, jedwabną spódnicą nie miał złudzeń, że Joshua Rutland był bardzo chory, a żarłoczni krewni gromadzili się dokoła niczym sępy czekające na żer. Ilu jeszcze należy się spodziewać, co się stanie z Laurel, tak młodą i bezbronną, kiedy wpadnie w ich łapy?

W sypialni panował upał nie do zniesienia, a wszystko pachniało lekarstwami i chorobą. W pierwszym odruchu chciał rozsunać ciężkie, welwetowe zasłony, by wpuścić do pokoju trochę powietrza i światła, ale szybko się opanował. Mężczyzna w łóżku nie był jego pacjentem. Joshua Rutland siedział w wyprostowanej pozycji oparty o stertę poduch. Jego głowa zwisała smutnie na boku, jedna ręka leżała nieruchomo na

53

kołdrze, ale oczy pod krzaczastymi, siwymi brwiami wciąż były błyszczące i czujne. Choć Joshua Rutland pozostawał częściowo sparaliżowany po wylewie, jego umysł nadal funkcjonował z zadziwiającą precyzją. Jethro podszedł do łóża.

- Nazywam się Ayisham, Sir Joshua, Jethro Ayl-sham. O ile się nie mylę, prowadził pan kiedyś interesy z moim bratem Oliverem z Ravensley.

Ciężka głowa pokryta strzechą siwych włosów poruszyła się.

- Pamiętam... to porządny człowiek, Oliver... miał piękną żonę.

Mówił niewyraźnie i chaotycznie, ale całkiem zrozumiale.

- Jest ze mną pańska wnuczka Laurel i chce się z panem widzieć.

- Laurel? Cudowne maleństwo - wymamrotał. Wolno wodził wzrokiem po pokoju.

- Jest z panem? Gdzie?

- Czeka na dole - odezwała się z przekąsem jego siostrzenica.

- Zatem przyrowadź ją tutaj.

- Tak nie można. Jesteś zbyt chory.

- Do diabła... rób, co ci każę...

- Za pozwoleniem, chciałbym zamienić z panem kilka słów - wtrącił szybko Jethro.

Jasne oczy na wykrzywionej twarzy badały go przez moment, a potem pomachał dłonią.

- Wyjdź, Alice... zostaw nas samych.

- Nie powinieneś tego robić, wuju. Pamiętasz, co powiedział lekarz... żadnych zmartwień, żadnego zdenerwowania. Nie wolno ci się męczyć.

- Przestań trajkotać, kobieto - nakazał poirytowany. - Wyjdź... Sam wiem, co mi wolno, a czego nie wolno... lepiej niż jakiś znachor.

54

Wyszła niechętnie, zatraskując za sobą drzwi, a staruszek zatopił się w swych poduchach.

- Kobiety - mruknął - nigdy nie zostawią cię w spokoju. Przez lata nigdy mnie nie odwiedziła... nie mogła znieść mojego widoku... a teraz kręci się tutaj z nadzieją, że coś kapnie dla jej dwóch dzieciaków... Niech ją piekło pochłonie... i ich też. Ale co z Laurel?

W największym skrócie Jethro opisał, co się wydarzyło, a chory słuchał cierpliwie, kiwając od czasu do czasu głową.

- Nigdy nie lubiłem Falcone... snob bez majątku... Alyne omamił tytuł... on mógł dać jej to, czego ja nie mogłem... pozycję społeczną... Nie można ufać Włochom, uśmiechają się do ciebie, a w najmniej oczekiwanym momencie nóż w plecy.

Z wielkim wysiłkiem uniósł się na łóżku.

- Posłuchaj, Ayisham, masz głowę na karku. Sam widzisz, że to nie jest miejsce dla młodej dziewczyny. Ta przeklęta siostrzenica... jak dawka trucizny. Wpędziła do grobu Graftona. Biedak umarł, aby się od niej uwolnić.

Sir Joshua zachichotał, a potem zadławił się, ciężko chwytając powietrze. Wskazał na stolicek przy łóżku.

Jethro podał mu do ust szklanekę z kielkiem jęczmiennym.

- Spokojnie - poprosił - proszę się nie przemęczać.

- Już w porządku - odsunął dłoń Jethro. - Za miesiąc lub dwa odstawię to wszystko... a do tego czasu...

Jethro wątpił, czy uzasadniona była ta optymistyczna nadzieja na szybkie wyzdrowienie, ale nie odezwał

się ani słowem, a po minucie czy dwóch starszek doszedł do siebie.

- Nie ufałbym Alice... nawet przez sekundę... Przygotowałyby Laurel piekło na ziemi, a ja nie mógłbym

55

wiele zrobić - przerwał na chwilę i spojrzał na Jethro.

- Wie pan, co... Ciarissa, żona pańskiego brata... wspaniała kobieta... kiedyś była dla mnie bardzo życzliwa... nie spoglądała z góry na kupców... miała sporo rozumu. Czy przyjąłaby Laurel w Ravensley? Chyba sama ma córki... Tylko na kilka tygodni, póki nie dojdę do siebie... proszę się nie martwić o pieniądze... może liczyć na moich bankierów.

- Pieniądze nie są ważne - odpowiedział powoli Jethro.

- Chodzi o matkę Laurel... w tym cały kłopot, prawda? Stare nienawiści, stare urazy i zazdrości, one nie minęły... ale to było tak dawno temu. Alyne nie żyje, a to dziecko o niczym nie wie.

- Laurel nie zechce pana opuścić.

- Niech pan ją tutaj przyprowadzi. Przekonam ją. Jethro niechętny był temu pomysłowi, ale w oczach chorego kryło się takie błaganie, że nie był w stanie odmówić. Zszedł na dół po Laurel wiedząc, że Alice Grafion obserwuje każdy jego krok.

Nie mylił się. Laurel nie chciała odejść. Przyklękła obok łóżka i przycisnęła swój świeży, młody policzek do nieruchomej dłoni spoczywającej na kołdrze.

- Chcę tu zostać i opiekować się tobą. Potrafię to, prawda? - spojrzała błagalnie na Jethro. - Pomagałam opiekować się Tomem, gdy był chory. Mogę zaopiekować się tobą.

- Nie, moja kruszynko - zdrową ręką pogłaskał ją po błyszczących włosach. - Bardzo bym chciał... ale nie możesz być tu zamknięta, to nie miejsce dla tak młodej dziewczyny... martwiłbym się. Szybciej wróć do zdrowia wiedząc, że jesteś szczęśliwa z chłopcami i dziewczętami w twoim wieku.

- Ale ja nie będę szczęśliwa. Znienawidzę ich

- oznajmiła gwałtownie.

56

- Nie, skarbie... postaraj się zrozumieć. Język miał opuchnięty, z trudem wymawiał słowa,

a Jethro zauważył, że wyczerpał się już jego nikły zapas sił. Podniósł Laurel z podłogi.

- Uważam, że Sir Joshua ma rację. Polubi pani Clarisę. Jest bardzo miła, a Ravensley wygląda wiosną cudownie. Dziewczęta mają konie i psy... przyjmą panią z radością - zakończył, ufając w duchu, że się nie pomylił.

- Nie jestem dzieckiem, które można pocieszyć zabawkami i cukierkami - zżymała się z wściekłością Laurel i nagle zdała sobie sprawę, jak wyczerpany był jej dziadek.

- Nie pozbędziesz się mnie na długo - zagroziła.

- Będę cię tu odwiedzać.

Pocałowała go delikatnie i wraz z Jethro wyszła z pokoju. Na dole Alice Grafton z niechęcią zaoferowała im zimne napoje, ale Jethro zdecydowanie odmówił.

Kiedy schodzili po schodach, wpadli na jakiegoś mężczyznę. Poruszał się dziarsko w mundurze huzara

- wiśniowe spodnie, niebieska tunika i przewieszona przez ramię marynarka bogato zdobiona złotem. Najwyraźniej wracał z parady. Chłopak przywiązał swego lśniącego, czarnego konia u poręczy schodów. Usunął się, pozwalając im przejść. Miał jasną cerę, długi, wąski nos i pełne usta ukryte pod cienkim wąsikiem. Bezcelne, niebieskie oczy wpatrywały się w szczupłą postać Laurel, a Jethro poczuł chęć powalenia go jednym ciosem. Zasalutował żartobliwie, kiedy Laurel z wysoko podniesioną głową przesunęła się obok, wspierając się lekko na ramieniu Jethro. Gdy stanęli na chodniku, obejrzała się, a żołnierz nie spuszczał z niej wzroku.

Wykrzywił twarz w uśmiechu i pomachał lekko, wchodząc do domu.

57

- Jak pan myśli, kto to był? - spytała. - Czy to syn tej kobiety?

- Być może - odparł Jethro i pomyślał, że jeśli to rzeczywiście jeden z synów Alice Grafion, grono sępów polujących na fortunę starca powiększyło się.

- W takim razie byłby moim kuzynem, prawda? - ciągnęła w zamyśleniu Laurel.

W jej oczach zamigotały iskierki, a wokół ust błąkał się subtelny uśmiech. Jethro

zadrzał, przenosząc się myślami dwadzieścia lat wstecz do innej młodej kobiety, która bezlitośnie niszczyła wszystkich i wszystko na drodze do własnych pragnień.

Złapali południowy pociąg do Ely i usiedli naprzeciwko siebie w przedziale pierwszej klasy, pograżając się w myślach. Jethro spodziewał się problemów z żoną swego brata.

Poczuł się winny przedstawienia jej tego niepożądanego gościa, ale co innego mógł

uczynić? W Albany miał swój kawalerski apartament, stamtąd udawał się do gabinetu ordyna-cyjnego i do szpitala, ale nie mógł zabrać tam Laurel. Wybuchłby skandal, a

Laurel otrzymałaby miano jego kochanki. Nie mogła zostać z nim w hotelu bez

służącej, nie mówiąc już o bagażu. Cała ta przekłeta sytuacja wymykała się spod

kontroli, a jego mieszane uczucia w stosunku do dziewczyny, czułość przeplatająca się z irytacją, pogarszały tylko sprawę. Miał ochotę na papierosa, ale było to niemożliwe.

Wyciągnął z kieszeni pismo medyczne i zagłębił się w artykule o chorobach stawów

napisanym przez słynnego Sir Benjamina Brodie, chirurga królowej Wiktorii, który zarabiał bajeczne dziesięć tysięcy rocznie. Myślami jednak błądził gdzie indziej.

58

Laurel oparła się wygodnie na swym siedzeniu, przyglądając się przystojnej twarzy o

wyraźnych rysach, które zdążyła już poznać. Noc na łodzi zbliżyła ich do siebie,

dzielili trudy podróży, ale także niezwykłą przyjaźń i śmiech. Tylko jego nastroje były

nieobliczalne. Z rozpaczliwą pewnością pomyślała, że teraz był jej jedynym

przyjacielem, choć nie wiedziała, czy ją nawet trochę lubi. Nie mogła uwierzyć, iż

minęły prawie dwa tygodnie od dnia ucieczki z Palazzo Falcone. Spojrzała przez okno.

Pociąg sunął z terkotem przez pola zieleniejące wiosenną trawą. Pasły się tam owce,

owieczki, powolne brązowe krowy. Pokryte strzechą wiejskie domostwa kryły się

wygodnie między drzewami puszczałymi pierwsze pąki. Niedawno padał deszcz i

nad łąkami unosiła się mokra mgiełka. Widok ten w niczym

nie przypominał krajobrazu włoskiego, który tak dobrze знаła.

Choroba dziadka okazała się straszliwym szokiem. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek dolegało mu coś więcej niż zimowe przeziębienie. Teraz mógł nawet umrzeć. Wtedy dopiero byłaby zupełnie sama. Czy księżę Falcone wyciągnąłby po nią swą potężną dłoń i ściągnął do Rzymu i do Ugo? Nigdy, przyrzekła sobie, nigdy, woli raczej umrzeć. Podniosła dumnie głowę, zaciskając małe dłonie.

Jethro podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Wygląda pani na zagniewaną. O czym pani myśli?

- Myślałam o dziadku. Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę jest tak bardzo chory? Próbował uniknąć odpowiedzi na to pytanie. Teraz odparł ostrożnie:

- Nie ma pewności. Znam mężczyzn, w jego wieku, którzy wyszli z tego.

- Ale inni umierają?

59

- Czasami... ale Sir Joshua ma silny organizm, zawsze jest nadzieja.

- Tak najłatwiej powiedzieć.

- Wiem, ale to prawda - westchnął ponuro. - Lekarz nie jest Bogiem. Nie może decydować o życiu czy śmierci. Sir Joshua jest wyjątkowo odważny, a to ma ogromne znaczenie.

Pochylił się i położył rękę na jej kolanie.

- Pani się nie boi, prawda?

- Troszeczkę. Czuję się taka samotna.

- Wszystko będzie dobrze.

- Naprawdę?

- Jestem pewien.

Jego silne palce zacisnęły się na jej dłoni. Jego wiara pomoże jej stawić czoła temu, co miało dopiero nadejść.

Do Ely dojechali wczesnym wieczorem. Naczelnik stacji znał Jethro i w mgnieniu oka dostali dorożkę, która powiozła ich do Ravensley. Zapadły ciemności. Nie widziała nic, miała tylko poczucie ogromnej przestrzeni. Jechali wzdłuż moczarów, w dzikim łoskocie wiatru i porywach deszczu. Dorożka podskoczyła na wyboistej drodze, rzucając ją na Jethro. Objął ją w pasie i posadził na miejsce. Minęło sporo czasu, zanim dojechali do wysokiej bramy przed ogromnym domem.

- Jesteśmy na miejscu.

Jethro pomógł jej wysiąść. Rozejrzała się dokoła, kiedy płacił woźnicy. Na szczycie schodów, po obu stronach przedsionka paliły się lampy. Pociągnął za rączkę dzwonka i po chwili drzwi otworzyła młoda dziewczyna w skromnej, białej sukience. Jej długie, jasne włosy związane były satynową wstążką.

- Jet! - wrzasnęła. - Kochany Jet, nie spodziewaliśmy się ciebie.

60

Zarzuciła mu ramiona na szyję i uściskała.

- Czekaj Jess - odparł ze śmiechem - pozwól mi chwycić oddech. Gdzie jest Barker?

- Byłam akurat w hallu, więc otworzyłam drzwi za niego.

Weszli do środka, a Jess wpatrywała się z niekłamaną ciekawością w dziewczynę u boku Jethro.

- Czy to ty jesteś Laurel? Kuzyn Tom opowiadał nam o tobie.

Zanim ktokolwiek zdążył zabrać głos, do hallu wpadły dwa psy myśliwskie, skacząc na przybyłych w szale powitania.

- Jessica! - wykrzyknął Jethro. - Na Boga, zabierz te piekielne psy, zanim zjedzą Laurel żywcem.

- Wszystko w porządku - chwyciła powietrze Laurel. - Lubię psy.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się Jessica - one tylko cieszą się na wasz widok.

Chwyciła psy za obroże, a pośród pokrzykiwań

Jethro i śmiechu Laurel, pierwsze lody zostały przełamane.

- Wszyscy są w saloniku - oznajmiła Jessica, kiedy psy uspokoiły się. - Papa czyta nam poezje.

W przyjacielskim geście objęła Laurel.

- Przywitajcie się z nimi.

Bez względu na to, co miało wydarzyć się później, Laurel nigdy nie zapomniała pierwszego wieczoru w Ravensley, spokoju, poczucia ciepła i bezpieczeństwa, prawdziwego domu, którego nigdy nie miała. Takie wrażenie sprawiała ta rodzina. Lord Ayisham siedział przy szerokim, kamiennym kominku trzymając w dłoniach książkę; u jego boku, na podnóżku przykucnęła jeszcze jedna dziewczyna, o rok starsza od Jess. Pani Ayisham zajęta była haftowaniem, trzymając u stóp małego kundelka o ruchliwym nosie

61

i błyszczących ślepkach. Na sofie leżał w niedbałej pozycji młody człowiek o brązowych włosach, głaszcząc za uszami wielkiego szarego kota, który otworzył jedno śpiące oko i ponownie zwinął się w kłębek. Przez ułamek sekundy przypominali starą fotografię. Wbili wzrok w Laurel, a Ciarissa, lady Ayisham poczuła w sobie lodowate klucie, wiedząc, że ta młoda dziewczyna stojąca nieśmiało w drzwiach przynosi nieszczęście, nieszczęście mające swe korzenie w dalekiej przeszłości.

Po chwili fotografia rodzinna rozpadła się. Jessica

oznajmiła poważnym tonem:

- Spójrzcie, kogo przywiózł nam Jethro. Sohrab i Rustum już ją polubili.

- Jess, co to za moda przedstawiania gości! - Jej ojciec odłożył książkę i podniósł się z miejsca.

- Jethro, mój drogi, pojęcia nie mieliśmy, że przyjedziesz.

- Nie miałem takiego zamiaru. Będą mnie szukać

w szpitalu, ale... Opowiem ci wszystko później, Olive-rze. Jak się domyślasz, to jest Laurel Rutland. Mój

brat, lord Oliver.

Spojrzała na wysokiego, szczupłego mężczyznę, łagodną twarz, gęste, siwiejące włosy. Najmniejszym ruchem nie zdradził swego przerażenia widząc w jej rysach żywe odbicie kobiety, która kiedyś zadała mu tyle cierpienia.

- Witaj, moja droga - odezwał się uprzejmie. - Znałem twoją matkę. Czy zostaniesz z nami? Niepewnie spojrzała na Jethro.

- Nie wiem jeszcze...

- Nie przejmuj się, pomyślimy o tym później. Pozwól, że cię przedstawię. Jessikę już znasz. To moja starsza córka Rosemary i mój syn Robin.

Młodzieniec uniósł się nieco i schylił przed nią głowę.

62

- I oczywiście moja żona.

Clarissa podeszła do Laurel. Nadal pozostawała pod wrażeniem barwnych opowieści Toma o ich przygodach. Dlaczego Jethro wywiózł tę dziewczynę z Włoch? Można było spodziewać się kłopotów, a Oliver, jak zawsze, będzie musiał wziąć na siebie całe uderzenie. To okropne. Ale nagle ogarnęło ją współczucie. To przecież tylko dziecko, śmiertelnie zmęczone, potrzebujące otuchy i ufności.

Odezwała się delikatnie:

- Dobrze wiem, jak wyczerpują podróże pociągiem. Pewna jestem, że chcesz się wykapać. Chodź ze mną, kochanie. Znajdziemy ci jakiś pokój.

Wyszły do hallu, a stamtąd szerokimi schodami na górę. Za nimi podążał lokaj z odrapanym kuferkiem.

Pokój, do którego zaprowadzono Laurel, był bardzo przytulny, zasłony i obicia zdobiły gałązki róż. Lokaj zapalił świece.

- Powiedz Betsy, by rozpałała ogień, przynieś świeżą pościel i ręczniki - nakazała Clarissa i zwróciła się do Laurel: - Jedliśmy już kolację, ale ty z pewnością jesteś głodna. Czy zjesz w swoim pokoju, czy też zejdziesz na dół?

- Lady Ayisham - zaczęła z wahaniem - mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojej wizycie. To wszystko wydarzyło się tak nagle, tak nieoczekiwanie... Nie wiedziałam, że dziadek jest tak chory. - Jej głos załamał się, odwróciła głowę i wybuchnęła płaczem.

- Nie martw się, kochanie. Jethro opowie nam o wszystkim. Odpocznij trochę, a potem przyślę po ciebie jedną z moich córek.

Położyła jej dłoń na ramieniu i wyszła z pokoju. Po chwili pojawiła się młoda pokojówka z mosiężnym dzbanem gorącej wody. Była to rumiana, wiejska

63

dziewczyna, która dygnęła przed Laurel, przyglądając się jej z ciekawością. Położyła na łóżku świeżo wypraną pościel i ręczniki, a następnie zabrała się do rozpalania ognia.

Laurel z ulgą zmyła z siebie cały brud podróży, ale z zalem stwierdziła, że nie ma żadnych strojów. W kuferku miała tylko białą bluzkę, beznadziejnie wygniecioną. Wygładziła pomarszczone koronki i wyszczotkowała gęste, rude włosy, wiążąc je z tyłu. Wyglądała bardzo młodo. Rosemary, wysoka, szczupła dziewczyna, podobna nieco do swej siostry, ale bardziej nieśmiała przyszła po nią na górę. Kiedy zeszły do saloniku, lord Ayisham czytał kolejny wiersz, stanęły więc w drzwiach wsłuchując się w jego niski, przyjemny głos:

Rzuciwszy tkanie i krosna swoje Dała trzy kroki przez pokoje, Ujrzała wodnych lilii zdroje, Hełm z pióropuszem, Iśniącą zbroję Na drodze do Kamelotu. Tkanina jej na wodę spadła, Pękła na dwoje tafla zwierciadła. „Klątwa jakowas na mnie padła!” Krzyknęła Pani z Shalottu.



Laurel zadrżała jakby słowa te oznaczały przestrożę. Już ruszała w stronę krzesła stojącego w kącie pokoju, kiedy Robin poderwał się na równe nogi, zrzucając na podłogę oburzonego kota i wskazując na sofę. Rosemary uśmiechnęła się i pchnęła ją lekko. Laurel usiadła sztywno na kanapie.

Robin Ayshiam miał osiemnaście lat, był o kilka miesięcy starszy od Laurel. Rzuciła na niego okiem, dostrzegając interesujące, nieregularne rysy, pełne usta, czekoladowe oczy patrzące na nią ze szczerym podziwem.

64

Był trochę znudzony, trochę niesforny, skłócony z ojcem, który nalegał na studia prawnicze w Cambridge. Jet był prawdziwym szczęściarzem, myślał z oburzeniem. To on chciał udać się w podróż do Włoch zamiast Toma. Szczęściarze, przebyli pół Europy z tą cudowną dziewczyną w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach. Pewien był, że sam skorzystałby z tej wyprawy znacznie więcej. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, kiedy zobaczył, jak Laurel chłonie słowa ojca.

- Ale nudna ta poezja, prawda? - szepnął. - Zwłaszcza Tennyson. Moje siostry są nim zachwycone. Założę się, że nie czytacie jego wierszy we Włoszech.

- Nie musimy. Mamy Dantego - mruknęła złośliwie i popatrzyła na niego z wyrzutem. Robin posłał jej szeroki uśmiech, pełen rozbijającego uroku.

Lord Ayisham zamknął książkę i rozmowa nabrała ogólnego charakteru. Jethro musiał im już o niej opowiedzieć, bo nikt nie gnębił jej pytaniami, a wprost przeciwnie, wszyscy starali się wciągnąć ją do rodzinnego grona, za co była im niezmiernie wdzięczna. Podano posiłek. Zjadła niewiele, wypła łyk wina. Potem obie dziewczyny za namową matki zaprowadziły ją do sypialni, niosąc przed nią świecę, upewniając się, czy ma wszystko, czego potrzebuje. U podstawy schodów Jethro pożegnał się, trzymając ją przez chwilę za rękę.

- Kiedy się obudzisz, Laurel, ja już będę daleko, ale pozostanę w kontakcie z Sir Joshua. Jakakolwiek zmiana, a natychmiast dam ci znać.

Miała wrażenie, że traci ostatnią deskę ratunku, że dryfuje teraz na wzburzonym, niebezpiecznym morzu bez szans na pomoc i ratunek.

Dziewczyny wykazały wiele ciepła, ale nie zostały długo. Powiedziały „dobranoc” i wyszły. Laurel

65

rzuciła się zmęczona na łóżko. Rozpacz wywołana poważną chorobą dziadka i krańcowe wyczerpanie wzmogły jej nadwrażliwość. Dobrze wiedziała, że mimo świadczonych jej uprzejmości i okazywanych dobrych manier nie była mile widziana w tym domu. Świadoma była chłodu w postępowaniu lady Ayisham, dystansu i napięcia w panującej atmosferze, którą Jethro tak bardzo chciał poprawić opowiadając zabawne historyjki z ich podróży. Żałowała, że przywiózł ją do Ravensley, a potem zostawił samą na pastwę losu. Ale co mogła zrobić w Londynie, którego nawet nie знаła. Nieoczekiwanie zatęskniła za pałacem w Rzymie, łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała się od płaczu. Stało się, niczego nie można było cofnąć. Podniosła się i ściągnęła suknię. Miała już na sobie koszulę, kiedy usłyszała delikatne drapanie do drzwi. To pewnie jeden z psów, pomyślała, i otworzyła je. Światło świecy padło na niewyraźną postać, tak starą, tak kruchą, tak siną jak upiór. Starzec wpatrywał się w nią swymi czarnymi jak węgiel oczami lśniącymi na ciemnej twarzy, a następnie

wyciągnął długi, kościsty palec i pchnął ją kilkakrotnie, mamrocząc coś z oburzeniem w języku, którego nie rozumiała. Przez moment nie drgnęła nawet, a potem zatrzasnęła drzwi i zasunęła zamek. Posuwiste, wolne kroki oddalały się korytarzem. Poczekwała, aż zamilkną i odetchnęła z ulgą, wciąż trzęsąc się z wrażenia.

To absurdalne, wmawiała sobie z uporem, to na pewno jakiś stary sługa, jakiś wiekowy domownik nieodpowiedzialny za swe czyny. Postanowiła zapytać następnego dnia dziewczyny, ale w jednej chwili poczuła chłód, jakby zło dotknęło ją swą lodowatą dłonią, monstualną i przerażającą. Minęło kilka godzin zanim zapadła w sen.

66

4

Jane Ashe siedziała pod różowo kwitnącymi drzewami w klasztorным ogrodzie, czytając chaotyczny list od Laurel. Było zimno, ale świeciło słońce, a ona otulona była kocami. To jedyne miejsce, w którym mogła ukryć się przed uczennicami, nacieszyć się odrobiną samotności i przeczytać kilkanaście stron nabazgranych w formie dziennika. Zmarszczyła brwi, kiedy zapoznała się z żywym opisem ucieczki z Palazzo Falcone i zaciekawił ją lekarz, imię którego bezustannie przewijało się przez wszystkie strony. J. mówi to, J. mówi tamto, J. uważa, że powinnam postąpić tak czy inaczej... drugi młodzieniec, jego towarzysz podróży, najwyraźniej wywarł o wiele mniejsze wrażenie. Jej uczennica zawsze miała skłonności do pakowania się w tarapaty, nie zastanawiając się nad ewentualnymi skutkami takich działań. Miała nadzieję, iż tym razem było inaczej. Poczuła ulgę, gdy na planie pojawiło się Ravensley. Wyglądało na to, że Ayishamowie to szlachecka rodzina o dobrej reputacji. Z pewnością to dziecko będzie wśród nich bezpieczne, dopóki nie zajmie swego miejsca w domu dziadka. Miss Ashe przekonana była, że Laurel ze swą niepokojącą urodą pasowała do wiejskiego zakątka jak rajski ptak do stada gołębic.

Pod koniec dnia Jane Ashe chwyciła za pióro, by poinformować Laurel o swej decyzji porzucenia pracy w klasztorze pod koniec roku. Nic nie łączyło jej z Anglią, rodzice nie żyli od wielu lat, ale tęskniła za widokiem i gwarem Londynu. Oczekiwała na spotkanie z Laurel, a tymczasem cieszyła się jej szczęściem, spokojna, że ucieczka z Włoch zakończyła

67

się powodzeniem. Laurel czytając ten list w ciszy swego ślicznego pokoiku, przyznała jej rację. Była szczęśliwa, o wiele bardziej niż się spodziewała, przyjeżdżając do Ravensley w ponurą, mroczną noc. Zapomniała o chłodzie, jaki wówczas odczuwała, zniknęły wątpliwości co do intencji gospodarzy. Robin i obie dziewczyny zaakceptowały ją bez żadnych przeszkód. I choć czasami badawcze, świdrujące spojrzenie lady Ayisham wprawiało ją w zakłopotanie, lord Ayisham był niezwykle życzliwy. Nie mogła uwierzyć, że minęły już dwa miesiące. Z Rzymu nadeszły niepokojące wieści, ale dzięki zdecydowanej interwencji lorda Ayshama jego wizytom w Londynie i spotkaniom z prawnikami dziadka, wszystko załatwiono pomyślnie. Skończyły się problemy. Uwolniła się od nich, była panią samej siebie o pokaźnym majątku. Dla dziewczyny, która nie miała jeszcze osiemnastu lat doświadczenie to nie miało sobie równych.

Odłożyła list i spojrzała w lustro. Nowy strój do konnej jazdy z welwetu w kolorze wiśniowym, obszyty czarną lamówką prezentował się znakomicie. Wybór nowych strojów sprawił jej wiele radości. Ciarissa okazała swą pomocną dłoń, a Rosemary i Jessica pękały z podziwu i zazdrości. Miała ochotę kupić im jakieś ekstrawaganckie prezenty, ale Ciarissa nie wyraziła swej zgody. Laurel sama wybierała materiały i dobierała kolory. Miała wrodzony gust, wiedziała, że nie powinna wyglądać zbyt egzotycznie, niemniej jednak suknie wiszące w szafie podkreślały jej styl i charakter. Jej szczęście mącił jedynie fakt, że od czasu przybycia do Ravensley ani razu nie spotkała się z Jethro. Napisał do niej dwukrotnie, że Sir Joshua czuje się nieco lepiej, ale to wszystko. Z drugiej strony, sporo się o nim

68

dowiedziała. Pewnego dnia, kiedy przechodziły obok jednego z portretów wiszących na półpiętrze, zatrzymała się przy młodzieńcu o kruczonych włosach i wąskiej, wyniosłej twarzy. Jego oczy pod prostymi, ciemnymi brwiami patrzyły na nią z pogardą.

- To dziwne - powiedziała wolno - ale on przypomina mi Jethro.

- Tak, w zależności od jego humoru - zgodziła się Rosemary - ale stryjeczny dziadek Justin był jego ojcem. Laurel posłała jej badawcze spojrzenie.

- Myślałam, że lord Ayisham jest jego bratem.

- Bratem przyrodnim. Papa nie lubi o tym mówić. To taka tajemnica rodzinna.

- Co masz na myśli? - spytała zaintrygowana Laurel.

- To było tak - zaczęła niechętnie Rosemary. - Nasz pradziadek miał dwóch synów, Justina i Roberta, który był naszym dziadkiem. Obaj zakochali się w tej samej kobiecie...

- Justin był niegodziwym człowiekiem. Tacy pojawiają się od czasu do czasu nawet w takich szanowanych rodzinach jak nasza - ciągnęła niedbale Jessica. - Zabawne, że zawsze mają czarne włosy.

- Nie bądź głupia - przerwała jej Rosemary.

- Sama wiesz, że to prawda, a Justin zrobił naprawdę coś strasznego. Oczywiście, sprawę zatuszowano, ale przez niego zginęło dwoje ludzi, a on sam w pośpiechu musiał opuścić Anglię. Wyjechał do Indii i wszyscy myśleli, że tam umarł, więc dziewczyna, której pragnął, poślubiła jego brata Roberta i została naszą babką. Dała mu dwójkę dzieci, papę i ciotkę Cherry. Tylko że Justin nie umarł, a nasza babka wciąż kochała go do szaleństwa, więc pewnego dnia uciekła za nim do Indii, a Jethro jest ich synem - nie przerywała Jessica - dlatego jest o wiele młodszy od papy, prawie jak nasz starszy brat.

69

Laurel, zaskoczona tym rodzinnym skandalem, odezwała się w zamyśleniu:

- A więc Jethro jest...

- Bękartem - wpadła jej w słowo Jessica.

- Jess! Co to za słownictwo! - zganiła ją siostra.

- Ale to prawda. Gdyby nie był nieślubnym dzieckiem, zostałby lordem Ayishamem zamiast papy, bo Justin był starszym bratem.

- Czy to go martwi?

- Na Boga, nie, ale mama twierdzi, że to dlatego tak ciężko pracuje. Musi udowodnić sobie, że nie

jest gorszy.

- Wcale nie musi - stwierdziła z oburzeniem Laurel.

- Oczywiście. Jest mądrzejszy od nas wszystkich - kontynuowała Jessica z wyraźną radością - ale widzisz, to nie wszystko. Po śmierci Roberta Justin powrócił z Indii, wyrzucił papę i ogłosił się panem

Ravensley, a potem...

- To chyba wystarczy - wtrąciła się stanowczo Rosemary, rzucając jej miażdżące spojrzenie. - Jestem pewna, że Laurel nie ma ochoty wysłuchiwać głupich wiejskich plotek. Papa byłby bardzo rozgniewany,

gdyby się dowiedział. - Jak uważasz. Właściwie to wszystko - rzekła

bez przekonania Jessica. - Justin zginął na bagnach w czasie powodzi, a potem papa został lordem Ayishamem.

Laurel nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie

powiedziały jej wszystkiego, ale to dawna historia, z którą nie miała nic wspólnego.

Liczył się tylko Jethro, to co o nim usłyszała, wywarło na niej jeszcze większe

wrażenie, nie mogła o nim zapomnieć i podczas cichych, szczęśliwych dni w

Ravensley często odczuwała niepokój.

70

\* \* \*

Tego ranka miała podróżować konno z lordem Ayishamem. Nabrała zwyczaju towarzyszenia mu podczas konnej przejażdżki przez Moczary, kiedy udawał się do jednej z okolicznych farm. Wydawało się, że jej obecność sprawia mu przyjemność.

Poprawiła na głowie zabawny kapelusik z wygiętym strusim piórem, naciągnęła rękawiczki i podniosła bat. Jak zwykle pod portretem, który niedawno przyciągnął jej uwagę, siedziała tajemnicza postać ze skrzyżowanymi nogami. Ominęła ją ostrożnie i zbiegła po schodach. Wiedziała już wszystko o Ram Lallu. Był to Hindus, którego Justin Ayisham przywiózł z Kalkuty. Kiedy jego pan utonął, biedny Ram postradał zmysły.

- On nie jest groźny - powiedzieli jej - po prostu żyje przeszłością. Nie obawiaj się go, nie robi ci krzywdy.

Czując na sobie jego wzrok, nie zawsze była pewna, czy mają rację, ale udało jej się wyrzucić go ze swych myśli.

Przy stajni czekał już na nią Seth Starling, krępy, dobrze zbudowany mężczyzna po trzydziestce. Starlingowie służyli Ayishamom od niepamiętnych czasów, a Seth odpowiedzialny był za konie. Z podziwem popatrzył na doskonałą figurę Laurel.

- Dzień dobry, Miss. Obawiam się, że dzisiaj Gada-bout nie jest sobą. Zaskroniec dostał się do jego siana i to mu zaszkodziło. Zaczął kopać, a wcześniej przestraszył na śmierć stajennego. To szatan. Niech pani lepiej weźmie innego konia.

- Ale ja lubię Gadabouta. Ma w sobie tyle energii - uśmiechnęła się figlarnie. - Znam coś, co go wyleczy.

- Proszę uważać. Miss. Niech pani nie próbuje niczego nierozważnego.

Seth chciał ją powstrzymać, ale okazała się szybsza. Złapała za uzdę, przyciągnęła konia do siebie i wyszeptła

71

mu coś do ucha w dziwnym szwargocie. Koń odrzucił łeb do tyłu, satynowa sierść zjeżyła się na moment, a po chwili parsknął cicho i wsunął nos w głaszczącą go dłoń.

- Na Boga, to ci dopiero cud - wymamrotał Seth. Lord Ayisham, który wszedł właśnie na podwórze zapytał ostro:

- Gdzie się tego nauczyłaś? Laurel wzruszyła ramionami.

- Zawsze to znałam. To tylko stare, zabawne zaklęcie, ale skuteczne.

- O tak, bardzo skuteczne - mruknął Seth 'pod nosem - ale pani nie jest jedną z nas...

- Co tam bełkoczesz? - spytał szorstko lord Ayisham. - Czy mój koń jest już gotowy? Wsiadaj, moja droga, musimy jechać.

Podsadził Laurel na siodło i podszedł do wielkiego, gniadego konia, którego przytrzymał Seth. Ruszyli obok siebie kłusem przez park i wyjechali na Great-heart Fen.

Rześki wiatr przyniósł słodkie zapachy wiosny. Dokoła rozlewała się soczysta zieleń, kwitnąca tawuła, bagienny mirt i czerwono-złote trzciny. Stado dzikich łabędzi przecięło niebo z donośnym krzykiem, a samotny bąk z dziobem jak sztylet i długimi, zielonkawymi nogami skradał się po turzycy, przystając od czasu do czasu, by wydać z siebie niezwykły, przerażający wrzask. Laurel nie mogła się nadziwić, dlaczego tak bardzo przyciąga ją ta dzika i odludna sceneria. Miała wrażenie, że te rozległe bagna zamieszkałe przez jastrzębie, kuliki, wydry, łasice, zające, króliki były jej częścią, że to był jej dom.

Jechali przez chwilę w milczeniu, zanim zapytała:

- Co miał na myśli Seth mówiąc, że nie jestem jedną z nich?

- Nic ważnego.

72

Spojrzała na niego z boku. Patrzył przed siebie z ponurym wyrazem twarzy.

- To z powodu tego starego zaklęcia, prawda? - Nie ustępowała. - Wypowiedziałam je dla zabawy. To był taki dziecięcy wierszyk. Moja matka nauczyła mnie go, kiedy dostałam swego pierwszego kucyka. Czy pan wie, co ono oznacza?

- Wątpię, czy ktokolwiek wie. To zaklęcie ma wiekową tradycję - oświadczył wolno Oliver Ayisham.

Popatrzył na tę prześliczną dziewczynę, której matkę kochał niegdyś do szaleństwa, i pomyślał, że ze swą żarliwą miłością do tej dzikiej krainy mogłaby być jego własną córką.

- Moczary mają swoją magię, Laurel - ciągnął.

- Starą, tajemną wiedzę przekazywaną z ust do ust, nigdzie nie zapisaną. To zaklęcie stanowi część starej magii. Konie hodowano tu jeszcze przed przybyciem Rzymian. Mieszkańcy Moczarów mają nad nimi tajemniczą władzę. Nikt nie zna ich sekretu, wiadomo tylko, że znani są jako Ludzie-żaby. Co robią, jakie obrządku praktykują - nie wiem i wiedzieć nie chcę.

- Czy Seth jest jednym z nich?

- Być może. Nigdy go o to nie pytałem. Potrafi czynić cuda z końmi i to mi wystarcza. Laurel zmarszczyła czoło.

- Ale skąd wiedziała o tym moja matka?

- Twoja matka tu się urodziła i wychowała. Była prawdziwym dzieckiem Moczarów. Czy kiedykolwiek ci o tym opowiadała?

- Nie, nigdy.

Nie mogła sobie wyobrazić, że jej matka ze swą delikatną urodą i niezwykłą elegancją należała niegdyś do tej dzikiej krainy o mrocznej historii.

- Może dlatego tak mi się tu podoba - przemówiła powoli. - Magia jest także we mnie.

73

Przeszył ją dreszcz emocji na myśl, że posiada jakąś tajemną moc, jakiej nie mają inni. Mężczyzna jadący u jej boku poczuł to samo. Wyczuł w niej siłę zniewalania męskich serc i niszczenia ich, jak to bezlitośnie czyniła jej matka. Po chwili zdał sobie sprawę z absurdalności własnych myśli. To było tylko niewinne, czułe dziecko, a nie uwodzicielska czarownica z bagien.

Dotarli do samego serca Moczarów. Tuż przed nimi obracał wielkimi płetwami czarny, stary młyn wypływając spienione, brązowe wody w żółtawe rozlewisko. Strumieniem płynęła płaska łódź; wysoka, dziwaczna postać odpychała się długim drągiem. Mężczyzna miał na sobie skórzany kaftan, poplamiony i zniszczony, długie, sięgające za kolana, buty. Orli nos, wystające policzki, jasne, kędzierzawe włosy świadczyły o jego pokrewieństwie z rodem Wikingów. Wbił drąg w piaszczysty brzeg i zatrzymał łódź.

- Mam w łodzi sporo ryb, Mr Oliver. Zostawię je dla pańskiej małżonki.

- Serdeczne dzięki, Moggy.

- A gdzie panicz Robin? Nie widziałem go przez ostatni miesiąc.

- Uczy się pilnie.

- Taak, ale książki to nie wszystko. Proszę mu przekazać, że wkrótce kaczki będą fruwać i że czekam na niego.

- Powtórzę mu.

Moggy popatrzył surowo na Laurel.

- Ta młoda dama to jej córka, ha? Niech pan się nią dobrze opiekuje, Mr Oliver... tutaj ludzie mają dobrą pamięć.

Odepchnął się drągiem i łódź popłynęła w dół strumienia.

Drżąc lekko, Laurel spytała:

- Kto to taki?

74

- Jeden z tutejszych mieszkańców. Kiedy byłem chłopcem nazywali ich Tygrysami z Moczarów. To dlatego nie osuszyłem Greatheart jak inne bagna. To ostatnie schronienie tych starych myśliwych. Moggy żyje daleko na moczarach, w chacie, która każdej zimy zalewana jest na stopę wodą. Z chęcią ofiarowałbym mu jakiś kąt w Ravensley, ale umarłby tam w ciągu tygodnia. Cierpi na malarię, sparaliżował go reumatyzm, tak jak wszystkich na bagnach. Jethro ubolewa nad nimi. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdża, odwiedza ich, aplikując laudanum, ale nic nie jest w stanie zmusić ich do zmiany sposobu życia.

- Pan dba o swoich ludzi, prawda? - nie mogła się nadziwić. - Księżca Falcone nic oni nie obchodzili. Niektórzy robotnicy na farmie Frascati żyli gorzej niż świny.

- Robię to z czysto egoistycznych pobudek - odparł niedbale Oliver. - Mieliśmy tu już kłopoty, ale traktując przyzwoicie swoich poddanych można liczyć na ich wydajniejszą pracę.

- Nie wierzę, aby pan tak naprawdę myślał - zaoponowała stanowczo.

Nie przebywała w Anglii wystarczająco długo, by zrozumieć, że liberalna atmosfera panująca w Ravensley była bardziej wyjątkiem niż regułą, ale wiedziała na przykład, iż Cherry, siostra lorda Ayishama założyła wiejską szkółkę. Odwiedziła ją kiedyś z Jessiką. Dwadzieścia par oczu otwarło się szeroko na widok zjawiska o pięknych, rudych włosach, ubranego w oszalałamiącą suknię z biało-zielonej tafty i uśmiechającego się do nich czarująco.

Cherry Fenton była matką Toma i podobnie jak jej syn lekko i radośnie podchodziła do życia. Nie miała w sobie nic z elegancji i chłodu Ciarissy, była osobą o gorącym sercu, życzliwie nastawioną do innych, nie

75

dbała o szykowne fryzury czy modne stroje. Mieszkała w Copthorne, niedaleko Ravensley, tak więc obie rodziny odwiedzały się wzajemnie. Stary dwór, który odziedziczyła po ciotecznej babce, wypełniony był psami, kotami i dzieciakami potykającymi się o siebie, a Patty Starling na próżno starała się utrzymać w ryzach dziesięcioletnie bliźniaki. Patty była starszą siostrą Seta i opiekowała się dziećmi z Ravensley od narodzin Robina. Harry Fenton pracował w Ministerstwie Wojny i do domu przyjeżdżał jedynie w weekendy. Był to przystojny mężczyzna o postawie wojskowego, uwielbiający swą ekscentryczną i niedbałą żonę. Osobliwym członkiem tej rodziny była Margaret, siostra Toma, skryta dziewczyna, bacznie obserwująca każdego, oszczędna w słowach, nie pasująca do swej beztroskiej rodziny. Kiedy tego popołudnia Laurel wróciła z przejażdżki, spotkała ją w hallu i zatrzymała się na moment.

- Czy szukasz Jessiki? - spytała. - Widziałam ją koło stajni, kiedy zsiadałam z Gadabouta. „Margaret utkwiała w niej wzrok.

- Myślałam, że jest tu Robin.

- W ten weekend nie przyjedzie do domu.

- Skąd wiesz?

- Pisuje do mnie czasami - rzuciła niedbale Laurel i ku własnemu zdumieniu dostrzegła w oczach Margaret błysk nienawiści.

Przestraszyła się. Od samego początku świadoma była jej wrogości i nie potrafiła jej zrozumieć. Margaret była niską dziewczyną o pospolitej urodzie, jedyną jej ozdobę stanowiły jedwabiste, długie czarne włosy związane z tyłu kokardą. Kiedy stanęła w drzwiach, padł na nie promień słońca i zabłyśły jak krucze skrzydło. Może Margaret była jedną z czarnych Ayishamów, tak jak nikczemny dziadek Justin, pomys-

76

łała Laurel, ale zbesztła się za głupie podejrzenia i pobiegła na górę.

W przeciwieństwie do swej córki. Cherry natychmiast polubiła Laurel i opowiedziała o tym swej szwagierce pewnego czerwcowego dnia podczas poobiedniej herbaty. Obie damy zasiadły w zaciszu saloniku Ciarissy.

- Nie wiem dlaczego robisz z tego takie ceregiele - stwierdziła otwarcie. - Laurel to bardzo miłe dziecko o dobrym sercu. Przez całe popołudnie opowiadała dzieciakom o Rzymie, ponieważ ją o to prosiłam. Były zachwycone. To najlepsza lekcja historii jaką kiedykolwiek miały.

- Nie wątpię. Laurel potrafi oczarować nawet ptaka na drzewie, jeśli tylko zechce - odezwała się uszczypliwie Ciarissa - tak jak jej matka. Robin już oszalał na jej

punkcie. Oczywiście udaje obojętność, ale nigdy go takim wcześniej nie widzieliśmy. Wynajdzie każdą wymówkę, aby wyrwać się z Cambridge.

- Po prostu jest w wieku, kiedy traci się głowę dla pięknej dziewczyny, to wszystko - uspokoiła ją Cherry.

- Nie jestem tego pewna...

- Ciarisso, na miłość boską! To, że Oliver kochał kiedyś szaleńczo Alyne, nie znaczy, iż Robin obdarzy podobnymi uczuciami jej córkę.

- Chciałabym się mylić.

- A jakie to ma znaczenie? Jeśli to, co słyszałam jest prawdą, odziedziczy ogromny majątek po śmierci Sir Joshuy. Byłaby dla Robina świetną partią.

Ciarissa zaniemówiła.

- Jak możesz wygadywać takie rzeczy? To niemożliwe i ty dobrze wiesz, dlaczego.

- Wiem tylko o skandalu, o którym dawno już zapomniano. Po co go odgrzewać? Przeszło, minęło.

- Nie w takim miejscu jak to. Uwierz mi. Wieśniacy Żyją przeszłością. I jeszcze coś. Oliver zabiera tę

77

dziewczynę wszędzie ze sobą, o wiele dalej niż kiedykolwiek zabrał Rosemary lub Jessikę. Powstają plotki.

- Jakie plotki? Ciarisso, nie wierzę, że jesteś zazdrosna o Olivera, najwierniejszego męża w całej Anglii. Gdyby to był Harry...

- Cherry, co za nonsens!

- Czyżby? To twój brat, ale czasami zastanawiam się, co porabia w Londynie, kiedy ja siedzę tutaj -wybuchnęła śmiechem. - Nie przejmuj się, jest nam ze sobą bardzo dobrze.

Pochyliła się i położyła dłoń na kolanie Ciarissy.

- Naprawdę, Ciarisso, opętana jesteś na punkcie Laurel zupełnie bezpodstawnie. To do ciebie niepodobne. Nie rozmawiajmy już o tym. Chcę się czegoś dowiedzieć o Ravensley Boy. Jak tam jego kondycja? Seth powiedział mi, że wystartuje w derby. Czy to nie nazbyt śmiała decyzja?

Koń wyścigowy był wspólną własnością Ciarissy i Cherry. To niezwykle hobby wywoływało uśmiech u ich pobłażliwych małżonków. Obie uwielbiały jazdę w siodle, obie wyrosły wśród koni. Przez następną godzinę dyskutowały wyłącznie o formie konia i na równie absorbujące tematy. Na początku następnego tygodnia obie rodziny planowały podróż do Londynu. Mieli zatrzymać się w domu na St. James' Square i stamtąd udać się na wyścigi w Epsom.

Derby były jednym z największych wydarzeń sportowych sezonu.

Tam zbierały się wyższe sfery, których jedynym celem była dobra zabawa. Z otwartego powozu, który dzieliła z innymi damami, Laurel obserwowała rodzinne powoziki, zawadiackich młodzieńców powożących ognistymi zaprzęgami czterokonnymi, dwukółki z kucykami, straganiarzy w oślich furmankach, nie mówiąc już o taborach cygańskich. Zatorom na rogatkach nie

78

było końca. Wieśniacy obserwowali to zamieszanie ze swoich chat albo ustawiali się wzdłuż drogi, przyglądając się fali pojazdów. Po drodze zgłodnieli żebracy i Cyganki



w postrzępionych sukniach, trzymające w ramionach bose, umorusane dzieciaki, tłoczyli się pośród eleganckich powozów i karet, łapiąc zachłannie resztki jedzenia wyrzucanego niedbale z wypełnionych po brzegi koszy. Śmietanka towarzyska mieszała się z miejskimi urzędnikami, ocierała się o Murzynów, wyścigowych naganiaczy, handlarzy oferujących tanie błyskotki, atletów i kataryniarzy, oszustów, naciągaczy i kieszonkowców. Za nimi stały wymalowane stragany, stoiska dla bukmacherów, strzelnice sportowe i kręgielnie, a wszystko to przedzielone było kramami z pasztecikami i węgorzami w galarecie, ginem, wodą i piwem. Laurel poczuła się bardzo zawiedziona, kiedy poprzedniego wieczoru Jethro nie pojawił się na rodzinnej kolacji. Przyjęcie było niezwykle wesołe. Przybyli wszyscy, jedynie rozżalone bliźniaki pozostały w domu. Laurel zajęła miejsce między Tomem a Robinem, którzy ze śmiechem tłumaczyli jej zasady angielskich wyścigów. Margaret przypatrywała im się z oburzeniem. Już jako dzieciak przebywający ciągle w towarzystwie starszych chłopców i dziewcząt zapalała płomiennym, destrukcyjnym uczuciem do swego kuzyna Robina, który reagował na nie dość obojętnie. Przez ostatnie tygodnie prawie wcale z nią nie rozmawiał. Zanurzyła łyżeczkę w lodowym puddingu pewna, że gdyby trzymała w ręku nóż z radością wbiłaby go w Laurel. Śmiech ucichł. Podniosła wzrok. Robin wpatrywał się w jej rywalkę z tak głupkowskim podziwem, że z trudem powstrzymała się od ciosu. Złość rozsadzała ją od środka. Nagle usłyszała głos Laurel: Ale gdzie jest Jethro? Byłam pewna, że się do

nas przyłączy. Wściekła zazdrość wzięła górę. Odezwała się głośno:

- Czy Robin i Tom już ci nie wystarczają? Czy musisz mieć przy sobie Jethro na każde zawołanie?

- Nie opowiadaj głupstw - przerwała jej ostro matka.

- To nie są głupstwa. Dlaczego ona zawsze ma wszystko co najlepsze? Byliśmy tacy szczęśliwi zanim się pojawiła, a teraz tylko Laurel, Laurel, Laurel!

- Margaret, zachowuj się!

Ale teraz już nic nie mogło jej powstrzymać.

- Wiem, co mówię. Nigdy jej tu nie chciałaś, ciociu Ciarisso, dlaczego więc się do tego nie przyznasz? Dlaczego nie została we Włoszech, gdzie jej miejsce? Ona wszystko zniszczyła!

Wodziła wzrokiem po ich zaszokowanych twarzach. Nikt jej nie rozumiał, nikogo nie obchodziły jej uczucia, ale któregoś dnia im pokaże. Zaszlochała głośno. Odsunęła z całej siły krzesło i wybiegła z pokoju.

- Ja nie chciałam... - przerwała niezręczną ciszę Laurel.

- Nie zwracaj na nią uwagi. moja droga - odezwał się lord Ayisham, próbując pr./ywrócić spokój. - Ona jest nadmiernie pohudliwi. M ii rgu ret i Jessica są za młode na taką podróż. Powinny były /ostać w domu z dziećmi.

- Ależ papo, to niesprawiedliwe - wtrąciła z oburzeniem jego młodsza córka.

- Jethro pr/csał wilidoiitosć - poinformowała łagodnie Rosennuy. - Ślini jednego / jego pacjentów pogorszył się. Jeśli mu sif udu, julro pr/yłączy się do nas na wyścigach.

« « «

Do Epsom tloturll około południa. N11 śnieżnym obrusie czekul nu nich lunch, dziczyczna, kurczak na

80

zimno, paszteciki z krabów i krojona szynka, ciasteczka i owoce. Laurel popijała małymi łykami szampana z długiego, rzeźbionego kieliszka, kiedy ukazał się Jethro. Nie wiadomo dlaczego, zabrakło jej nagle powietrza, zaschło jej w gardle, trzęsły jej się ręce. Odstawiła kieliszek. Jethro gawędził z bardzo ładną kobietą ubraną w jasnobłękitną suknię. Jego rozmówczyni trzymała za rękę małego, ciemnowłosego chłopca. Laurel stwierdziła, że Jethro wygląda całkiem nieźle w dopasowanym surducie i jedwabnym cylindrze, z różowym kwiatem w butonierce. Patrzyła jak schyla się do chłopca i opowiada mu coś zabawnego, jak bierze do ręki program wyścigów nieznajomej i coś na nim pisze. W ich wzajemnych spojrzeniach było coś intymnego, coś więcej niż zwykła znajomość. Serce, Laurel waliło jak młotem, przepelnione zazdrością. Po chwili Jethro uniósł cylinder i ruszył powolnym krokiem w ich stronę.

Młodzież powitała go wybuchem radości.

- Czy pozwoliłeś umrzeć swoim pacjentom bez ciebie? - spytał Robin z udawaną powagą.

- Bardziej interesujący jest fakt, kogo krajałeś zeszłej nocy? - dorzucił złośliwie Tom. Jethro żartował razem z nimi, obejmując ramieniem Jessikę.

- Jak się ma moja ukochana dziewczynka? Dobrze się bawisz?

- Nieźle... i Laurel też - uśmiechnęła się. - Nigdy by ci nie wybaczyła, gdybyś nie przyszedł.

- Czyżby? Jestem zaszczycony - odparł lekko. Przesunął wzrokiem po rodzinie i zatrzymał się na Laurel. Ubrana była w ciemnozieloną muślinową suknię, której kolejne warstwy układały się na krynoli-nie - ostatni krzyk mody - a liczne halki sprawiały wrażenie lekkości i wdzięku. Zdjęła z głowy kapelusik,

81

a burza rudych włosów opadła pękiem loków na ramiona. Ta elegancka młoda kobieta w niczym nie przypominała potarganej dziewczyny w brudnej amazonce, z którą przeżył włoską przygodę. Nigdy wcześniej nie wyglądała tak pięknie. Przepaść, którą świadomie między nimi stworzył, stała się jeszcze głębsza. Pochyliła się w jego stronę, on ujął jej dłoń i pocałował.

- Ślicznie dziś wyglądasz.

- Naprawdę?

Słowa te były pozbawione znaczenia, ale na moment zatopili się we własnym świetle. Po chwili wszyscy zaczęli opowiadać mu o Ravensley Boy. Skierowali się w stronę padoku. Jessica zawisła u jego lewego ramienia, prawe zaoferował Laurel.

Tam czekali już na nich lord i lady Ayisham oraz Cherry i Harry Fenton. Podziwiali wspaniałego deresza o lśniącej, jedwabistej sierści, omawiali szczegóły z jego ujeżdżaczem i dżokejem. Jethro wdał się z nimi w dyskusję, Laurel została na kilka minut sama. Słońce prażyło niemiłosiernie, rozłożyła więc swą koronkową parasolkę, chroniąc oczy przed blaskiem. Ktoś przemówił za jej plecami:

- Czyż to nie moja nowa kuzyneczka. Miss Laura Rutland? Jakże się cieszę.

Odwróciła się, dostrzegając młodzieńca, którego spotkała niegdyś na schodach przed domem swego dziadka. Nawet bez munduru wyglądał tak samo elegancko i zawadiacko. Ukłonił się lekko.

- George Grafion, do usług. Czy mogę zapytać, którą z tych znakomitych bestii zaszczycała pani swym wyborem?

- Oczywiście Ravensley Boy.

- Naturalnie, powinienem był pamiętać. Mieszka pani u Ayishamów, rozumiem. Kiedy pojawi się pani na Ariington Street?

82

- Kiedy tylko otrzymam pozwolenie - odpowiedziała oziębło.

- A to nie takie proste, prawda? Obawiam się, że moja matka lubi wszystkim rządzić. Zawsze tak było. Biedny ojczulek sam się o tym przekonał i zszedł z tego świata. Jego żartobliwy ton nie przypadł jej do gustu.

- Czy pan tam mieszka, panie Grafion?

- Na Boga, nie. Mam własne mieszkanie - zawiesił na niej wzrok. - Pamiętam wuja Bulwera - oznajmił niespodzianie. - W pułku wołali na niego Buli. Wiedziała pani o tym? Powiadają, że miał niezwykle powodzenie u kobiet. Mama tego nie pochwałała, więc widywaliśmy go dość rzadko, ale pamiętam, jak pewnego razu wziął mnie na kolana... miałem może sześć lat... pociągnąłem go za bokobrody, a on sprawił mi lanie i dał pół suwerena.

Wiedziała, że z niej żartuje, ale nikłe wspomnienie o ojcu zaintrygowało ją. Odezwała się z poważną miną:

- To bardzo interesujące. Musi mi pan kiedyś o tym opowiedzieć.

- Z największą przyjemnością - obrócił się w stronę Jethro. - Kim jest ten wysoki przyjaciel?

- Jethro Ayshiam. Chirurg ze Szpitala św. Tomasza.

- Naprawdę? Na Jowisza, kroi ludzi! Cóż, i w ten sposób też można zarabiać na życie.

- To doskonały sposób - stwierdziła, zirytowana pogardą w jego głosie. Wzruszył ramionami.

- Skoro pani tak uważa.

Nagle na horyzoncie pojawiło się zjawisko ubrane modnie, może nazbyt strojnie, w purpurowe jedwabie zdobione złotymi kokardkami i w szeroki, słomiany kapelusz, nasunięty na kaskadę czarnych loków.

83

- George - zaliła się - gdzie się podziewałeś? Czekamy na ciebie.

- Już idę, kochanie - wydał figlarnie pełne usta - ale najpierw, pozwól, że ci przedstawię moją kuzynkę, Miss Laurel Rutland... Miss Yiolet de Vere z Princess Theatre.

- Miło mi panią poznać - śmiałym wzrokiem zmierzyła Laurel od stóp do głów, a potem władczym ruchem chwyciła go za ramię. - Chodź już George, na miłość boską, spóźnimy się na wyścigi.

Nie zwrócił na nią uwagi.

- Niewątpliwie znów się spotkamy. Miss Rutland, kiedy drogi wujaszek Joshua wyzionie ducha.

- Proszę tak nie mówić - przerwała. - To okropne!

- Trzeba zawsze stawiać czoła faktom - oświadczył zuchwale i ujął jej dłoń.

Celowo zsunął jej jedwabną rękawiczkę i pocałował w nadgarstek.

- Arrivederci... tak chyba mówią we Włoszech?

- Mówią także żegnaj i traktują to całkiem serio - powiedziała chłodno.

Zaśmiał się, a zniecierpliwiona Violet pociągnęła go ze sobą.

Odprowadziła go wzrokiem, trochę zauroczona, trochę oburzona, ale przede wszystkim pewna, że go jeszcze zobaczy.

\* \* "r

Ravensley Boy nie wygrał, ale przybiegł na metę trzeci. To wystarczyło, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie, a jego właścicielki stały się bohaterkami przyjęcia.

Stojąc na trybunie pośród znamienitego towarzystwa sportowego, Laurel cieszyła się swoim małym zwycięstwem. Doskonale ubrani młodzieńcy

84

o nieskazitelnym rodowodach oblegali lorda Ayishama, prosząc go o przedstawienie czarującej Miss Rutland. Reprezentowała wszystko, co nieznanne, trochę tajemnicze, a jej uroda i delikatny, obcy akcent nadawały jej intrygująco egzotycznego powabu.

Jethro obserwował ją z daleka. Laurel nie wpadała w agonię nieśmiałości jak Rosemary, nie popełniała dziewczęcych gaf jak Jessica, ale była naturalnie spokojna i opanowana. Nie była dla niego, nie mogła być, z powodów o których jeszcze nie

wiedziała, ale Jethro, mimo swego postanowienia, nie potrafił oderwać od niej oczu, nie potrafił opanować gwałtownego ukłucia zazdrości, kiedy z niewymuszonym

wdziękiem uśmiechała się do otaczających ją mężczyzn. Jakiego spustoszenia

mogłaby dokonać, gdyby nauczyła się wykorzystywać swą moc nad męskimi pragnieniami? Jethro nie był jedynym obserwatorem. Robin również stał w oddali od

innych. Na jego twarzy malowała się złość i frustracja. Był zbyt młody, aby znosić takie cierpienia, więc Jethro położył mu po przyjacielsku dłoń na ramieniu.

- Nie trać dla niej serca, stary. Sam wiesz, że to na nic.

Robin obruszył się.

- Niech cię diabli, nie musisz mnie pouczać.

- Rób jak uważasz, ale to dobra rada, zapewniam cię.

W przypływie nagłej zmiany nastroju chłopak uśmiechnął się przeprasząco.

- Wybacz mi, Jet. Zachowuję się jak głupiec, prawda? Nigdy jednak wcześniej nie znałem nikogo takiego jak ona.

- Omota cię w jednej chwili, jeśli nie będziesz ostrożny - ostrzegł brutalnie Jethro.

- Dlaczego^ak mówisz? To niesprawiedliwe - wybuchnął Robin.

85

- Być może tak jest, ale wiem, co mówię. Jethro popatrzył przez moment na zmartwioną twarz chłopca, poklepał go po ramieniu i odszedł. Czuł, że coś się już zaczęło, coś, czego ani on, ani nikt inny nie był w stanie powstrzymać. Modlił się jedynie, aby nie doszło do tragedii.

\* \* \*

To był niezwykle pasjonujący dzień i Laurel przeżywała każdą sekundę, rozczarowała się jednak, kiedy Jethro nie wrócił z nimi na St. James' Square.

- Mam sporo pracy - tłumaczył się, gdy zapytała go o powód. - Nie powinienem był opuszczać szpitala, ale Ciarissa nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym nie zobaczył

Ravensley Boy biegnącego w swym pierwszym derby. Mój czas nie należy do mnie. Pracuję i nie mogę pozwolić sobie na rozrywki.

Uklonił się i posłał uśmiech damie w błękitach, która przechodziła w dole. Roześmiała się i zamachała programem wyścigów, ciesząc się skromną wygraną.

- Czy zamierzasz spędzić z nią dzisiejszy wieczór?

- spytała Laurel i natychmiast pożałowała swej dziecinnej zazdrości.

- Na miłość boską, nie - odparł lekko rozbawiony.

- Co ci przyszło do głowy?

- Nie wiem. Wyglądała na twoją przyjaciółkę.

- Jest przyjaciółką, i to bardzo dobrą. Uwielbiam ją

- oznajmił cicho. - Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co robię dziś wieczór, powiem ci.

Będę przemawiał na koncercie dobroczynnym zorganizowanym przez niejakiego Dr. Charlesa Westa.

- Och! - zdumiała się. - Na co przeznaczone są dary?

86

- West kupił dom na Great Ormond Street, w obskurnej dzielnicy Londynu. Chce przebudować go na szpital i przychodnię dla chorych dzieci, ale rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Kilku jego bogatych pacjentów przygotowało ten koncert. Sam pomysł urzekł ją.

- To wspaniałe. Czy i ja mogłabym coś takiego zrobić?

Uśmiechem powitał jej entuzjazm.

- Może kiedyś, gdy będziesz starsza. Powinnaś porozmawiać o tym z Cherry. Założyła misję w Step-ney, jednej z najuboższych dzielnic miasta. Chodzę tam raz w tygodniu, by mieć ich na oku. Zawsze istnieje ryzyko epidemii.

Spacerując w stronę pojazdów, natknęli się na George'a Graftona z przyjaciółką wciąż uwieszoną u jego ramienia. Uśmiechnął się i zamachał do Laurel, która odwzajemniła się sztywnym skinięciem. Jethro zmarszczył brwi.

- Widzę, że porucznik Grafton nie tracił czasu.

- Mieliśmy wtedy rację. To mój kuzyn.

- Na twoim miejscu wystrzegałbym się go. Nie ciesz się najlepszą opinią.

- Skąd o tym wiesz?

- Kosztowało mnie to trochę trudu.

- Co masz przeciwko niemu?

- Czy muszę wyliczać? Hulaszcze życie, hazard...

- I liczne przyjaciółki? Nie jestem głupia, Jethro. Znam mężczyzn. Przedstawił mnie tej kobiecie.

- Co za tupet! Nie miał prawa tak postąpić... kobieta o takiej reputacji!

- Mnie to nie przeszkadzało, więc dlaczego ty się denerwujesz?

Spojrzała na niego, wyczuwając dezaprobatę, która ją tylko zirytowała.

87

- Chcę odwiedzić dziadka, zanim wrócimy do Ravensley.

Zawahał się przez moment.

- Nie radzę, jeśli nie chcesz, aby ktoś zatrzasnął ci przed nosem drzwi.

- On też o tym wspomniał. Dlaczego, Jethro, dlaczego? Jestem jego wnuczką. Mam prawo go zobaczyć.

- To prawda, ale są inne problemy - przerwał na chwilę, nie mogąc znaleźć wytłumaczenia. - Jak wiesz, Mrs Grafton jest córką brata Sir Joshuy. Jej starszy syn Barton prowadzi interesy rodzinne, zajmując się handlem herbatą. Jego transakcje przynoszą kolosalne zyski. Oni nigdy nie zaaprobowali uczucia kapitana Rutlanda do twojej matki. Ponadto wychowałaś się we Włoszech, z dala od nich wszystkich. Kiedy odwiedzisz dziadka teraz, gdy jest chory, mogą oskarżyć cię o wywieranie na niego zbyt dużego nacisku, a gdy nadejdzie czas...

- Gdy umrze, to masz na myśli, prawda? - Nie bawiła się w ceregiele. - Myślę, że może zostawić mi jakieś pieniądze. Nie chcę ich. I tak był wystarczająco hojny, kocham go i chcę z nim być.

Wkrótce, pomyślał, Laurel będzie musiała poznać prawdę o swych narodzinach, mroczną płataninę, która nie dawała mu spokoju. Musi powiedzieć o tym z Ciarissą.

- Bądź cierpliwa, Laurel - nakazał łagodnie. - Znam jego lekarza, więc mogę go odwiedzać. Cieszy się, że jesteś szczęśliwa i masz dobrą opiekę. Nie staraj się na razie niczego zmieniać.

- Chyba nie mam wyjścia. To szlachetne z twojej strony, że tyle dla mnie robisz.

- To dotyczy twojej przyszłości. Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

88

- A to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma. Jeszcze tego nie dostrzegłaś?

- Nie wiem - zniecierpliwiła się. - Nigdy nie odwiedzasz Ravensley. Uśmiechnął się.

- Lekarz nie jest wolnym człowiekiem. Nie mogę, ot tak sobie, zostawić moich pacjentów, nawet jeśli bardzo bym chciał.

- Nie możesz nas odwiedzić od czasu do czasu?

- Może. Uścisnął jej dłoń.

- Latem jest o wiele łatwiej. Ludzie mniej chorują. Ale musisz już iść. Czekają na ciebie.

Musiała zadowolić się tą półobietnicą, choć nie dawała jej spokoju ani satysfakcji.

Cała rodzina pozostała w Londynie przez kilka tygodni, odwiedzając znajomych i zwiedzając Tower, Buckingham Palace oraz Westminster Abbey. W Hyde Parku minęli królową jadącą otwartym powozem z najstarszą córką, ubraną w białe muśliny, i jasnowłosym księciem w marynarskim mundurze. Królowa zamachała łaskawie do Ciarissy. Innego dnia mignął im następca tronu jadący konno obok swego ojca w Rotten Row.

- Na imię ma Edward, ale wołają na niego Bertie - oświadczyła z powagą Jessica. -

Wiem to od Rosemary. Była mu przedstawiona podczas jednego z królewskich przyjęć. W przyszłym roku kolej na mnie.

Ayishamowie byli ludźmi z prowincji. Źle znosili upał i kurz londyńskich ulic, więc pod koniec lipca powrócili do Ravensley.

89

5

Wstawał dzień. Październikowe słońce rzucające swe promienie na moczary oślepiło ją. Wiał silny wiatr. Siedząc pośrodku łodzi, Laurel opatulila się mocniej grubym płaszczem.

- Zmarzłaś? - spytał Robin.

- Nie.
- Podoba ci się?
- O tak, ogromnie.

Posłała mu uśmiech, a Robin odepchnął się drągiem, demonstrując giętkość swoich mięśni. Łódź wyrwała się do przodu.

- Hej, uważaj! O mało co nie wpadłeś na mieliznę. Nieźle byśmy wyglądali w tym grzęzawisku - wykrzyknął Tom, pochylając się niebezpiecznie, by odsunąć gęstą kępę trzciny i splątanych traw.

Ociekające wodą psy siedziały wyprostowane na dziobie, wypatrując swymi złocistymi oczami najmniejszego śladu ptaka lub zwierzęcia.

Laurel zdołała przekonać chłopców, by zabierali ją ze sobą na poranne wyprawy na bagna. Nie po raz pierwszy Robin zastukał do jej drzwi bladym świtem, by ściągnąć ją po schodach przy zdumionych spojrzeniach służby i prowadzić przez pokryte rosą trawniki do Toma czekającego już przy łodzi. Nie bawiło jej strzelanie. Zawsze odwracała wzrok od zabitych ptaków wrzucanych na pokład, nie cierpiała widoku szklanych oczu i krwi na matowych piórach. Pociągało ją przeżycie przygody, poczucie wolności, niezwykle zauroczenie wywołujące dreszcze, kiedy to łódź sunęła po rozlewiskach między sztywnym sitowiem, a jesienne trzciny migotały kolorami starego złota i purpurowej czerwieni.

90

Nagle wyprostowała się. Za rzadko rosnącymi wierzbami wyrastał stary dom skryty w zapuszczonym ogrodzie.

- Co to za miejsce? - spytała zaciekawiona.
- Westley Manor - Robin zamienił szybkie spojrzenie z Tomem. - Należało kiedyś do twojego dziadka i chyba nadal należy.
- Czy ktoś tam mieszka?
- Wynajmował je przez jakiś czas. Teraz mieszka tam tylko gospodarz.
- Można przywrócić mu blask - zamyśliła się.
- Musiałabyś wydać na to majątek - zapewnił Tom i łódź ruszyła do przodu.

Długie, letnie dni minęły w Ravensley spokojnie, wypełnione wiejskimi rozrywkami, przyjęciami w ogrodzie, piknikami, grą w krykieta, kiedy sprzyjała pogoda, szyciem i haftowaniem w mokre popołudnia, wizytami u sąsiadów, przyjmowaniem gości, wyprawą do Cambridge i zabawą na studenckim balu. Laurel uczestniczyła we wszystkich tych zwykłych wydarzeniach coraz bardziej zniecierpliwiona. Nie była pewna, czego naprawdę pragnie, wydawało jej się, że drepcze w miejscu.

Potrzebowała czegoś głębszego, marzyła by rozwinąć skrzydła i ulecieć gdzieś daleko, ale dokąd, w jakim kierunku nie wiedziała.

Zanosilo się na późne śniadanie. Zaczumowali łódź i rzucili się biegiem w stronę domu.

Tom targał na ramieniu torbę myśliwską, a psy urządziły sobie wyścigi na trawie.

Kiedy dotarli do stajni, ujrzeli Rosemary zajętą rozmową z Sethem Sterlingiem.

Pozornie nie było w tym nic nadzwyczajnego. Była kiepskim jeźdźcem i ojciec zabronił jej podróżować w pojedynkę. Ale stali tak blisko siebie, a w jej oczach było tyle swobody, że Laurel zaniepokoiła się nieco. Na dworze księcia Falcone przepaść, jaka

91

dzieliła służbę od pana, wydawała się nie do pokonania. Lekka i łagodna atmosfera Ravensley wprawiała ją wielokrotnie w zakłopotanie.

Pomyślała, że Robin odniósł podobne wrażenie, ale on zapytał tylko:

- Czy jadłaś już śniadanie, siostrzyczko?

- Jeszcze nie.

- Zatem chodź z nami - otoczył ją ramieniem, a dziewczyna ruszyła niechętnie z miejsca.

Ciarissa zobaczyła, jak razem wchodzą do małego salonu i zmarszczyła brwi. Nie aprobowała porannych wypraw Laurel, ale dziewczyna nie była jej córką, nie mogła więc zabronić jej tak drobnej rozrywki.

- Zjawiliście się w samą porę - powitała ich, wstając od stołu i odkładając serwetkę. - Zadzwońcie po służbę, jeśli chcecie świeżej kawy. Ja idę do Jessiki.

- Co jej jest? - zainteresował się Tom, przesuwając wzrokiem po srebrnej zastawie w kredensie.

- Boli ją gardło - poinformowała Margaret, która przybyła z Copthorne z wiadomością i została na śniadanie.

- Biedactwo! Ominie ją polowanie. To ją dopiero rozwścieczy. Czy ktoś ma ochotę na nereczki, zanim sam zjem dwa ostatnie kawałki?

- Nie wyobrażam sobie, jak możesz towarzyszyć chłopcom w polowaniach - zaatakowała Margaret, kiedy Laurel usiadła naprzeciwko niej. - Moim zdaniem, to obrzydliwe.

- Ale nie jest obrzydliwe, kiedy objadasz się pieczoną kaczką - zauważył nonszalancko jej brat.

- To co innego.

- Niebawem Laurel zostanie doskonałym myśliwym

-zauważył Robin, odstawiając talerz i siadając obok niej.

- Pozwoliłeś jej trzymać swoją drogocenną strzelbę!

- Margaret podniosła głos.

92

- A co w tym złego? Ustrzeliła dziś bekasa... w pierwszym podejściu.

- Szczęście nowicjusza - Margaret odsunęła krzesło i wymaszerowała z pokoju. Robin zmarszczył czoło.

- Co jej jest, u licha?

- Dotyk zielonego luda - poinformował Tom z pełnymi ustami.

- Co, u diabła, masz na myśli?

- Cóż, ty jej nigdy nie zaprosiłeś na polowanie na kaczki, prawda?

- Przecież nigdy by się nie zgodziła.

- Chyba w to nie wierzysz!

Tom nalał sobie kawy, a Laurel konsumowała śniadanie w milczeniu. Była już pewna gorzkiej zazdrości Margaret o Robina. Cóż, to nie była jej wina. Lubiła go tak samo jak Toma, ale do niczego nie namawiała. Co więcej, uważała, że Margaret zachowuje się po prostu głupio. Gdyby pragnęła mężczyzny tak gorąco jak Margaret Robina, z pewnością walczyłaby o niego do ostatniej kropli krwi. Wzruszyła ramionami i zajęła się śniadaniem.

Po posiłku udała się do swojego pokoju, podnosząc po drodze zamoczony płaszcz, który porzuciła w hallu. Ten sam, ciemnoniebieski, aksamitny płaszcz wykończony



futrem, który Jethro kupił jej w Paryżu. Podniosła go na chwilę do twarzy, zastanawiając się czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Dotrzymał swej obietnicy, wpadając czasami do Ravensley i uczestnicząc w ich letnich zabawach. Na półpiętrze przystanęła przed portretem stryjecznego dziadka Justina. Przez okno na końcu podestu wpadł promień słońca i ożywił wrogą twarz. Zadrżała, wspominając dzień, kiedy Jethro wynajął łódź i popłynęli daleko, w głąb Greatheart Fen. Z nieba lał się żar, powietrze było nieruchome

93

i ciężkie, wypełnione słodkim zapachem łąkowych ziół. Prawie nic o sobie nie mówił, ale gdy wpłynęli w cień jednego z czarnych młynów wyrastających na horyzoncie, przerwał niespodziewanie ciszę:

- To tu zginął mój ojciec.

- Czy to był wypadek?

- Niezupełnie. To stało się podczas powodzi... na bagnach ukrywał się pewien człowiek, który poprzysiągł na nim zemstę...

- Dlaczego?

- Nigdy się do końca nie dowiedziałem. Mój ojciec uczynił coś wiele lat wcześniej, aż spotkała go kara. Walczyli ze sobą na tym pomoście i utonęli razem połączeni w śmiertelnym uścisku.

Popatrzyła na posępne żagle, nieruchome w martwym powietrzu i poczuła na plecach ciarki.

- To musiało być dla ciebie straszne przeżycie.

- Z jednej strony tak, ale odczułem też ulgę - ciągnął w zadumie. - Nie potrafiłem go kochać. Wymagał ciągłego posłuszeństwa trzymając w dłoni różgę, dla nikogo, kto wszedł mu w drogę, nie miał litości. Później dowiedziałem się, że zrobił coś, czego nikt nie jest w stanie wybaczyć.

Przypomniała sobie niepokojącą twarz z portretu, tak podobną do twarzy Jethro.

- Co takiego zrobił? Odpowiedział wymijająco.

- W rodzie Ayishamów zawsze istniały skłonności do zła. Legenda mówi, że wszystko zaczęło się tysiąc lat temu, kiedy Torkil the Dane poślubił czarnowłosą księżniczkę Iceni. W straszliwych mękach cierpiał za to, co wraz ze swymi towarzyszami uczynił jej ludowi.

- To znaczy, że są szaleni?

- Nie szaleni, opętani i okrutni wobec każdego, kto stanie im na drodze.

94

- Czy ty też taki jesteś?

- Być może tkwię gdzieś pośrodku - uśmiechnął się. - Ale wystarczy tych ponurych rozmów. Dzieciak taki jak ty nie powinien tego wysłuchiwać.

- Nie jestem dzieckiem.

- Nie, oczywiście, że nie. Jesteś już dorosłą, młodą damą - zażartował, kiedy wypłynęła z cienia na słoneczny blask. - Ciągłe o tym zapominam, prawda?

Darzył ją takim samym uczuciem jak Rosemary lub Jessikę, a jednak czasami dostrzegała blask w jego oczach i jej dojrzała intuicja podpowiadała jej, że uczucie to nie było takie samo, że było to coś silniejszego niż zwykła sympatia, choć nigdy nie nazwane.

Westchnęła na wspomnienia tamtych chwil i pobiegła korytarzem do pokoju Jessiki. Jessica siedziała w łóżku, cała rozpalona. Obok na kołdrze zwinął się w kłębek wielki, szary kot.

- Przeziębłam się - zaskrzeczała - i to właśnie przed samym polowaniem. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Laurel. - Opowiemy ci o wszystkim z Rosemary.

- To nie to samo - zajęczała. - Lepiej nie podchodź, bo też się przeziębisz.

- Nic mi nie będzie. Jestem bardzo odporna - pogłaskała za uchem kota, który ziewnął, ukazując różowe podniebienie. - Czy Jet tam będzie?

- Chyba tak. Nigdy nie opuścił takiej imprezy. Och, idź już - zakwiliła. - Nie jestem w stanie o tym rozmawiać.

Uczestnicy polowania mieli się spotkać w domu Sir Hugh'a Berkeley'a, około pięciu mil od Ravensley. Dzień wcześniej posłano tam konie, a rodzina upchana w powozy wyruszyła do Barkham wczesnym rankiem. Było to wyjątkowe spotkanie przyjaciół i sąsiadów.

95

Hugh Berkeley hodował gromadę psów myśliwskich, a ponadto był doskonałym myśliwym. Każdy w hrabstwie wiedział, iż przed laty namiętnie kochał matkę Toma, ale ta odrzuciła jego uczucia dla Harry Fentona. Hugh pozostał więc bogatym kawalerem do wzięcia. Mizerny, kruchy wygląd nie powstrzymywał go od zimowych polowań. Dobrotliwie powitał Laurel. Dziewczyna rozejrzała się dokoła z zaciekawioną. Spektakl zapowiadał się doskonale; mężczyźni w swych myśliwskich strojach, okazałe konie biegające po dziedzińcu przed dworem, służba w zielonych liberjach częstująca gości gorącym winem korzennym w srebrnych pucharach.

Kobiety stanowiły tu mniejszość, a prawie wszystkie przekroczyły wiek średni. Laurel i Rosemary zaliczały się do najmłodszych. Zanosilo się na trudną jazdę. Lord Ayisham wydał Sethowi ściśle instrukcje, by uważał na młode damy, kiedy wyjadą na pole, bynajmniej nie dlatego, że obawiał się o Laurel, która dowiodła swej jeździeckiej odwagi. Było to jej pierwsze polowanie i wszystko dokoła wydawało się niezwykle ekscytujące - rozmowy, śmiech, zapach koni i skórzanych uprzęży, powiew wiatru na twarzy. Wyróżniała się w swej czerwono-czarnej amazonce, przyciągając wzrok pozostałych gości. Gadabout był równie podniecony jak jego pani, potrzasał łbem gotowy do biegu. Kręcił się niespokojnie, wykonując kolisty taniec, więc Laurel pochyliła się, szepcząc mu coś do ucha i zdobywając nad nim kontrolę.

- Co to za magia?

Spojrzała w górę i zobaczyła uśmiech fethro. Jej szczęście dopełniło się.

- To nie magia, ale miłość - zamruczała.

- Może to właśnie jest najsilniejsza magia.

96

Jeden ze służących zaproponował jej srebrny puchar. Pociągnęła łyk i przekazała go Jethro.

- Za pomyślny dzień.

- Za bardzo pomyślny dzień.

Pijąc nie odrywał od niej oczu, następnie oddał czarkę służącemu, a Laurel wiedziała już, że ten dzień będzie inny niż wszystkie.

Ruszyli alejką i wyjechali przez parkową bramę. Zawracając Gadabouta dostrzegła Margaret stojącą na schodach, jej małą, ostrą twarz o nieruchomym spojrzeniu. Matka uznała, że jest zbyt młoda, by dosiąść konia wraz z innymi. Wbiła więc wzrok w szczupłą, wyprostowaną figurę Laurel jadącą między Robinem a Jethro i z całej siły wbiła sobie w dłonie paznokcie, zadowolona z fizycznego bólu. Kiedy zniknęli z widoku, przywołała jednego z psów i ruszyła na spacer do parku, obmyślając swój własny plan.

Zapowiadał się cudowny dzień. Poprzedniej nocy chwycił lekki mróz. Czubki drzew lśniły srebrem, a słońce przemieniło cienkie pajęczyny w błyszczące, diamentowe sieci rozwieszone nad żywopłotem. Gadabout wydłużył krok, galopując przez pola, a Laurel poczuła ostre uderzenia wiatru na policzkach. Przeskakiwała przez szerokie rozpadliny w ziemi, zatrzymywała się przed rowami i kładkami, oddalała się od swych towarzyszy, by za chwilę znów się z nimi połączyć. Wiedziała, że Robin i Jethro walczą ze sobą w wyścigu, cieszyła się uczuciem władzy jaką nad nimi miała. Po pewnym czasie dojechali do wysokiego, nierównego ogrodzenia biegnącego wzdłuż rowu melioracyjnego.

- Nawet nie próbuj. Poszukaj furtki! - wrzasnął Jethro.

97

Laurel potrząsnęła głową. Przed chwilą dokonała własnej oceny.

- Dla Gadabouta to drobiazg - krzyknęła przez ramię.

Nadjeżdżającego z tyłu Robina ogarnęły wątpliwości. Większość jeźdźców, poszturchując się wzajemnie przejechała przez otwartą furtkę, ale on nie mógł znieść myśli, że mógłby okazać się gorszy od Jethro. Gada-bout bez trudu przeskoczył przez płot, Jethro poszedł jego śladem. Z dala dobiegł go ich śmiech, gdy pędzili po otwartym polu. Robin zaklął pod nosem i uderzył Barona batem po karku. Koń przygotował się do skoku, ale jedna noga została w tyle i utkwiała w niewidocznym, drucianym zwoju. Robin przeleciał nad końskim łbem i upadł ciężko na ziemię, na swoje szczęście unikając miażdżących kopyt. Seth, obserwując jednym okiem Rosemary, zauważył upadek i zatrzymał się:

- Jedź - krzyknął do niej. - Ja się zajmę paniczem Robinem.

Rosemary chciała stanąć w miejscu, ale jej podniecony koń poniósł ją daleko. Po kilku minutach opanowała go i wróciła na miejsce wypadku.

Dwóch jeźdźców zatrzymało się przy Robinie.

Laurel i Jethro, pędząc daleko przed siebie, nie widzieli upadku. Psy zgubiły trop i znów go odnalazły. W pewnym momencie Laurel dostrzegła lisa, giętką, czerwono-brązową pręgę gnającą desperacko z wywieszonym językiem. Znaleźli go wczesnym popołudniem po długiej i świetnej obławie. Psy szalały, ujadając i kręcąc się dokoła, a mistrz polowania odganiał je, odcinając kitę. Sir Hugh wziął ją w dłonie, zanurzył palec w krwi, przeciągnął nim po policzku Laurel i wręczył jej trofeum. Na moment zapomniała o rozszalałych psach, stęchłym zapachu krwi i lisa. Ogarnęło

98

ją podniecenie i triumf. Jethro pochylił się do przodu i przypiął kitę do jej obcisłej kurtki.

Wielka, czerwona kula słońca zatapiała się za czarnym horyzontem drzew. Laurel jechała wolno obok Jethro. Pozostali jeźdźcy rozproszyli się, niektórzy zmęczeni prowadzili swe spocone rumaki. To dziwne, pomyślała Laurel, że choć przez cały dzień prawie ze sobą nie rozmawiali czuła się mu jeszcze bardziej bliska. Byli już na skraju młodego zagajnika, kilka mil od Barkham, kiedy Laurel poczuła, iż Gadabout potyka się.

- Chyba kuleje - przerwała milczenie.

- Jesteś pewna?

- Czuję to. Lewa tylna noga, tak mi się zdaje - zatrzymała się i zeskoczyła z siodła. - Czy myślisz, że zwicznął ją podczas skoku?

- Może to po prostu jakiś kamyk w kopycie. Rzucę okiem - Jethro zeskoczył z konia. - Potrzymaj lejce.

Czekała niecierpliwie, gdy podniósł kopyto i zbadał je dokładnie.

- To nic poważnego. Duży kamień utkwiał mu pod podkową. Chyba zdołam go wyciągnąć.

Wyjął z kieszeni scyzoryk z groźnym stalowym ostrzem.

- Nie uwierzysz, co potrafię nim zrobić. Uspokoila konia, klepiąc go po karku i szepcząc mu

coś do ucha, podczas gdy Jethro cierpliwie wydobywał kamień. Po chwili wyprostował się.

- Mam. Ostry krzemień. Lepiej już koniku, prawda?

Pogłaskał go po zadzie. Zaszło już słońce, wydłużyły się cienie drzew.

- Robi się zimno - rzucił. - Musimy wracać, bo nie będziesz mieć siły na tańce.

Miesiącami próbował wyrzucić ją ze swych myśli. Bezskutecznie. Mimo twardych postanowień jej twarz

99

pojawiła się wciąż przed jego oczami, wywołując ból i szaleństwo.

Niespodziewanie zatriumfowała w nim namiętność. Przyciągnął ją do siebie, odnalazł jej usta, a jego gorąca pasja zniewoliła ją całkowicie. Nie zaprotestowała, a on poddał się urokowi chwili. Czas zatrzymał się dla nich bez tchu, ale nie na długo. Poczul w sobie wściekłą złość na własną słabość. Odsunął się, odgarniając kosmyki jedwabnych włosów i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Jethro - szepnęła. - O, Jet kochanie!

- Na Boga, nie mów tak... Nie wolno ci, nigdy. Chwyił ją dość brutalnie i posadził w siodle. Wskoczył na swego wierzchowca i ruszył przed nią przez las. Laurel, choć zaskoczona jego zachowaniem, nigdy nie była tak bezgranicznie szczęśliwa, Kiedy dotarli do Barkham, większość gości stała już w hallu, popijając herbatę, brandy lub wodę, rozprawiając o dzisiejszym polowaniu na lisa. Laurel pobiegła na górę do swojego pokoju, który dzieliła z pozostałymi dziewczętami, aby umyć się i przebrać na bal. Otworzyła drzwi i wpadła na lady Ayisham w towarzystwie Rosemary i Margaret. Spojrzały na nią w grobowym milczeniu, a ona natychmiast wyczula rosnące napięcie.

- Co takiego? Co się stało?

- Robin spadł z konia - odezwała się cicho Ciarissa.

- Nie widziałas?

- Nie...

- Oczywiście, że nie - wtrąciła Margaret. - Jechała jak szalona. Robin mógł się zabić, ale co to ją obchodzi.

- To niesprawiedliwe - oburzyła się Rosemary.

- Byłam tam. Widziałam wszystko. Laurel i Jethro byli już daleko w przedzie. Nie mogli tego widzieć.

100

- Ty zawsze znajdziesz dla niej jakieś usprawiedliwienie...

- Uspokójcie się obie - zdenerwowała się Ciarissa.

- Czy Robin jest ranny? - szepnęła Laurel.

- Nie tak poważnie, jak nam się zdawało. Ma zwichnięte ramię, kilka siniaków i pęknięte dwa zębra.

- A koń?

- Złamał nogę. Musieliśmy go dobić.

- Och, nie, nie...

Niespodziewanie cała radość z minionego dnia prysła pod wpływem głupiego, niepotrzebnego wypadku.

- Dlaczego Robin postanowił skakać? - wyrzuciła z siebie. - Dlaczego nie objechał ogrodzenia? Tak zrobili prawie wszyscy.

- Przecież wiesz, dlaczego - syknęła ostro Margaret.

- Wezwaliśmy już doktora - przerwała jej Ciarissa - ale Robin nadal bardzo cierpi z bólu. Chcę, aby Jethro go obejrzał. Czy wrócił razem z tobą?

- Tak.

- Dobrze. Znajdę go. Margaret, chodź ze mną. Wyszły z pokoju, a Margaret potraktowała Laurel jak powietrze.

- Powinnam była się domyślić. Powinnam była się zatrzymać - Laurel opadła ciężko na łóżko.

- Przecież to było niemożliwe - stwierdziła z całą powagą Rosemary. - Robin by tego nie zniósł, a ja byłam przy nim razem z Sethem. On jest taki wspaniały. Doskonale wiedział co robić.

- Dlaczego Margaret tak mnie nienawidzi?

- Nie zwracaj na nią uwagi - poradziła Rosemary, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Widziała jak nieśli Robina i przeraziła się, że nie żyje. Strasznie ją to przygnębiło.

- Biedny Robin.

- Gorszy los spotkał Barona. Seth musiał go zastrzelić. Okropne.

101

Laurel rozpięła kurtkę. Rudawy ogon z czarnym koniuszkiem nadal zwisał z miejsca, gdzie przypiął go Jethro. Rosemary popatrzyła z zazdrością.

- Widzę, że Sir Hugh udekorował cię kitą.

- Tak - dotknęła ją delikatnie, ale cała radosna duma i podniecenie uleciały gdzieś w nieznane.

Umyła się i przebrała, ale przygnębenie nie minęło. Kiedy były już gotowe, spytała Rosemary, do którego pokoju zabrano Robina i pomaszzerowała długim korytarzem, by go zobaczyć. W drzwiach natknęła się na Jethro.

- Jak on się czuje? - wyszeptwała.

- Przeżyje.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Byle nie za długo. Doktor zaaplikował mu silny środek przeciwbólowy.

Robin obłożony poduchami, wyglądał bardzo blado, ale zdobył się na uśmiech, kiedy weszła.

- Zrobiłem z siebie głupka, prawda? - stwierdził z żalem. - A co gorsza, ojciec jest na mnie wściekły, bo trzeba było dobić konia.

Podeszła do łóżka.

- Biedny Robin, to musiało być straszne.

- To tylko moja wina, jak twierdzi Jethro.

- To nieładnie z jego strony. Każdy może się pomylić - delikatnie dotknęła bandażu. - Bardzo boli?

- Bolało okropnie, kiedy składali mi ramię. Teraz można wytrzymać - podniósł drugą rękę i dotknął jej dłoni. - Wyglądasz tak ślicznie. Nie mogę sobie wybaczyć, że wszyscy inni faceci będą z tobą tańczyć, podczas gdy ja tu leżę jak kłoda.

- Nic nie szkodzi. To nie ostatni bal. Pod wpływem lekarstwa oczy Robina zaszyły mgłą. Laurel instynktownie pochyliła się nad nim i pocałowała w czoło.

102

- Będę o tobie myślała - szepnęła cichutko i wybiegła z pokoju, w obawie, że przemówi głosem serca.

\* \* \*

Jethro zobaczył, jak wchodzi do sali balowej u boku Rosemary. Skromna, satynowa suknia w kolorze kości słoniowej pozbawiona drogocennych klejnotów, kształtna głowa i ramiona wystające dumnie z piany delikatnych koronek, białe róże w rudych włosach. Przypomniawszy sobie Rzym... dzień, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy... Francesca da Rimini, piękna i potępiona... przeklinał siebie za to, że zakochał się do szaleństwa w dziewczynie, która najprawdopodobniej pozbawiona była serca, jak jej niegodziwa matka, i która już zdołała opętać tego naiwnego głupca Robina. Gdyby miał trochę rozumu, powtarzał sobie, wyjechałby natychmiast po polowaniu do Ely, tam złapałby pociąg do Londynu, by skryć się bezpiecznie w Szpitalu św. Tomasza. Niektórzy uważali go za człowieka bardzo powściągliwego, dumnego, zimnego mężczyznę, który nigdy o sobie nie mówił. Nikt nawet nie przypuszczał, że płonie w nim ogień namiętności, bo tak bardzo oddawał się swej pracy i walczył o słuszne sprawy. Ale tego wieczoru poddał się urokowi chwili. Odrzucił wszelkie obawy i ruszył, by powitać ją i zatrzymać tylko dla siebie.

Początkowo spokojny bal przerodził się w wesołą, rozszalałą zabawę. Lansjery, kwadryle, chodzone tańce dla czterech par ustąpiły miejsca galopadom. Laurel nie opuściła żadnego z nich tańcząc z Jethro, unosząc się marzycielsko w takt walców wiedeńskich, zaśmiewając się w płataninie mazurków, wirując z rozwianymi spódnicami w rytmie polki.

/ Taniec z tym samym partnerem wywoływał komen-Jtarze, ale nie zwracała na to większej uwagi. Pozwalała

103

niesfornym młodzieńcom deptać swe satynowe pantofelki, ale zawsze wracała w rozkoszne ramiona Jethro. Nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele, a jednak każde

wypowiedziane słowo zdawało się mieć jakieś szczególne znaczenie. Nie zauważyła ponurej miny Ciarissy, nie usłyszała jak Oliver szorstko napomniął swego brata: „Na Boga, mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Jet.”

- A co takiego robisz? Bawię się, to wszystko. Chociaż raz w roku.

- Nie łam serca temu dziecku.

- A kto mówi o łamaniu serc? - spytał lekceważąco. - To są bzdury, Oliverze.

O drugiej nad ranem upchali się w dwa powozy i wyruszyli do Ravensley. Jethro pozostał na miejscu, opiekując się Robinem przed swym powrotem do Londynu.

Ujął obie dłonie Laurel i całując je na przemian, życzył jej dobrej nocy. Przez cały wieczór czekała, aż powie: „Kocham cię” i rozczarowała się lekko, gdy tego nie uczynił, ale już nic nie było w stanie powstrzymać radości jej serca.

Długo nie mogła zasnąć, galopując w myślach przez pola na grzbiecie Gadabouta i tańcząc z zachwytem w ramionach Jethro. Zadrżała w podnieceniu na wspomnienie jego pocałunków, zastanowiła się, dlaczego nie czuje nic do Robina, widując go tak często, podczas gdy muśnięcie dłoni Jethro powodowało bicie jej serca. Wyobraziła go sobie leżącego obok, pieszczącego jej ciało silnymi dłońmi, a potem zarumieniła się, kryjąc twarz w poduszce, zawstydzona własnymi myślami, podświadomie i skrycie ciesząc się nimi.

O świcie zdawało się, że ktoś otwiera drzwi do jej pokoju, a następnie cichutko je zamyka. Pograżona we śnie, westchnęła tylko, nie mając pewności czy to sen, czy rzeczywistość. Obudziła się w pełni dnia. Z wysił-

104

kiem spojrzała na stojący przy łóżku zegar. Minęła jedenasta. Bez wątpienia tego ranka wszyscy spali po balu jak zabici.

Wysunęła się z łóżka i rozsunęła kotary. Pogoda była piękna, a w pokrytym lekkim szronem świecie przeglądały się promienie słońca. Ziewnęła i podeszła do toaletki.

Widok, jaki ujrzała sparaliżował ją. Ktoś ułożył przed lustrem martwego ptaka, drozda z brzuszkiem przebitym metalowym szpikulcem, kropla krwi zakrzepła na białej, koronkowej serwetce. Jedyne, co przyszło jej w tej chwili do głowy to dziecięcy wierszyk -

Kto zabił drozda? Ja, oznajmił wróbelek. Zabilem go strzałą z luku.

Po chwili pozbierała myśli. Przypomniała sobie otwieranie i zamykanie drzwi... ktoś musiał przynieść ptaka w środku nocy, ale kto i dlaczego? Złośliwość, zazdrość...

Margaret, to na pewno była Margaret. Wpadła w złość. Co takiego zrobiła, by zasłużyć sobie na takie traktowanie? Nalała zimnej wody do miski, opłukała twarz, a następnie wzięła kąpiel i jak najszybciej nałożyła sukienkę. Nie chciała dotykać ptaka.

Wyciągnęła z szuflady czystą chusteczkę, owinęła nią drozda, wzięła go do ręki i opuściła pokój. Schodząc do saloniku musiała przejść obok szkolnej sali, którą przemodelowano na bawialnię dla dziewcząt. Drzwi nie były domknięte. Usłyszała własne imię i przystanęła.

- Trzeba powiedzieć Laurel.

- Co?

- Wiesz dobrze jak ja.

- Myślę, że nie powinniśmy.

105

To głos Rosemary, łagodny, uspokajający.

- Mamie by się to nie spodobało. Ponadto nie znamy całej historii.

- Ja znam. Próbowali wszystko zatuszować i nic nam nie mówić, ale wszystko wyciągnęłam z Patty Starling - podniosła głos Margaret w przenikliwym triumfie. - Po wczorajszych ekscesach Laurel powinna wiedzieć.

Zbyt długo już tego wysłuchiwała. Otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Co takiego powinnam wiedzieć?

Zawisły na niej trzy pary oczu. Jessica, wciąż blada, przycupnęła w fotelu przy kominku, za nią stała Rosemary, a Margaret siedziała pośrodku pokoju, trzymając rękę na stole. Przez moment zapanowało milczenie, Laurel weszła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Zanim powiecie mi, co takiego powinnam wiedzieć... Która zostawiła to na mojej toalecie?

Rzuciła chusteczkę na stole, a martwy ptak wytoczył się z niej prawie na dłoń Margaret. Cofnęła ją z wrzaskiem. W oczach Rosemary malowało się przerażenie, a Jessica podeszła do stołu, dotykając jednym palcem drozda.

- Moim zdaniem to był Ram Lali.

- Biedny, stary Hindus... dlaczego miałby to zrobić?

- Uwielbia Robina. Nie zauważyłaś tego? Czasem chodzi za nim jak pies - ciągnęła Jessica. - Być może pomyślał...

- Że chciałam go skrzywdzić... Ale to niedorzeczne - wybuchnęła Laurel.

- Tak, ale on ma nie po kolei w głowie.

- Ale ja tak lubię Robina.

f- Czyżby? Zeszłej nocy nikt tak chyba nie przypuszczał, kiedy tak harcowałaś z Jethro - syknęła Margaret.

106

- A co miałam robić? Usiąść i płakać przez cały wieczór? To chyba ostatnia rzecz, jakiej życzyłby sobie Robin.

- Jesteś taka, jak twoja matka. Nie obchodzą cię inni, liczą się tylko twoje zachcianki.

- Co wiesz o mojej matce?

- Bardzo dużo... więcej niż ty.

- Margaret! Przestań! - przerwała Rosemary.

- Nie, nie przestanę. Niby dlaczego? Powinna się czegoś o sobie dowiedzieć, zanim znów zacznie udawać wielką damę w modnych fatalaszkach i zadzierać nosa. Jesteś bękartem... tak właśnie, bękartem. Twoja matka nigdy nie poślubiła kapitana Rutlanda.

- Właśnie, że tak... - szepnęła Laurel. - Dziadek mi to powiedział. Mój ojciec zginął, zanim się urodziłam, ale wszystko o nim wiem.

- Czyżby? Naprawdę wiesz wszystko? - nie dawała za wygraną Margaret. - Był podły. Wulgarny prostak i tyran... nawet nie dżentelmen.

- To kłamstwo - wybuchnęła Laurel, ale teraz już nic nie mogło powstrzymać Margaret.

Miotła słowami, ordynarnymi, złośliwymi, przepelnionymi jadem.

- Ależ tak. Twoja matka była żoną Justina Ayishama, naszego stryjecznego dziadka, ale to jej nie wystarczało, została kochanicą Bulwera Rutlanda - a on nie był jej jedynym kochankiem - tu wszyscy wiedzą, jaka była! Może to nie on był twoim



ojcem, może to był jeden ze służących, stajennych lub koniuszych, a może jakiś wędrowny handlarz...

- Dość! - wrzasnęła Laurel z wściekłością. - Dostyc! Nie będę słuchać tych kłamstw. Nie mogąc się powstrzymać, z całej siły uderzyła Margaret w twarz.

107

Dziewczyna nie odwzajemniła ciosu. Stała nieruchomo z trudem chwytając powietrze. Palce Laurel pozostawiły purpurowy ślad na jej bladym policzku. Martwą ciszę przerwał łoskot toczącej się kłody w palenisku, rozsiewającej fontannę iskier.

Margaret przemówiła spokojnym i opanowanym głosem, tak niepasującym do młodej dziewczyny.

- Twoja matka zaręczona była z wujkiem Oliverem, ale porzuciła go, kiedy Justin Ayisham wrócił z Indii i ograbił go z dziedzictwa. Poślubiła Justina dla jego pieniędzy i tytułu.

Margaret pochyliła się i jak wąż zasyczała prosto w twarz Laurel:

- Czy wiesz, co to oznaczało? Poślubiając go, poślubiła własnego ojca.

Laurel wbiła w nią nieruchomy wzrok.

- Jesteś szalona, musisz być szalona.

Z rozpaczą popatrzyła na Rosemary i Jessikę.

- Powiedźcie jej, że zwariowała. Dlaczego nic nie mówicie?

Ale obie dziewczyny milczały jak grób, a Margaret ciągnęła bezlitośnie:

- O, nie. Nie jestem szalona. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj wujka Olivera, spytaj ciotkę Ciarissę, dlaczego tak cię nienawidzi. Zbrodnie Justina Ayishama zmusiły go do ucieczki do Indii, ale dziewczyna z Westley Manor, której brata zamordował, której zrujnował życie utopiła się, ale jej dziecko przeżyło... dziecko, które znaleziono na bagnach i przywieziono do Raven-sley było twoją matką, a jego córką.

Laurel nie mogła zrobić najmniejszego mchu. Jej matka, jej cudowna matka, winna takiej ohydnej zbrodni. Odezwała się stłumionym głosem:

- Czy o tym wiedziała?

- A kto to wie? - zaszydziła Margaret. - Skandal

108

wybuchł dopiero wtedy, gdy jej zdrada doprowadziła go do szaleństwa i śmierci.

Wujek Oliver starał się temu zapobiec, ale wszyscy już wiedzieli. Kiedy wracała z kościoła, rzucali w nią kamieniami. To dlatego twój dziadek zabrał ją do Włoch, to dlatego nie mogła już wrócić do Anglii, a ty nie powinnaś była wracać także, bo jesteś częścią jej nikczemności...

\* \* \*

Laurel poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Nie mogła wydusić ani słowa. Wszystko stało się jasne. Justin Ayisham, zgorzkniały człowiek, który uciekł do Indii, bezlitośnie porzucając uwiedzioną dziewczynę. Ukradł żonę swojemu bratu, która urodziła mu Jethro. Kiedy brat umarł, Justin powrócił do Anglii. W pięknej dziewczynie, której tak bardzo pożądał nie rozpoznał własnej córki. Zadrżała. Czy to właśnie ten perwersyjny związek rzucił ją w ramiona Bulwera Rutlanda? Wiedziała, że to prawda, ..coś, czego nikt nie jest w stanie wybaczyć...tak Jethro powiedział kiedyś o swym ojcu. Na bladej twarzy Jessiki malowało się przerażenie. Rosemary odwróciła twarz.

- Sama więc widzisz jak to było, prawda? - dokończyła słodkojadowitym tonem Margaret. - Mąż twojej matki był także ojcem jej i Jethro, a więc byli rodzeństwem. To zabawne - zaśmiała się pełnym triumfu chichotem jak z dobrego żartu. - Czy to nie śmiechu warte? Jethro jest twoim wujkiem, tak samo jak moim, Rosemary czy Robina. Laurel nie mogła złapać powietrza, zdawało jej się, że grzęźnie w bagnie, że nie może wydostać się z cuchnącego, lepkiego błota. Ciosy były tak szybkie i tak bezlitosne, że przyjmowała je z trudem, ale ten ostatni był niewyobrażalny i nie do zniesienia.

Odwróciła

109

się i wybiegła z pokoju. W głowie miała zamieszanie, ale wiedziała, że musi stąd uciec, jak najdalej... jak najdalej od Ravensley.

Usłyszała głos Rosemary, ale nie zwróciła nań żadnej uwagi. Minęła Ram Lalla i zbiegła na dół schodami. Tym razem Ram Lali zostawił ją w spokoju. W hallu nie było nikogo. Śpiący na tarasie Sohrab otworzył jedno oko, kiedy przebiegała obok. Jeden z ogrodników wyprostował się na jej widok, ale po chwili wzruszył ramionami i zajął się wrywaniem chwastów. Laurel skierowała się ku bagnetom, ogromnym, cudownym moczarom, które od zarania dziejów dawały schronienie tylu nieszczęśliwym istotom. Tam mogła być sama. Tam mogła pogodzić się z okrutną prawdą.

6

W samym środku Greatheart Fen wyrastał Spinney Mili. Młyn, w którym silnik parowy okazał się mniej zawodny od niestałego wiatru. Zaskrzypiało czarne, wielkie koło, a niemrawy strumyk w dole pokryty był gęstą, zieloną pianą. Biegła i szła już od kilku godzin, po suchych nasypach, czasem nieostrożnie po płytkich zatoczkach, nie rozglądając się na boki, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazła. Przemoczyła swe skórzane pantofelki, a brzeg jej sukni oblepiony był błotem. Ale nie można uciec przed własnymi myślami. Stała przed starymi, drewnianymi wrotami młyna i wyczerpana, bez tchu, pogodziła się z gorzką prawdą.

110

Baśniowy świat dzieciństwa, misterna sieć kłamstw i prawdy utkana przez jej dziadka, wszystko to rozpadło się jak domek z kart. Jej ojciec był łajdakiem, matka dziwką... ona sama nieślubnym dzieckiem, bękartem. To wystarczająco bolesne, lecz może nauczy się z tym żyć, ale było coś gorszego, coś, co kapnęło z ust Margaret niczym krople zatrutego miodu. Te słowa powracały jak echo... Jethro jest twoim krewnym, młodszym bratem twojej matki, twoim wujkiem... i ten śmiech, szyderczy, ironiczny śmiech, bo przecież Laurel dowiodła tak wyraźnie, z dumą, że kocha go ponad wszystko. Słowa te pulsowały jej w głowie, ale pojawiło się jeszcze jedno wywołując strach... kazirodztwo... za-bronione przez Kościół i państwo. Usłyszała je kiedyś we Włoszech, hańba, którą trzeba skrywać, wstyd, o którym nie wolno wspominać. Narastał w niej bunt. To nieprawda, to nie mogła być prawda, zlekceważy to, nie podda się. W tej jednej chwili z dziecka przemieniła się w kobietę walczącą o miłość, która przyszła niespodziewanie, ale całkowicie ją opętała. W złości na taką niesprawiedliwość walnęła pięścią w twardą ścianę. Wiedziała już, dlaczego Jethro wahał się. To wiele tłumaczyło: jego obojętność we Włoszech, zrozpaczoną twarz,

kiedy pocałował ją zeszłego popołudnia, pełen goryczy urok balu. Dlaczego jej nie powiedział, dlaczego, dlaczego?

Podmuchał zimny wiatr przeleciał przez mokradła, młyn zaskrzypiał nad jej głową. Coś poruszyło się, skrycie między wysokimi trzciniami, czuła, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się gwałtownie dokoła, ale niczego nie dostrzegła, tylko samotne drzewo wyrastające na tle ciemnego nieba i furkot przelatującego nisko ptaka, jastrzębia szybującego lekko nad swą ofiarą. Wspięła się po stromych schodach wewnątrz młyna prowadzących na zewnętrzny pomost. Kiedy

111

wydostała się przez górną szparę, stanęła jedną nogą na wąskiej krawędzi. Wiał silny wiatr, rozwiewając jej włosy na długie pasma, które były ją zaciekle po twarzy. Posunęła się wzdłuż występu, trzymając się kurczowo poręczy i wpatrując się w płaski, opuszczony łąd.

Gdzieniedzie kłębki mgieł przesuwają się na mroźnym powietrzu niczym biały dym. Poczuli się bardzo samotni. Szczęście i spokój, jakie odnalazła w Ravens-ley, rozpadły się w drobny mak. Dlaczego Jethro przywiózł ją właśnie tutaj? Jedno wielkie kłamstwo. Udawali tylko, w głębi duszy nienawidząc jej, ale ona pozostała sobą. Nie mogą zniszczyć prawdziwej Lau-rel. Nagle nabrała siły i pewności siebie. Dumnie podniosła głowę. Pojedzie do Londynu do swojego chorego dziadka, odbuduje przy nim swoje życie. Stawi czoła Alice Grafion i jej synom. Miała prawo być u boku Sir Joshuy. Nikt jej nie złamie. Właśnie zawracała, gdy jej oczom ukazał się Ram Lali. Jego białe, bawełniane szaty powiewały na wietrze, czarne oczy płonęły na ciemnej twarzy, wąskie usta wykrzywione były w grymasie.

On jest szalony, pomyślała, i nienawidzi mnie! Dopiero wtedy przypomniała sobie opowieść Jethro. To właśnie stąd spadł jego ojciec, osaczony przez człowieka, który latami planował swą zemstę. Ogarnęło ją przerażenie. Wpadła w pułapkę, droga odwrotu była odcięta. Nie mogła ominąć go na tak wąskiej krawędzi. Zadygotała, nie mając pojęcia, co dalej. Wydał z siebie dziwny, bulgoczący dźwięk, a ona zrobiła zdecydowany krok w jego stronę, przemawiając spokojnie, łagodnie jak do zdenerwowanego konia.

- Co tu robisz, Ram Lali? Jest bardzo zimno i niebezpiecznie. Możesz spaść.

Zejdziemy razem?

Potrząsnął głową i z wyciągniętą ręką ruszył naprzód. Cofnęła się i tak obeszli dokoła cały pomost,

112

wolno, krok po kroku. Utkwił w niej swe czarne oczy jak wąż paralizujący ofiarę. Dotarli do otworu prowadzącego w głąb młyna. Już miała wskoczyć do środka, kiedy chwycił ją wpół. Cienkie ramiona wykazały zadziwiającą siłę. Próbowwała się wyrwać, strach dodawał jej siły. Przesunął dłonie w górę, poczuła, jak zaciskają się na jej gardle. Chciał ją udusić. W desperacji odepchnęła go z całej siły. Nocny przymrozek utworzył na wąskiej krawędzi śliską warstwę. Nie zdołał utrzymać równowagi. Padł na plecy, a metalowa poręcz z przeszywającym łoskotem wyrwała się z zardzewiałych zawiasów. Hindus wydał z siebie przeraźliwy krzyk i uderzając się w głowę wpadł do wody. Tylko jakimś nieludzkim wysiłkiem udało jej się utrzymać równowagę.

Trzymając się urwanej poręczy, dygotała z przerażenia.

Ze swej łodzi płynącej w górę strumienia Moggy dostrzegł niewyraźną postać koziółkującą w powietrzu, a po chwili usłyszał plusk wody. Wydawało mu się, że ujrzał ducha. Ale mężczyzna siedzący za nim na łodzi wrzasnął głośno, a mgła nad wodą rozwiała się.

- Boże miłościwy, tam na górze są jakaś panienka! Widzisz Moggy?

- Taak, widzę. Poszukaj tego biedaka, Nampy. Jaja tu sprowadzę.

Moggy jednym susem wyskoczył z łodzi i wspiął się po krętych schodach.

- Już idę - krzyknął do niej. - Idę. Panienka się nie boją.

Laurel, wciąż uczipiona rozkołysanej poręczy, zobaczyła wysoką, szczupłą postać wynurzającą się ze szpary i rzuciła się w jej stronę. Mocne dłonie chwyciły ją w pasie. Przywarła twarzą do kamizelki z foczej skóry, a stęchły zapach ryb i potu przy-

113

niósł nadspodziewane ukojenie. Pogłaskał jej włosy szorstkimi palcami jakby uspokajał przestraszonego psa.

- Już dobrze, już po strachu. Panienka są teraz bezpieczna.

- Ram Lali... upadł... utonął... - majaczyła nieskładnie.

- Nampyjuż go szuka. Znajdzie go. Panienka idzie ze mną. Spokojnie, tak dobrze.

Sprowadził ją na dół po schodach, wciąż uważając, by się nie potknęła. Gdy wyszli na zewnątrz, Nampy podpłynął łodzią. Potrząsnął głową, a Moggy rzucił mu pytające spojrzenie. Coś leżało nieruchomo na dnie łodzi przykryte starym workiem.

Trzęsąc się z zimna i szoku, Laurel wsiadła do łodzi. Brązowy mieszaniec podbiegł na powitanie, wciskając swój łeb w jej dłonie. Obaj mężczyźni szeptali coś między sobą, spoglądając ukradkiem na Laurel, a łódź posuwała się naprzód. Po kilku minutach dopłynęli do małej wysepki, na której stała chata, jakiej w życiu nie widziała na oczy. Pokryta brązową trzcina niewidoczna była pośród bagien i traw.

Moggy pochylił się i pomógł jej wstać.

- Panienka prawie zamarzli. Tu się panienka ogrzeje, a potem zabiere panienkę do domu.

Objął ją ramieniem, kiedy wysiadała z łodzi. Zbyt otępiała po tym, co się stało, nie miała siły protestować. Moggy zamachał do Nampy'ego i łódź odpłynęła. Laurel ścisnęła ramię Moggy'ego.

- Ten Hindus... czy on? Czy on nie żyje?

- Tak.

- Nie chciałam go pchnąć... - żaliła się. - To było straszne... Myślałam... Położyła dłoń na posiniaczonym gardle.

- To był wypadek. Uderzył się, kiedy upadł. Nampy im powie. Panienka się nie mart.wią.

114

Wciąż osłupiała, pozwoliła wprowadzić się do chaty. Pachniało tam dymem, starym jedzeniem i zwierzętami. Izba zagracona była prymitywnymi meblami, a dokoła wisały sieci i sprzęt do łowienia ryb. W jednym rogu, obok kosy do cięcia trawy i stosu równo ułożonych brył torfu stały kosze na węgorze. Podarta kotara zasłaniała połowę łóżka, a w trzcinowej klatce zawieszanej u sufitu ćwierkał radośnie szczygieł. Moggy postawił dla niej przy ogniu stółek, a sam pogrzebał w rozżarzonej torfie. Jednym ruchem wsunął poczerwiałą czajnik do czerwonej czeluści. Poczula

napływające ciepło. Pochylił się przed nią, ściągnął jej zabłocone buty i swymi wielkimi dłońmi zaczął rozcierać jej stopy. Na ramionach położył jej stary koc. Kiedy zasyczał czajnik, nalał wody do starego, brązowego kubka. Herbata miała odcień ciemnego mahoni i lepiła się od cukru, ale Laurel wypła z wdzięcznością. Twarz nabrała rumieńców, minęły dreszcze.

- Już lepiej - odezwał się Moggy. - Panienska tu posiedzą i ogrzeją się. Nampy wkrótce przyplynie, a ja zabiere panienskę do domu zanim wstanie mgła. Będą się martwić, gdzie też panienska byli.

- Chyba tak.

Ciepło i zmęczenie działały na nią usypiająco. Tutaj, w tej dusznej, zadymionej chacie mogła zapomnieć, co się wydarzyło i co jeszcze ją czeka. U jej stóp położył się pies, słyszała jak Moggy krząta się na zewnątrz. Na chwilę zapomniała o swojej samotności. Drzemała, gdy powrócił do chaty.

- Paniensko, Nampy wrócił. Musimy płynąć.

- Tak. Oczywiście.

Niechętnie podniosła się z miejsca. Popatrzyła na opaloną, ogorzałą wiatrem twarz.

- Moggy, czy znałeś moją matkę?

- Zgadza się. Dziwna była, nie ma co.

115

- Czy jestem do niej podobna? Spojrzał na nią uważnie.

- Podobna i niepodobna - stwierdził z powagą. - Widzicie, ludzie to jak zwierzaki.

Jeden lis podobny do drugiego, jeden pies taki jak inny, a jednak nie takie same.

Różne są jak kreda i ser. Panienska są sobą, a nie nią, tak mi się widzi.

W drzwiach stanął Nampy i wszyscy ruszyli do łodzi. Weszła na pokład, a mężczyźni obrali sobie tylko znane szlaki wodne, znacznie szybsze niż okrężna droga, którą przebyła nad ranem. Przybyli do skraju parku, a Moggy pomógł jej wysiąść na ląd.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Nie musicie odprowadzać mnie do domu. Dziękuję ci, Moggy.

- Ni ma za co - wymamrotał.

- To nieprawda. Zginęłabym bez ciebie.

- Gdzie tam... - mruknął. - Nie taka panienska jak wy. Nie brakuje wam odwagi.

Panienska są jak panicz Jethro, kiedy był jeszcze mały. Ledwo go było widać, a dzielny był jak Tygrys z Moczarów.

- Tygrys z Moczarów, to mi się podoba. Niech cię bóg błogosławi, Moggy.

Spontanicznie stanęła na palcach, cmoknęła go w poszarzały policzek i pobiegła trawiastym nadbrzeżem w stronę domu.

Straciła poczucie czasu, nie miała pojęcia, ile zamieszania wywołało jej zniknięcie.

Rosemary ogarnęły wyrzuty sumienia. Kiedy minęło południe, a Laurel wciąż nie było, wyznała wszystko matce. Rozgniewany Oliver odesłał Margaret do domu, nadąsaną i zbuntowaną. Gdy Oliver i Seth już mieli wyruszać na poszukiwanie Laurel, pojawił się Nampy z ciałem Ram Lalla i dramatyczną opowieścią o tym, co wydarzyło się w Spinney Mili.

- Na Boga! - wykrzyknął Oliver. - To przecież w Spinney zginął Justin.

116

- Tak właśnie, panie - przytaknął z mądrą miną Nampy. - Przez minutę zdało nam się, że widzimy ducha, a potem ujrzelśmy panienkę.

- Jak to dobrze, że byliście na miejscu. A teraz wracaj do Moggy'ego i przyprowadź ją z powrotem.

- Tak, panie, możecie na mnie polegać. Ciarissa popatrzyła, jak wnoszą starego Hindusa do domu i odezwała się:

- Powinniśmy byli odesłać go już wiele lat temu.

- Biedny Ram Lali wydawał się taki nieszkodliwy.

- Zawsze nienawidził Alyne tak jak ona nienawidziła jego. Nazywała go cieniem diabła. Winił ją za śmierć Justina, a czasami Laurel do złudzenia przypomina swą matkę. Jej przyjazd i wypadek Robina pomieszały mu w głowie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co się mogło stać? Utonęliby oboje. Zrównam z ziemią ten przeklęty młyn.

- Jethro nie powinien był jej tu przywozić. Wiedziałam to od samego początku.

- Jesteś dla niej zbyt surowa, Ciarisso. To nie wina tego dziecka. Co też Margaret strzeliło do głowy, aby opowiadać takie rzeczy?

- Przykro mi, że stało się to w tak brutalny sposób, ale Laurel powinna była poznać prawdę.

- Bądź dla niej miła, Ciarisso. Jest jeszcze młoda i łatwo ją zranić.

Lady Ayisham spojrzała na swego męża z wściekłością. Przed laty umierała z zazdrości o jego uczucie do matki Laurel. To już przeszłość, ale nadal miała przeczucie, że miłość ta trwa w jego wyraźnej trosce o córkę Alyne. Pewna była, że Laurel potrafi o siebie zadbać sama, ale kiedy dziewczyna wpadła wyczerpana do hallu, zajęła się nią bardzo troskliwie. Rozpaliła ogień w kominku, pomogła jej ściągnąć wilgotne

117

ubranie i ułożyła do snu pod ciepłymi kocami. Nie zadawała żadnych pytań, czekając aż minie szok i Laurel opowie wszystko sama. Dziewczyna wdzięczna była za tę chwilę samotności, szczęśliwa, że nie musi się przed nikim tłumaczyć. Początkowo odczuwała silny głód, ale gdy Betsy przyniosła posiłek, nie odrywając od niej ciekawskiego wzroku, poczuła odrazę i przełknęła tylko kilka kęsów. Ciarissa pojawiła się ponownie, sprawdzając czy Laurel ma wszystko co potrzeba. Dostrzegła nietknięte jedzenie i położyła dłoń na jej czole.

- Czy masz gorączkę? Może się przeziębiłaś? Laurel odsunęła się niespokojnie.

- Nic mi nie jest. Tylko wciąż myślę o Ram Lallu... To moja wina, że spadł.

- Przestań się tym zamartwiać. Powinniśmy go już dawno odesłać, ale lord Ayisham uważał, że byłoby to okrutne. Tu był jego dom. Cóż, stało się. Dzięki Bogu nie zrobił ci krzywdy.

- To przez moją matkę, prawda?

- Tak, obawiam się, że tak. Szkoda, że nie wzięliśmy tego pod uwagę. - Ciarissa położyła jej dłoń na ramieniu. - Postaraj się zasnąć. To ci pomoże.

- Lady Ayisham - zatrzymała ją w połowie drogi Laurel - czy to prawda... co powiedziała mi Margaret?

- Tak, to prawda.

- Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej.

- Jethro prosił, abym ci powiedziała. Przykro mi, że zwlekałam, ale to skomplikowana i nieprzyjemna historia... Trudno było mi znaleźć odpowiedni moment.

- Czy i pani nienawidziła mojej matki? Ciarissa spojrzała na piękną, udręczoną twarz i przez moment miała wrażenie, że to znienawidzony duch Alyne nawiedził ją w osobie Laurel. Była jednak

kobietą pełną współczucia i uniknęła odpowiedzi na to pytanie.

- Jeśli przyniesie ci to ulgę, moja droga... - ważyła każde słowo - pewna jestem, że bez względu na to, co zrobiła twoja matka, z pewnością kochała kapitana Rutlanda, a on kochał ją.

Laurel poruszyła ustami i odwróciła wzrok.

- A pozostałe rzeczy...?'

- Nigdy nie udowodniono, że dziewczyna, którą poślubił Justin, była jego własnym dzieckiem - ciągnęła monotonicznie Ciarissa - ale wszystko na to wskazywało, wszystko... kiedy się dowiedział, wpadł w obłęd, który doprowadził go do śmierci. To był dla nas straszny okres, zwłaszcza dla Jethro, ale Justin był zgorzkniałym i zmęczonym człowiekiem, a twoja matka cierpiała za jego niedole.

- Rozumiem. Dziękuję, że mi to pani powiedziała. - Przerwała i dodała zdecydowanie:

- Jutro wyjadę.

- Wyjedziesz? - przeraziła się Ciarissa. - Dokąd wyjedziesz?

- Do mojego dziadka. Tam powinnam była zostać, a nie przyjeżdżać tutaj.

- Ale Jethro powiedział...

- Nieważne, co powiedział Jethro. On nie wie wszystkiego.

Ciarissa popatrzyła na nią uważnie. Jak bardzo go kochała? Sądząc po jej zachowaniu na balu, mogło to być jedynie dziewczęce zauroczenie przystojnym mężczyzną, który okazał jej trochę zainteresowania.

- Odpocznij - poleciła cicho. - Porozmawiamy o tym rano. Może zmienisz zdanie.

- Nie wydaje mi się.

- Zobaczymy. Czy mam zgasić lampę?

- Nie, niech się świeci.

- Dobrze.

118

119

Kiedy wyszła zamykając za sobą drzwi, Laurel leżała z otwartymi oczami i czekając na sen, rozmyślała o swej matce, pięknej kobiecie, która nigdy nie była jej bliska... kobiecie tak głęboko nieszczęśliwej. Szukała spełnienia własnych pragnień, spokoju, który nie był jej pisany. Co by się stało, gdyby żył kapitan Rutland? Laurel pomyślała o Jethro i zadrżała. Czy i ją czekał podobny los? Jeśli to co usłyszała było prawdą, Jethro był dla niej martwy bardziej niż gdyby leżał w grobie, tylko wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Co takiego powiedział Moggy? Panienska są sobą, a nie nią, tak mi się widzi. Miał rację. Nic jej nie pokona. Kochała Jethro, a Jethro kochał ją. Dlaczego dawna przeszłość miała stanąć im na drodze? Nie potrafiła dać szczęścia swej matce, ale mogła znaleźć je we własnym życiu. Nagle poczuła się dziwnie spokojna. Późnym wieczorem Ciarissa zaglądając do pokoju, znalazła ją rozciągniętą na łóżku, śpiącą jak dziecko z wyciągniętą ręką. Rude włosy rozsypały się na poduszce. Obserwowała ją przez moment, a potem wbrew samej sobie przykryła ją kołdrą i zgasiła lampę.

Następnego ranka Laurel podtrzymała swą decyzję, mimo silnego sprzeciwu domowników i tylko dzięki nieoczekiwanej pomocy Cherry postawiła na swoim. Matka Margaret rozwścieczona była na swoją córkę, ale przez całe życie uważała, że trzeba uczciwie i rzetelnie stawiać czoła rzeczywistości, nawet jeśli można spodziewać się kłopotów.

120

- Opowiadacie bzdury - oznajmiła ostro swemu bratu Oliverowi i szwagierce. - Laurel nie jest głupiutką pensjonarką. Widziała już w życiu więcej niż dziewczęta w jej wieku. Tak się składa, że sama jadę do miasta. Harry napisał mi o niepokojach w dzielnicy Stepney. Muszę się tym zająć.

- Te twoje żalosne dzieciaki ze slumsów - utyskiwał Oliver. - To miejsce kosztuje więcej kłopotów i pieniędzy niż jest tego warte, że nie wspomnę już o twoim zdrowiu. Zeszłego lata wybuchła tam epidemia cholery. Bóg jeden wie, co się stanie następnym razem.

- Gdybyś ty, i pozostałe bogate, nadęte bałwany zasiadające w Izbie Lordów, zaakceptował ustawę zapewniającą biednym i bezdomnym lepsze warunki mieszkaniowe i dostęp do czystej wody, nie byłoby żadnej epidemii - odpaliła Cherry.

- Jethro powtarza to przez cały czas. Kiedyś doszło do sporu o pompę w tej nieszczęsnej dzielnicy, obok towarzystwa opieki społecznej. Poinformował Radę Miejską, że ścieki zanieczyszczają wodę, a skażona woda jest przyczyną chorób, ale nikt go nie słuchał. Zamknął więc jej dopływ i epidemia cholery praktycznie minęła. Ale i potem nie chcieli mu wierzyć, gdyż wymiana kanalizacji była bardzo kosztowna. Przerwała, by nabrać powietrza i dokończyła już nieco spokojniej.

- Ale nie to jest teraz ważne. Laurel może pojechać ze mną i zatrzymać się w domu na St. James' Square, to o rzut kamieniem od Ariington Street.

- Nie podoba mi się ten pomysł - wtrącił Oliver.

- Przecież jestem za nią odpowiedzialny...

- To miło z pana strony, ale to nieprawda - przerwała mu Laurel. - Odpowiadam sama za siebie.

- Dobrze powiedziane - pochwaliła ją Cherry.

- A teraz idź i spakuj swoje rzeczy, moja droga. Znam

121

[AL

mego brata. Jest uparty, ale zawsze akceptuje to, co nieuniknione.

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Powóz zabrał je na stację w Ely, gdzie kłaniający się bagażowy zaprowadził je do wagonu pierwszej klasy. Pozostałe rzeczy Laurel miały dotrzeć później. Jessica nie chciała pogodzić się z wyjazdem Laurel, ale ojciec przypomniał jej cierpko, że nie rozstają się na zawsze i że następnej wiosny cała rodzina spędzi kilka miesięcy w Londynie. Rosemary nie odzywała się prawie wcale, ale przyszła do pokoju Laurel, by pomóc jej przy pakowaniu kuferka, który był jej jedynym bagażem.

- Szkoda, że nie możesz zostać z nami dłużej, ale rozumiem - odezwała się, składając pończochy i wsuwając je do lnianego woreczka. - Czy w Londynie spotkasz się z Jethro?



- Być może - wykręciła się Laurel, skrywając swe zamiary nawet przed Rosemary.
- Seth prosił mnie, aby ci przekazać, że Gadabout będzie za tobą tęsknił. Mówi, że jeszcze nigdy nie widział, aby ktoś tak doskonale radził sobie z koniem.
- Bardzo lubisz Seta, prawda, Rosemary?
- Znam go od dziecka. Nauczył mnie jeździć na moim pierwszym kucyku. Był bardzo gruby i nazywał się Snowball. Seth miał szesnaście lat, a ja cztery. Wtedy wydawał się taki dorosły.

Laurel wyciągnęła z szafy suknię, złożyła ją starannie między kawałkami bibułki i powiedziała cicho:

- Chyba nie jesteś w nim zakochana?
- Nie, oczywiście, że nie. Jak możesz wygadywać takie rzeczy? - policzki Rosemary zaróżowiły się i szybko odwróciła twarz.
- Ponieważ jest służącym, sama wiesz.
- Nie jest - oburzyła się - nie tak jak Barker czy Betsy. Starlingowie mieszkają w Ravensley tak długo

•I22

jak Ayishamowie. Najstarszy brat Seta, Jake, był najlepszym przyjacielem tatusia. Z uporem walczył o lepsze warunki pracy dla robotników rolnych, zamordowano go za to, co zrobił. Seth jest do niego podobny. Myśli o innych.

Umilkła, widząc zdziwioną twarz Laurel.

- Myślisz, że jestem głupia?
- Nie, ale nie wierzę, aby lord Ayisham ucieszył się z takiego zięcia.
- Nie śmieję się ze mnie - szepnęła Rosemary.
- Nie śmieję się - Laurel pochyliła się i ucałowała ją serdecznie. - Zostaniemy przyjaciółkami, dobrze? Będę potrzebowała przyjaciół.
- Oczywiście, że tak - Rosemary odwzajemniła się mocnym uściskiem. - Może kiedyś cię odwiedzę, jeśli papa mi pozwoli.

\* -r \*

Kiedy cała rodzina przebywała w Ravensley, dom w Londynie stał niemal pusty, ale wpadał tu lord Ayisham podczas obrad Izby Lordów i Harry Fenton zaglądał od czasu od czasu. Nie musiały więc długo czekać na wspaniałą kolację. Cherry zaczęła swą opowieść o towarzystwie opieki społecznej, które założyła przed laty w slumsach Stepney.

- Po ślubie mieszkałam w Londynie, gdyż Harry nadal służył w pułku. Uważał, że zwariowałam, podobnie myślał Oliver. Pokłóciliśmy się o to strasznie, ale ja wygrałam. Zaczęliśmy od małej szkółki, i choć niewiele możemy ich nauczyć, dzieciaki nie włączają się po ulicach. Oczywiście są brudne i zaniedbane, ale to zadziwiające jak szybko można się przyzwyczaić do brudu... i smrodu. Przez lata miejsce to rozrosło się i teraz jest schronieniem dla młodych dziewcząt

123

i kobiet, które nie mają dokąd pójść. Kiedy pojawiły się pierwsze niemowlaki, musiałam znaleźć kogoś do pomocy. Olivia Winterjest wspaniała, ciężko pracuje, ale przychodzą też inni młodzi ludzie. Od czasu do czasu zbieramy się na małych przyjęciach. Czy nie zechciałabyś kiedyś przyjść i zaśpiewać kilka włoskich ballad?

- Z przyjemnością - przytaknęła Laurel, ale myślami była już gdzie indziej.

Cherry pochylała się nad nią i położyła ręce na jej dłoniach.

- Wiem, co cię gryzie. Czy chcesz, abym ci jutro towarzyszyła i powiedziała temu potworowi Alice Grafton, co o niej myślę?

Laurel uśmiechnęła się.

- Z pewnością by poskutkowało, ale to muszę załatwić sama.

- Brawo! Ale pamiętaj, jeśli będzie ci ciężko, zawsze możesz wrócić lub poprosić o pomoc Harry'ego. W razie potrzeby będzie twoją podporą.

Z ulgą pomyślała, że wciąż ma przyjaciół, ale nie wspomniała ani słowem o tym, co bolało ją najbardziej.

Następnego ranka Cherry wyszła bardzo wcześnie, a Laurel poprosiła lokaja, by przywołał dorożkę. Gdzie znajdzie Jethro? W Szpitalu św. Tomasza czy w Albany? Miała jego adres z listu, który przysłał jej latem. Nigdy wcześniej nie myślała po szpitalu, obawiała się, iż w tak zapracowanym miejscu nie będzie mile widziana.

- Dokąd, panienko? - spytał dorożkarz, otwierając drzwiczki.

- Albany - poleciała szybko, w obawie, że się rozmyśli.

Dorożkarz spojrział na nią zdziwiony. Albany było rezerwatem wyłącznie dla mężczyzn. Nie zwykł był wozić tam pięknych, młodych kobiet o dziesiątej rano.

124

Wieczorem, to co innego... podrapał się po głowie i smagnął batem konie.

Laurel siedziała wyprostowana na twardym, skórzanym siedzeniu (^zy uzna ją za bezwstydną i natrętą, kiedy be^ zaproszenia złoży mu wizytę? Ale przecież musiała go zobaczyć, porozmawiać z nim, usłyszeć od mego, ^ ^ig wierzy w tę pogmatwaną opowieść o morderstwie i kazirodstwie. Potem już nic nie będzie jej straszne. Dorożka zaklekotała w bramie i zatrzymała się na kamiennym podwórzu.

Wysiadła, zapłaciła i niepewnie rozejrzała się dokoła. Przed nią rozciągało się wiele mieszkań, każde z własnymi frontowymi drzwiami. Były zamknięte, a Jednak czuła na sobie czyjś wzrok. Energicznym krokiem przeszła na koniec galerii. Znalazła wizytów-K? z J@go nazwiskiem, a pod nią mosiężny uchwyt dzwonka. Pociągnęła i cierpliwie czekała. Nikt nie otworzyła więc pociągnęła raz jeszcze, bardziej zdecydowanie, \y drzwiach pojawił się młody mężczyzna, który Wyglądał jakby wyrwano go z głębokiego snu. Jego brązowe włosy sterczały w nieładzie. Twarz miał nie ogoloną, niedbale narzucił szlafrok na spodnie i koszulę

~ Co się dzieje, u diabła? - warknął i zamilkł, zobaczywszy stojącą przed nim elegancko ubraną dziewczynę.

- Pani wybaczy - wymamrotał. - Nie miałem pojęcia... zasnęłam, pani rozumie.

~ ^y mieszka tu Dr Ayisham? - zapytała szorstko Laurel.

l^... właściwie mieszkał... - nagle zdał sobie sprawę, ^g ^o nie jakaś laleczka z kabaretu czy baletu, a "skawskie głowy wystają już z drzwi i okien. Proszę niech pani wejdzie - dodał pośpiesznie. - Wszys^o wyjaśnię.

125

Poprowadził ją wąskim korytarzem do ponurego pokoju pełnego skórzanych krzeseł w kolorze ciemnej czerwieni i ciężkich książek ułożonych od podłogi do sufitu. Laurel odwróciła się w jego stronę.

- Czy Dr Ayisham wyszedł już do szpitala?

- Nie... chwileczkę, czy mogę znać pani nazwisko?

- Nazywam się Laura Rutland. Mieszkałam u jego brata w Ravensley - odezwała się niecierpliwie. - Muszę się z nim zobaczyć. To bardzo ważne.

- Obawiam się, że to niemożliwe - poinformował otwarcie. - Jest w drodze do Wiednia.

- Do Wiednia? - powtórzyła bezmyślnie.

- Tak... proszę usiąść. Miss Rutland. Wszystko wytłumaczę. Nazywam się Charles Townsend, a mój ojciec Dr Townsend jest lekarzem urzędowym w Szpitalu św. Tomasza. Podróż do Wiednia zaplanowano już dawno. To wspaniała okazja, by popracować z Dr Semmelweisem, który przeprowadza nadzwyczajne eksperymenty. Jethro miał tam pojechać latem, ale długo nie mógł się zdecydować. A wczoraj rano wrócił z jakiegoś rodzinnego zjazdu w Ravensley i oznajmił, że decyzja została podjęta. Spakował swe bagaże i wyruszył natychmiast, by zdążyć na nocny prom do Calais. Pracowaliśmy razem w szpitalu i pozwolił mi korzystać ze swego mieszkania podczas jego nieobecności.

Ale Laurel już nie słuchała. Wbiła palce w oparcie jednego z krzeseł i poczuła zawrót głowy. A więc uciekł od niej. Czy naprawdę uwierzył w tę potworną historię? Czy naprawdę był z nią tak spokrewniony, czy to ona się pomyliła? A może po prostu dobrze się bawił jej kosztem, a gdy zabawa się skończyła postanowił zniknąć?

Młody mężczyzna dodał cicho:

- Widzę, że przeżyła pani szok. Czy mogę zaproponować coś do picia? Jeszcze się tu nie zadomowi-

126

łem, ale może napije się pani szklaneczkę madery z barku Jethro?

- Nie, dziękuję.

- Czy potrzebuje pani jego adresu w Wiedniu? Mógłbym go zdobyć.

- Proszę się nie fatygować. Na pewno się odezwie. - Ruszyła w stronę drzwi. - Nie chcę zabierać panu czasu...

- Czy mam wezwać dorożkę?

- Wolę spacer. To niedaleko. Do widzenia, panie Townsend.

Odprowadził ją wzrokiem. Co podkuśliło Jethro, by czmychnąć od tak cudownej istoty? Zabawna sprawa, pomyślał, może warto ją zbadać. Rutland? Czyż nie tak nazywał się ten bogaty starzec, którego od lat leczył jego ojciec? A jeśli to nie zbieg okoliczności. Podrapał się w podbródek. Jaka szkoda, że wyglądał jak strach na wróble. Może jednak warto sprawdzić? Zamknął kopniakiem drzwi i westchnął. Musiał jeszcze ubrać się przed wyjściem do szpitala i codzienną harówką.

\* 41 \*

George Grafton stał przy oknie frontowego pokoju na Ariington Street i zerkał przez żaluzje, które decyzją jego matki opuszczono na znak szacunku. Tym późnym popołudniem ponury pokój o ciemnych ścianach i ciężkich meblach sprawiał przynębiające wrażenie. Wezwano go zeszłej nocy, by czuwał przy łożu śmierci swego ciotecznego dziadka, choć starzec nie zdawał sobie z tego sprawy.

Pograżony był w śpiączce, oddychał ciężko, a przed północą zmarł cicho prawie nie zauważoną śmiercią. Wszyscy wiedzieli, że Sir Joshua dysponował ogromnym

127

majątkiem. George zastanawiał się ile tego jest i czy jemu przypadnie coś w udziale. Wiedział, na co liczyła matka i Barton. Tego ranka nie potrafili rozmawiać o niczym innym. Nikt jeszcze nie widział testamentu, ale oni przetrząsali wszystkie szuflady w poszukiwaniu jakiegoś śladu. Sam nie był szczególnie wybredny i na gwałt potrzebował pieniędzy, bardziej niż jego brat. Barton był skąpy do przesady, żył jak dusigrosz i nigdy nie pożyczał nawet dziesięciu gwinei bez żądania procentu, ale coś buntowało się w George'u przeciwko przeszukiwaniu majątku nieboszczyka przed złożeniem go w grobie.

Stukot podjeżdżającego powozu przyciągnął jego uwagę. Ujrzał wysiadającą zeń Laurel i woźnicę zamykającego drzwiczki. Ten elegancki ekwipaż z pewnością należał do lorda Ayishama. Uśmiechnął się do siebie. Bartona i jego matkę czeka nieprzyjemna niespodzianka. Kiedy przy śniadaniu rozmawiali o przygotowaniach do pogrzebu, wspominał o Laurel, ale otrzymał jedynie lodowate spojrzenie.

- Ta przeklęta dziewczyna dowie się o wszystkim we właściwym czasie - oznajmiła chłodno Alice Grafton.

Widział jak Laurel wchodzi po schodach. Na Jowisza, oszałamiająco wyglądała w tym purpurowym zakiecie zakrywającym liliową spódnicę, w małej czapeczce z wiewiórczego futerka, naciągniętej na rude włosy, i prześlicznej mufce. Usłyszał dzwonek. Lokaj wprowadził ją do środka.

- Miss Rutland, sir. Czy mam powiadomić panią Grafton?

- W porządku, Franklin. Zostaw to mnie - polecił lekkim tonem.

Kiedy drzwi zamknęły się, uśmiechnął się uroczo i wyciągnął rękę na powitanie.

128

- Witaj, kuzyneczko. Czy przybyłaś po swą część łupu?

Laurel dostrzegła opuszczone żaluzje, wyczuła martwą ciszę panującą w domostwie i przed zadaniem pytania odgadła powód.

- Nie rozumiem. Czy to mój dziadek?

- Niestety, tak. Biedny staruszek wyzionął ducha... zeszłej nocy.

- Nie wiedziałam.

- Przez ostatni miesiąc jego życie wisiało na włosku.

- Dlaczego mnie nie poinformowano? Wzruszył tylko ramionami.

- Moja matka nie wierzyła, że koniec nastąpi tak prędko - odpowiedział dyplomatycznie.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Laurel przeżyła już jeden szok, ale musiała go przetrwać. Opieka nad chorym dziadkiem wydawała się zbawieniem, chciała się gdzieś schronić i odzyskać równowagę. Ale teraz odebrano jej i to. Uspokoila swe nerwy.

- Czy mogę go zobaczyć? Zaskoczyła go.

- Jak sobie życzysz. Zaprowadzę cię na górę. W sypialni unosił się ciężki zapach lilii, które jego matka niestosownie ustawiła obok łóżka. Laurel uniosła prześcieradło.

Wszystkie ślady wieku i choroby zniknęły, a między woskową twarzą na poduszce i pełnym życia, twardym mężczyzną, który stanowił podporę jej dzieciństwa nie było żadnego podobieństwa. Pochyliła się i pocałowała lodowaty policzek. George ze zdumieniem dostrzegł w jej oczach łzy.

- Dziękuję. Lepiej już pójdę.

W hallu natknęli się na Bartona. W niczym nie przypominał George'a. Barton przekroczył trzydziestkę i starszy o sześć lat, wyglądał na swój wiek.

129

Przypominał swą matkę, te same nijakie i nieokreślone rysy i oczy świdrujące, przenikliwe. Laurel poczuła jak ją przeszywają, oceniają i podsumowują.

- Chyba nie znasz jeszcze naszej kuzynki, Bart. To jest Laurel, córka wuja Bulwera. Bart wyciągnął zimną dłoń. W miękkim uścisku nie wyczuła ciepła ani życzliwości.

- Przykro mi, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach, Miss Rutland.

- Mieszkam w domu lorda Ayishama na St. James' Square. Proszę mnie powiadomić o pogrzebie dziadka.

- Oczywiście. Zamieścimy nekrolog w „The Times”. - Poinformował głosem tak bezbarwnym jak jego twarz. George otworzył przed nią drzwi i uścisnął jej dłoń.

- Wkrótce się znów zobaczymy.

- Tak.

Odsunęła rękę i zeszła po schodach do czekającego powozu.

Zatrzasnął z uśmiechem drzwi.

- I co, wyszło szydło z worka, stary - oznajmił radośnie swemu bratu. - O co się założymy, że to właśnie ona zgarnie cały majątek wuja Joshuy?

- Jeśli tak, będę walczył - warknął Barton.

- Nie wygrasz, dobrze o tym wiesz. Staruszek wynajął najlepszych prawników.

- Jeszcze zobaczymy. Jesteś głupcem, George. Każda ładna buzia potrafi pomieszać ci w głowie - stwierdził pogardliwie. - Jeśli my stracimy, ty stracisz także i nie myśl, że będziesz mógł błagać mnie lub matkę o spłatę twoich długów.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości - syknął niedbale George. - Są jeszcze inne sposoby, by wygrać tę bitwę, ale ty bracie nie masz o nich pojęcia.

Barton prychnął, a George poklepał go życzliwie po ramieniu.

130

- Uwierz mi, próbowałem już wszystkiego. Powiedz matce, że wracam do koszar.

Wiesz przecież, iż muszę służyć królowej i ojczyźnie.

Chwycił kapelusz, laseczkę i wyszedł powolnym krokiem, gwizdząc pod nosem jakąś melodię. Laurel zaintrygowała go. Młoda, odważna kobieta, pomyślał. Sam potrzebował odmiany. Już od tygodni śmiertelnie nudził się u boku Yiolet. Nie dość, że miała w głowie tylko jedno, to jeszcze narażała go na ogromne wydatki. Nadszedł czas, by z tym skończyć, a tu nadarzała się taka okazja. Świadom był własnego uroku, a w kontaktach z kobietami pewien był ostatecznego zwycięstwa.

Laurel, z trudem opanowując w powozie łzy, nie pomyślała nawet o nim czy o Bartonie. W całej tej gwałtownej rozpacz młodości czuła się zdradzona przez życie. Nie zostało jej nic, ani odrobina szczęścia, ani celu. Ale tu się myliła. Bitwa dopiero się zaczęła, a pierwsza potyczka miała mieć miejsce w dniu pogrzebu Sir Joshuy.

\* \* \*

To było naprawdę wielkie wydarzenie. Sir Joshuę szanowano wielce w City. Miał wielu znajomych wśród arystokracji, którym niejednokrotnie pomagał w finansowych tarapatkach. Ci przybyli osobiście albo przysłali swe powozy. Na Ariington Street uformowała się długa procesja i ruszyła wolno za karawanem, pełnym kwiatów i

czarnych pogrzebowych piór, w stronę Piccadilly, czyniąc zamieszanie wśród straganiarzy i nowych tramwajów konnych.

Wśród uczestników pogrzebu nie obyło się bez spekulacji, kim jest szczupła, młoda dziewczyna w czarnej, eleganckiej sukni z aksamitu i cienkiej jak

131

pajęczyna woalce, spod której wyglądały kosmyki rudych włosów. W powozie siedział też lord Ayisham, który udział w pogrzebie uznał za swój obowiązek. Jest bardzo blada, pomyślał, ale z ulgą stwierdził, że nie płacze. Przysunął się do niej bliżej.

- Sir Joshuę rozbawiłaby ta cała ceremonia - odezwał się. - Miał swoją godność, ale pogardzał pompą i widowiskiem.

- Szkoda, że nie wiedziałam jak bardzo był chory - szepnęła. - W tych ostatnich chwilach nie miał przy sobie nikogo, kto go naprawdę kochał.

Poczuł jak drży i poklepał ją po dłoni.

- Moja droga, w końcu wszyscy umieramy w samotności - powiedział delikatnie.

Wiele osób powróciło na Ariington Street, by wypić kieliszek madery lub sherry i ściszonego tonem porozmawiać o zmarłym. Szybko jednak tematem rozmów stała się sytuacja na rynku, zagrożenie podatkowe i ostatnie wyniki wyścigów, co wzburzyło nieco George'a, gdyż nie był to właściwy moment na takie dyskusje.

Nieoczekiwanie doszło do nieprzyjemnego incydentu. Służąca wezwana z kuchni do pomocy przy roznoszeniu wina upuściła tacę pełną kieliszków. Alice Grafton nie mogąc pohamować swego zdenerwowania, wybuchnęła wściekłością, która wprawiła w zakłopotanie wszystkich gości. W przypływie współczucia Laurel przyklękła na dywanie obok przerażonej, zapłakanej dziewczyny zbierając potłuczone szkło i zawiązując chusteczkę na jej krwawiących palcach.

- Jak masz na imię? - wyszeptała.

- Cindy, panienko - wymamrotała ze łzami w oczach dziewczyna.

132

- Nie denerwuj się, Cindy. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Pomogła jej wstać, a lokaj wyprowadził ją z salonu. Rozmowy rozbrzmiały od nowa. Po południu większość gości zaczęła zbierać się do wyjścia, kłaniając się uprzejmie Laurel stojącej samotnie pod oknami, z dala od rodziny, która w milczącej nienawiści trzymała się razem. Jakiś dystyngowany mężczyzna z krótką, szarą brodą i o łagodnym wyglądzie podszedł do niej na chwilę.

- Nazywam się Dr Townsend, Miss Rutland. Chciałem panią poinformować, że Sir Joshua był moim pacjentem przez ponad trzydzieści lat, z wyjątkiem okresu jaki spędził we Włoszech. Często o pani opowiadał, ale ostatnie miesiące były dla niego niezwykle męczące. Tuż przed ostatnim zawałem, który był przyczyną jego śmierci, powiedział że martwi się tylko o panią i o nic więcej nie dba.

Ścisnęło ją w gardle, nie mogła wydusić z siebie ani słowa, a doktor ciągnął dalej:

- Charles opowiedział mi o pani wizycie w Albany. Rozumiem, że zna pani Jethro Ayishama. Odzyskała głos.

- Tak. Pomógł mi we Włoszech, kiedy znalazłam się w kłopotach.

- Naprawdę? To wspaniały, młody człowiek, panno Rutland. Jeden z najzdolniejszych chirurgów u św. Tomasza. Czeka go świetlana przyszłość, jeśli nie zmarnuje jej na

czcze gadaniny. Jak wszyscy młodzieńcy, pełen jest pomysłów i idei, niektóre z nich są zbyt nowoczesne i obce dla takich starych wyjadaczy jak ja - uśmiechnął się. - Gdyby jednak takich jak on nie było, nadal żylibyśmy w mrokach średniowiecza, przepisując gotowane pokrzywy i smażone myszy naszym pacjentom.

133

Laurel nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, a on dodał:

- To prawda, zapewniam panią. Brytyjska farmakopea stosowała niekiedy przedziwne środki. Rozejrzył się szybko dokoła i ściszył głos.

- Jeszcze jedno słówko. Przypuszczam, że pani Grafion chce jak najszybciej otworzyć testament, niech się pani przygotuje. Ostrzegam, może dojść do fajerwerków, miałem zaszczyt zostać powiernikiem Sir Joshuy, ale nie mogę dłużej tu zostać. Trudno w to uwierzyć, ale gdy tylko lekarz schodzi na chwilę z posterunku, jego pacjenci natychmiast wpadają w apopleksję albo dostają ataku serca. Proszę pamiętać, w razie potrzeby jestem zawsze do usług. Ucisnął serdecznie jej dłoń i wyszedł z salonu. Pan Jolly z firmy Jolly, Black and Henderson był zaprzeczeniem swego nazwiska\*. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o trupim wyrazie twarzy i rzadkich, szarych włosach starannie zaczesanych na łysinie. Zajął miejsce przy stole, Alice Grafion usiadła po jego lewej stronie. Barton przysiadł po stronie prawej, a obok niego śliczna, onieśmielona kobieta, najwyraźniej jego żona. Byli tam jeszcze inni, prawdopodobnie dalecy krewni, ale Laurel nie знаła nikogo. George kiwnął na nią, by usiadła na pustym krześle obok niego, lecz potrząsnęła tylko głową i została przy oknie. Popatrzyła na niego beznamiętnie. Miał jasno-błękitne oczy i gęste włosy koloru miodu. Był beztrudno przystojny, ale jego twarzy daleko było do zadumanej łagodności Jethro. Zastanowiła się, gdzie ten w tej chwili przebywał. Z pewnością dotarł już do Wiednia. Wiedienki uważano za najpiękniejsze i najelegantsze kobiety Europy. Adwokat zabrał się do odczytywania

\* Jolly - Wesolek (przyp. tłum.). 134

testamentu, ale go nie słuchała. Poczula ból głowy i przymknęła oczy. W myślach przeniosła się do Rzymu, przypominając sobie pierwsze spotkanie z Jethro. Nie pamiętała szczegółów, przywołała jedynie dni wspólnej podróży. Nie minął nawet rok, a zdawało jej się, że minęły wieki. Wtedy była jeszcze dzieckiem, nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Teraz byłoby zupełnie inaczej. Dlaczego? Dlaczego opuścił ją właśnie wtedy, gdy potrzebowała go najbardziej? Wyrwała się z zadumy na dźwięk swego imienia.

Zapadła cisza i wszyscy skierowali na nią wzrok. Nie słyszała ani słowa, które do tej pory padło. Spojrzała na adwokata. Kiwnął twierdząco głową i odczytał, co następuje: - Mojej wnuczce, Laurze Rutland, resztę mojego majątku wraz z udziałami w Rutland Tea Importers...

I wtedy stało się. Alice Grafton postradała zmysły. Podniosła się gwałtownie z krzesła.

- Nie - wrzasnęła - nie, tak nie może być! To niesprawiedliwe! To wszystko kłamstwa, zwykłe kłamstwa....

- Mamo, proszę - uspokajał ją Barton. George położył jej dłoń na ramieniu.

- Na Boga, mamó. Uspokój się. Teraz nie wypada... Nic jednak nie mogło jej uciszyć.

- Nie uspokoję się! - podniosła histerycznie głos. - Nie pozwolę, aby jakiś bękart jednej z dziwek Bulwera ograbił was z dziedzictwa...

- Pani Grafton, bardzo panią proszę - krzyknął oburzony adwokat. - Zapewniam panią, że wszystko jest zgodne z prawem.

- To pan tak twierdzi. Uknuliście to - parsknęła - pan i ta dziewczyna wykorzystaliście bezbronного starca i zmusiliście go do podpisania dokumentu, którego by nigdy nie podpisał człowiek przy zdrowych zmysłach.

135

- Niczego takiego nie zrobiliśmy - bronił się Jolly, słusznie oburzony na taką zniewagę. - Testament został spisany ponad rok temu, kiedy Miss Rutland nie było nawet w kraju, a powiernicy, jak już wspomniałem, to Dr Townsend ze Szpitala św. Tomasza i lord Palmerston, wówczas minister spraw zagranicznych i członek Izby Lordów. Chyba nie kwestionuje pani uczciwych zamiarów tych dżentelmenów.

- Nie wierzę panu... Nigdy nie uwierzę... Ona zna te sztuczki tak jak jej występna matka.

W tym momencie Barton podszedł do niej i otoczył ją ramieniem. Z pomocą George'a wyprowadził rozsierdzoną matkę z salonu. Zza drzwi dobiegł szmer podnieconej wymiany zdań i po kilku minutach George powrócił do gości. Zamienił cicho kilka słów z panem Jolly i skierował się ku Laurel.

- Jak się czujesz jako dziedziczka? Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Co to znaczy? Nie słuchałam. Uniósł brwi, nie mając pewności, czy powinien uwierzyć w tę niewinność, ale widząc wyraz jej twarzy, nie miał już wątpliwości, że mówi prawdę.

- To znaczy dziewięć, dziesięć tysięcy rocznie, ten dom i posiadłość w hrabstwie Fen, a także pakiet kontrolny w handlu herbatą - wyjaśnił oziębło. - Co masz zamiar zrobić? Wyszadysz Bartona z siodła i sama poprowadzisz firmę?

Zmieszła się.

- Ale to wszystko nie może należeć do mnie.

- Zapewniam cię, że tak jest. My dostaliśmy po kawałku tortu, ale lukier, śmietanka i przybranie są twoje.

- O, mój Boże!

Zaniemówiła z wrażenia. Nogi ułamy się jej w kolanach i opadła na parapet.

136

Do salonu powrócił Barton.

- Pani Grafion położyła się. Jest z nią gospodyni

- oznajmił. - To przemęczenie. Moja matka przez wiele miesięcy, dzień i noc, opiekowała się Sir Joshua.

- Tak, rozumiem - powiedział oziębło pan Jolly.

- Czy mogę kontynuować?

- Proszę bardzo.

George wrócił na miejsce, a adwokat odczytywał dalej testament. Nie było w nim już nic więcej, kilka spraw formalnych. Złożył starannie dokument i wsadził go do skórzanej torby. Podszedł do Laurel z gratulacjami i zaoferował jej usługi swej firmy. Podziękowała mu, nadal oszołomiona i niepewna. Adwokat wyszedł z salonu w towarzystwie Bartona i George'a. Nikt nie zamienił z nią ani słowa. Zebrali się w małą, zawziętą grupkę i rozmawiając cichcem, zostawili ją na uboczu jak outsidera, który w irytujący sposób wygrał cały wyścig. Czowała ich nienawiść, a skutek tego był



zgoła odwrotny. Miała nad nimi władzę. Tego prawdopodobnie pragnęła jej matka, a teraz ona przejęła wszystko po dziadku. Wstała z lekkim zawrotem głowy. Był to efekt narastającego podniecenia, ale i zwykłego głodu. Od rana nie miała niczego w ustach. Na stoliczku obok stał nie tknięty kieliszek wina. Podniosła go i jednym łykiem wypila maderę do ostatniej kropli. Rozejrzała się śmiało dokoła i nie zważając na ich spojrzenia ruszyła w stronę drzwi. Przeszła przez hali, schodami w dół, lekko i pewnie, jakby stąpała po chmurach.

\* \* \*

Tej nocy Nora Rutland siedziała wyprostowana w łóżku, które dzieliła ze swym mężem w nowej, wymuskanej willi w Bayswater. Na ślicznej niegdyś  
«.

137

twarzy gościła sroga mina, a wąskie usta ściśnięte były w oburzeniu.

- Trzeba było ją widzieć, Bart, jak patrzyła na nas wyniośle, niczym na pył pod stopami! I pomyśleć, że wszystkie pieniądze i dom przypadną jej w udziale, kiedy to właśnie ty harowałeś w przedsiębiorstwie wuja! Ona dostanie wszystko, a nasze dzieci zostaną żebrakami!

- Nie mów głupstw. Noro - upomniał ją cierpko Barton. - Doskonale potrafię zatroszczyć się o rodzinę bez niczyjej pomocy.

Lamenty nie ustawały, ale on już nie słuchał. Otrzymał znaczny spadek, ale liczył na znacznie więcej. Drażniło go, że będzie musiał wykonywać polecenia jakiegoś dziewczątka, które mogło zniweczyć cały jego dorobek życia na rzecz jakiegoś łobuza-męża. Musi coś zrobić. Pomyślał o nierozgarniętej służącej, którą kiedyś sam polecił matce, przypomniał sobie natychmiastową reakcję Laurel. Trywialne być może, ale pouczające. W jego zdradliwym umyśle zakiełkowała idea. Nie było pośpiechu. Musi być cierpliwy i czekać na swoją okazję. Odwrócił się plecami do żony, wyprostował palce stóp i zaczął obmyślać plan działania.

\* \* \*

\* \* \*

W tym samym czasie George zadowalał się kolacją w Romano u boku Violet. Popijając szampana, doszedł do wniosku, że spadek, który przypadł mu w udziale wystarczy zaledwie na spłacenie najpilniejszych długów i na rubinową bransoletę dla Violet, która nie wiedziała jeszcze, że będzie to prezent pożegnalny. Wszystkie te bajeczne sumy poza jego zasięgiem... a może nie? I on także przystąpił do opracowywania strategii, która w przeciwieństwie do planu brata zapowiadała się całkiem przyjemnie.

138

Siedząc w swym pokoju na St. James' Square, Laurel pisała list do Jane Ashe, prosząc ją o rozważenie przyjazdu na Arington Street i zamieszkanie z nią pod jednym dachem. Odchyliła głowę, gryząc koniuszek pióra. Kiedy tylko myślała o Jethro, ogarniała ją rozpacz, choć zdecydowanie walczyła z tym uczuciem. Rozciągała się przed nią świetlana przyszłość. Wyruszała na podbój wielkiego świata.

\* \* \*

Dwa tygodnie później w Wiedniu Jethro otrzymał list od Charlesa Townsenda opisujący wizytę Laurel w Albany. List kończył się żartem:

Wracaj do domu, stary, zanim cię uprzedzę. Dziesięć tysięcy rocznie to nie byle co!

Zmiał z wściekłością kartkę i wrzucił ją do ognia. To tylko pogłębiało dzielącą ich przepaść. Przeklął w myślach swego ojca za spustoszenie, które poczynił w jego życiu! Ponownie zajął się notatkami. Dr Semmelweiss podtrzymywał teorię, że przyczyną gorączki poporodowej, która zabija tak wiele młodych matek, może być zakażenie. Lekarze i studenci poruszali się między prosektorium i oddziałem szpitalnym, a pacjenci padali jak muchy. Poleciał im wtedy staranne mycie rąk płynem karbolowym i liczba zgonów spadła o połowę. Czy więc można zastosować go podczas operacji? Chirurdzy bowiem zwykli jedynie podwijać mankiety swych zakrwawionych fartuchów przed przystąpieniem do operacji. Sterylna czystość, umyte w płynie karbolowym ręce i biały fartuch mogły decydować

139

/

o śmierci lub wyzdrowieniu. Gra była warta świeczki, gdyby tylko zdołał przekonać angielskie szpitale o takiej konieczności. Kto wie, może któregoś dnia uratuje życie Laurel? Wyobraził ją sobie w porodowych bólach, z gorączką, chorą jak te ubogie nieszczęśliwe istoty, które odwiedził dziś po południu. Ogarnęła go nagle taka tęsknota, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Zamknął książkę, wstał i narzucił na siebie pelerynę. Po chwili znalazł się na pokrytej śniegiem, lodowatej ulicy. Wino, kobiety i śpiew - tego nie brakowało w Wiedniu. Do diabła z Laurel, do diabła z pracą, dzisiejszej nocy nie odmówi sobie żadnej przyjemności, jaką oferuje to miasto.  
Dziedziczka

8

Gromadka mężczyzn, miłośników wyścigów spor->wych i ujeżdżaczy koni, zebrała się koło stajni przy Covent Garden. Jak na komendę ich wzrok powędrował w stronę uroczego, maleńkiego powozu w kolorze żółci i błękitu, zaprzęzonego w dwa gniade konie, z którego wysiadła elegancka dziewczyna i rzuciła lejce swej towarzysze. Mężczyźni rozstąpili się, lekko zaskoczeni, a jeden z nich - wysoki, barczysty, w eleganckim, lecz skromnym surducie, zdjął kapelusz i z wyciągniętą dłonią ruszył jej na spotkanie.

- Moja droga Laurel, co, na Boga, sprowadza cię tu w niedzielne popołudnie?

- To samo, co pana, lordzie. Potrzebuję nowego konia wyścigowego, a ponieważ nie mam nikogo do pomocy, sama muszę dokonać wyboru.

Henry Tempie, wicehrabia Palmerston, dobiegał siedemdziesiątki, ale zawsze potrafił poznać się na pięknej kobiecie. Nie na darmo nosił przydomek „Lord Kupidyn”.

Uśmiechnął się na widok prześlicznej twarzy. Dość niechętnie zgodził się odegrać rolę powiernika w zamian za niezbędną pożyczkę od swego starego znajomego, Sir Joshuy Rutlanda i dopiero tydzień po pogrzebie, ociągając się postanowił spotkać

143

Laurel. Ale to było dziesięć miesięcy temu. Teraz stateczny mąż stanu i młoda dziewczyna stanowili parę serdecznych przyjaciół. Laurel odezwała się z szacunkiem:

- Czy widział pan coś godnego uwagi? Czy mogę liczyć na pańską radę?

- Rozejrzymy się, dobrze, moja droga? W innym przypadku zostawiłby ten problem swemu ujeżdżaczowi, ale teraz chwycił ją pod ramię i poprowadził przez dziedziniec, gdzie demonstrowano konie przed zapowiedzianą na następny dzień sprzedażą.

- Był tam jeden - stwierdził z powagą - ale wyglądał na brutala, zbyt silny dla takiej delikatnej kruszyny jak ty.

- Może pana zaskoczę - odparła Laurel - ale lubię takie wyzwania. Czuję się wtedy jak zdobywca.

- Czyżby? No, no. Prawdziwa Diana, co? - Lord Palmerston kiwnął na człowieka, który towarzyszył im na dziedzińcu. - Poproś, by przyprowadzili czarnego ogiera. John Day, od lat ujeżdżacz koni jego lordowskiej mości, wyglądał na zmieszanego, choć wiedział, iż nie należy kwestionować poleceń autokratycznego protektora. Koń był doskonałym okazem araba z dumnie wykształconą szyją i szczupłym, wąskim łbem. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Wywraçał oczami, wyrывая się chłopakowi trzymającemu uzdę. Stanął dęba, prychając groźnie, a właściciel stajni, potężny, brutalny mężczyzna trzasnął biczem, zostawiając ostrą pręgę na zadzie ogiera. Koń rzucił się naprzód, lord Palmerston cofnął się gwałtownie, ale Laurel nie ruszyła się z miejsca.

- Tak się nie postępuje ze zwierzętami i pan powinien to wiedzieć - zareagowała ostro.

- Podaj mi uzdę.

- On jest zdradliwy, panienko, lepiej nie podchodzić zbyt blisko - ostrzegł ją właściciel.

144

Popatrzyła na niego z pogardą.

- Na pewno nie. Jest przerażony, to wszystko, i wcale mnie to nie dziwi, jeśli są to jedyne metody, które pan stosuje.

Szepnęła coś, a koń zarżał cicho i stanął spokojnie cały drżąc. Jego hebanowa sierść szklila się od potu. Mężczyźni wstrzymali w milczeniu oddech, kiedy podeszła do niego i delikatnie dmuchnęła mu w nozdrza. Parsknął, potrząsnął łbem i natychmiast się uspokoił. Przemawiała do niego w jakimś dziwnym języku, którego nikt nie rozumiał i po chwili pogłaskała go pieścotliwie po aksamitnym nosie.

- Mój Boże, to jakieś gusła, cholerna czarna magia! - wykrzyknął stajenny z narastającym oburzeniem.

- To czary, nic innego, a ty uważaj na to, co mówisz, mój człowieku - odzyskał spokój lord Palmerston.

- Gdzie się nauczyłaś tej niebezpiecznej sztuczki, młoda damo?

- Od ludzi z Moczarów, lordzie. Ja też jestem „Tygrysem z Moczarów”, nie wiedział pan? - rzuciła wesoło Laurel. - Podoba mi się. Chcę go kupić.

- Sprzedaż rozpoczyna się dopiero jutro - mruknął stajenny, patrząc na nią posępnie.

- Nie pozostawię go ani na jeden dzień w pańskich rękach - odcięła się Laurel.

- Zostaw to mnie. Mój człowiek kupi go dla ciebie

- obiecał lord. - Załatw to, John, i niech przyślą mi rachunek.

- Oczywiście, lordzie.

- Podaruję ci go w prezencie, moja droga, ale musisz obiecać, że nie skręcisz sobie karku.

- Nie mogę go przyjąć. To zbyt drogi podarunek.

- Nonsens, oczywiście, że możesz. To prezent od starego człowieka u kresu życia dla młodości i urody.

145

- Pan nigdy nie będzie stary, lordzie.

- Schlebiasz mi - odezwał się oziębłe lord Palmers-ton. - Ale zaczynam już skrzypiec i to mi się nie podoba. Przyjmiesz go, prawda? - Objął ją w talii i delikatnie uściskał. - Chyba nie zrobisz mi zawodu?

Laurel uśmiechnęła się.

- Jest pan dla mnie zbyt dobry.

- Lepiej pozwól, aby John wyszkolił go dla ciebie.

- Wolę zrobić to sama. Czy prześle go pan do mojej stajni? To na Ariington Mews. - Posłała promienny uśmiech otaczającym ją mężczyznom wpatrującym się w nią z podziwem.

- Muszę już iść, nie chcę panom przeszkadzać. Lord Palmerston odprowadził ją do czekającego powozu i uklonił się Jane Ashe.

- I co zrobimy z tą młodą damą? - zażartował.

- Porzucą nas tak wcześnie. Niedługo powinna wziąć udział w wyścigu w St. Leger.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - rzuciła krótko Laurel, kiedy pomagał jej wsiąść do powozu. Uśmiechnęła się szeroko.

- Założę się, że wszyscy padliby przed tobą na kolana. Czy zobaczymy się na przyjęciu u Emiły w sobotę? To ostatnia okazja przed wyjazdem na polowanie w Broadlands.

- Oczywiście za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji.

Potrzymała go przez moment za rękę, a następnie przejęła lejce od Jane. Lord pomachał jej kapeluszem na pożegnanie.

- Nieźle sobie poflirtowałaś z lordem Palmersto-nem! - zamruczała ironicznie Jane Ashe, gdy przejeżdżały przez Strand.

- Ależ to wulgarnie słowo! - udała oburzenie Laurel.

- Ja nigdy nie flirtuję. Lubię go, to wszystko. Jest

146

bardziej zabawny niż mężczyźni znacznie od niego młodszy. Lubi żartować, to go odmładza. - Uśmiechnęła się do swej przyjaciółki. - Ponadto sama przyznasz, że bez niego nigdy bym tego wszystkiego nie zdobyła.

To prawda. W dziesięć miesięcy po przejęciu fortuny dziadka, Laurel stała się ulubienicą londyńskiej śmietanki. Częściowo dlatego, że była bogata i piękna, częściowo dlatego, że otaczała ją aura egzotyki i tajemniczości. Opowiadano intrygujące historie o jej narodzinach, dzieciństwie spędzonym w Rzymie i koneksjach we Włoszech. Ale nigdy nie zdobyłaby takiej pozycji w wyższych sferach, nigdy nie zostałaby przedstawiona królowej, gdyby lady Emiły nie uległa namowom męża i nie zaferowała jej swej protekcji.

- Nie wiem, czy powinnam to aprobować - odezwała się srogo Jane. - Nie ma najlepszej reputacji. Nie powinnaś była przyjmować tak kosztownego prezentu.

- Bzdura! Gdybym odmówiła, poczułby się urażony.

- Ludzie będą plotkować.

- A niech plotkują. Jeśli jego żona nie ma nic przeciwko temu, to dlaczego my się mamy tym przejmować? - rzuciła Jane figlarne spojrzenie. - Przecież nie ciągnę go do łóżka.

- Laurel, proszę cię! Czy musisz być tak bezwstydna?

- Tylko przy tobie, kochana Jane, tylko przy tobie, przy nikim innym. Przecież nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

- Tak mi się wydaje - westchnęła z rezygnacją Miss Ashe. - Ale chciałabym, abyś od czasu do czasu zachowywała się jak miła, spokojna i dobrze wychowana młoda dama.

- To niemożliwe - odpaliła Laurel, popędzając batem konie i gnając przez Piccadilly ku zdumieniu

147

przechodniów. - Pomyśl tylko, jakie by to było straszne. Zanudziłabyś się na śmierć bez ciągłego besztania mnie.

I co gorsza, miała rację. Od dnia, kiedy Jane Ashe przybyła na Ariington Street z kufrem i bagażem podręcznym nie było ani jednego nudnego momentu i sama musiała przyznać, że takie życie wydawało się ciekawsze niż pięć lat spędzonych na nauce w cichym szwajcarskim klasztorze.

Przez ostatnie trzy lata Laurel zmieniła się nie do poznania. Nieśmiała uczennica przerodziła się w kobietę. W wieku dziewiętnastu lat była niezwykle zrównoważona i pewna siebie, i to nie spadek dał jej taką niezależność. Teraz Jane wiedziała już o jej nieślubnym pochodzeniu, domyślała się związanych z tym rozczarowań, choć Laurel z bólem starała się kryć wszelkie uczucia i niewiele mówiła o samych faktach. O Jethro i bardziej bolesnym odkryciu nie mówiła nic. W czasie swego pracowitego, zagonionego życia Jane nauczyła się wiele o ludziach, zwłaszcza o młodych dziewczynach. Zdawała sobie sprawę, że Laurel nie wyznała jej wszystkiego, a ból, który w sobie tłumiła, stanowił przyczynę częstych depresji leczonych okazjonalnie szaleńczymi rozrywkami i przyjemnościami. Jane nie zadawała zbyt wielu pytań, ale obserwowała i słuchała. Była doradcą, opiekunką i przyjaciółką.

W dżungli wyższych sfer Londynu Laurel zawsze mogła polegać na dobrym smaku, takcie i dyskrecji Jane. Choć Jane Ashe musiała już w wieku osiemnastu lat zarabiać na utrzymanie, pochodziła ze znamienitej rodziny. Jej ojciec, czwarty syn zubożałego barona, wiódł niepewny byt wiejskiego wikariusza, a po przedwczesnej śmierci swej żony wyjechał jako misjonarz do Chin, pozostawiając swą córeczkę pod opieką najstarszego brata. Jane była jedynie ubogą krewną w rodzi-

148

nie samolubnych, niesfornych dzieciaków. Kiedy miała osiemnaście lat, ojciec zmarł podczas epidemii cholery, a ona sama, najszybciej jak tylko mogła, wyrwała się spod miłosierdzia wuja Jamesa. Nie należała do piękności, a fakt ten nieustannie wytykała jej ciotka, ale była zrównoważona i inteligentna, zawsze gotowa służyć pomocą, wypełniając wolne miejsce przy stole, przygrywając do tańca młodzieży, grając w wista, kiedy brakowało czwartego, celowo przegrywając w karty dla przyjemności jakiegoś starszego krewnego. Teraz prawie wszędzie zapraszano ją z Laurel, a ich przyjaźń umacniała się z dnia na dzień.

Z pomocą Jane Laurel zmieniła dom dziadka nie do poznania. Wyrzucono ponure, ciemne meble, brązowe tapety, przygnębiające draperie. Salonik, do którego weszły

tego popołudnia rozpyływał się w promieniach słońca, które wpadały przez wysokie okna oświetlając prześliczne chińskie tapety i szykowne, połączane meble. Alice Grafion wyprowadziła się do swego domu w Bath, gdzie pogrążyła się w rozmyślaniach, wylewając swe żale w dokuczliwych listach do Bartona, który darł je w złości, nikomu nie pokazując.

Właśnie zdejmowały czepki i rękawiczki, kiedy pojawił się lokaj Franklin.

Przyprowadził psa, piękne zwierzę o kremowo-kasztanowej sierści i doskonałym arystokratycznym łbie. Laurel pochyliła się, by go pogłaskać.

- Czy Marik był na spacerze?

- Tak, Madam, dwa razy obiegł plac - poinformował Franklin, który nigdy nie zaakceptował tej egzotycznej istoty. Chart Borzoi! Dlaczego nie poczciwy angielski spaniel? - Ktoś chce z panią porozmawiać, Miss Rutland. Przyszedł, gdy tylko pani wyjechała - ciągnął. - Powiedziałem mu, że niedziela to nie dzień na szukanie pracy, ale on upierał się, że pani

149

go zna, więc pozwoliłem mu zaczekać na dole, w kuchni. Nazywa się Seth Sterling.

- Seth! - wykrzyknęła Laurel. - Ależ on pracuje dla lorda Ayishama w Ravensley.

Czego może ode mnie chcieć?

Nagle przypomniała sobie Rosemary, jej twarz, gdy rozmawiały przed wieloma miesiącami i nagle wszystko zrozumiała.

- Poproś go tutaj, Franklin i każ Cindy podać herbatę.

- Cindy wyszła, Madam - oznajmił z dezaprobatą lokaj. - Powiedziała mi, że dała jej pani wolny wieczór.

- Czyżby? Nie pamiętam.

- Obawiam się, że Cindy ma adoratora - wydusił Franklin ze srogą miną. -

Rozmawiałem z nią kilkakrotnie. Wymyka się z domu, aby spotkać się z tym młodym człowiekiem. Kucharz widział ją parę razy. Takie zachowanie jest niegodne tego domu.

- A może jest zakochana - zastanowiła się Laurel nieco rozbawiona.

- Jeśli mi wolno zauważyć, to nie jest wytłumaczenie dla takiego postępowania.

- Być może nie. Zostaw to mnie, Franklin. Porozmawiam z nią.

- Bardzo dobrze, Madam.

Jane zaczekała, aż zamknie drzwi, a potem zwróciła się niecierpliwie do Laurel.

- Powiedziałam to już kiedyś, a teraz to powtórzę. Powinnaś zwolnić tę dziewczynę.

Nie lubię jej. Jest zakłamaną i podstępna.

- Ależ Jane, przesadzasz. Tę biedną istotę wyrzucono z przytułku do sierocińca, nie miała domu, nikogo, kto by jej powiedział jedno dobre słowo. Czy to takie dziwne, że jest taka jaka jest? Musiała zawsze o wszystko walczyć. Czy mogę wyrzucić ją teraz na ulicę, na pastwę losu?

150

- Nie wątpię, że szybko stanęłaby na nogi - nalegała Jane. - Wiesz przecież, że to Barton ją tu umieścił, słusznie przypuszczając, że nie zwolnisz nikogo ze starej służby dziadka. Moim zdaniem, to szpieg.

Laurel wybuchnęła śmiechem.

- Szpieg? Doprawdy Jane, takie wymysły nie są w twoim stylu. W tym domu nie ma żadnych tajemnic. Cały świat o mnie wie. Nie mam żadnych sekretów.

- Nie chodzi o to. Martwię się.

- A więc przestań - Laurel położyła jej dłoń na ramieniu. - Za bardzo się o mnie niepokoisz.

- A kto ma to robić?

Ktoś zapukał do drzwi i do środka wkroczył Seth, a wraz z nim zapach rozległych Moczarów, które Laurel odwiedziła tylko raz od dnia wyjazdu. Ubrany był schludnie, w swe najlepsze sztruksowe bryczesy i brązową marynarkę. Stał pokornie, ściskając w rękę kapelusz.

- Podobno chciałeś ze mną rozmawiać, Seth.

- Tak, Miss Rutland. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę śmiałość, ale słyszałem od panicza Robina, że nie jest pani zadowolona z człowieka, który zajmuje się końmi, więc pomyślałem, że może ja się nadam.

- Ale przecież pracujesz w Ravensley. Byłeś tam przez całe życie - zdziwiła się Laurel.

- Nie można siedzieć zbyt długo w tym samym miejscu - podtrzymywał z uporem. - Czasami potrzebna jest zmiana na lepsze.

- Czy lord Ayisham o tym wie?

- Opuściłem służbę dwa tygodnie temu, ale w razie potrzeby z pewnością dostanę referencje - przerwał na chwilę. - Jeśli ktoś już dostał tę pracę, może pani lub Miss Ashe znają kogoś, kto potrzebuje stajennego lub woźnicy.

151

Podniósł głowę, a Laurel dostrzegła ból w brązowych oczach i wyczuła niepokój ukryty w spokojnym zachowaniu. Seth utrzymywał swą owdowiałą matkę. Nie mógł pozostać bez pracy.

- Będę bardzo szczęśliwa, jeśli zajmiesz się moimi końmi - oświadczyła, podejmując natychmiastową decyzję. - Nie potrzebuję żadnych referencji. Nad stajnią znajduje się pokój, który możesz zająć. Zaczynasz pracę od jutra. Pojedziesz do Covent Garden, by odebrać konia od ujeżdźacza lorda Palmerstona, Johna Daya. To wspaniały czarny ogier, bardzo brutalnie traktowany. Może potrzebować delikatnego przeszkolenia. Czy możesz to dla mnie uczynić?

Twarz Setha rozjaśniła się.

- Z największą przyjemnością. Miss Rutland.

- Świetnie. Porozmawiam z Franklinem. Kiedy wrócisz do kuchni, poproś go, by podał herbatę.

- Oczywiście.

\* \* \*

- Czy to było rozsądne? - zauważyła Jane, kiedy zniknął. - Przyjęłaś go tak szybko i bez referencji.

- Och, nie ma wątpliwości co do jego charakteru czy umiejętności. Dziwię się tylko, że lord Ayisham pozwolił mu odejść. Wiem, jak bardzo go cenił.

- I właśnie o to chodzi, moja droga. Być może coś się wydarzyło w Ravensley, a teraz i ty będziesz w to zamieszana.

- Pewna jestem, że Seth nigdy niczego nie ukradł ani nie oszukał swego chlebodawcy nawet na ćwierć pensa - zapewniła lekko Laurel.

- Nie o tym myślałam. Może były inne problemy...

- Kto wie. Czasami zastanawiałam się, czy... - przerwała czując, że nie powinna zdradzać sekretu Rose-

152

mary nawet przed Jane. Jeśli to ich wzajemne uczucie było przyczyną odejścia Setha, dowie się o tym prędzej czy później, a teraz nic nie było w stanie podważyć jej zaufania do tego człowieka.

- Poczekamy, zobaczymy, prawda?- ziewnęła przeciągając się. - Po podwieczorku muszę się przebrać. Wkrótce przyjedzie po mnie George.

- Gdzie się dziś wybierasz?

- Nie mówiłam ci? - zdziwiła się Laurel. - Małe przyjęcie w Cremorne Gardens.

Koncert i kolacja, to wszystko.

Jane zmarszczyła brwi.

- Cremorne Gardens to już nie to co kiedyś. Wieczorem można spotkać tam wiele niepożądanych osób. Dziwi mnie, że właśnie to miejsce wybrał kapitan Grafion.

- Och, Jane, proszę. Nie psuj mi zabawy. Do jednego z jego przyjaciół przyjechały w odwiedziny dwie siostry i pragną jak najwięcej zwiedzić w Londynie. Biedak nie może dać sobie z nimi rady. George postanowił mu pomóc, organizując ten wieczór. Będziemy stanowić bardzo szacowne towarzystwo, znudzone jak zwykle, choć dziś występuje Grisi.

\* \* \*

Podano herbatę. Jane zajęta jej nalewaniem poczuła, że nadeszła chwila, aby podzielić się z Laurel swymi obawami, bez względu na konsekwencje. Rozejrzała się po pokoju. Wypełniały go kwiaty od licznych wielbicieli Laurel, świeże róże, kosztowne lilie, kosze wiejskich kwiatów. Posłaniec przynosił je niemal każdego dnia, czasami razem z cennymi upominkami, zawsze skrupulatnie odsyłanymi ofiarodawcy. Podawała filiżankę Laurel i pociągnęła łyk herbaty. Laurel

153

siedziała na sofie wsparta na wysokich poduchach, rozłożywszy swą suto marszczoną spódnicę z jedwabiu. Jane wiedziała, że rzadko coś jej dolegało, a jednak teraz wyglądała bardzo dziewczęco, delikatnie i słabowicie. Wielkie oczy, przepiękna twarz, szczupła dłoń podająca herbatnika chartowi leżącemu u jej stóp. Pies podniósł kształtny łeb, powąchał delikatnie ciasteczko i przyjął je z książęcą miną. Laurel sięgnęła po następne i przełamała je na pół. Bez ojca, brata czy opiekuna była całkowicie bezbronna, wystawiona na żer męskiej zachłanności. Jane poczuła ciężar odpowiedzialności.

- Laurel, czy mogę coś powiedzieć - odezwała się niespodziewanie.

- Oczywiście, przecież nie musisz pytać o pozwolenie.

- Ale to ci się może nie spodobać.

- Och, moja droga - Laurel wyprostowała się - dzisiaj mamy dzień upomnień? Wiem, że nie powinnam była przyjąć Marika od księcia Malinskiego czy czarnego ogiera od lorda Palmerstona, ale co w tym złego? - spytała wesoło.

- Chciałabym, abyś rzadziej spotykała się z kapitanem Grafionem.

Laurel otworzyła szeroko oczy.



- A może wcale? Co on takiego zrobił? Przecież to mój kuzyn. Prócz tego świetny kompan. Bawi mnie.

- Pozbawiony jest wszelkich skrupułów i ma tylko jeden cel... dostać się do twoich pieniędzy.

Laurel milczała przez chwilę, drapiąc za uchem psa, a następnie podniosła wzrok.

- Wiem o tym, Jane. Zawsze to wiedziałam. Nie jestem już dzieckiem, od Ugo Falcone nauczyłam się sporo o mężczyznach. Tylko o jedno im chodzi, prawda? Nie o mnie, ale o pieniądze dziadka, ale przecież nie wszyscy są tacy.

154

- Jest ktoś, komu nie zależy zupełnie na pieniądzach. Laurel rzuciła jej szybkie spojrzenie.

- Tylko jeden?

- Ktoś, kogo jestem pewna.

- A któż to taki?

- Robin Ayshiam.

- Ach, Robin - westchnęła Laurel. - Wiemy piesek. Nudny, nieszczęśliwy, ale lojalny.

- Nie wyśmiewaj się z niego. Ten chłopak kocha cię z całego serca.

- Tak mu się wydaje.

- Bądź dla niego miła.

- A co więcej mogę zrobić? - zniecierpliwiła się.

- Pozwalam mu trzymać tu konia. Od czasu do czasu odbywam z nim przejażdżkę po parku. Zapraszam go na wszystkie przyjęcia. Przypominam mu, że powinien studiować prawo w Tempie. Czy to moja wina, że go nie Kocham? Podniosła się gwałtownie, potrącając wielkiego psa. Urażony, przeniósł się na dywanik pod kominkiem. - Wystarczy tych rad jak na jeden dzień, prawda? Obiecuję zapamiętać wszystko, co mi powiedziałaś, obiecuję zachowywać się poprawnie dziś wieczorem. Zgoda?

- pocałowała Jane w czubek głowy. - A teraz muszę się przebrać.

Jane chwyciła ją za rękę.

- Uważaj na siebie. .

- Czego się boisz? - rzuciła nonszalancko. - Że George porwie mnie do Gretna Green i poślubi?

- To się zdarza.

- Tylko głupcom.

Zmieniając suknię pomyślała o George'u. Jane miała rację. Przez ostatni rok widywała go bardzo często. Jako jej kuzyn zajmował uprzywilejowaną

155

pozycję. Przychodził kiedy chciał, prawie jak brat, a niekiedy bronił ją przed natarczywością innych młodzieńców. Nie miała co do niego złudzeń. Zabawny i czarujący, ulegał niezdrowym ambicjom bardziej niż Barton. Sir Joshua kupił mu patent oficerski w pułku huzarów. Szybki awans na kapitana i poparcie lorda Cardigana, jego dowódcy, otworzyło mu bramy do wyższych sfer i tam już się zadomowił. Barton, mimo swej żyłki do interesów, pozbawiony był wytwornego smaku. Śmietanka towarzyska z trudem tolerowała jego obecność. Czasami wydawało jej się, że drażniła go pozycja społeczna młodszego brata.

Spojrzała w lustro. Rude włosy lśniły na tle jasnej sukni zdobionej koronkami w kolorze kości słoniowej. Przypięła do stanika bukiet świeżych, herbacianych róż i narzuciła szal z perskiego jedwabiu. Nucąc pod nosem, zeszła po schodach do czekającego przy powozie George'a.

Cremorne Gardens, niegdyś farma nad rzeką, w ciągu ostatnich kilku lat przekształcona została w przepiękny park. Kate i Lucy, bliźniaczki, siostry porucznika Denta, zachwycały się wszystkim po drodze, zielonymi trawnikami, klombami kwiatów oślepiających tęczę kolorów, fontannami wyrzucającymi krople wody do kamiennych sadzawek ze złotymi rybkami, świątyniami dumania skrytymi pośród zacienionych alejek, okazałą salą balową z imponującymi żyrandolami gazowymi, gdzie Laurel siedząc przy śmiertelnie znudzonym George'u, wysłuchiwała madrygałów i fantazji na flet.

Przez całą kolację bliźniaczki chichotały nie do zniesienia. Trudno było sobie wyobrazić większą nudę, więc kiedy ruszyli na przechadzkę po parku, dziewczęta uwiesiły się na ramieniu brata, traj kocąc trzy po trzy, a Laurel dała znak George'owi, by po cichu zostali w tyle.

156

Wieczór był piękny, spokojny i ciepły. Kolorowe lampiony zawieszane na drzewach odbijały się w ciemnej rzece tworząc czarujący nastrój. Po głównej ścieżce spacerowało wiele par, a w pewnej chwili pojawiła się gromada rozszalałych młodzieńców, goniąc po zaroślach dwie wyzywająco ubrane dziewczyny. Wrzaskom i śmiechom nie było końca. Laurel przypomniała sobie słowa Jane, podczas gdy George spojrzał na nich z odrazą, chwycił ją pod ramię i poprowadził w bardziej zaciszną część parku.

- Boże, co za straszny wieczór! - poskarżył się. - Dlaczego dobre uczynki zawsze prowadzą do tak okropnej nudy? Obawiam się, że nie jestem stworzony do dziecięcych zabaw.

- Nie bądź taki złośliwy. Kate i Lucy są ode mnie młodsze tylko o trzy lata.

Uśmiechnął się.

- Nigdy nie uwierzę, że i ty byłaś tak niewinna lub tak głupawo naiwna. Jakaś dobra wróżka rzuciła na ciebie urok już w kołysce. Czy twoja matka była czarownicą?

- Tak mówią - rzuciła nonszalancko. - Czarownicą z Moczarów.

Spacerowali w milczeniu, a po chwili Laurel zauważyła, że w tym odosobnionym zakątku parku nie było prawie nikogo. Ściemniało się. George nie odezwał się ani słowem, rzuciła mu więc pytające spojrzenie.

- Jest później niż myślałam, Jane będzie się niepokoić. Chyba czas, abyś zabrał mnie do domu.

- Do diabła z Jane! - wybuchnął. - Chyba nie jest twoim stróżem. Nigdy nie mogę mieć cię dla siebie. Chcę porozmawiać.

- O czym?

- Nie domyślasz się? Uniosła figlarnie brwi.

157

- Boże mój! Jeszcze jedno oświadczenie.

- Dlaczego kpisz sobie ze mnie, Laurel? - spytał rozgoryczony. - Mówię poważnie.

- Nie wątpię - zniecierpliwiła się. - Odpowiedź brzmi: „nie”.

Dotarli do małej, zacisznej altany. Posadził ją obok siebie na kamiennej ławce.

Lampion zawieszony na pochyłej wierzbie rzucał groteskowe cienie na jego przystojną twarz, nadając jej diabelski wygląd.

- Dlaczego, Laurel, dlaczego? Pasujemy do siebie. Tak świetnie bawiliśmy się tego lata. Rozumiemy się. Śmiejemy się z tych samych rzeczy. Dlaczego tak nie może być zawsze?

- Powiem ci dlaczego, jeśli chcesz. Jest wiele powodów - wyliczyła je na palcach. - Pierwszy, nie kocham cię. Drugi, ty mnie nie kochasz...

- Ach, miłość! - parsknął.

- Tak, miłość - ciągnęła spokojnie. - Tak się składa, że w nią wierzę. Trzeci, chcesz tylko pieniędzy dziadka. Czwarty, mogę udzielić ci pożyczki na spłacenie długów, ale nic ponadto. Piąty...

- Czy zawsze musisz być tak brutalnie szczerą? To nie oferta handlowa.

- Czyżby? Wydawało mi się, że na początku postanowiliśmy być względem siebie całkowicie szczerzy.

- Wtedy było inaczej.

- Jak inaczej? - Spojrzała na niego z ciekawością. Zmarszczył brwi. Na chwilę stracił nonszalancką, rozbawioną minę.

- Uważasz, że jestem taki jak Barton, prawda?

- A co do tego ma Barton?

Ale doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Przy każdym spotkaniu Barton nie krył swej wrogości. Nagle George odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Jest ktoś inny, prawda?

158

- Może - odpowiedziała prowokacyjnie. - I co z tego?

- Kto to taki?

- Nie mam zamiaru ci powiedzieć.

- Nie drażnij mnie, mała diablico - zagroził. - Chcę wiedzieć. Czy to może ta chłopczyną, Robin Ayshiam, a może ten Rosjanin, który wszędzie za tobą łązi?

- To nie Robin, ani książkę Malinski, ani lord Palmerston, nikt, kogo znasz...

- Niech cię diabli, a więc kto? - chwycił ją za ramiona.

- Nie bądź głupi, George. Nie ma nikogo. Żartowałam tylko.

Nie zwolnił jednak uścisku.

- Czy to ten konował? Ten chirurg, z którym cię kiedyś widziałem?

Zaśmiała się niepewnie.

- Nie bądź śmieszny. Jethro jest w Wiedniu. Nie widziałam go od roku.

- A więc, co ci się we mnie nie podoba? Odpowiedz mi. - Wbił w nią wzrok. - Wiesz, że bardzo szybko mogłabyś się we mnie zakochać.

- Wątpię.

Pocałował ją namiętnie, z pasją, ale ona pozostała obojętna w jego ramionach, nie zareagowała, nie wyrwała się. Niechętnie wypuścił ją z objęcia.

- Nie zależy ci, po prostu ci nie zależy.

- Przeciwnie, bardzo cię polubiłam, George - odzyskiwała powoli spokój, choć ręce drżały jej, gdy odpinała bukiet róż i rozsypywała na ziemię płatki.

- Polubiłam cię, na Boga! - powtórzył szyderczo. - Polubiłam! I co z tego?

Prowokujesz mężczyznę, pozwalasz mu myśleć, że...

- Że co, George? - spytała chłodno.

- Dobrze wiesz.

159

Nigdy przedtem nie widziała go w tak dziwnym nastroju. To ona zawsze panowała nad sytuacją, ale tego wieczoru dostrzegła w nim coś niepokojącego. Trzęsła się nieco, choć niczego nie dała po sobie poznać. Uświadomiła sobie słowa Jane. Igrała z ogniem. Z łatwością mógł zmusić ją do uległości, a małżeństwo byłoby jedynym sposobem na uniknięcie skandalu. Pomyślała o ucieczce, ale nie mogła sobie pozwolić, by ktoś ją teraz zobaczył. Nagle George zaskoczył ją, podnosząc się zdecydowanie z ławki.

- Lepiej poszukajmy naszych przyjaciół, zanim całkowicie się zapomnę - zaproponował lakonicznie.

- Chodź - wyciągnął rękę.

Szli obok siebie bez słowa. W tym samym czasie Kate i Lucy ze swoim bratem poszukiwali ich z niecierpliwością.

- Co się z wami, u diabła, działo? - wykrzyknął porucznik Dent. - Szukaliśmy was wszędzie.

- Zgubiliśmy się - wyjaśnił krótko George. Odwieźli ich powozem do domu, a następnie ruszyli

na Ariington Street. George wyskoczył na chodnik i pomógł Laurel wysiąść z pojazdu. W świetle lampy dostrzegła jak błyszczą mu oczy. Nie puścił jej dłoni.

- Nie uwierzysz mi, ale naprawdę cię kocham, Laurel - wyznał cicho.

- Nie zmuszaj się do takich wyznań. Nie ma potrzeby

- rzuciła szybko. - To nie robi na mnie żadnego wrażenia.

- Ale ja się do niczego nie zmuszam. To najprawdziwsza prawda! - Ścisnął ją mocno za rękę, pożegnał się i wsiadł do powozu. Odprowadziła go wzrokiem, kiedy odjeżdżał.

W domu czekał na nią Franklin.

- Cindy jeszcze nie wróciła, Madam. Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć.

160

- Dobrze - odparła znużona. - Porozmawiam z nią jutro rano.

Czuła się zmęczona i wstrząśnięta tym, co się stało. Zdjęła suknię i stanęła przy oknie zastanawiając się nad słowami George'a. Być może miał rację. Być może była względem niego niesprawiedliwa. Oparła czoło o zimną szybę. Boże, gdzie był teraz Jethro? Dlaczego w każdym mężczyźnie widziała jego twarz? Próbowwała wyrzucić go ze swych myśli, świadomie pozwalała się uwodzić, nie czując absolutnie nic. Nikt nie był w stanie przebić lodowej zbroi jej obojętności. Westchnęła i już miała zasunąć kotary, kiedy jej

oczom ukazała się para wynurzająca się z mroku. Cindy, Laurel nie miała wątpliwości, i wysoki, młody mężczyzna, dziwnie znajomy, choć nie widziała jego twarzy. Dziewczyna przemknęła się cichcem na schody, a mężczyzna odszedł powoli, lekko kulejąc. To właśnie przypomniała sobie Laurel. Pewnego dnia odwiedziła biuro w magazynie dziadka, by porozmawiać z Bartonem o interesach. Urzędnik, który zaprowadził ją do gabinetu kulał właśnie w ten sposób. Na pytanie, co się stało, odpowiedział, że potrąciła go dorożka na ruchliwej ulicy. Nigdy nie zapomniła jego zgorzkniałego, rozgoryczonego wyrazu twarzy. Co go łączyło z Cindy? Odpowiedź z pewnością była prosta, ale poczuła dziwny dreszczyk emocji.

161

9

Następnego ranka Laurel obudziła się bardzo późno. Kiedy Cindy zapukała do pokoju i wniosła herbatę, leżała jeszcze w łóżku, przypominając sobie wydarzenia ubiegłej nocy. Dziewczyna podeszła do okna i rozsunęła kotary. Przez ostatnie miesiące Cindy przybrała nieco na wadze, ale poza tym wciąż była tym samym chudym, porzuconym dzieciakiem o wielkich oczach, które wzbudziło litość Laurel w dniu otwarcia testamentu. Podeszła do łóżka.

- Czy nalać pani herbaty?

- Nie, dziękuję. Podaj mi szal. Cindy przyniosła biały, wełniany szal i położyła go na ramionach swej pani. Potem ruszyła w stronę drzwi.

- Nie odchodź - nakazała Laurel. - Chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczyna zatrzymała się, wróciła na miejsce i pokornie spuściła wzrok.

Laurel zawsze żałowała, że brak jej doświadczenia ze służbą. We Włoszech знаła tylko swoją pokojówkę, a nie wiedziała nic o ludziach krzątających się po kuchniach pałacu Falcone. Ale tu, w Anglii, każda dama musiała wiedzieć, jak postępować ze służbą. Oczywiście, obowiązek ten mógł spaść na Jane, ale Laurel czuła się niejako odpowiedzialna za to nieślubne dziecko nieznanego ojca, zaniedbane w sierocińcu, które przez szesnaście lat nie zaznało miłości i dobroci. Wiedziała jednak, że pewne sprawy należy wyjaśnić jak najszybciej. Zebrała siły i zapytała od niechcienia:

- Kim był ten młody człowiek, Cindy? Dziewczyna przestraszyła się.

- Ja... nie wiem, o czym pani mówi.

162

- Nie kłam - odezwała się chłodno Laurel. - Widziałam was razem. Było już późno... po jedenastej. Mr Franklin życzy sobie, aby służba wracała przed dziesiątą.

- Wiem... ale to nie moja wina. To z powodu Jacka. Widzi pani, on zabrał mnie za miasto i spóźniliśmy się na ostatni omnibus. Musieliśmy iść pieszo.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco i Laurel zmarszczyła brwi.

- A ten Jack pracuje dla pana Bartona Rutlanda, prawda?

- Tak - przyznała niechętnie dziewczyna. - Jack Webb, tak się nazywa. Jest tam urzędnikiem.

- Jak go poznałaś?

- Kiedy pracowałam w fabryce opakowań. Przychodził tam czasami z zamówieniami od pana Bartona.

- Fabryka opakowań?

- Tak, herbaty. Musieliśmy pakować herbatę do ozdobnych puszek i pieczętować je.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś mi kiedyś, iż przybyłaś do tego domu prosto z sierocińca - przerwała Laurel.

- Tak... no, prawie. Nie kłamałam, naprawdę. W fabryce byłam tylko przez kilka tygodni, potem pan Barton przysłał mnie tutaj, bo jego matka nie mogła znaleźć służącej, zabronił mi mówić o tym, więc nie mówiłam.

- Zabronił ci? Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego. Panowie jak on nie muszą się tłumaczyć przed takimi jak ja - dziewczyna padła na kolana. - Proszę mnie nie wyrzucać, bardzo proszę. Nie zrobiłam niczego złego, przysięgam... jestem tu taka szczęśliwa. - Wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Laurel nie była pewna, czy Cindy kłamie, czy też mówi prawdę. Miała niejasne przeczucie, że coś się za tym kryje, nie wiedziała jednak jaką grę prowadził Barton.

163

- Na miłość boską, wstań - nakazała niecierpliwie. - To niedorzeczne zalewać się łzami. Nikt cię nie wyrzuci, jeśli będziesz się godnie zachowywać. Czy zamierzasz poślubić tego młodzieńca?

Dziewczyna podniosła się, wycierając nos w róg chusteczki.

- Jeszcze mnie o to nie poprosił - oznajmiła markotnie.

- Wytrzymaj oczy i wracaj do pracy. A w przyszłości nie wychodź nigdy bez pozwolenia pana Franklina.

Rozumiesz?

- Tak, miss.

- Świetnie. Możesz odejść.

Pomyślała o tym przez kilka minut, popijając herbatę, a następnie wyrzuciła ją ze swych myśli. Nie mogła pozbyć się tej dziewczyny za tak niewinne przewinienie jak randka z mężczyzną. Życie Laurel było zbyt pełne i radosne, by musiała marnować czas na grzeszki służby. Tego samego dnia udała się do stajni, by obejrzeć

czarnego ogiera przyprowadzonego przez Seta.

- Co o nim myślisz? - spytała, gładząc wygiętą szyję konia.

- Pochodzi z doskonałej hodowli, ma dobre kości i jest bardzo wytrzymały, ale ponoszą go nerwy i wszystko go płoszy - odparł Seth. - Moim zdaniem, jakiś głupiec próbował złamać jego charakter i prawie mu się udało.

- Czy jest więc niebezpieczny?

- Jeszcze nie, ale nie chcę by dosiadła go jakaś kobieta, nawet wy, panienko, zanim go lepiej nie poznam.

- Zgoda. Daj mi znać, kiedy będzie gotowy. Już nadałam mu imię - Lucyfer. Czy myślisz, że do niego pasuje?

Seth uśmiechnął się.

- Z pewnością ma w sobie coś z diabła, panienko.
- Diabła, którego musimy poskromić.
- Zrobię co w mojej mocy.

Minął cały miesiąc, zanim Seth uznał, że Lucyfer nadaje się do przejażdżek po Hyde Parku, ale nawet wtedy miał złe przeczucia, obserwując Laurel w siodle.

- Proszę pozwolić mi pojechać z panienką - powiedział - na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

- Nonsens, Seth. Potrafię zapanować nad koniem, nawet takim jak ten. Prawda, mój śliczny? - poklepała delikatnie lśniąca szyję.

Jane podzielała opinię Seta, ale znała Laurel i nie odezwała się ani słowem. Każdy sprzeciw wywołałby jeszcze większy opór. Często towarzyszyła Laurel w porannych przejażdżkach, ale tego dnia nie czuła się najlepiej i postanowiła pozostać w domu.

Czas między jedenastą a południem był najwłaściwszy na okazałą prezentację własnej osoby i konia, ale jak zwykle Laurel, nie zważając na upodobania innych wybierała się na przejażdżkę o siódmej rano, zmuszając wszystkich młodzieńców pragnących zabłysnąć w jej oczach, do wczesnej pobudki. Właśnie tego dnia Jethro odbywając krótką, poranną przejażdżkę z przyjacielem Charlesem Townsendem ujrzał ją po raz pierwszy po prawie 12 miesiącach.

Budził się wspaniały październikowy dzień. Drzewa zaczęły zmieniać swe barwy, a cienkie, niepewne promienie słońca malowały liście kolorami złota, cynamonu i purpury. Obaj mężczyźni przystanęli na moment po wyczerpującym galopie i wdali się w pogawędkę ze znajomym, kiedy Charles nieoczekiwanie poklepał Jethro po ramieniu. - Na Jowisza, patrz jak ona pędzi na tym koniu, zupełnie jakby była to przedszkolna zabawka.

- O kim mówisz? - spytał obojętnie Jethro, odwracając głowę.

W swym ciemnoczerwonym kostiumie Laurel wyglądała imponująco na czarnym jak kruk rumaku. Jethro oniemiał z wrażenia, patrząc jak rozmawia ożywiona z dwoma towarzyszącymi jej mężczyznami. George Grafion prezentował się okazale w wiśniowym mundurze i niebieskiej, huzarskiej kurtce zdobionej złotem. Tego samego dnia czekała go służba w królewskim pałacu. Po jej drugiej stronie pędził wysoki, jasnowłosy człowiek w zagranicznym, czarno-srebrnym uniformie. Obok biegł susami biało-brązowy pies.

- Dmitri Malinski z ambasady Rosji - mruknął Charles. - To on podarował jej tego psa, wspaniała bestia, prawda? Och, ona trzyma klasę. Mówią, że nawet stary Pam zakochany jest w niej po uszy i Bóg jeden wie, ilu jeszcze.

- Śmiem przypuszczać, że wszyscy są jej kochankami - zauważył ironicznie Jethro. Charles spojrział na niego niepewnie.

- Ani jeden. Z pewnością o tym marzą, ale jej nie można do niczego zmusić. Dręczy ich, trzymając na dystans kiedy tylko ma na to ochotę. „Królowa i łowczym, czysta i

szlachetna", tak namalował ją młody artysta imieniem Millais - z włócznią w dłoni, na wielkim, białym koniu. To była sensacja letniej wystawy.

- To nie byle kto, skoro potrafi wywołać w tobie tak poetyckie uczucia.

- O Boże. Nie uganiem się za nią, nigdy się nie uganiałem, ale od czasu do czasu zaprasza mnie na kolację. Wiesz przecież, że jest pacjentką ojca, nie moją, co wcale nie oznacza, że ciągle choruje.

Jethro nie miał pojęcia, co popchnęło go do takiego zachowania. Jego słowa nie miały najmniejszego sensu, wstydił się ich, ale nie potrafił się powstrzymać.

166

Celowo ruszył naprzód, przecinając im drogę i szerokim gestem uniósł kapelusz. Laurel rozpoznała go natychmiast i zaskoczenie odebrało jej dech w piersiach. Straciła kontrolę nad narowistym koniem, a Lucyfer znudzony powolnym, spokojnym klusem, radośnie potrząsnął łbem i skoczył do przodu. Laurel próbowała zachować równowagę, ale wypuściła z dłoni bicz, ześlizgnęła się z siodła i spadła twardo na ziemię. Koń pociągnął ją za sobą kilka jardów, a następnie pogalopował przed siebie, zostawiając ją w bezruchu. Obaj mężczyźni popędzili jej na ratunek, ale Jethro był szybszy. Zeskoczył z konia i przyklęknął przy Laurel, obłany z przerażenia zimnym potem. Po chwili pojawił się George z Rosjaninem. Zeskoczyli z siodła i stanęli nad dziewczyną.

- Czy to coś poważnego?

- Czy jest ranna? Jethro podniósł wzrok.

- Proszę zostawić to mnie. Jestem lekarzem. Laurel otworzyła oczy. Wciąż oszołomiona, wpatrywała się w Jethro i próbowała wstać.

- Nie ruszaj się... leż - nakazał, popychając ją łagodnie.

- Mój koń - wymamrotała. - Co się stało z moim koniem?

- Nic mu nie będzie.

Charles, zachowując zimną krew, rzucił się w pościg za ogierem i przyprowadził go, uległego, ze spuszczonego łbem, pokrytego potem.

Jethro dotykał ją delikatnie wprawnymi dłońmi.

- Czy coś cię boli?

- Nic mi nie jest - zapewniła omdlałym głosem. - Pomóż mi wstać.

Wokół nich zebrał się niewielki tłumek, a Jethro otaczając Laurel ramieniem postawił ją na nogi.

167

Dziewczyna, biała jak papier, z trudem chwytła powietrze, ale nie poddawała się.

- Gdzie jest Lucyfer? Wsadź mnie na siodło. Dokoła rozległy się głosy sprzeciwu.

- Nie może pani ryzykować. Ten koń jest niebezpieczny - wykrzyknął Malinski.

- Nie radzę - odezwał się cicho Jethro.

- Przywołam dorożkę i odwiozę cię do domu - zaproponował praktycznie George.

Przesunęła po nich wzrokiem.

- Jesteście bardzo uprzejmi, ale nigdy bym sobie nie wybaczyła takiej słabości. Nigdy nie ujarzmię tego czarnego szatana, jeśli poczuje, że zwyciężył - uśmiechnęła się blado.

- Wracam na nim do stajni.



Była twarda jak stal, a jej odwaga poruszyła Jethro.

- Jak chcesz, ale ja jadę z tobą - oznajmił. George i Rosjanin próbowali go powstrzymać, ale Laurel nie posłuchała ich sprzeciwów.

- Dziękuję, Jethro. Będę ci wdzięczna. Wsparła się na jego ramieniu, a on z niezwykłą ostrożnością posadził ją w siodle. Dostrzegł jej zaciśnięte z bólu usta i podał jej lejce.

- Nie muszą się panowie obawiać - rzekł, odwracając się do pozostałych. - Jestem starym znajomym panny Rutland i znam jej lekarza. Dopilnuję, by miała należytą opiekę. Charles, czy masz mojego konia?

Wskoczył na siodło i szeptem polecił swemu przyjacielowi:

- Powiadom swego ojca, dobrze? Zaczekam na niego.

Pod baczny spojrzeniem gapiów, chciwych mocnych wrażeń, zbliżył się do Laurel i oboje wyjechali z parku.

Patrzyła prosto przed siebie.

168

- Postąpiłam tak nierozważnie, ale to przez ciebie...

Nie spodziewałam się... to był szok.

- Przepraszam - dotknął na moment jej dłoni. - Nie powinienem był się tak głupio zachować.

- Kiedy wrócisz z Wiednia?

- Tydzień temu. Nic nie mów. Wkrótce będziemy w domu.

Ruch na drodze był spory i dziewczyna z trudem powstrzymywała swego narowistego rumaka. Jethro zdawał sobie sprawę, że każdy wstrząs sprawiał jej ból, ale trzymała się dzielnie aż do samej stajni. Jethro zdziwił się na widok Setha śpieszącego im na spotkanie, ale odłożył swe pytania na później. Laurel na wpół omdlała ześlizgnęła się w jego ramiona, a on zaniósł ją do domu, mijając zdziwioną służbę. W hallu natknął się na Jane Ashe, która wykrzyknęła pełnym niepokojem głosem:

- Właśnie tego się obawiałam. Czy to coś groźnego?

- Nie jestem pewien. Gdzie mam ją zanieść?

- Proszę za mną.

Jane zaprowadziła go do pokoju na piętrze, tego samego w którym spotkał się kiedyś z Sir Joshua. Oprócz łoża z baldachimem wszystko zmieniło się nie do poznania. Ściany pokrywała jasna, satynowa tapeta, w oknach wisiały jedwabne firanki, eleganckie meble współgrały ze srebrnymi i szklanymi ozdobami na toaletce, w powietrzu unosił się delikatny zapach perfum, a wszystko było tak piękne jak dziewczyna, którą położył na łóżku z niezwykłą delikatnością.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego, ale posłałem po doktora Townsenda, który, jak wiem, opiekuje się panną Rutland. Zanim jednak przybędzie, sam chciałbym ją zbadać.

- Nie wiem, czy mogę na to pozwolić - zaczęła Jane, zaskoczona impertynencją nieznajomego.

169

- Niech pani nie będzie głupia - przerwał jej gwałtownie -jestem lekarzem... Jethro Ayisham. Z pewnością zna pani mojego brata Olivera Ayishama.

- Tak, tak... znam.

- A zatem - rzucił niecierpliwie - proszę pomóc mi ją rozebrać. Boję się, że mogła połamać sobie żebra podczas upadku.

Jane nie była w stanie sprzeciwić się temu wysokiemu, zdecydowanemu młodzieńcowi o przenikliwych, szarych oczach. Wspólnie odpięli Laurel kurtkę i ściągnęli ją. Jane poluzowała jej biały kołnierzyk, a Jethro niecierpliwymi palcami rozpiął bluzkę i cienką bieliznę zdobioną delikatnymi koronkami.

Laurel czuła chłodne dłonie Jethro przesuujące się po jej ciele. Jego dotyk nie wywołał szoku ani mieszanina, lecz zmysłową rozkosz, której nie potrafiła w pełni zrozumieć. Nagle jego palce natrafiły na bolące miejsce i dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

- To boli - oburzyła się.

- Tak myślałem. Weź głęboki oddech. Być może znów poczujesz ból. Muszę to zbadać.

Ostry ból dokuczał jej przez chwilę, Jethro cofnął dłoń.

- Miałem rację. Złamałaś sobie dwa żebra. Town-send zabandażuje je. Poboli przez tydzień. Musisz bardzo uważać.

- Boli mnie głowa - poskarżyła się jak dziecko.

- Pokaż.

Pochylił się nad nią, rozgarniając palcami jedwabiste włosy.

- Tak, masz guza, jest też trochę krwi. Musiałaś upaść na ostry kamień. - Spojrzał na Jane.

- Jeśli przyniesie pani trochę gorącej wody, przemyję to miejsce i dokładnie je obejrzę.

- Dobrze - spojrzała niepewnie na Laurel. - Czy mogę cię zostawić samą?

170

- Oczywiście, że tak. Jane wyszła z pokoju, a Jethro podszedł do okna. Po ulicy toczył się powozik zaprzężony w dwa konie, a ciemnoskóry człowiek, prawdopodobnie Hindus, e z tacą pełną przypraw podchodził od drzwi do drzwi, | oferując swój rabarbar, gałkę muszkatołową, cynamon S i imbir. Jethro obserwował go bezmyślnie. Jako lekarz | przywykł do badania kobiecych ciał, stawiania diagnozy 'f i stosownego leczenia poszczególnych przypadków, ale | teraz czuł coś zupełnie innego. Z trudem powstrzymywał ;: drżenie rąk, dotykając tego wspaniałego ciała, o którym | wciąż śnił po nocach. Jak miał sobie z tym, u diabła, poradzić? A już wierzył, że się z tego wyleczył, że może oprzeć się każdej pokusie. Tymczasem trząsał się jak młodzieniaszek oczarowany po raz pierwszy w życiu. Z łóżka dobiegł go chłodny głos:

- Dobrze bawiłeś się w Wiedniu?

Odwrócił głowę.

- To nie była zabawa. Sporo się nauczyłem.

- I zamierzasz to zastosować w Szpitalu św. Tomasza?

- Już tam nie wracam. Będę pracował w Szpitalu św. Bartłomieja.

- Czy to prawda, że wszystkie wiedenki są bardzo piękne?

- Zgadza się.

r- Zakochałeś się w nich?

- We wszystkich, ale ponieważ albo rodziły albo leżały na stole operacyjnym czekając na mój nóż, na prawdziwą miłość nie było czasu.

Zaśmiała się, lecz perlisty śmiech zakończył się ciężkim westchnieniem.

- Oj, zabolalo.

- Obawiam się, że boleć będzie przez jakiś czas.

W tym momencie weszła Jane z miską wody i kłębkami waty. Starannie zmył krew.

171

- To nic poważnego, spory siniak, ale może powodować bóle głowy. Zalecam pozostanie w łóżku i odpoczynek co najmniej przez dwa tygodnie.

- Chciałbym poczekać na doktora Townsenda

- zwrócił się do Jane.

- Ależ oczywiście, doktorze Ayisham - odparła.

- Zejdźmy do jadalni, służąca poda kawę.

- Dziękuję - ujął rękę Laurel w obie dłonie. - Twój lekarz zaopiekuje się tobą, ale uważaj na tego ogiera, przynajmniej przez jakiś czas.

- Obiecuję...

- Świetnie - ruszył do drzwi, ale zatrzymała go.

- Jethro...

- Tak - uśmiechnął się pobłaźliwie. - O co chodzi? , - Nie opuścisz mnie, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Zobaczymy się znowu?

Przystanął, uniósł jej dłoń, pocałował i wyszedł z pokoju.

Laurel stała się dziwnie małowówna, przygarbiona i blada cierpiała wyraźnie po upadku, a Jane nie zadawała żadnych pytań. Rozebrała ją ostrożnie i wciągnęła jej przez głowę nocną koszulę z jedwabiu.

Ułożyła ją wygodnie w łóżku i zamówiwszy dla niej herbatę, zeszła do jadalni.

Jethro stał przed kominkiem, trzymając w dłoniach filiżankę kawy. Odwrócił się, gdy weszła. Ujrzał szczupłą kobietę o jasnobrązowych włosach zaczesanych gładko na szerokim czole. Nie należała do piękności, ale było coś urzekającego w tych wielkich, orzechowych oczach wpatrujących się w niego przenikliwie, a jej zmysłowa twarz łączyła w sobie czar i zdecydowanie. Poczul nagłą ulgę, że to właśnie ją Laurel wybrała sobie na przyjaciółkę.

- Ileż zmian dokonano w tym pokoju - stwierdził 172

z uśmiechem. - Pamiętam, że przypominał rodzinny grobowiec.

- To pomysł Laurel. Przemeblowaliśmy go wspólnymi siłami. Powinnam się przedstawić. Jane Ashe.

- Dama z Lozanny, do której tak pędziła Laurel, kiedy spotkałem ją we Włoszech.

- Tak. Uczyłam w tamtejszym klasztorze, a pan z pewnością jest tym dżentelmenem, który sprowadził ją do Anglii.

- Zgadza się. W końcu się spotkaliśmy. Dużo o pani słyszałem - oznajmił Jethro.

- A ja o panu, doktorze Ayłsham.

- Mam wrażenie, jak byśmy znali się od dawna - uśmiechnął się. - Przebywa tu pani z wizytą, panno Ashe?

- Nie, zrezygnowałam z posady w klasztorze. Mieszkam tu na stałe, choć powinnam powiedzieć - do czasu zamążpójścia Laurel.

- A kiedy to nastąpi?

To absurdalne, jak wiele zależało od tej odpowiedzi.

- Kto wie? Otoczona jest gronem adoratorów, ale będę wymagająca w stosunku do szczęśliwego wybrańca.

- Rozumiem.

Wydawało jej się, że odetchnął z ulgą. Na ulicy pojawił się powóz doktora Townsenda, a on sam wpadł zaaferowany do środka. Jethro wyszedł mu na spotkanie, a Jane poprowadziła obu lekarzy na górę.

Kiedy badali Laurel, naradzając się wzajemnie, Jane przypatrywała się Jethro z zainteresowaniem, stwierdzając, że jest bardzo przystojny. A więc to imię tego mężczyzny tak często pojawiała się w pierwszych listach Laurel, a następnie zniknęło na zawsze. Zastanawiała się dlaczego. Nie był tak pociągający jak George Grafton, ale szczupła twarz o prostych, czarnych

173

brwiach, przejrzystych, szarych oczach i kształtnych ustach miała swój charakter i urok. To nieprzeciętny człowiek, pomyślała, zbyt subtelny, zbyt wrażliwy. Wokół oczu i ust rysowały się pierwsze, drobne zmarszczki. Zapamiętała sposób, w jaki przejął bandaż od starego doktora, jego palce - zgrabne i zwinne, jakby nie chciał, aby ktokolwiek inny dotykał Laurel. Po zabiegu poprawił poduszki za jej głową.

- I co, nie było najgorzej, prawda?

- Nie - szepnęła.

Ich oczy spotkały się na sekundę, a potem Jethro odwrócił się nagle.

- Masz szczęście, młoda damo, bo mogło być gorzej

- pocieszył ją doktor Townsend. - Musi pani o nią dbać, panno Ashe. Zbyt się naraża, a ponadto jest 'za chuda. Trzeba ją podkarmić.

- Nie mam zamiaru zamienić się w plaster słoniny

- zaprotestowała Laurel, unosząc się na poduchach.

- Nie miałem na myśli plastra słoniny, moja droga, , ale odrobina ciała na tych ślicznych kostkach nie zaszkodzi. Przecież właśnie to podziwiają wszyscy mężczyźni, prawda, Jethro?

- Nie wiem - odparł lakonicznie.

- Nie udawaj, mój chłopcze. Przecież w Wiedniu było jeszcze coś prócz pracy, jestem pewien - doktor Townsend rozbawił się na dobre.

Zwracając się do Jane, polecił:

- Dziś lekki posiłek, niezbyt obfity i odpoczynek, dużo odpoczynku. Zostawiam jej ten wywar. Niech

wypije trochę teraz i jeszcze raz wieczorem. Zajrzę tu jutro rano.

- Dobrze, doktorze.

- Proszę się nie fatygować. Znajdziemy wyjście. Żegnaj, moja droga. Niebawem staniesz na nogi. Chwyć Jethro pod ramię.

174

- Czy możesz poświęcić mi godzinkę? Zajmuję się bardzo ciekawym przypadkiem i chciałbym go z tobą omówić.

Ich głosy umilkły, kiedy zeszli po schodach. Jane podeszła do okien i przesunęła kotary, by osłonić Laurel przed porannym blaskiem. Po chwili zbliżyła się do łóżka.

- Bardzo boli? - spytała ze współczuciem.

- Wystarczająco - Laurel poruszyła się niespokojnie. - Zachowałam się tak bezmyślnie. Nigdy wcześniej nie spadłam z konia.

- Cały czas wiedziałam, że jest dla ciebie za silny.

- Och, na miłość boską, przestań powtarzać „a nie mówiłam” - parsknęła rozdrażniona Laurel. - To zaczyna być nudne.

- Przepraszam - uśmiechnęła się Jane i zaczęła poprawiać łóżko. - A więc to był Jethro Ayisham

- rzuciła mimochodem - cieszę się, że w końcu go poznałam. Jest bardziej fascynujący niż to sobie wyobrażałam, czytając twoje listy.

- Proszę... Nie chcę o nim rozmawiać... ani o niczym innym.

- Rozumiem. Jesteś wstrząśnięta, nic dziwnego

- Jane odmierzyła dawkę lekarstwa pozostawionego przez lekarza i podała je Laurel: - Wypij, to ci pomoże odzyskać siły.

Laurel połknęła w milczeniu wywar i wykrzywiła twarz. Jane odebrała szklankę i delikatnie przyłożyła jej dłoń do czoła.

- Zostawię cię na jakiś czas, a potem wrócę.

- Dzięki. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Dałabyś sobie radę. A teraz spróbuj zasnąć. Poczujesz się lepiej.

Wyszła z pokoju, a Laurel leżała nieruchomo na poduszkach. Czuła jak twardnieją jej guzy, bolała ją głowa, z trudem łąpała krótkie oddechy, ale było coś

175

gorszego od fizycznych dolegliwości - świadomość, że nic się nie zmieniło. Spotkanie z Jethro, bliskość jego osoby, dotyk jego dłoni wystarczyły, by obudziły się uczucia, które niegdyś opanowała. Ta miłość oznaczała śmiertelną udrękę. A on... jakie były jego uczucia? Musiała to wiedzieć... nie mógł teraz opuścić jej tak bez słowa. O Boże, dlaczego właśnie ją to spotkało? Zamknęła oczy i poczuła jak wolno, bardzo wolno narkotyk uśmierza ból i tłumy jej wewnętrzny niepokój.

Stojąc przy oknie w saloniku, Jane bezmyślnie głaskała po głowie wielkiego psa. To dziwne, że Laurel, która zawsze tak swobodnie i zabawnie opowiadała o zalecających się mężczyznach, nie pisała ani słowem o Jethro Ayishamie.

10

Tydzień później Laurel wstała z łóżka, ale nadal musiała trzymać się surowych poleceń lekarza. Kiedy leżała na sofie w saloniku, mając, jak zwykle, IOboku Marika, w drzwiach pojawiła się nieoczekiwanie Rose-mary. Lekko onieśmielona, wyglądała prześlicznie

w ciemnoniebieskiej sukni i małej czapeczce ozdobionej wiewiórczym futrem.

- Papa musiał przyjechać nagle do Londynu. W Parlamencie rozgorzał kryzys dotyczący inwazji rosyjskiej na Turcję - wyrzuciła jednym tchem.

- Wielkie nieba, to z pewnością nas nie dotyczy?

- Papa uważa, że tak i być może Anglia wypowie wojnę carowi.

176

l

- Biedny Dmitri Malinski będzie musiał opuścić Londyn i wrócić do Petersburga, a tak mu się tu podoba - oznajmiła Laurel nie wierząc, iż coś tak barbarzyńskiego jak wojna mogłoby zakłócić spokój w stolicy. - To minie, jak większość kryzysów.

- Ja też tak uważam - zgodziła się Rosemary, porzucając beztrząsco temat rozmowy. -

W każdym razie, spytałam go, czy może mnie ze sobą zabrać, a on się zgodził.

Wczoraj wieczorem Robin jadł z nami kolację i opowiedział nam o wypadku. Tak mi przykro. Czy czujesz się już lepiej?

- O wiele lepiej. Jak nowo narodzona i śmiertelnie znudzona beczynnością. -

Wyciągnęła dłoń. - Kochana Rosemary, tak miło cię znów widzieć. Napijmy się herbaty i poplotkujmy trochę.

- Z przyjemnością - Rosemary podeszła do Laurel.

- Czy mogłabyś zadzwonić po służbę?

- Oczywiście. Gdzie jest Miss Ashe?

- Nie będzie jej przez całe popołudnie.

- Doskonale. Wiem, że to głupie, ale trochę się jej boję. Przypomina mi guwernantkę, która uczyła Jess i mnie.

- Boisz się Jane? Och, Rosemary, to najmiłsza osoba pod słońcem.

- Jestem pewna... ale to tkwi we mnie. Ale cieszę się, że będę cię mieć tylko dla siebie.

Zanim podano herbatę, porozmawiały o rodzinie i Jessice, która podobnie jak Laurel przedstawiona została w królewskim saloniku i mimo swych siedemnastu lat mogła pochwalić się gromadką adoratorów.

- Ona radzi sobie z taką łatwością, nie tak jak ja - wyznała Rosemary. - Mnie nigdy nie bawiły przyjęcia i bale. Śmiertelnie przerażała mnie myśl, że mogłabym popełnić jakąś gafę. Ciotka Cherry wysłała Margaret na jakiś czas do towarzystwa opieki

177

społecznej. Uważa, że każdy powinien spędzić tam kilka tygodni. To uzdrawia duszę i pozwala lepiej poznać nasze społeczeństwo.

- Ależ, moja droga, to brzmi tak groźnie. Byłam tam raz lub dwa, ale nie z tak wzniosłego powodu. I nawet mi się to spodobało, zwłaszcza szkoła.

- Och, Laurel, naprawdę? Mam zabrała mnie tam raz - zmarszczyła w grymasie nos. - Okropnie śmier- ? działo i wszyscy byli brudni.

- Nic na to nie mogą poradzić. Powinnaś zobaczyć v nory, w jakich mieszkają - poradziła praktycznie Laurel. - Przyjaciel Jethro, doktor West założył przychodnię dla chorych dzieci na Great Ormond Street. Jedna z dziewcząt pracująca w towarzystwie opieki chodzi tam raz w tygodniu. Powiedziała mi kiedyś, że niektóre dzieci z najbiedniejszych rodzin zaszywane są zimą w prześcieradła i pozostają w nich aż do wiosny. Potem są z nich wyciągane i kąpane.

- Uff, to obrzydliwe. Jak mogą coś takiego robić? Laurel wzruszyła ramionami.

- To ich praca. Jeśli się czegoś podejmujesz, musisz to wykonać.
- A ty byś to zrobiła?
- Nie wiem. Ale gdybym musiała, to tak. Dopiero kiedy popijały herbatę, Rosemary zdradziła prawdziwy cel swojej wizyty. Wpatrywała się w filiżankę i starała się nadać swemu głosowi naturalny dźwięk.
- Słyszałam, że Seth Starling pracuje teraz dla ciebie.
- Tak, to prawda. Poprosił mnie, abym go przyjęła - oznajmiła ostrożnie Laurel. - Zrobiłam to z przyjemnością. Człowiek, którego odziedziczyłam po dziadku nie sprawdził się.
- Czy powiedział, dlaczego opuścił Ravensley?

178

- Nie, mówił tylko, że potrzebował zmiany.
- To nieprawda. To z mojego powodu.
- Z twojego powodu? O czym ty mówisz?
- Och, to było takie głupie. - Rosemary odstawiła filiżankę. - Pewnego ranka wracaliśmy z przejażdżki. Pomagał mi zsiąść z konia, kiedy zaplątały mi się lejce. Zaczął je rozplątywać... zbliżył się do mnie... a potem mnie pocałował. Przerwała, a na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec.
- Przecież to nic poważnego - stwierdziła lekceważąco Laurel.
- Być może nic by się stało, ale zobaczył nas papa. Nie wpadł w dziką fuńę. Wiesz przecież, że to nie w jego stylu. Ale zaraz potem dowiedziałam się o wyjeździe Setha. Nawet nie czekał na zwolnienie.
- Skąd o tym wiesz?
- Papa mi powiedział. Widzisz, tak mnie to gnębiło, że postanowiłam z nim porozmawiać. Wyznałam, że to moja wina... że to ja chciałam, aby Seth mnie pocałował...
- I to powiedziałaś ojcu?
- Tak - przytaknęła wyzywająco Rosemary. - A dlaczego by nie, skoro to prawda? Kocham go, a on kocha mnie.
- I co na to lord Ayisham?
- Był bardzo uprzejmy, ale ostrzegł mnie, że to niemożliwe i że oszukuję Setha, dając mu nadzieję. Był tak racjonalny i pełen zrozumienia, że z trudem to wytrzymałam. Lepiej, gdyby wybuchnął gniewem...
- Bo wtedy i ty mogłabyś się rozgniewać. Ach, wiem doskonale, co czułaś - pocieszyła ją Laurel - ale wiesz, że ma rację. To nieuczciwe względem Setha, a wyjazd z Ravensley był najmądrzejszą decyzją.
- Bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia - wykrzyknęła rozżalona Rosemary. - Łatwo ci mówić.

179

Każdy cię adoruje. Ty nie wiesz, co to znaczy... jak boli, jak upokarza.

- To przytrafia się nam wszystkim - zachmurzyła się Laurel.
  - Ale nie tobie, nigdy.
  - Nawet mnie. To bardzo bolesne, ale nic na to nie można poradzić.
- Rosemary wpatrywała się przez chwilę w Laurel, zaskoczona jej przekonywającym tonem i natychmiast wróciła do swych własnych kłopotów.

- Czy mogłabym... czy myślisz, że mogłabym porozmawiać z Sethem?

- Nie - stwierdziła kategorycznie Laurel. - To nie byłoby w porządku. Twój ojciec rozgniewałby się, gdybym na to pozwoliła.

- I co z tego? Och, Laurel, jak możesz być tak nieżyczliwa.

- Wierz mi, że tak nie jest. Bardzo ci współczuję, ale to nie ma sensu. Z tego mogą być tylko kłopoty. Nie rozumiesz?

- Nie. Nie proszę o wiele.

- Posłuchaj. Mam rację, wiem o tym. Jeśli chcesz napisać do niego krótki, pożegnalny list, dopilnuję, aby go otrzymał, ale nic więcej. Gdybym o tym wiedziała, nigdy bym go do siebie nie przyjęła.

- Ach, nie wyrzucaj go Laurel, nie z mojego powodu. To niesprawiedliwe.

- Nie mam zamiaru - zachmurzyła się Laurel. - Jest tu potrzebny. Bez niego nie dam sobie rady z Lucyferem.

- Czy mogę napisać teraz? - ożywiła się Rosemary.

- Ale krótko. Nie chcę wiedzieć, co jest w środku.

- Dobrze, niech Bóg cię błogosławi. Rosemary cmoknęła Laurel w policzek i rzuciła się w stronę małego sekretarza ka. Kiedy pochyliła się nad listem, pojawił się kolejny gość. Charles Townsend przytargał ogromny kosz pełen kwiatów.

- Jethro prosił mnie, bym je dostarczył. To od lady Ayisham z Ravensley. Miał zamiar sam to uczynić, ale zatrzymali go w szpitalu.

Zawsze znajdzie wymówkę, by się ze mną nie spotkać, pomyślała rozżalona Laurel. Pochyliła się nad bukietem. Pęki róż wyrastały wśród gałązek jesiennego listowia. Ostro zapach paproci przypominał jej o Moczarach, które odwiedzała bardzo rzadko od czasu straszliwej przygody sprzed roku. Nagle ogarnęła ją tęsknota za tym miejscem.

Rosemary złożyła list i podała go Laurel.

- Czy znasz doktora Charlesa Townsenda? - spytała - Pracował z Jethro w Szpitalu św. Tomasza. Charles, to Rosemary, córka lorda Ayishama.

- Miło mi poznać.

Młodzieniec pochylił się nad jej dłonią. Śliczna dziewczyna, pomyślał, ale chyba płakała. Zastanowił się przez moment, dlaczego.

- Muszę już iść - oświadczyła Rosemary.

- Ja też - dodał Charles. - Lekarze nie wiedzą, co to odpoczynek. Przyniosłem tylko kwiaty.

- Może odprowadzisz Miss Ayisham na St. James' Square? To niedaleko - zaproponowała Laurel.

- Z przyjemnością.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu - wtrąciła szybko Rosemary.

- Żaden kłopot, zapewniam. To po drodze.

- Opowiedz jej o swej współpracy z doktorem Western w przychodni dziecięcej - dorzuciła Laurel. - To ją zainteresuje.

Rosemary pocałowała ją na pożegnanie.

- Przyjdę tu jeszcze przed powrotem do Ravensley.

- Bardzo proszę.



Laurel obserwowała ich przez chwilę. Charles chwycił dziewczynę delikatnie pod ramię. Był przystojnym, młodym mężczyzną. Może przy nim Rosemary zapomni nieco o Sethie. Laurel spojrzała na liścik. Nie miała pewności, czy powinna go przekazać, ale przecież obiecała i nie mogła już tego zmienić.

\* \* \*

Dwa tygodnie później Jethro mył ręce w małej salce przylegającej do sali operacyjnej w Szpitalu św. Bartłomieja. Miał za sobą długi i wyczerpujący dzień, a w przeciwieństwie do niektórych kolegów po fachu zawsze skrupulatnie sprawdzał, czy wszystkie narzędzia użyte podczas operacji zostały wymyte we wrzącej wodzie i karbolu. Właściwie powinno być to powszechną praktyką, ale zdawał sobie sprawę, iż jego asystenci i studenci, którzy tłoczyli się w sali operacyjnej, obserwując jego dokonania i czekając niecierpliwie na koniec operacji, uważali go za nieznośnego marudę. Wiedział jednak, że absolutna higiena może zapobiec infekcjom. Tego dnia nie czuł się najlepiej, gdyż jeden z jego pacjentów zmarł pod chloroformem. Zapowiadało się na rutynową operację, tymczasem czuł na sobie pełen oskarżenia wzrok wdowy po owym nieszczęśniku. Potępiła go za użycie środków znieczulających, choć on sam przekonany był o słuszności tej decyzji. Przyczyną śmierci była nie wykryta wada serca. Zgon mógł nastąpić w każdej chwili, a mimo to czuł się winny. Doskonale wiedział, że żaden doktor nie powinien emocjonalnie angażować się w sprawy pacjentów, a jednak narastała w nim złość z powodu zbyt powolnego postępu i zbyt silnych uprzedzeń. Ludzie umierali, bo medycyna nadal błędziła po omacku w ciemnościach.

182

Na Ariington Street nie pojechał tylko dlatego, że nie ufał własnym uczuciom, ale na bieżąco dowiadywał się o zdrowie Laurel; i to tak dociekliwie, że doktor Townsend stracił wreszcie cierpliwość.

- Mój drogi przyjacielu, to prosty przypadek i młoda dama szybko wraca do zdrowia. Jeśli mi nie wierzysz, przekonaj się sam - uśmiechną się. - Nie będziesz osamotniony. Z tego co wiem, połowa złotej młodzieży Londynu koczuje u jej drzwi i jak dotąd, nie została wpuszczona. To ci dopiero psotnica, wie, że umierają z ciekawości.

To była prawda. Od chwili powrotu z Wiednia, wszędzie słyszał o niej rozmaite historie, niektóre pełne podziwu, niektóre przepelnione zawiścią i skandaliczne. O, tak. Potrafiła doskonale trzymać mężczyzn na wodzy. Jaka matka, taka córka.

Wiedział to już dawno temu, kiedy opuścili Włochy, a teraz dziewczyna przemieniła się w kobietę, piękną i niebezpieczną. Robin zakochał się w niej po uszy, a teraz doszła jeszcze sprawa Rosemary - co ona u diabła wyprawia? Townsend miał rację. Powinien ją odwiedzić, uświadomić jej, jak lekkomyślnie szafuje życiem innych ludzi. Wytarł ręce, narzucił pelerynę i wrócił dorożką do Albany. W bawialni czekał na niego Robin. Jego ponura mina zwiastowała kłopoty. Jethro westchnął niecierpliwie.

- O co chodzi tym razem?

- Czy możesz poświęcić mi kilka minut, Jet?

- Musisz się śpieszyć. Wybieram się na raut do lady Emily w Cariton Gardens i jestem już spóźniony.

- Myślałem, że nie zależy ci na takich imprezach.

- Nie zależy, ale nie można odrzucać każdego zaproszenia. Czy to coś ważnego?

- Raczej tak.

- W porządku. Opowiadaj, a ja się przebiorę.

183

W sypialni zrzucił pelerynę i koszulę, a Robin przystanął obok toaletki i niecierpliwie przebierał palcami po ustawionych tam przedmiotach. Nagle poczuł na sobie przyjacielskie klepnięcie.

- No, chłopie. Wyduś to z siebie. Nie chodzi o Rosemary, prawda? Mam nadzieję, że nie uciekła z Sethem.

- Nie, nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że tego lata wpadłem w towarzystwo grające na wyścigach - zaczął niezręcznie Robin.

- George Grafton i jego kompania...

- Tak, wiesz, jak to jest - grają bez pamięci...

- Potrzebujesz pożyczki, prawda?

- Niezupełnie. Byłeś wtedy w Wiedniu, a ja nie chciałem prosić ojca, poszedłem więc do lichwiarza.

- Ty idioto! A teraz on domaga się zwrotu?

- Gorzej. Dowiedziała się o tym Laurel i spłaciła cały dług.

Jethro przerwał zapinanie spinek do koszuli i wbił w niego wzrok.

- Co takiego?

- Wiem. Czuję się okropnie. Wiem, że nie powinienem pozwalać jej na takie rzeczy... to takie upokarzające.

Nienawiść do Laurel gotująca się w Jethro znalazła swe ujście.

- Co ona sobie, u diabła, wyobraża?

- Muszę jej wszystko zwrócić - ciągnął z nieszczęśliwą miną Robin - i nie wiem jak to zrobić bez informowania ojca...

- Nie rób tego. Zostaw to mnie. Mam na pieńku z Miss Rutland.

- Ale ona miała szlachetne intencje...

- Ależ tak, jestem tego pewien - przytaknął ponuro Jethro. - Ile?

184

- Pięć tysięcy.

- Dobry Boże, chyba postradałeś zmysły. Ale nie martw się. Dostanie je z powrotem.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście. Na szczęście pobyt w Wiedniu był bardzo intratny - przejrzał się po raz ostatni w lustrze i zwrócił się do Robina - Zapomnij o niej, chłopcze, wyrzuć ją ze swych myśli. To jedyne wyjście.

- Doskonale wiem, że nie mam żadnych szans, a jednak wciąż tli się we mnie jakaś nadzieja.

Jethro popatrzył na niego przez moment. To uczucie nie było mu obce.

- Muszę już iść - odezwał się, podnosząc kapelusz, pelerynę i rękawiczki.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny

- wyznał Robin.

- Nonsens, to drobiazg. Może gdzieś cię podwieźć?

- Nie. Przespaceruję się.

Lord Palmerston pozostawał w mieście z powodu narastającego kryzysu za granicą. Turcja rozwścieczona rosyjską inwazją wypowiedziała wojnę carowi, a pierwszy najazd okazał się wyjątkowo krwawy. Rosła fala politycznej niechęci do Mikołaja i jego bezwzględnej polityki ekspansjonistycznej. Rosyjski niedźwiedź musi dostać nauczkę. Rząd wahał się, a premiera oskarżono o tchórzostwo, gdyż nie miał zamiaru poprowadzić narodu na wojnę.

Nie rozmyślając zbyt wiele o własnej przyszłości, Jethro wkroczył do saloniku z szerokimi oknami wychodzącymi na zielone trawniki St. James' Park. W mgnieniu oka natknął się na lady Emiły, uważającej go za swego ulubieńca. Dostrzegł resztki

wspaniałej

185

urody, która czterdzieści lat temu zniewoliła starego Parna. Zostali kochankami jeszcze przed śmiercią jej męża i mimo słabości Parna do pięknych kobiet, uważani byli za niezwykle szczęśliwą parę. Przytuliła się do Jethro, wsuwając mu dłoń pod ramię.

- Właśnie cię szukałam. Chodź ze mną. Przedstawię cię komuś, z kim masz wiele wspólnego. Rzadko przychodzi na nasze przyjęcia. Uważa je za zbyt frywolne, ale udowodnię jej, że się myli.

Uśmiechnął się i ruszył za nią, stając nagle przed wysoką, młodą kobietą po trzydziestce, drobną i wiotką, o gęstych, kasztanowych włosach i delikatnym rumieńcu. Jej czarna, jedwabna suknia ozdobiona była kosztownymi koronkami.

- Florence, kochanie, przedstawiam ci Jethro Ayl-shama - zaczęła lady Emiły. - To jeden z naszych najlepszych chirurgów. Pam go uwielbia i twierdzi, że nie da się pokroić nikomu innemu. Właśnie wrócił z Wiednia, przywożąc wiele nowinek, które z pewnością cię zainteresują. Jethro, poznaj Miss Nightingale. Walczy z Instytutem o opiekę nad chorymi kobietami. To twoja sąsiadka z Harley Street. Dokonuje absolutnych cudów jako siostra przełożona i pielęgniarka, zapracowując się na śmierć, ale pewna jestem, że każda spędzona tam minuta sprawia jej dużo radości.

Poklepała go po ramieniu, uśmiechnęła się promiennie i odeszła. Jethro ujął szczupłą, chłodną dłoń.

- Od dawna pragnęłam panią poznać, Miss Nightingale. Podjęła się pani niebywale odważnego zadania.

Piękne, szare oczy popatrzyły na niego wesoło.

- Zupełnie jakbym słyszała lady Emiły. Wychwała mnie bez przerwy zupełnie niesłusznie. Daleko mi do siostry przełożonej czy nawet pielęgniarki. Jestem bardziej kucharką i pomywaczką. Nigdy pan nie

186

uwierzy, jaki bałagan zostawił komitet, który działał tam przede mną - brudna bielizna, podarte koce, zapuszczone kuchnie bez jednego garnka, puste apteczki, poplamione materace, ani jednego basenu dla chorych! Pierwszą rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy były wiadra gorącej wody, chlorek i szczotki!

Laurel, która przybyła nieco później i natychmiast otoczona została gromadą młodzieńców, dostrzegła ich oboje. Słyszała już o Florence Nightingale i jej desperackiej walce z rodziną, niechętną jej pielęgniarskim planom. Pielęgniarki bowiem rekrutowały się z najniższych warstw społecznych. Żadna dama

szlacheckiego pochodzenia nie śniła nawet o tak rewolucyjnych zamierzeniach i Laurel, z lekką pogardą, uważała ją za osobę ekscentryczną, sztywną i całkowicie nieciekawą. Ale teraz wiedziała, że nie miała racji. Poważna, ożywiona twarz miała swój urok. Usłyszała ich śmiech, kiedy wymieniali szpitalne plotki i ogarnęła ją bezsensowna zazdrość.

- To absurdalne, z jakimi problemami muszę się borykać - mówiła Florence. - Kobieta znajduje się w o wiele gorszej sytuacji. Uważa się ją za idiotkę, którą można zwodzić i oszukiwać przy każdej okazji. Któregoś dnia, na przykład, aptekarz przysłał mi roztwór saletry w butelce oznaczonej jako eter. Na szczęście powąchałam, przed podaniem pacjentowi, w przeciwnym razie czekałoby mnie bardzo nieprzyjemne dochodzenie. Innym razem, jeden z murarzy ustawił rurę gazową tak niedbale, że się przewróciła. Gdybym nie złapała jej w porę, ktoś straciłby życie. Ulatniający się gaz omal nas nie podusił, strasznie baliśmy się wybuchu.

- Współczuję - rzekł Jethro, dostrzegając w zabawnych historyjkach twarde zdecydowanie. - Jeśli mógłbym pomóc, proszę dać mi znać.

187

- Proszę to przemyśleć, doktorze Ayisham, bo trzymać będę pana za słowo. Być może będzie pan musiał zoperować zapchany kocioł zamiast chorego brzucha. Jestem bezwzględna, wie pan. Sidney Herbert twierdzi, że przypominam węża dusiciela i nikt, kto może okazać się przydatny, nie ucieknie przede mną. Kim jest to uroczą dziewczyna, z którą właśnie rozmawia?

Jethro odwrócił głowę. Laurel stała obok Dmitra Malinskiego, pogrążona w dyskusji z Sidneyem Herbertem, ministrem wojny.

- Dziwię się, że ten młodzieniec z ambasady kręci się tutaj. Wszyscy unikają teraz Rosjan, choć to z pewnością niesprawiedliwe. Nieufnie odnoszą się też do biednego Sidneya, gdyż jego matka, hrabina Pembroke, to w rzeczywistości Katerina Woroncowa. Z twarzy tej młodej damy bije takie zdecydowanie. Może przyda mi się któregoś dnia.

Jethro uśmiechnął się.

- Och nie, z pewnością nie. Nie wyobrażam sobie Laurel jako pielęgniarki.

- Tak ma na imię? Ślicznie - spojrzała na niego uważnie. - Ale ja mam rację. Ta dziewczyna ma charakter, czuję to. Ja nie potrzebuję „społeczników na pokaz”, doktorze Ayisham. Mam ich wielu w swoim Komitecie i ciągle sprawiają mi kłopoty. Krążą po oddziałach, rozdając uśmiechy, talerze zupy i kleiki, ale gdy trzeba umyć podłogę lub posprzątać po operacji, mdleją albo przypominają sobie nagle o innych obowiązkach.

- Jaka szkoda, że nie może pani nadzorować pielęgniarek w moim szpitalu - zasmucił się Jethro. - Zaleciłem pacjentowi lekką dietę, wywar wołowy i marantę, ale to wszystko psuje się przy jego łóżku, gdyż biedak nie ma siły, by podnieść łyżkę, a nikt nie kwapi się z pomocą.

188

^ - Doskonale wiem, o czym pan mówi - westchnęła | Florence. - To nie pańska wina jako chirurga, | ale pielęgniarek; nawet przy najlepszych chęciach nie można wszystkiego robić w pojedynkę. Proszę mi opowiedzieć o Wiedniu, doktorze Ayisham. Słyszałam o nadzwyczajnych osiągnięciach tamtejszych szpitali.

Zatopieni w rozmowie spędzili razem większość wieczoru i dopiero pod koniec przyjęcia Laurel stanęła przed obliczem Jethro. Grali jakąś muzykę, jedną czy dwie pieśni, wielka sala wypełniona była tańczącą młodzieżą, a lord Palmerston z Laurel u boku przyłapał Jethro, gdy ten próbował wymknąć się z przyjęcia.

- O, nie. Tak się nie ucieka, młodzieńcze - zażartował. - Ta młoda dama rwie się do tańca, a moje stare kości nie są w stanie tego wytrzymać. Jaka szkoda! W najlepszym wypadku zatańczyłbym kwadryla lub dwa, ale nie te nowoczesne podskoki. Zakręć nią kilka razy, a ja się wycofam. Nie jestem hazardzistą, ale mam ochotę zaryzykować małą stawkę przy karcianym stoliku - uszczypnął Laurel w policzek. - Baw się dobrze, moja maleńka. „Siła młodości nie trwa wiecznie”. Kto to powiedział, u diabła?

- Chyba Szekspir - rzucił Jethro.

- Czyżby, na Jowisza? To zabawne, że jeszcze pamiętam. Minęło już tyle lat od szkolnych czasów - uśmiechnął się szeroko i odszedł spokojnym krokiem.

Laurel spojrzała na Jethro spod długich rzęs.

- Obawiam się, że było to prawie królewskie polecenie, naturalnie jeśli możesz oderwać się od Miss Nightingale.

- Miss Nightingale już wyszła - oznajmił srogo.

- Naprawdę? Jaka szkoda. Wyglądaliście na szczęśliwych. - Przerwała i dodała cicho:

- Dlaczego nigdy nie odwiedziłeś mnie po wypadku?

189

- Z wielu powodów. Alę śledziłem twój powrót do zdrowia. Jesteś wystarczająco silna na jeden z podskoków starego Parna?

- Tak.

- Dobrze. Zatańczymy?

Orkiestra zagrała skoczną polkę, Jethro położył dłoń na szczupłej talii dziewczyny i poprowadził ją na parkiet. Wkrótce wmieszali się w wesoły tłum pozostałych dwudziestu par, ale Laurel nie była jeszcze tak silna, jak jej się wydawało. Pod koniec zabrakło jej tchu, a szew na boku dawał o sobie boleśnie znać. Drażniła ją świadomość, że musi kurczowo trzymać się jego ramienia. Jethro posadził ją na krześle i usiadł obok.

- Weź głęboki oddech i nic nie mów - poradził.

- Czuję się dobrze - chwyciła powietrze. Zatrzymał przechodzącego lokaja i poprosił o szklankę wody.

- Pij powoli - polecił - i nie bądź nierozsądna. Wystarczy tej zabawy. Jesteś wyczerpana, zabieram cię do domu.

- Czuję się doskonale - zaprotestowała.

- Nie, to nieprawda. Ponadto chcę z tobą porozmawiać, a to nie jest właściwe miejsce.

- Zachowujesz się bardzo władczo. A jeśli odmówię?

- Postąpiłabyś głupio.

Piła małymi łykami wodę, nie mając pewności, czy ten rozkazujący ton sprawiał jej przyjemność, czy wywoływał obrazę.

- Wyglądasz już lepiej - zabrał jej szklankę. - Powinniśmy już wyjść. Chodź.

Podał jej rękę i w tej samej chwili wyrósł przed nimi George Grafton.

- Malinski powiedział mi, gdzie jesteś, Laurel - odezwał się ignorując Jethro. - Czy zaszczyisz mnie jednym tańcem?

- Nie tańczę już, George, jestem zmęczona.  
 - Jeśli tak, czy mogę zabrać cię do domu?  
 - Ten przywilej przypadł właśnie mnie - przerwał szorstko Jethro. - Miss Rutland znajduje się pod moją opieką.

George zmarszczył brwi.

- Czyżby? A od kiedy?  
 - Czy to takie ważne? Tak się składa, że znam ją nieco dłużej niż pan, kapitanie Grafton.

- Co to ma znaczyć?  
 - Niech pan sobie sam odpowie na to pytanie  
 - padła chłodna odpowiedź.

Stali tak naprzeciwko siebie z wyraźną niechęcią w oczach. Twarz Jethro wyrażała napięcie i złość, oczy George'a błyszczały z "wściekłości. Wyglądał okazale i niebezpiecznie. Nagle Laurel straciła cierpliwość.

- Nie jestem pudłem, które można przerzucać z miejsca na miejsce - wybuchnęła. - Sama zadecyduję. Obaj utkwili w niej wzrok.  
 - A zatem wybieraj - parsknął George. Zawahała się, wodząc po nich oczyma.  
 - Nie wybrałabym żadnego z was - oznajmiła słodko - lecz tego wieczoru Jethro był moim lekarzem, więc chyba powinnam zastosować się do jego rady.

Przykro mi, George.

Jethro chwycił ją pod ramię i wyszli, a George odprowadził ich wzrokiem. Zmieszane spojrzenie na jego twarzy przemieniło się w ponurą złość.

Malinski, obserwujący całe zajście, zapytał złośliwie:

- Co się stało? Czyżby cię zostawiła?  
 - Niech cię diabli, przestań szydzić. - George rozejrzał się wściekle po sali. - Piekielnie nudne przyjęcie, wychodzę. - I ruszył w stronę drzwi.

\* 4> \*

Powóz Laurel zabrał ich na Ariington Street. . Kiedy dojechali na miejsce, spojrzała na milczącego obok Jethro.

- Jeśli sobie życzysz, Seth zawiezie cię do Albany.  
 - Powiedziałem, że chcę porozmawiać. Czy mogę wejść?  
 - Czy nie jest za późno?  
 - Dopiero po jedenaste}. . Wzruszyła ramionami.  
 - Zgoda.

Weszli po schodach do środka. Cindy stała przy drzwiach, z ciekawością przypatrując się wysokiemu mężczyźnie, którego widziała tylko raz, kiedy przyniósł jej panią do domu po wypadku.

- Nie będę cię już potrzebowała, Cindy - zniecierpliwiała się Laurel. - Czy Miss Ashe położyła się już?

- Tak, proszę pani. Jakiś czas temu. Bolała ją głowa.

- Dobrze. Ty też się połóż. Dobranoc. W pośpiechu weszła do jadalni. Przez cały rok marzyła o intymnej rozmowie z Jethro, a gdy pojawiła się taka możliwość, ogarnął ją

lęk. Jedna z lamp oświetlała pokój miękkim, łagodnym światłem, w kominku buzował ogień. Podeszła do niego, lekko drżąc, i wyciągnęła dłonie do ciepła. Rzuciła płaszcz na krzesła i odwróciła się do Jethro.

- A więc skoro już tu jesteś, co chcesz mi takiego powiedzieć?

- Jak możesz być tak nieodpowiedzialna, zachęcając Rosemary do tego absurdalnego romansu z Sethem? Niespodziewany atak zaskoczył ją.

- Nic takiego nie zrobiłam.

- Zaprzeczasz więc, że przekazałaś mu list?

192

- Tak - wykrzyknęła z oburzeniem. - Kiedy Rosemary przysłała do mnie z wizytą, przekonywałam ją, że to niemożliwe.

Po chwili dodała niepewnym głosem:

- Napisała jedynie pożegnalny liścik. Była bardzo przygnębiona, bo Seth opuścił Ravensley bez słowa.

- W tym liściku błagała go o potajemne spotkania.

- O, nie! Chyba nie myślisz, że...

- Na szczęście do niczego nie doszło. Wydaje się, że Seth jest bardziej rozważny niż ty. Przekonał ją, że to szaleństwo.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Od Robina. Zawsze był blisko swojej siostry. Martwił się o nią i wolał porozmawiać ze mną niż z ojcem. Rosemary jest bardzo nieszczęśliwa.

- Strasznie mi przykro, ale nie widzę tu swojej winy.

- Czyżby? Czy nie rozumiesz, że trzymając go tutaj, stwarzasz same kłopoty?

- Poprosił mnie o pracę - broniła się. - Umie postępować z koźmi, a ja potrzebowałam kogoś godnego zaufania.

- Nie pomyślałaś o Rosemary.

- To niesprawiedliwe.

- Ja tak nie uważam. I nie chodzi tylko o Rosemary, ale i o Robina. Cały czas marzy tylko o tobie. Nie widzisz tego? Kiedyś lubił Margaret, a teraz nie zwraca na nią uwagi. Popada w długie, chcąc dotrzymać kroku tym młodym głupcom, którzy gromadzą się wokół ciebie jak pszczoły, a ty co? Nęcisz go nadziejami, od czasu do czasu wabisz uśmiechem, a potem upokarzasz go, spłacając jego długie. Czy wiesz, jak się czuł, gdy się o tym dowiedział?

- Chciałam mu tylko pomóc - szepnęła stłumionym głosem.

193

- Czy to przez majątek dziadka stałaś się tak obojętna na uczucia innych? Ayishamowie nie potrzebują twojego miłosierdzia. Jutro przyślę ci czek.

- Jak sobie życzysz - odwróciła głowę.

- Trzymanie ich na smyczy bawi cię, prawda? - Nie ustępował. - Ten rozwiązyły drań, George Grafton, ten goguś Malinski, stary rozpustnik lord Pam. Nawet Sidney Herbert, żonaty i szanowany, dziś wieczorem nie mógł od ciebie oderwać oczu. Jaka grę prowadzisz? Miałem o tobie lepsze wyobrażenie. Wierzyłem, że jesteś kimś wyjątkowym - jesteś piękna i bogata, masz

wszystko, czego pragnie każda kobieta, a jednak niszczysz swoje życie.

- Przykro mi, że nie jestem oddana tak szlachetnej

sprawie jak twoja Miss Nightingale! - wykrzyknęła wzburzona.

- To było tanie, wulgarne szyderstwo. Powinnaś się wstydzić - przerwał, przypominając sobie słowa Flo-rence - Ta dziewczyna ma charakter...

Zdawał sobie sprawę, że chłosta ją słowami, że świadomie jest niesprawiedliwy, bo jej widok doprowadza go do szaleństwa.

Blask płomieni rzucał złotawą, jesienną poświatę na jedwabiste włosy; opuszczona głowa, przymknięte oczy, długie, czarne rzęsy na jasnych policzkach... zapragnął nagle porwać ją w ramiona i całować, całować... zacisnął oczy, tłumiąc nagle pożądanie i ujrzał ową zgubną piękność, która omotała jego ojc.i, doprowadzając go do szaleństwa, szaleństwa niiniętności do własnej córki. Wiedział, że płonie w

111111 l o samo dzikie pożądanie, powstrzymywane

pmv wiy/y krwi, przekłęty związek, od którego nie były iififr/ki,

P|»|I|||ON(|I głowę, ich oczy spotkały się. = Nit orty/yłość? - spytała cicho. - Boja też chcę ci coś

powiedzieć. Dlaczego uciekłeś wtedy ode mnie po balu myśliwskim? Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Od niczego nie uciekłem. W Wiedniu czekała na mnie ważna praca i wcześniej niż się spodziewałem, musiałem opuścić Anglię.

- Nie kłam, Jethro. Charles powiedział mi, że przez cały czas nie mogłeś się zdecydować. Uciekłeś, bo brakło ci odwagi, by wyjawić mi prawdę.

Podszedł do stołu.

- Przepraszam - wyznał stłumionym głosem. - Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć.

- I musiałam dowiedzieć się o tym sama... w najgorszy sposób.

- Nie chciałem tego. Myślałem, że Ciarissa pomoże ci to zrozumieć.

- I pomogła... po czasie - ciągnęła. - Była bardzo uprzejma. Wyjaśniła mi, że poślubiając moją matkę, Justin Ayshiam, twój ojciec, poślubił własną córkę. Czy to prawda? Czy to może być prawda?!

- Wszyscy w to uwierzyli.

- Ale czy ty... czy ty uwierzyłeś? Nie było dowodu...

- Tu nie trzeba dowodów - wyrzucił z siebie dziki potok słów. - Po co dowody, skoro wszyscy uwierzyli? Rozprawiano o tym wszędzie, nawet w szkole, rzucono mi to w twarz - bękart, którego macocha była dziwką, a ojciec zginął w męczarniach, ukarany za straszliwy czyn, którego się dopuścił. Czy możesz to sobie wyobrazić? Czy wiesz, jak długo musiałem z tym żyć, jak trudno było zapomnieć?

Zazwyczaj panował nad sobą, więc ta nagła furia przeraziła ją. Chciała podejść do niego, przytulić, uspokoić, wykazać odrobinę czułości, być może przyniosłoby to ukojenie, ale nie był już zranionym

195

dzieckiem, lecz mężczyzną, starszym i bardziej od niej doświadczonym.

- To było tak dawno - wyszeptwała bezradnie. - Nie wiemy nawet, czy to prawda. Jakie to ma teraz znaczenie?

Obrócił ku niej zmęczoną twarz.

- Oczywiście, że ma. Nie rozumiesz? Wujek i siostrzenica - to byłby dopiero skandal!

Z jaką radością zagrzebaliby się w tych oszczerstwach!



Przerwał, z trudem zbierając siły. Wiedział, że najlepszym wyjściem byłoby brutalne przerwanie silnych

więzi, które ich połączyły, spontanicznie, nieoczekiwanie. Zapanował nad głosem.

- Dla mnie ma to znaczenie ogromne, bo czuję się za ciebie odpowiedzialny.

Przywiozłem cię tu z Włoch. Przez szacunek dla twojego dziadka chcę dopilnować, byś była szczęśliwa i nie zmarnowała życia.

Nie takiego wyznania się spodziewała. Jego słowa

podziały na nią niczym kubek zimnej wody. Odezwała się niepewnie:

- A ja myślałam... Byłam pewna...

- Jeśli kiedykolwiek - ciągnął tym samym, chłodnym tonem - dałem wyraz cieplejszym uczuciom względem ciebie, wybac mi. Wtedy na polowaniu zachowaliśmy się nierozważnie i beztrosko, prawda?

Wpatrywała się w niego, załamana i dezorientowana, aż nagle coś ją tknęło.

- Nie wierzę ci - wycedziła. . - Musisz mi uwierzyć.

- Nie mogę, nie uwierzę! Jeśli to prawda, byłbyś zupełnie innym człowiekiem, kimś, kto igra z uczuciami innych, raniąc ich i niszcząc.

- Tak postępował mój ojciec, a ja jestem jego synem - oznajmił ponuro.

- Ale ty nie jesteś do niego podobny. Wiem to

m

- ożywiła się. - Jesteś sobą. Przeszłość jest przeszłością i nigdy nie wróci.

- Chciałbym w to wierzyć. Mój Boże, tak bardzo bym chciał w to uwierzyć.

Stali z daleka od siebie, ale łączące ich uczucie było tak silne, że z trudem powstrzymywali się od gorącego uścisku. Nagle Laurel nie wytrzymała i przerwała nieznosne napięcie. Nie miała już sił do dalszej walki.

- Proszę, idź już, Jethro - szepnęła. - Idź, proszę. Nie zniosę tego więcej.

Jethro miał ochotę podejść do niej, chwycić ją w ramiona, przycisnąć do serca i powiedzieć jej, że nic nie liczy się prócz ich wzajemnej miłości, ale odwrócił się bez słowa i opuścił pokój, opuścił dom.

Cindy, nad słuchując z półpiętra, widziała jak wychodził. Zegar wybił północ.

Wiedziała już, co powiedzieć Jackowi Webbowi, wiedziała, co niebawem usłyszy Barton Grafion. Liczyła na całusa lub dwa. Ostatnio Jack złościł się na nią za brak informacji. Teraz ogarnęła ją duma. Kiedy ujrzała swoją panią wychodzącą z jadalni i wchodzącą wolno po schodach, wycofała się w pośpiechu do pokoiku na poddaszu, który dzieliła z Bidy, pokojówką.

11

Całkowity przypadek zaprowadził Laurel do sklepiku z kapeluszami na małym podwórku przy modnej Bond Street. Odkryła go Jane podczas jednego z porannych spacerów, polubiła go i zaproponowała wspólną wizytę. Laurel nie wspomniała jej ani słowem

197

o nocnej wizycie Jethro, Jane dowiedziała się o tym od służby. Pewna była, że coś się wtedy wydarzyło. A jednak Laurel nie wyglądała na przygnębioną. Przeciwnie, tryskała humorem, a na każde pytanie odpowiadała wzruszeniem ramion:

- Jethro nie aprobuję mojego sposobu życia. Ale Jane znała ją zbyt dobrze i nie dawała się zwodzić kruchej wesołości. Laurel przyjmowała każde zaproszenie, przesiadywała

z George'em na wyścigach, towarzyszyła księciu Malinskiemu podczas przedstawień operowych, flirtowała bezwstydnie z Ro-binem. Jane słusznie przypuszczała, że cały ten niepokój był jedynie próbą ucieczki od osobistego nieszczęścia.

Kilka tygodni później, pewnego listopadowego poranka wybrały się na St. James' Square, spotkały się

z Rosemary i zaprosiły ją na wyprawę do sklepu z kapeluszami.

Sklepik miał urocze, łukowate okno i wyrytą złotymi literami nazwę „Lydia”. Na wystawie leżała czarująca konfekcja w kolorze bladego różu, zdobiona różami, tiulem i kokardami. Właścicielka sklepu, widząc trzy damy wysiadające z powozu, pośpieszyła im na spotkanie. Była to atrakcyjna kobieta po trzydziestce, ubrana skromnie lecz elegancko w szarą suknię z pope-liny ozdobioną czarną wstążką. Już po pierwszym spojrzeniu Laurel rozpoznała w niej damę, z którą rozmawiał Jethro na wyścigach w Epson. Sam sklepik był niewielki, ale modele Lydii Chester miały swój smak. Rosemary, zdecydowana na całkowitą obojętność wobec otaczającego ją świata, nie pozostała obojętna na jasnoniebieski, aksamitny kapelusz przystrojony białymi stokrotkami. Nawet Jane nie oparła się porywającej, wieczorowej kreacji z czarnej koronki, obszytej perłami i zwieńczonej kokieteryjną kokardą.

198

Laurel, przymierzając po kolei kilka modeli, spytała niespodziewanie:

- Czy zna pani Jethro Ayishama? W lustrze dostrzegła zmarszczone czoło Lydii i usłyszała:

- Jeśli chodzi o tego lekarza, nasza znajomość jest czysto zawodowa.

- Wydaje mi się, że widziałam was na wyścigach.

- Bardzo możliwe. Czasem wybieram się do Ascot lub na derby - uśmiechnęła się. - Porównuję własne kreacje z tymi w łóżach królewskich.

- Rozumiem - podniosła się Laurel. - Biorę te trzy. Na chybił trafił wybrała kapelusze, które zdążyła już przymierzyć. »y

- A ty, Rosemary?

- Te dwa mi się podobają - odparła nieśmiało - ale nie mogę się zdecydować.

- Weź oba. To prezent ode mnie.

- O, to zbyt wiele. Nie mogę pozwolić, byś je dla mnie kupiła.

- Nonsens, oczywiście, że możesz. Ty także, Jane. Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Czy może je pani zapakować? Zabierzemy je ze sobą. Proszę przesłać rachunek na Ariington Street.

Kiedy Lydia zawijała kapelusze w cienką bibułę i wkładała je do biało-niebieskich pudełek w paski, po schodach z tyłu sklepu zbiegł mały chłopiec i rozsunał kotarę z koralików.

- Edwin, wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić, kiedy mam klientów - zmarszczyła brwi jego matka.

Śliczny dzieciak o czarnych włosach nie dawał za wygraną.

- To wujek Jethro, mamó. Zobaczyłem go na ulicy. Czy przyjdzie nas odwiedzić?

- Coś ci się przywidziało. A teraz idź na górę i bądź

199

grzeczny. Panie mi wybaczą. Służąca, która opiekuje się moim synkiem, wyszła po zakupy.

Pudełka były już gotowe. Podniosły je i już wychodziły ze sklepu, kiedy pojawił się Jethro. Zdziwił się nieco, a następnie szarmancko uniósł kapelusz.

- Dzień dobry Laurel... Rosemary... Miss Ashe

-z uśmiechem popatrzył na pakunki. - Wygląda na to, że wykupiłyście cały sklep.

- Chyba nie przyszedłeś po nowy kapelusik? - odezwała się Laurel.

- Nie. Moja wizyta ma charakter czysto zawodowy.

- Czy coś dolega pani Chester?

- Jej synek był kiedyś moim pacjentem. Zaglądam tu czasami, by sprawdzić, jak się czuje. Panie wybaczą-uniósł kapelusz i wszedł do środka.

- To niezwykle spotkać tu Jethro - zauważyła Rosemary wchodząc do powozu. - Ten dzieciak wyglądał raczej słabowicie.

- Jethro przebywał za granicą ponad rok - zaoponowała Laurel, siadając obok niej.

- W niektórych przypadkach niezbędna jest kontrola po roku lub nawet po osiemnastu miesiącach

- zabrała głos Jane, siadając naprzeciwko.

Brzmiało to całkiem przekonująco, dlatego więc była tak głupio zazdrosna?

Nawet jeśli Lydia Chester była jego kochanką, a chłopak jego synem, jaki to miało

związki z nią? Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nic ich nie łączy, a jednak nie

mogła się z tym pogodzić. Nie potrafiła wyrzucić go ze swego serca, choć próbowała

ze wszystkich sił, buntowała się przeciwko jego decyzji w złości i poczuciu

beznadziei.

200

» \* \*

Mijały dni, a stosunki między Anglią i Rosją pogarszały się. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że gdyby stary Pam urzędował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, flota angielska byłaby już na Morzu Czarnym, a car i jego Rosjanie uciekaliby w pośpiechu.

Ale wśród śmietanki towarzyskiej, spędzającej swój czas na zabawach, wojna była czymś nierealnym, a już z pewnością nie zaprzątała myśli Laurel, kiedy pewnego, mglistego poranka Seth wiozł ją do towarzystwa opieki społecznej w Stepney.

Odczuwając boleśnie krytykę Jethro, znalazła czas w nawale innych obowiązków, by spędzić tam rano lub popołudnie, starannie wybierając dzień, w którym nie było go w klinice.

Tego samego ranka powóz zabrał George'a Graf-ona na spotkanie z bratem w londyńskim City. Jego biuro mieściło się w apartamentach wysokiego, starego budynku na Fenchurch Street. Parter zajmował sklep, którego kosztowne okna ze szlifowanego szkła przyciągały uwagę ozdobnymi zakrętami w kolorze czerni i złota „Rutland's Fine Teas”. Za czasów Sir Joshuy firma zajmowała się wyłącznie sprzedażą hurtową. Sklep i mała fabryka opakowań były pomysłem Bartona, dumnego ze swego sukcesu. Rutland's Darjee-ling, Lapsang Suchong, a nawet zielona herbata rosyjska gościły prawie w każdym gospodarstwie domowym. Za pieniądze tak niesprawiedliwie podarowane Laurel mógłby rozwinąć działalność, otworzyć więcej sklepów, w Liverpoolu czy w Bristolu. Jego serce wypełniało się goryczą, a widoczna niesprawiedliwość stała się jego obsesją. Rozmyślał o tym przez cały czas, planując zemstę za wyrządzone krzywdy, a listy od matki, przychodzące co tydzień, zachęcały go do działania. Wolno, lecz zdecydowanie zmierzał do celu.

Kiedy wszedł George, podniósł wzrok.

- I co, przybyszu - zakpił. - Czemuż to zawdzięczam tę wizytę?

- Co za sarkazm! Daj spokój, Barton - rzucił swobodnie George. - Najadłeś się cytryn? Czy możemy porozmawiać jak bracia?

- Ile? - spytał bezceremonialnie Barton.

- Nie masz za grosz delikatności - westchnął George, sadowiac się beztrąsko na biurku. - Jeśli już musisz być tak brutalny, co powiesz na pięć setek? To całkiem nieźle, prawda?

- Wystarczająco. Na co tym razem - konie czy hazard? - Barton sięgnął po książeczkę czekową. - Co się stało z twoim słynnym czarem? Sześć miesięcy i Laurel będzie mi jadła z ręki - czy to nie twoje słowa?

- Ależ tak jest... od czasu do czasu. - George wstał i podszedł markotny do okna, obserwując wielki wóz do przewożenia beczek piwa zaprzężony w dwa wspaniałe konie pociągowe, z trudem posuwające się po wąskiej uliczce.

- Problem polega na tym - zaczął wolno - że ptaszek ulatuje, gdy tylko zaciskam dłoń i wszystko trzeba zaczynać od nowa.

Barton wpatrywał się w wyprostowane plecy brata, zaskoczony niezwykle poważnym tonem jego głosu.

- Być może zainteresuje cię fakt - rzucił od niechcienia - że dokonałem pewnego intrygującego odkrycia na temat naszej kuzyneczki.

- Cóż to za odkrycie?

- Takie tam. Wygląda na to, iż nawet zacni Ayishamowie mają swe niechlubne tajemnice. George odwrócił się gwałtownie.

- Co masz na myśli, u diabła? Gdzie znów wepchnąłeś swych małych, ohydnych szpiegów?

- Szpiegów?

202

- Tak, szpiegów - stanowczo potwierdził George. - Wiem, dlaczego umieściłeś tego kocmołucha w domu

Laurel, nie musisz zaprzeczać.

- Nie mam zamiaru. Co z tobą, George? Jeszcze rok temu myślałeś zupełnie inaczej. Czy nagle stałeś się jej orędownikiem, rycerzem w lśniącej zbroi?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie udaję, że jestem lepszy od innych, ale istnieją pewne granice, a rujnowanie reputacji młodej dziewczyny jest jedną z nich. Nie pozwolę, by Laurel stała się przedmiotem szantażu, słyszysz?

- A kto mówi o szantażu? - Barton rozłożył się na biurku. - Nie bądź głupcem, George. Wiem, co robię i mam nadzieję, że nie spóznisz się po swą część łupu.

George przyjrzał mu się uważnie.

- Jesteś przebiegłym draniem, Bart. Co tam trzymasz w zanadrzu? Co knujesz?

- To nieważne. Nie wiesz pewnie, że pojawiła się tu niedawno, chcąc zwiedzić fabrykę. Miała czelność krytykować moje metody, plotła jakieś radykalne bzdury o godzinach pracy, zarobkach, świadczeniach dla robotników, uświadamiając im, że są

źle traktowani - mówię ci, nie mogłem sobie potem z nimi poradzić. Chyba wkrótce dam jej nauczkę.

- Jaką nauczkę? - zainteresował się George.

- Kto to wie? - Barton uśmiechał się, z trudem kryjąc złość.

- No, to uważaj. Nie pozwolę jej skrzywdzić.

- Nie martw się. Wiem, co robię. Oto twój czek.

Procent jak zawsze.

- Krwiopijca! Nie mam zamiaru ci dziękować.

- George wziął czek i schował go do kieszeni. - Być może pozbędziesz się mnie prędzej niż myślisz, jeśli

tylko dojdzie do wojny z Rosją.

- Czy to pewne? - oczy Bartona zapłonęły z ciekawości.

203

- Dlaczego pytasz? Czyżbyś chciał dostarczać herbatę dla wspaniałej armii brytyjskiej i zbijać majątek, wypełniając skrzynki śmieciami?

- George, nie godzi się tak mówić. Rutland's to symbol uczciwych interesów.

- Do diabła z tym. Czy nie mogę sobie pożartować? A co do wojny, wiem tyle co i ty. Barton wyprostował się i spojrzał w zadumie na swego brata.

- Może powinniśmy to wykorzystać, George. Kobiety bardzo się wzruszają, kiedy ich bohater idzie na wojnę.

- Kłopot w tym, że ja nie jestem jej bohaterem - odparł gorzko George.

Zasalutował i ruszył schodami w dół, zdziwiony własną, gwałtowną reakcją na knowania Bartona. Wcześniej nigdy się tym nie przejmował. Teraz nie potrafił się z tym pogodzić. Co u diabła knuł w tym swoim przebiegłym umyśle? Przeklęta Laurel! Potrafiła zająć mu za skórę!

\* \* \*

Seth Sterling wielokrotnie woził swą panią do slumsów w Stepney, choć nigdy nie pogodził się z tym zadaniem. Jego wdzięczność do Laurel nie miała granic. Kiedy prawdziwy powód jego wyjazdu z Ra-vensley wyszedł na jaw, mógł się spodziewać zwolnienia. Czasami zdawało mu się, że kocha nieśmiałą, delikatną Rosemary od kiedy była małym dzieckiem, ale w chwili gdy ją pocałował, zdał sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Przeklinał się za własną głupotę, ale boleśnie odczuwał stratę. Laurel przydzieliła mu kilka dodatkowych zadań, wiedział, że mu współczuje, że chce pomóc mu w tych trudnych chwilach. Jego

204

zdaniem dama taka jak Laurel nie powinna brudzić sobie rąk wśród motłochu zalegającego tę część miasta.

Przecisnął się wąskimi, zatłoczonymi uliczkami i dotarł do Aidgate, gdzie z miejsca otoczyła go chmara pstrokatych, bezładnych straganów. Zachrypli, prostacki tłum rozlewał się dokoła, pograżając się w kłótniach, targach i bluźnierstwach. Po obu stronach drogi rozchodziły się uliczki zabudowane wałącymi się domami, których okna zapchane były szmatami i papie-rzyskami. Z dala od rynku obdarte dzieciaki i roztraj-kotane kobiety grzebały w mulistych rynsztokach i przeszukiwały sterty cuchnących śmieci, odganiając parszywe psy i dzikie, wychudzone koty. Żyją gorzej

niż świnie, pomyślał Seth z wiejską pogardą dla miejskich slumsów. Lekka mgła unosząca się nad rozwalonymi dachami i brudnymi podwórkami stwarzała atmosferę pełną grozy, a od czasu do czasu od strony rzeki dobiegał cichy jęk syren okrętowych. Zamachnął się groźnie batem, odganiając stado dzieciaków biegnących obok koni. Jeden z nich wykrzyknął jakieś przekleństwo i rzucił kamieniem, który omal nie rozbił okna powozu.

Przytułek znajdował się w ogromnym, ponurym budynku z ohydnej, żółtej cegły pokrytej sadzą, ale mimo nędznego wyglądu oferował ciepło, schronienie, pożywienie i opiekę wielu bezdomnym dzieciom, podrzutkom i zagłodzonym, wykolejonym dziewczynom, które kiedyś przybyły z prowincji do Londynu z nadzieją na lepszy byt, a znalazły rozpacz i ubóstwo.

Powóz zatrzymał się przy wejściu, a rój umorusanych dzieciaków, nawet niemowląt natychmiast otoczył ich ze wszystkich stron. Seth zaklął pod nosem, schodząc z siodła i otwierając drzwiczki. Wszyscy wpatrywali się teraz w zjawisko, które wynurzyło się ze środka w ciemnozielonej, aksamitnej mantylce

205

obszyciej srebrnym lisem. Niektóre z nich podkradły się bliżej, wyciągając lepiące się od brudu ręce, wierząc, że sam dotyk przeniesie je w inny świat. Seth próbował je odepchnąć, ale Laurel powstrzymała go.

- Zostaw je i przynieś kosz - poleciała szorstko. Ruszył za nią, oglądając się z niepokojem na powóz. Obdarłyby te małe diabły ze skóry, gdyby tylko wyrządziły krzywdę jego koniom. W obskurnym korytarzu Laurel nakazała:

- Przyjedź po mnie około piątej, Seth. Kosz zapakowany był cukierkami, czekoladą, ciastem i zabawkami, zawiniętymi w lśniący papier, a przeznaczonymi dla dzieci ze szkoły. K-iedy Laurel po raz pierwszy zawitała w przytułku, Olivia Winter pracująca tam dla Cherry Fenton oznajmiła z dezaprobatą:

- Oni potrzebują jedynie zdrowej, prostej żywności. Mleka, chleba, czegoś odżywczego.

Laurel uśmiechnęła się na takie stwierdzenie.

- Wiem, co pani ma na myśli. Uważa pani, że jestem bezużyteczna, ale czasami odrobina dżemu na chlebie może sprawić wiele radości, prawda? Nie mam głowy do rzeczy użytecznych, ale zawsze mogę dostarczyć dżem.

I kiedy Olivia zobaczyła, jak Laurel radzi sobie z maluchami, opowiada bajki lub śpiewa im piosenki, kiedy dostrzegła, że nie odpycha ich, gdy ciągną ją za suknię lub próbują wdrapać się na kolana, poczuła nagłą sympatię do dziewczyny. Być może odrobina przepychu potrzebna była w ich szarym, monotonnym życiu.

Na widok kosza pełnego kolorowych paczek wykrzyknęła radośnie.

- Czy mogę zatrzymać niektóre z nich na Boże Narodzenie? Choinkę dostanę z Covent Garden. Obiecałam dzieciom, że kiedy ją ubierzemy niczym nie

206

będzie się różnić od drzewka Królowej i Księcia Alberta z pałacu Buckingham.

- W czym mogę pomóc dzisiaj? - rzuciła praktyczne pytanie Laurel, rozsypując czepek i zdejmując futrzaną mantylkę.

- Cóż, panno Rutland, nie śmiem prosić, ale czy mogłaby pani asystować dziś doktorowi Ayishamowi? To nietypowy dzień, nie ma zbyt wiele czasu, a jego pomocnicy są nieobecni. Ta okropna mgła jest przyczyną wielu katarów i przeziębień, a Miss Margaret, córka pani Fenton, zajęta jest odrabianiem lekcji ze

starszymi dziećmi.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedziała niepewnie Laurel - ale nie mam doświadczenia w medycynie.

- Nikt z nas nie ma, ale wszyscy się uczymy - rzekła radośnie Olivia.

Sala operacyjna, jeśli tak można było nazwać to miejsce, była wielkim pustym pomieszczeniem przepelnionym wonią środków dezynfekujących, ściany pobielono lekko wapnem, a podłoga zionęła wilgocią od ciągłego szorowania zalecanego przez Jethro. Gdy weszła do środka, dostrzegła go odwróconego w odległym kącie, zajętego opróżnianiem swej lekarskiej torby.

- Czy to ty, Margaret? - spytał. - Ilu mamy dziś na liście?

- To nie Margaret...

- A zatem kto...? - obejrzał się i zauważył Laurel.

- Dobry Boże, a ty co tu robisz?

- Zostałam twoją asystentką.

Jethro zmarszczył czoło.

- Wielkie nieba, to nie zabawa, wiesz o tym. Pobrudzisz sobie tę śliczną suknię.

- Olivia dała mi fartuch - zawiązała go na plecach i wprawnym ruchem podciągnęła rękawy. Przypatrywał się jej przez moment.

207

- Lepiej zepnij włosy - mruknął ponuro. - Te dzieciaki są zawszone.

Zawahała się, a on wyciągnął jedwabny szalik z kieszeni swego płaszcza i rzucił go w jej kierunku.

- Zawiąż to na głowie.

Wykonała jego polecenie, chowając loki, a on zdjął zakiet i zawiązał mankiety.

- Często tu przychodzisz?

- Nie.

- Dobroczynność, czyż nie? Poświęcasz od czasu do czasu jeden dzień, by uspokoić swe sumienie.

- To nieprawda. Przychodzę tu, bo sprawia mi to przyjemność - poinformowała go chłodno, ignorując jego sarkazm. - Czy mam powiedzieć im, że jesteś gotów?

- Jeśli możesz. Powinniśmy zaczynać. Pierwszym pacjentem okazało się niemowlę z grzybicą, po nim pojawił się chłopiec z ropiejącym wrzodem na nodze. Laurel wykazała nie lada odwagę,

asystując Jethro, kiedy ten badał, czyścił i bandażował ranę.

- To pamiętka po kopniaku podkutym butem ojca, kiedy upił się do nieprzytomności - wyjaśnił lakonicznie, gdy chłopiec pokuśtykał w stronę drzwi. - Dobrze się czujesz?

Chyba nie zamierzasz zemdleć?

- Oczywiście, że nie - parsknęła cierpko. Ranek włókł się w nieskończoność. Laurel podawała nożyczki, rozwijała bandaże, wycierała krew, pomagała w czyszczeniu zabrudzonych, zaskorupiałych wrzodów, z całej mocy próbując odrzucić zapach choroby

i niemytych ciał, dominujący nad ciężkim odorem karbolu.

Podczas krótkiej przerwy wypili filiżankę wodnistej kawy w towarzystwie Olivii Winter i posilili się kanapkami z serem. Niebawem wrócili do pracy.

208

Dla obydwójga był to dzień pełen zaskakujących odkryć. Laurel podziwiała nie tyle jego umiejętności, co łagodność, cierpliwość w rozmowie z upartymi matkami, które ślepo trzymały się starych nawyków, jego zdolność zdobywania zaufania nawet najmniejszych pacjentów, kiedy musiał zadawać im ból. Pracował bardzo ciężko, a jednak nigdy nie tracił cierpliwości, nie wykazywał pośpiechu. Jethro z kolei pozostawał pod wrażeniem jej stoickiego spokoju, z jakim wypełniała najcięższe obowiązki i choć pojęcia nie miała o medycynie, podając mu niewłaściwe instrumenty lub opatrunki, uczyła się szybko.

Ostatni przypadek okazał się najgorszy ze wszystkich. W sali pojawiła się młoda kobieta ubrana bez gustu, lecz kolorowo w czerwoną spódnicę i jakąś marną bluzkę.

Na głowie zawiązany miała brudny szal, zakrywający jej pół twarzy. Kiedy go ściągnęła, zaszokowana Laurel z trudem chwyciła powietrze. Ze zdartej skóry na policzku i szyi sączyła się ropa.

- Mój Boże, to poparzenie - wykrzyknął Jethro. - Jak to się stało?

- On to zrobił - wyjaśniła obojętnie kobieta. - Żelazkiem. Złapał rozżarzone z pieca.

- Musisz strasznie cierpieć. Nie próbowałaś tego leczyć?

- Nie pozwolił mi. Powiedział, że nie będzie marnował grosza na jakiegoś cholernego doktora.

- Czy to twój mąż? - Jethro z nadzwyczajną ostrożnością odcinał martwą tkankę.

Kobieta zajączała, ale zniosła ból ze spokojem.

- To facet, z którym mieszkam. Wściekł się, bo nie oddałam mu całej forsy zarobionej na ulicy tamtej nocy. Chyba miałam prawo zatrzymać sobie szylinga?

209

- Oczywiście - potwierdził roztargniony, koncentrując się na swym delikatnym zadaniu.

Laurel przymknęła oczy na widok ohydnie zniekształconego ciała; żółtawa ropa i wstrętny odór były nie do wytrzymania.

- Pinceta - nakazał Jethro, nie podnosząc wzroku. Pogrzebała przez moment w instrumentach i coś mu podała.

- Powiedziałem pinceta - odezwał się niecierpliwie i sam wyciągnął właściwy przyrząd. - Myśl nad tym, co robisz. A teraz gaza.

Sięgnęła po opatrunek i wyprostowała się, czując zawrót głowy. Nie zemdleję - powtarzała sobie - Nie zemdleję...

Jethro pracował powoli i dokładnie. Czas płynął nieubłaganie wolno, ale kierując się współczuciem, utrzymała się na nogach, wykonując wszystkie polecenia. Jak przez mgłę ujrzała wychodzącą kobietę, a potem, nie wiedząc jak, znalazła się na krześle trzymając w dłoni szklanke.



- Wypij - polecił Jethro.
- Napój był zimny i gorzki. Otworzyła oczy.
- Już lepiej?
- Tak. Tak mi głupio. Wstydzę się za siebie.
- Nie musisz. Sprawiała się bardzo dobrze - pogładził ją po policzku. - Zdziwiająco dobrze. Zmusiła się do uśmiechu.
- A myślałeś, że nie dam sobie rady.
- Czyżby? - poczuł skruczę. - Zatem cofam to. Wypij do dna i umyj ręce. To już koniec na dziś. Jego pochwała napawała ją dumą.
- Czy będę mogła ci jeszcze kiedyś pomóc?
- Ależ tak - uśmiechnął się - jeśli nie masz dosyć po dzisiejszym dniu. Podszedł do ściany i zdjął z haka swój płaszcz.

210

- Muszę się śpieszyć. Zbiera się gęsta mgła, a czekają na mnie w szpitalu, więc obawiam się, że nie mogę odwiedzić cię do domu. Dasz sobie radę?
- Seth przyjedzie po mnie.
- Dobranoc, moja droga... dziękuję.

Po raz pierwszy pracowali razem jak przyjaciele, na partnerskich zasadach. Może to wystarczy, pomyślała ze smutkiem Laurel. Przez resztę listopada i cały grudzień odwiedzała każdego tygodnia przytułek, i choć praca ta wyczerpywała ją lub niekiedy przekraczała jej możliwości, nie poddawała się, znajdując u boku Jethro proste szczęście, w które nigdy nie wierzyła.

Straszliwie poparzona młoda kobieta o imieniu Liz wracała do zdrowia bardzo wolno. Skóra na twarzy pomarszczyła się, blizny nie chciały się goić. Kiedy przyszła ponownie, na tydzień przed Bożym Narodzeniem, przejrzała się w brudnym lustrze zawieszonym na ścianie.

- Nigdy nie będzie wyglądać lepiej? - spytała.
- Jethro pocieszył ją.

- Po jakimś czasie blizny znikną.
- Zawsze będą widoczne, wiem. Widziałam je nieraz. Ja już tu nie przyjdę.
- Powinnaś, Liz. Skóra jest wciąż bardzo delikatna.
- Mój chłop mnie zostawił. Musiałam znaleźć sobie pracę. Widzi pan, to w zachodniej części miasta.

Przyszłam tylko podziękować.

- Nie trzeba - odparł Jethro.

Dzień był wyjątkowo chłodny i Laurel zabrała ze sobą szal z perskiego jedwabiu.

Przewieszony na krześle, lśnił niczym drogocenny klejnot w ponurej sali. Wychodząc Liz dotknęła go prawie nieświadomie. Na ten widok Laurel podniosła go i zawiesiła na jej ramionach.

211

- Prezent gwiazdkowy z okazji nowej pracy - powiedziała.
- Dla mnie?

Przez moment Liz nie wierzyła własnym oczom, a potem z wdziękiem owinęła go wokół głowy i lekkim krokiem wyszła z sali.

- Pomogłaś jej odzyskać nieco wiary w siebie - odezwał się Jethro. - Biedna istota, tego właśnie potrzebuje.

- Nie pomyślałam o tym... Było mi jej żal. Tego właśnie dnia Jethro musiał opuścić ją nieco wcześniej. Gdy Laurel zakładała kapelusz, z klasy szkolnej wyłoniła się Margaret i stanęła w drzwiach. Od pamiętnego dnia w Ravensley spotkały się tylko raz, ale Laurel nadal czuła na sobie płonąca nienawiść, destrukcyjną, niewypowiedzianą zazdrość. Margaret wiedziała, że Robin nie zwraca już na nią uwagi i przewrotnie winiła Laurel za jego obojętność. Miała dopiero siedemnaście lat, ale wyglądała na więcej, włosy zaczesywała w prosty kok i nosiła ciemne, wełniane suknie zapinane wysoko pod szyję. Po co to robi? zastanowiła się poirytowana Laurel. Taki nieatrakcyjny wygląd niczemu nie służy.

- Bardzo ładny kapelusz - odezwała się niespodziewanie Margaret. - Czy to ze sklepu przy Bond Street?

- Tak.

- Tak myślałam. Rosemary pokazała mi te dwa, które jej kupiłaś. Wiesz, kim jest Lydia Chester, prawda?

- Wiem, że jest doskonałą modystką - odpowiedziała chłodno Laurel.

- Bzdura! Nie to mam na myśli. To kochanka Jethro, od lat.

Laurel zdołała już o tym zapomnieć, aż tu nagle wszystko powróciło z całym jadem urazy Margaret.

212

- Po co to mówisz?

- Myślałam, że wszyscy wiedzą. Ten chłopiec to jego syn. Dlatego tak bardzo się nim przejmuję. Laurel spojrzała Margaret prosto w twarz.

- Dlaczego mi to opowiadasz?

- Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

- A zatem się mylisz. Lubię Jethro. Uważam, że jest doskonałym lekarzem i życzę mu jak najlepiej, ale nie obchodzi mnie jego prywatne życie. I jeszcze coś. Jeśli zależy ci na Robinie, lub kimkolwiek innym, jeśli chcesz, aby ktoś się tobą zainteresował, przestań mnie napastować i kup sobie jakieś eleganckie stroje. Co w tym złego? Masz takie piękne włosy. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

Margaret zagryzła usta.

- Nie, dziękuję. Nie uganiam się za mężczyznami.

To twoja specjalność.

Po takiej odmowie Laurel wzruszyła ramionami.

- Jeśli tak uważasz, nie miej do mnie pretensji, kiedy zostaniesz na szarym końcu.

Seth czekał już przy powozie. Trzęsła się wsiadając do środka. Wydawało jej się, że złośliwość Margaret nigdy jej nie dotknie, ale to nie była prawda. Jej złośliwość skutecznie zburzyła kruche szczęście ostatnich tygodni. Laurel próbowała zapomnieć o Lydii Chester, ale nie potrafiła. Nie mogła wyobrazić sobie Jethro znajdującego miłość i ukojenie w ramionach ^ innej kobiety.

12

Tuż przed Bożym Narodzeniem Laurel zdecydowała się na podróż do Westley Manor. Dom ten otrzymała w spadku po dziadku i odwiedziła go tylko raz, kiedy wciąż świeża była pamięć o wydarzeniach na Moczarach. W jednej prawie chwili wszystkie przyjemności i zabawy Londynu straciły swój urok i sens, a ona sama nie potrafiła oprzeć się pokusie samotnego spokoju bagien.

Jane zaprotestowała z całej mocy.

- Laurel, jest już grudzień. To miejsce będzie zimne jak grobowiec. I okropnie wilgotne. Przez wiele lat nikt tam nie mieszkał.

- Dom ma dozorców. Utrzymują go w dobrym stanie. Rozpalimy w kominku, zabierzemy konie i służbę. To będzie coś nowego, coś odmiennego. Londyn mnie nudzi, niedobrze mi na widok tych samych twarzy. Potrzebuję zmiany, a na Moczarach może być wspaniale. Nigdy nie widziałś tam tego co ja.

- I nie wiem, czy chcę, zwłaszcza w środku zimy. Wielkie, otwarte przestrzenie i szczypiący wiatr - zatrzęsła się gwałtownie. - Jeśli już musisz tam jechać, może znajdziemy jakiś wygodny hotel?

- Tam nic nie ma, tylko gospody dla rybaków, ale to nie dla ciebie. Rosemary uważa, że jej ojciec ugościłby nas w Ravensley, ale nie jestem pewna, co na to lady Ayisham. Poza tym chcę być niezależna. Och, Jane, gdzie twój duch przygody?

- Straciłam go już dawno temu. Przyzwyczyłam się do wygod.

. Laurel nie dała jednak za wygraną i postawiła na swoim. Pod nadzorem Seta wysłano do Westley sterty bagażu z pościelą, ciepłymi kołdrami, kocami

214

i koszami wypełnionymi przysmakami ze sklepu „Fo-rtnum and Mason”. Laurel i Jane wyjechały następnego dnia.

Mimo ponurych przewidywań dom, choć odrapany,

był wyjątkowo suchy, a otwieranie starych pokoi, rozpalanie w kominkach, podziwianie mebli, obrazów i licznych ornamentów sprawiało im wiele radości.

Gospodarz domu podążał ich śladem, ściągając zakurzone narzuty i otwierając okiennice, służba zaś zabrała się do czyszczenia i polerowania. Aż któregoś ranka z Ravensley nadjechało nieoczekiwane towarzystwo. Rosemary i Jessica przywiozły Robina i Toma, przybyła też niechętnie Margaret. Zrobiło się zimno i bardzo mroźno. Drzewa i krzewy pokrywał migocący w nikłym słońcu szron, wiał słaby wiatr, ale na śnieg

trzeba było jeszcze poczekać.

- Za kilka dni pojeździmy na łyżwach - ogłosił Tom. - Lód jest już dość gruby. Sprawdziłem to dziś rano. Czy jeździłaś już na łyżwach, Laurel?

- Jeszcze nie.

- Możemy cię z Robinem nauczyć. On jest w tym doskonały.

W ozdobionej gobelinami jadalni z wielkim kominkiem urządzili okazały piknik. Po posiłku zwiedzili dom, dokonując wielu odkryć, a za namową Laurel znieśli na dół połamane meble i stare graty ze strychu, gromadząc je na podwórzu. W ogrodzie ułożyli stos z patyków i gałęzi, rozpalając wielkie ognisko. Na łopacie upiekli

kasztany, parząc sobie palce przy ich obieraniu, skakali wokół ognia jak dzieci, śmiejąc się na widok własnych usmolonych twarzy.

W tym właśnie momencie nadeszła Margaret, trzymając w dłoniach mały, niewyraźny portret młodej kobiety wykonany ołówkiem, nie do rozpoznania pod warstwą kurzu i brudu.

215

- Patrz - zawołała. - Właśnie to znalazłam. Twoja babka - Alyne Leigh, kochanka Justina Ayishama. Czy przypomina twoją matkę? Tu ją pochowano, wiesz, ale nie na cmentarzu. Gdzieś na polu, bo się utopiła. Stara, rodzinna historia, prawda? Zatrzymaj go i pokaż ukochanemu wujkowi Jethro.

Laurel wbiła wzrok w tajemniczą twarz oświetloną migocącym blaskiem ognia. Czy to ta dziewczyna urodziła córkę ojcu Jethro i tym samym rozdzieliła ich raz na zawsze? Wyraźne cechy zdawały się znajome i nieznajome. Szybkim ruchem wrzuciła portret w samo serce płomieni. Ogień strawił drewnianą ramkę i pochłonął przepiękną twarz. Margaret stała nieruchomo.

- Nie powinnaś była tego robić.

- Zabiłam ją - odparła Laurel - zabiłam przeszłość.

- Co tam palisz? - spytał zaciekawiony Robin.

- Nic ważnego. Jakiś stary rysunek.

- Rosemary i Jessica przypiekają bułeczki. Chodź

- objął ją w tali, nie zwracając uwagi na Margaret.

Przypalone bułeczki smakowały jak okopcone drzewo, ale polali je miodem i zjedli z apetytem, popijając gorącą herbatą. Tom zagrał na fujarce jakąś skoczną melodię, a reszta towarzystwa zatańczyła wokół ogniska. Gorejące słońce kryło się wolno na zachodzie, a na tle krwawego nieba wyrastały bezlistne, ciemne drzewa.

- Gdybyśmy były wiedźmami - wydusiła Jessica

- zatańczyłybyśmy na opak.

- Co to znaczy „na opak”? - spytał Tom.

- Przeciwnie do wskazówek zegara, głuptasie, a potem wypowiedziałybyśmy życzenia.

- No to do roboty. - Tom chwycił dłoń Laurel.

- Wszyscy razem.

- Nie - sprzeciwiła się gwałtownie. - Nie. Takie

216

życzenia przynoszą nieszczęścia. Spełniają się w straszliwy sposób, wbrew twoim oczekiwaniom.

- To tylko zabawa - zaprotestował Tom. - Tak na niby.

- Moje życzenie byłoby prawdziwe - stwierdził Robin, spoglądając na Laurel.

- Wiem - przytaknęła wesoło Jessica. - Złożmy wszyscy obietnicę, że spotkamy się tu za rok i opowiemy sobie, czy któreś z naszych życzeń spełniło się.

Zgoda, Laurel?

Słońce zniknęło za horyzontem, a niebo przybrało barwę ołowiu. W zachwaszczonym ogrodzie hulał

wiatr. Laurel zadrżała.

- Myślę tylko o tym, co mnie czeka jutro - odpowiedziała. - Robi się zimno i nieprzyjemnie. Wejdźmy do środka.

- Moggy powiedziała, że w tym wietrze czuje śnieg

- rzucił Robin. - Dziewczęta, czas wracać. Ściemnia się. Ojciec zaprasza cię i Miss Ashe na Wigilię.

Przyjedziecie, prawda, Laurel?

- Być może. Jeśli nie zasypie nas śnieg - zażartowała Laurel.

Wiedziała, że targają nią niezdrowe myśli, ale pamiętając słowa Margaret, wybrała się następnego ranka do kościoła. Był to mały, mroczny budynek, bo i wiernych nie było zbyt wielu. Przeszła się po polu, rozchylając zamrożone trawy, ale nie znalazła ani grobu ani nagrobka. Powróciła do rezydencji, besztając się za własne szaleństwo.

\* \* \*

Ostry mróz trzymał nieprzerwanie, więc dopiero w poranek przed Nowym Rokiem Laurel i Jane wyruszyły do Ravensley, zabierając ze sobą walizę

217

z sukniami. Jethro pojawił się tuż przed kolacją, a wraz z nim pierwszy śnieg i Charles Townsend. Jessica wybuchnęła śmiechem na widok białej pokrywy na kapeluszach i płaszczach, strząsanej przez obu młodzieńców na ganku.

- Śnieg nie jest jeszcze gruby. Konie z łatwością przedarły się z Ely - oznajmił Jethro - ale wciąż go przybywa. Mam nadzieję, że przyjmiesz jeszcze jednego gościa, Ciarisso. Przez całe Boże Narodzenie pracowaliśmy niestrudzenie. Mroźna pogoda i lód doprowadziły do wielu upadków; połamane ręce, nogi, nadgarstki, kostki i co tam jeszcze. Chyba połowa Londynu kuśtyka o kulach.

Na kolacji zebrała się wyłącznie rodzina. Po posiłku lady Ayisham, przyglądając się zebranym przy kominku, przypomniała sobie pewien wiosenny wieczór, kiedy po raz pierwszy Laurel zawitała do jej domu. To dziwne, zastanowiła się, jak z dziecka wyrosła prawdziwa kobieta, niezależna, mająca wszystkich u swych stóp, a jednak nie zepsuta moralnie. Wbrew samej sobie, Ciarissa polubiła jej naturalność i wdzięk, choć jej obawy nie zniknęły. Laurel siedziała cichutko, trzymając u boku egzotycznego charta. Głaskała go, mimochodem słuchając Robina, choć przez cały czas nie odrywała oczu od Jethro. Ciarissa dostrzegła błysk radości, natychmiast opanowany, kiedy spotkali się przed kolacją. Widziała zachwyt w oczach Robina, martwiło ją nienaturalne napięcie Margaret. Bawiło ją jedynie niepokonane poczucie humoru Toma i wyraźne zainteresowanie na twarzy Rosemary, pogrążonej w pogawędce z Charlesem Townsendem. Wyglądała na szczęśliwszą po tym idiotycznym incydencie z Sethem Sterlingiem.

Jethro i Oliver rozprawiali o ostatnich wydarzeniach wojennych.

- Wiesz zapewne, że lord Pam złożył swą rezygnację z funkcji Ministra Spraw Wewnętrznych - ciągnął lord Ayisham - pod pozorem dezaprobaty dla nowego projektu reform wyborczych, który i tak jest znacznie spóźniony, ale wszyscy wiedzą, że nie zgadza się z postawą rządu wobec Rosji. Opinia publiczna popycha premiera do wojny.

- Niech Bóg ma w swej opiece nasze oddziały, jeśli

je tam wysłem - zauważył Jethro. - Spotkałem MacGregora z korpusu medycznego armii. Mówił mi, że całe uzbrojenie jest w opłakanym stanie, nic nie zmieniło się od Waterloo. Ich technika i ekwipunek przypominają mroczne wieki średniowiecza. O zmianach trzeba było pomyśleć wiele lat temu. Wyprzedzili nas Francuzi, nie mówiąc już o Rosjanach.

- Jeżeli Brytania decyduje się na jakieś działania, to znaczy, że jest przyparta do muru - odezwał się sucho jego brat.

- To żadna pociecha dla tych biedaków, którzy zginą z powodu braku zwykłej opieki medycznej.

Pod koniec wieczoru Jane uległa namowom i zasiadła przy pianinie. Rosemary odśpiewała ulubioną balladę, a Tom, dumny ze swych zdolności aktorskich, zaprezentował im jedną z bardziej przyzwoitych piosenek kabaretowych. Kiedy tak wszyscy razem nucili beztrąsko, z korytarza dobiegł jakiś hałas. Barker wszedł do salonu i poprosił na chwilę lorda Ayishama. Za minutę czy dwie Olivier powrócił bardzo strapiony. Przerwali śpiew i rzucili mu pytające spojrzenie.

- To Nampy - wyjaśnił. - Moggy miał wypadek. Nampy jest pewien, że złamał sobie nogę i bardzo cierpi.

- Czy jest w swej chacie? - spytała Ciarissa.

- Nie, dość daleko stąd, tak twierdzi Nampy. Zostawił go przykrytego kocami, ale nie miał siły, by go

219

nieść. Nie mam pojęcia, jak się ten biedak przedarł przez śnieg, ale potrzebuje pomocy.

- Jadę z nim - zdecydował Jethro.

- Ja też - przyłączył się Charles. - Będziesz potrzebował pomocy przy transporcie i składaniu nogi.

- Dobrze. Jak tam śnieg, Oliverze? - Niezbyt silny, ale wciąż pada. Czy potrzebujecie i mnie?

- Nie. Z pomocą Nampy'ego damy sobie radę.

- Zabierzcie konie, potem, być może, będziecie musieli pójść pieszo.

- W porządku. Nampy nas poprowadzi. Do roboty, Charles, trzeba przygotować niezbędne narzędzia.

Pośpieszyli w stronę korytarza. Laurel nie była pewna, co nią kierowało. Pamiętała tylko, że w najczarniejszej godzinie niedoli stary człowiek z Moczarów dodał jej siły i odwagi. Bez niego straciłaby życie, a teraz pragnęła jedynie spłacić swój dług. Kiedy obaj doktorzy zbierali swój sprzęt, prześlizgnęła się na górę. Zrzuciła jedwabną suknię, naciągnęła podróżny strój i buty do konnej jazdy. Na głowie zawiązała szal, zapięła kurtkę i zbiegła na dół.

Obaj młodzieńcy ubrani w wysokie buty i palta stali już z Nampym przy drzwiach.

- Jadę z wami.

- Nie - wykrzyknął Jethro. - Nie, Laurel. Nie bądź głupia. Na nic się nie przydasz.

- Nieprawda. Będziesz zajęty z Charlesem. Mogę zagotować wodę, przygotować coś do picia...

- Laurel, proszę cię. Oliverze, musisz ją powstrzymać. Lord Ayisham położył jej dłoń na ramieniu, ale strząsnęła ją.

- Przykro mi, ale nie może mnie pan zatrzymać. Sama osiodłałam konia i ruszę za nimi. Pomagałam ci już tyle razy, Jethro.

- To co innego.

- Nie - zaparła się.

- Nie możemy marnować czasu na sprzeczki.

Chodź, jeśli musisz - zirytował się.

Przyprowadzono konie, najsilniejsze i najwytrwalsze ze stajni w Ravensley. Wyruszyli w drogę. Śnieg padał coraz obficie, uniemożliwiając widoczność. Na czele jechał Nampy, a światło lampy zawieszanej w łuku kołysało się i migotało niczym błędne ogniki, nawiedzające bagna i wodzące wędrowców na zgubę. Nie jechali zbyt szybko, gdyż co chwila konie ślizgały się niebezpiecznie na ukrytym pod miękkim śniegiem lodzie.

Ludzie z Moczarów zwinnością dorównywali górskim kozicom, ale najwyraźniej

Moggy udał się do jednego ze swych sideł w poszukiwaniu królika lub zająca i poślizgnął się na lodzie, łamiąc nogę. Krucho kość staruszka pękła jak zapalka.

Znaleźli go pod prymitywnym szałasem z gałęzi, a koce, którymi opatulili go Nampy, pokryła gruba warstwa śniegu. Był wciąż przytomny i na widok Jethro, pochylającego się nad nim w słabym świetle lampy, zdobył się na lekki uśmiech.

- Co was tu sprowadza, panie, w taką paskudną noc? - wyszeptał. - Nie powiem jednak, co bym się z tego nie cieszył.

- Czego szukałeś, czarcie, kłusując na ziemi lorda

Ayishama? - zażartował Jethro i wsunął dłoń pod koc, by ocenić złamanie. - Nie martw się. Wkrótce doprowadzimy cię do zdrowia. Hej, wy tam. Zabierzmy go stąd jak najprędzej.

Z koców powiązali prowizoryczne nosze i przez

pół mili Jethro i Charles nieśli go do chaty. Laurel i Nampy zajęli się końmi.

Odległość nie była zbyt duża, ale wędrowali prawie godzinę, przystając często, it....

by przynieść mu ulgę w cierpieniu. Wnieśli go do środka, podczas gdy Laurel pomogła Nampy'emu wprowadzić konie do krytego strzechą baraku pośród stosu torfu i opału na zimę. Strzepali śnieg z ich sierści i przykryli je starymi workami. W chacie zaskoczył ich duszny skwar dobywający się z rozpalonej sterty torfu, a przytłaczający fetor dymu, resztek jedzenia i zwierząt przywrócił wspomnienie dnia, w którym Moggy przywiózł Laurel ze Spinney Mili.

Jethro i Charles zajęci byli ściąganiem skórzanych bryczesów staruszka i badaniem okaleczonej nogi. Oliwna lampka nie rozpraszała mroku i Jethro podniósł wzrok.

- Potrzeba więcej światła.

Nampy rozejrzał się w milczeniu dokoła i znalazł pudełko pełne nadpalonych świeczek. Laurel pomogła mu ustawić je na desce i przypalić od ognia. Migocące płomyki rzucały wielkie cienie na sufit i ściany. Kund-Iowaty pies przyłgął do podłogi przy samym łóżku. Laurel umieściła czajnik w samym sercu paleniska i próbowała doprowadzić je do porządku. Natknęła się na żelazny garnek wypełniony gęstą zupą. Miała przyjemny zapach kurczaka i królika, zamieszała więc lepką cieczą i postawiła garnek na ogniu. Nampy uklęknął u boku składanego łóżka z rozpaczliwym spojrzeniem na pomarszczonej twarzy. Swym wyglądem przypominał chochlika: okrągły, wełniany kapelusz opadał mu głęboko na uszy, a kilka warstw cudacznej odzieży chroniło go przed zimnem.

- To nieskomplikowane złamanie - oznajmił cicho Jethro - ale muszę naciągnąć nogę, aby właściwie nastawić kości, a to będzie bolało. W torbie mam chloroform. Charles, zamocz tampon.

Ale Moggy usłyszał jego słowa. Próbował się podnieść, trzęsąc zdecydowanie głową.  
222

- Nie, nie chcę tego świństwa. Nie jestem psem, co go trzeba uspić. Nigdy nie bałem się bólu i nie boję się teraz. A to... to nie jest zgodne z naturą.

- Ale będzie nam łatwiej, tobie, Moggy, i mnie.

- Nie, jeszcze nie umarłem i nie jestem dzieckiem, żeby płakać. Nampy, podaj mi kawałek drewna.

Moggy ścisnął w zębach kawałek czarnego, bagiennego dębu, który wystrugał niegdyś nożem, a Jethro unieruchomił nogę, naprostował złamaną kość i ustawił ją we właściwej pozycji. Po skończonej operacji wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z twarzy staruszka.

- Przykro mi, że tak bolało, ale jesteś dzielny człowiekiem, Moggy.

- Kiedy... - chwycił ciężko powietrze - kiedy stanę na nogi?

- Trudno mi powiedzieć. Z początku będziesz trochę kulał. Ale obiecuję, że na wiosnę znów wypłyniesz swoją łodzią. A teraz ułożymy cię nieco wygodniej.

Rozwinęli dodatkowe koce przywiezione z Ravensley i opatulili nimi starca.

- Przygotowałam herbatę i podgrzałam barszcz

- zakomunikowała Laurel. - Czy mam mu podać?

- Zuch dziewczyna - pochwalił Jethro. - Kilka łyżek nie zaszkodzi. Ja tymczasem znajdę coś na złagodzenie bólu i spokojny sen.

Laurel nalala zupy do miseczki i klęknęła przy łóżku, tak że Moggy dostrzegł ją po raz pierwszy.

- Nie spodziewałem się was tutaj, Missy - mruknął zaskoczony. - Minęło tyle czasu.

- Tak, ale wtedy uratowałeś mi życie, Moggy, i teraz



ja przyszedłam ci z pomocą.

Wraz z Nampym podciągnęła go trochę i zaczęła karmić łyżeczką.

223

- Nie - zaprotestował resztką sił. - To nie dla was, pani, takie zajęcie. Nie jestem dzieckiem.

- Pij i nie kłóć się - poleciła stanowczo, a on, mimo piekącego bólu, zdobył się na lekki chichot.

- Jeszcze nigdy nie karmiła mnie tak piękna dama. Może Nampy też powinien złamać sobie nogę. Posłusznie przełknął ostatnią kroplę zupy. Dochodziła północ, kiedy Jethro wymieszał lauda-num, wydał Nampy'emu kilka krótkich poleceń, a następnie wszyscy zgromadzili się wokół kominka, popijając gorzką herbatę o smaku dymu i zastanawiając się, co dalej. Nampy wyszedł na dwór, by zerknąć na konie. Po powrocie oświadczył, że śnieżyca ustała, ale silny wiatr potworzył głębokie zaspę. Mały człowieczek popatrzył na nich uważnie.

- Stąd bliżej do Westley niż do Ravensley - odezwał się. - Łatwiej mi będzie was tam poprowadzić. Tu nie ma miejsca do odpoczynku dla tej damy.

- Nic nie szkodzi - zareagowała szybko Laurel.

- Nie, on ma rację, ale nie jestem pewien... - zmarszczył brwi.

- Mam pomysł - przerwał Charles. - Zostanę tu z Moggym, a ty zabierzesz Laurel do Westley. Wrócisz jutro rano, Jethro. Zobaczmy jak się czuje nasz pacjent i czy trzeba przewieźć go do Ravensley, gdzie będzie miał lepszą opiekę.

Przez moment nie mogli dojść do porozumienia, ale w końcu nie wpadli na lepszy pomysł. Narkotyk zaczął działać i Moggy zapadał w głęboki sen. Narzucili płaszcze i wyszli w czarną, mroźną noc.

Nampy z niezawodnym instynktem poprowadził ich tylko sobie znanymi ścieżkami, przez bagna i zamrożone strumienie, aż ich oczom ukazała się opuszczona oberża „Pod Czarnym Psem”. Jej sztyl łopotał posępnie na ostrym wietrze. Nampy wskazał ręką na par-

224

kową bramę, skłonił się niezdarnie i ruszył w powrotną drogę.

Służba pogrążona była już we śnie. Zaspana dozorczyń odryglowała drzwi i ze zdziwieniem w oczach wpatrywała się w swoją panią z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną u boku. Zaciekawiona Cindy przechylała się przez balustradę na schodach.

- W porządku, Mrs Birch, możecie iść spać - poleciła Laurel. - Dam sobie radę. Jeden z ludzi na Moczarach miał wypadek, a ja pomagałam doktorowi Ayishamowi.

- Zajmę się ogniem w kominkach. Miss. Napaliliśmy w jadalni i kuchni.

- Idź, Laurel - nakazał Jethro. - I zdejmij to przemoczone ubranie. Ja zajrzę do koni.

Spódnica do konnej jazdy mokra była do kolan, Laurel trzęsła się z zimna podążając za dozorczynią, a Jethro zaprowadził konie do stajni. Rozsiodłał je, wytarł ze śniegu i znalazł im trochę owsa. Kiedy wrócił do domu, w jadalni buzował wesoło ogień, a Laurel siedziała opatulona ciepłym, aksamitnym

szlafrokiem.

Zrzucił ciężką pelerynę i wysokie buty. Następnie przykucnął przy kominku, wyciągając do ognia przemarznięte dłonie.

- Wysłałam ich do łóżek - odezwała się. - Pomyślałam, że sami damy sobie radę. Jesteś głodny?

Ja bardzo.

Blask ognia oświetlał rudą poświatę rozpuszczonych na ramionach włosów. Wyglądała ślicznie i bardzo młodo, pomyślał i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Umieram z głodu, co masz do jedzenia?

- Poszukajmy w spiżarni.

Ruszyli ramię przy ramieniu, niczym dwójka niesfornych dzieciaków grasująca po zakazanym terenie. Kuchenny piec wciąż był gorący, Laurel poszperała  
225-

- Ale mnie możesz zaufać.

Przyjrzał jej się uważnie i powiedział cicho:

- To wydarzyło się około pięciu lat temu. Dopiero rozpoczynałem pracę w szpitalu, w jednym z gabinetów konsultacyjnych na Harley Street. Pewnego dnia pojawiła się tam, ale ją odesłano. Zupełnie przypadkowo znalazłem ją na schodach. Była beznadziejnie chora, mdlała uczepona poręczy. Potem dowiedziałem się, że porzucił ją kochanek, gdy tylko dowiedział się, że oczekuje jego dziecka. W przypiływie rozpaczycy poszła do pokątnego felczera. To, co jej zrobił było nie do wybaczenia. Zabrałem ją do szpitala, ryzykując oskarżenie o przeprowadzenie tego spartaczonogo zabiegu. Wiele trudu kosztowało mnie przekonanie dyrektora o mojej niewinności. Dzięki Bogu uwierzyli, inaczej moja kariera byłaby już dawno skończona.

Laurel nie odrywała od niego oczu.

- Co się wydarzyło?

- Uratowaliśmy ją i dziecko, choć jego życie wisiało na \*włosku przez kilka tygodni. Z tego też powodu doszło do paru zniekształceń. Dlatego od czasu do czasu badam jego stan zdrowia. Mam nadzieję, że będzie wiódł zdrowe i normalne życie.

- Czy to ty umieściłeś ją w tym sklepie?

- Pożyczyłem jej pieniądze, które skrupulatnie spłaca, ale sukces tego sklepiku to wynik jej odwagi i zdolności.

- Musi ci być bardzo wdzięczna.

- Ach, wdzięczność! - prychnął z pogardą. - Każdy lekarz w podobnych okolicznościach postąpiłby tak samo.

Nie każdy lekarz chciałby poświęcić swą karierą dla zdradzonej kobiety, pomyślała, zawstydzona swą naiwną wiarą w złośliwości Margaret. Może to nierozsądne, ale świadomość, że Lydia Chester nie była jego kochanką, sprawiła jej ogromną radość.  
228

Jethro ziewnął i przeciągnął się.

- Niezwykły sposób witania Nowego Roku, co? Ale może to lepsze niż pijaństwo - uśmiechnął się.

Bez peleryny, w samej koszuli i bryczesach, z potarganymi włosami, wyglądał młodo i chłopięco.

- Jest bardzo późno, powinnaś być już w łóżku. Odpocznę tu przez kilka godzin, a potem jakoś znajdę powrotną drogę przez bagna. W świetle dziennym nie będzie to trudne. Nie mogę zostawić tam Charlesa samego. Muszę też mieć pewność, że spadła gorączka. Moggy nie jest już pierwszej młodości. Zimno i szok mogą spowodować zapalenie płuc.

- Nie chce mi się stąd ruszać - odparła sennie. - Na górze będzie zimno, a tu jest tak ciepło i przytulnie. Chciałabym zwinąć się jak kot i zasnąć przy kominku. Jethro wybuchnął śmiechem.

- Chodź, mój rudy kocie, czas na sen. Wyciągnął ręce, by podnieść ją z miejsca i nagle kruche poczucie zadowolenia i braterstwa legło w gruzach. To okoliczności zrobiły z nich parę zwyczajnych przyjaciół, ale nie na długo. Wzajemne pożądanie poraziło ich niczym prąd elektryczny, poddali się mu bez słowa, zastygając w namiętym uścisku. Pocałował ją, najpierw bardzo delikatnie, potem zapomniał się całkowicie. Bez tchu odepchnął ją od siebie, ale było już za późno. Kołysząc się, wpadła mu w ramiona, wielkie oczy błyszczały na jej bladej twarzy. Nie miała żadnych oporów, żadnych obaw. Uleciały gdzieś ponure wspomnienia, sadystyczny ojciec, kobieta, która zniszczyła mu dzieciństwo. W tym momencie liczył się tylko on, mężczyzna, którego kochała. W dniu, kiedy wrzuciła portret do ognia zabiła przeszłość. Wyciągnęła dłonie, dotknęła jego twarzy, ich usta spotkały się, a on stracił głowę. Trzymał ją w ramionach. Czuł jak mięknie pod jego dotykiem, nic już nie istniało, tylko oni -

stworzeni

229

dla siebie. Płomień miłości tlił się od pierwszego spotkania w Rzymie. Teraz rozgorzał z całą mocą, pochłaniając ich na dobre.

id \* \*

Kiedy się obudziła, pokój pogrążony był w mroku, tylko kominek jaśniał jasnoróżowym blaskiem. Leżała przez chwilę z zamkniętymi oczami, przypominając sobie każdy szczegół, jego delikatność i siłę, ból przemieszany z uczuciem słodczy i radości, płomienną ekstazę wspólnego przeżycia, senne wyczerpanie. Westchnęła ze szczęścia i wyciągnęła rękę, szukając go obok siebie. Podniosła się, rozglądając niespokojnie dokoła. Dostrzegła go w szarym świetle wczesnego poranka. Odsunął zasłony i stał przy oknie ubrany w wysokie buty i pelerynę. Odwrócił się na dźwięk swego imienia i podszedł do sofy.

- Jethro, opuszczasz mnie?

- Muszę.

- Dlaczego?

Odczytała z jego twarzy, że przeszłość nie odeszła raz na zawsze, że nadal dzieliła ich przepaść.

- Dlaczego, dlaczego, Jethro? Przecież się kochamy. Czy to nie wystarczy? Jakie to ma znaczenie, że przypadek losu sprawił, iż moja matka mogła być twoją siostrą? Nie wiemy tego na pewno. Spotkaliśmy się jak dwoje obcych ludzi. Spotkaliśmy się i pokochaliśmy. Dlaczego mamy się tak dręczyć?

- Nie możemy przed tym uciec. O Boże, tak bardzo bym tego pragnął! - wybuchnął rozpaczliwie. - Ale to nigdy nie da nam spokoju, zniszczy wszystko, zatruje naszą miłość.

- Nie wierzę. Nigdy w to nie uwierzę.
- Musisz. Zaufaj mi, ja to wiem.

230

Przyklękła i ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Nie mogę wybaczyć sobie ostatniej nocy.
- Ja też tego chciałam.
- Powinienem być silny, ale się poddałem. Powinienem był przewidzieć niebezpieczeństwo i uniknąć go.
- Nie - odezwała się z pasją - nie, nie. To było wspaniałe. Wiem, że mnie kochasz. Nic już tego nie zabierze - pochyliła się, dotykając jego twarzy. - Och, Jethro, nie odchodź, proszę, zostań. Zostań na dłużej.

Przez moment ogarnęła go pokusa. Poczul ucisk w żołądku, jego ciało garnęło się do jej ciała, ale to było coś więcej niż fizyczne pożądanie. Od powrotu z Wiednia nieświadomie czuł, że staje mu się coraz bliższa. Na próżno toczył wewnętrzną walkę, znał na pamięć każde jej spojrzenie, kochał jej najmniejszy gest. Zaciskając oczy, z największym trudem podniósł się z ziemi. Ujął jej dłonie, ucałował, zacisnął jej palce i szybkim

krokiem wyszedł z pokoju.

Wygramoliła się z sofy, narzuciła szlafrok i podbiegła do okna. Na zewnątrz rozciągały się połacie czystego, dziewiczego śniegu. Opatulał poszarpany żywopłot, kępki zwiślały z gołych, czarnych gałęzi drzew. Zobaczyła jak Jethro wyprowadza konia, za nim podążał Seth. Porozmawiali przez moment, potem wskoczył na siodło i pognął w stronę bramy. Nie obejrzał się za siebie, a Laurel nie wiedziała, jak sobie z tym poradzi. Przekroczyli zakazaną granicę, a to nie wróżyło nic dobrego. Całe jej wnętrze szalało z wściekłości, ale takim właśnie mężczyzną był Jethro. Wszystko traktował bardzo poważnie i za to go kochała.

Stała tyłem do pokoju, kiedy niespodziewanie pojawiła się Mrs Birch, zdziwiona i lekko poruszona.

- Niepokoiłam się o panią, Madam. Cindy weszła do pani pokoju i zastała zasłane łóżko.

231

- Było tak zimno, że spałam tutaj przy kominku. Dozorczyni omiotła wzrokiem po jadalni.
- Czy ten dżentelmen już wyszedł?
- Tak, doktor Ayisham musiał jak najszybciej wrócić do swojego pacjenta.
- Czy mam podać śniadanie, Madam?
- Przynieś kawę i grzankę do mojego pokoju, nie chcę nic więcej. Potem poproś Seta. Chyba powinien ruszyć do Ravensley i przywieźć Miss Ashe.
- Dobrze, Madam.

Laurel weszła ciężko po schodach. Na półpiętrze czekała na nią Cindy, ale Laurel była zbyt pogrążona we własnych myślach, by dostrzec przebiegły wzrok na twarzy dziewczyny. Nie zastanawiała się na skutkami swego postępowania i plotkami wśród służby.

13

Śnieżycą rozpoczęła się w południe. Śnieg padał przez dwa następne dni, a zdradliwy wiatr od morza szalał w dzikich porywach nad bagnami. W niektórych miejscach zasy wyrosły na dwanaście, piętnaście stóp. Seth nie był w stanie dotrzeć do Ravensley i sfrustrowana Laurel stała się więźniem Westley Manor. Oblężenie ustało po dwóch tygodniach, przebito się przez zasy i pewnego ranka Robin, Tom i zdeterminowana Jane Ashe pojawili się roześmiani, z rumieńcami na twarzach po ryzykownej przeprawie na łyżwach i rakach. Przynieśli wiadomość, że Moggy szybko wraca do zdrowia, domaga się kuł, a Jethro i Charles wyjechali do Londynu.

232

W lutym, jak na angielską pogodę przystało, przyszła niespodziewanie odwilż. Laurel i Jane powróciły na Ariington Street, by ujrzeć Londyn i cały kraj w wirze gorączki wojennej. Od rewolucyjnego konfliktu, który zakończył się pod Waterloo minęło czterdzieści lat. Od tego czasu zawodowy żołnierz stał się najbardziej pogardzanym i zaniechwanym członkiem społeczeństwa, szumowiną, zbędnym obciążeniem dla gospodarki państwa. A teraz, nagle, pogardzani dotąd wojacy okazali się bohaterami, walecznymi obrońcami honoru ojczyzny. Skandujące dziko tłumy zegnały oddziały maszerujące z koszar do portów w Leith, Liverpoolu czy Woolwich - huzarów w błękitach, ze złotymi epoletami na mundurach, dragonów w czerwieni, z czarnymi pióropuszcami zwisającymi z mosiężnych hełmów, gwardzistów w ogromnych czapach z niedźwiedziego futra; wszyscy byli ochotnikami, przeszkolonymi do perfekcji. Pod koniec lutego Laurel i Jane przechadzając się po St. James' Park ujrzały Gwardię Szkocką maszerującą przez Mali z powiewającym na wietrze sztandarem. Królowa wraz z rodziną obserwowała paradę z balkonu Pałacu Buckingham, a orkiestra grała pełną smutku pieśń

Ach, dokąd to, dokąd odszedł mój szkocki chłopczyzna?

Tłum rzucał kwiaty, a żony i narzeczone bieging obok kolumny licząc na ostatnie spojrzenie swych ukochanych.

Car odwołał swych ambasadorów w Londynie i Paryżu, a Ludwik Napoleon, nowy Cesarz Francji stanął do wojny po stronie Turcji. Książę Malinski złożył pożegnalną wizytę. - Smuci mnie myśl, że będę walczył przeciw moim przyjaciółom - stwierdził z żalem Rosjanin.

•

233

- Może to wszystko się uspokoi - Laurel nie traciła optymizmu. - Przecież Anglia nie przystąpiła

jeszcze do wojny.

- To sprawa czasu, a ja muszę wracać do pułku.

- Gdzie pana wyślą?

- Prawdopodobnie/ do Sewastopola - uśmiechnął się. - Nigdy pani by o nim nie usłyszała, ale to potężna baza morska na Morzu Czarnym. Serce mi pęka, kiedy pomyślę, że nigdy pani nie zobaczą.

- Ależ to niemożliwe. Wszystko zakończy się w kilka tygodni, a pan znowu do nas wróci.

- Nie, ja to czuję - położył dłoń na sercu. - Chciałbym, aby tak było. Pomyśli pani o mnie czasem, głaszcząc Marika?

- Oczywiście.

Wyciągnęła rękę, a on uściskał ją gorąco, pocałował i wyszedł z salonu.

Tej wiosny odniosła wrażenie, że każde przyjęcie było pożegnaniem kogoś odchodzącego na wojnę.

- Przyszła kolej na nas - oznajmił George, towarzysząc jej pewnego ranka podczas przejażdżki po parku. - Cardigan, który nigdy w życiu nie walczył na wojnie, już teraz widzi w sobie drugiego Wellingtona. Oficerowie i zwykli żołnierze żenią się na potęgę - rzucił jej nikły uśmiech. - Co o tym myślisz, Laurel? Wyjdź za mnie i staw czoło przygodzie.

Coś dzikiego i nieposkromionego w jej naturze odpowiedziało na to wyzwanie.

Wiedziała już od swoich znajomych, że wiele nowo poślubionych małżonek zdecydowało się towarzyszyć swym mężom, ale sama nie była jeszcze gotowa na taki drastyczny krok. Od rozstania w styczniowy poranek prawie wcale nie widywała Jethro, choć nadal łączyła ich silna więź, a on nieustannie pojawiał się w jej myślach.

234

- Konstantynopol to ze wszech miar wspaniałe miasto, a ambasador żyje w niemal królewskim przepychu - ciągnął lekko George. - Nie zabraknie śmietanki towarzyskiej.

- Czy próbujesz mnie kusić? Księżę Malinski powiedział, że wysyłają go do Sewastopola. |; - To prawie pewne - zachmurzył się George. - To | gdzieś na Krymie, tam najprawdopodobniej rozstrzygnie się wojna.

Pod koniec marca premier, ponaglany przez swój gabinet i opinię publiczną, uległ niechętnie i wojna z Rosją stała się faktem. Kilka dni później zniknął chart Mank. Strata jednego psa w obliczu przygotowań wojennych, ruchów wojsk i szokującej propozycji Gladstone'a dotyczącej podwyżki podatków dochodowych mogła się wydawać drobnostką, ale Laurel pogrzyżyła się w rozpacz. A wszystko wydarzyło się pewnego wieczoru, kiedy Cindy zabrała go na spacer i powróciła tonąc we łzach, snując długą opowieść o nieszczęściu, które ją spotkało. W parku zatrzymał ją jakiś cudzoziemiec, pytając o drogę. Zajęta wyjaśnianiem, nie zwracała uwagi na psa, a kiedy ów dżentelmen odszedł, Marik zniknął. Wołała go wszędzie, szukała gdzie się dało, aż w końcu zrozpaczona powróciła na Adington Street.

Zaalarmowani policjanci wruszali tylko filozoficznie ramionami. Kradzieże psów i żądania okupu były na porządku dziennym, poinformował posterunkowy, zwłaszcza jeśli właściciele dysponowali znaczną gotówką.

- W większości przypadków zwierzęta wracają zdrowe i bezpieczne - ciągnął - po przekazaniu pieniędzy, zazwyczaj przez pośrednika, choć jeśli ten pies jest wiele wart... - Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Mówi pani chart rosyjski? To jakaś zagraniczna rasa. Złodziej może dostać niemałą sumkę za takiego psa.

235

- Zapłacę wszystko... wszystko, żeby go tylko dostać z powrotem - Laurel nie mogła się opanować.

- Radzę nie rozpowiadać o tym tak beztrąsko, zwłaszcza wśród służby. Miss, z tego mogą być tylko kłopoty - ostrzegł policjant. - Proszę się nie martwić. Jeśli tylko dostanie pani jakąś informację, proszę nam dać znać, a zobaczymy, co się da zrobić. Żądanie pojawiło się już następnego wieczora. Kiedy wysiadała z powozu, jakiś obdarty ulicznik wcisnął jej do ręki kawałek papieru i zniknął za rogiem, zanim Seth zdążył go dopaść.

Zabrała liścik do domu i rozwinęła szarą kartkę. Ktoś wypisał na niej wielkimi, niezdatnymi literami:

Jeśli chcesz odzyskać psa, przyjdź dziś o 10 na róg Princess Street i przynieś ze sobą forszę, pięćdziesiąt funtów w złocie. Ani słowa glinom, bo inaczej jego śliczna szyja pójdzie w plasterki.

Wpatrywała się w te słowa, nie mogąc podjąć decyzji. Suma za odzyskanie psa była ogromna. Spodziewała się pięciu, dziesięciu funtów, tak jej powiedział policjant. Całe to wydarzenie wzbudziło jej podejrzenia. Podczas przesłuchania Cindy protestowała nazbyt dramatycznie, a liścik, choć wypisany byle jak na brudnym papierze, nie zawierał błędów ortograficznych. Jakby ktoś niedoświadczony próbował kopiować metody pospolitego złodzieja psów. Gdyby była tu Jane ze swoim praktycznym podejściem do życia, Laurel nigdy nie postąpiłaby tak nierozważnie, ale Miss Ashe zmusiła się do spędzenia wieczoru z jakimiś krewnymi, którzy nieoczekiwanie przybyli do Londynu. Laurel pomyślała o Rosjaninie i jego wspaniałym podarunku, stoczyła wewnętrzną walkę i podjęła brawurową decyzję.

236

Wiedziała, że Princess Street znajduje się niedaleko Leicester Square, miejsca, gdzie żadna młoda kobieta nie powinna spacerować sama po zmroku, ale wmawiała sobie, iż wysiądzie tylko z dorożki, przekaże pieniądze i odzyska Mańka. Rozejrzała się za jakimś skromnym odzieniem i narzuciła długi, czarny płaszcz z kapturem, którego nigdy wcześniej nie miała na sobie. Wrzuciła złoto do małej, haftowanej sakiewki i wymknęła się z domu, ruszając szybkim krokiem w stronę Piccadilly. Zatrzymała krążący keb i dostrzegła znaczący uśmiech na twarzy woźnicy, kiedy podała kierunek. Nie po raz pierwszy wiozł tam taką damulkę, przebraną dyskretnie nie do poznania. Leicester Square znany był z tzw. domów noclegowych, gdzie kochankowie mogli wynająć pokoje, bez wiedzy małżonków lub wścibskich krewnych. Kiedy dojechali na miejsce, zdziwił się, kiedy wcisnęła mu do ręki gwineę i poprosiła, by zaczekał.

- Ale nie za długo. Miss - odezwał się chytrze. - Noc jest za chłodna dla mojej kobyły.

Dokoła panowały ciemności, tylko jedna gazowa lampa na rogu rzucała nagle światło. Rozejrzała się drżąc lekko. Z cienia wyłaniaли się jacyś ludzie, a w bramach kryły się przed mroźnym, marcowym wiatrem kobiety czekające na klientów. Zrobiła jeden, czy dwa kroki naprzód. Wtedy wyrósł obok niej mężczyzna i chwycił ją pod ramię. Odepchnęła go zdecydowanie.

- Mam pieniądze. Gdzie jest mój pies?

- Nie tutaj. Chodź - ponownie złapał ją za rękę.

- Nie.

Przerażona, już chciała się wyrwać i uciec do dorożki, ale było za późno. Z drugiej strony pojawił się jeszcze jeden człowiek, wyższy i silniejszy. Próbowwała krzyczeć, ale jego dłoń zatkała jej usta. Poprowadzili ją wzdłuż długiego, mrocznego przejścia do znajdujących

237

się na końcu drzwi. Ktoś otworzył je przed nimi, a potem szybko zatrzasnął. W ciemnościach usłyszała głos pierwszego mężczyzny.

- Teraz dawaj pieniądze.

- Najpierw chcę się przekonać, że mój pies żyje.

- Niech cię diabli! - zaklął pod nosem.

Drugi nie odezwał się ani słowem, ale ścisnął jej rękę i popchnął przed siebie.

Potknęła się, a mężczyźni popędzili ją schodami w górę, do pokoju na poddaszu.

Nagle przejście z ciemności w światło oślepiło ją i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Potężny żyrandol rzucał miękkie światło na wielki pokój jaskrawo umeblowany odrapanymi, złożonymi krzesłami i sofami wyłożonymi czerwonym adamaszkiem. W zawieszonych na ścianach długich lustrach o ozdobnych ramach odbijały się twarze ponad tuzina dziewcząt. Wymalowane, z odkrytymi ramionami rozciągały się leniwie na fotelach lub siedziały wyzywająco przy stoliczkach zastawionych butelkami i wysokimi szklankami. Byli tam też mężczyźni, siedzieli rozwaleni z wyciągniętymi nogami i naciągniętymi na oczy cylindrami. W powietrzu unosiły się opary cygarowego dymu i słodkawy aromat piżma.

Na samym końcu, w wysokim, rzeźbionym fotelu niczym na tronie, siedziała najgrubsza kobieta, jaką Laurel kiedykolwiek widziała. Miała bladą, krostowatą twarz i przypominała gigantyczną ropuchę wciśniętą w brązową suknię z satyny. Na piersiach błyszczały broszki i naszyjniki, a w wysokim koku farbowanych, rudych włosów migotały grzebyki wysadzone diamentami. Para oczu, czarnych jak smoła, wpatrywała się w nią nieruchomo.

Po oszołomieniu przyszły mdłości. Laurel nie miała wątpliwości co do przeznaczenia tego miejsca, chciała uciekać, ale jakiś wewnętrzny upór zatrzymał ją w miej-

238

scu. Nie odejdzie bez psa. Szybko obejrzała się za siebie. Ludzie, którzy ją tu przyprowadzili stali nieruchomo przy drzwiach. Pewna była, że jeden z nich to młody urzędnik kręcący się przy Cindy. Niezwykłą siłą woli pokonała strach, wciągnęła głęboko powietrze i dumnie podniosła głowę.

- Nie wiem, po co mnie tu przyprowadzono, ale mam przy sobie pieniądze. A teraz, gdzie jest mój pies?

Na moment zapanowała cisza. Wszyscy obrócili w jej kierunku głowy, dziewczęta z prostacką ciekawością, mężczyźni z wyrachowaną bezczelnością. Nagle gruba kobieta wybuchnęła śmiechem. Ogromne cielsko trzęsło się i kołysało w rozbawieniu, przedstawiając żalony widok.



- Pies? Słyszałyście, dziewczynki? Ona chce swego psa - głos miała gruby, ochrypli jak mężczyzna. - Boże, miej nas w swojej opiece, to ci dopiero żart. Podejdź bliżej, kotku. Niech ci się przyjrzę.

Laurel ani drgnęła, a kobieta uniosła powoli dłoń. Dwie dziewczyny podniosły się z miejsc, chwyciły Laurel i popchnęły ją do przodu. Opierała się, ale duma i pogarda zwyciężyły nad próbą walki. Stała bez słowa, wyprostowana, kiedy zdzierały z niej płaszcz. Pod spodem miała elegancką suknię z popołudniowego przyjęcia. Rudy aksamit podkreślał blask jej gęstych włosów. Wzdrygnęła się, gdy ciekawskie palce przesunęły się po złotym wisiorze z medalionikiem i delikatnych, perłowych kolczykach. Jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku wstał i podszedł bliżej. Miał grube, choć interesujące rysy i szerokie ramiona. Szcherząc w uśmiechu zęby, obszedł ją dokoła i nie odrywając od niej oczu, rozebrał ją wzrokiem. Laurel starała się nie zwracać na niego uwagi, ale beczelne spojrzenie wywołało rumieńce na jej twarzy. Wyciągnął z ust cygaro.

239

- Gładka jak brzoskwinia - wycodził wolno. - Dojrzała do zerwania. Ile za nią chcesz, Kate? Gruba kobieta zarechotała grubym głosem.

- Trzymaj łapy z daleka, mój panie. Ona nie jest dla ciebie.

- Zarezerwowany towar, co?

- Być może.

- Cholerna szkoda. Hojnie bym zapłacił za taką pierwszorzędną sztukę.

Zatrzęsła się, słysząc kpinę w jego głosie. Wydawało jej się, że rozpoznaje w nim członka Izby Lordów, którego spotkała kiedyś na wyścigach i teraz modliła się, by jej sobie nie przypomniał. Gniew palił ją od środka na takie upokorzenie. Zrobiła krok naprzód.

- Czego ode mnie chcecie?

- Wszystko w swoim czasie, panienko - oświadczyła kobieta - wszystko w swoim czasie. Zabierz ją na górę.

- Nie. Nigdzie nie pójdę.

Rzuciła się do ucieczki, ale raz jeszcze kobieta uniosła dłoń i jeden z mężczyzn stojących przy drzwiach ruszył w jej stronę. Zręcznym ruchem wykręcił jej rękę, a sakiewka upadła na ziemię. Podniósł ją natychmiast i rzucił na kolana grubej kobiety. Laurel próbowała się wyrwać, ale olbrzym nie zwracał na nią uwagi, traktując ją jak małego brzdąca. Owinął ją w pelerynę i choć się gwałtownie opierała, wyniósł z pokoju. Przeszli w górę schodami i wzdłuż długiego korytarza. Po chwili otworzył drzwi, wrzucił ją do środka i zatrasnął je. Usłyszała przekręcany w zamku klucz. W pokoju panowały egipskie ciemności. Zrobiła jeden krok i potknęła się o jakieś krzesło. Powoli oczy przyzwyczajały się do mroku. Ruszyła w stronę małego, kwadratowego okna, ale było solidnie zamknięte i zabite gwoździami. Mocowała się z nim przez chwilę, ale nie drgnęło ani na centymetr. Rozejrzała się dokoła

240

bliska załamania. Uwięziono ją w małym pokoiku z łóżkiem, toaletką i umywalką wyposażoną w miskę i dzbanek wody. Nie miała wątpliwości, że to jeden z pokoi, do których dziewczynki przyprowadzały swoich klientów. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i tanich perfum. Laurel dostała z obrzydzenia mdłości, ale przerażenie nie

minęło. To było coś więcej niż spisek między Cindy i jej kochankiem, mający na celu wyłudzenie pieniędzy. Mogli przecież zabrać złoto i oddać Mańka. Czemu służyła ta szarada, po co przyprowadzono ją do burdelu? Coś się za tym kryło, ale nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Przeszła kilka razy po pokoju, wściekła na własną głupotę i nieostrożność. Wyobrażała sobie, jak naśmiewają się ze swej łatwej zdobyczy.

Straciła poczucie czasu, kiedy nagle usłyszała trzask przesuwanego zamka. Drzwi otworzyły się nieśmiało i ktoś wsunął do środka tacę. Skoczyła do przodu i chwyciła za klamkę. Drzwi uchyliły się jeszcze bardziej i przez sekundę wpatrywała się w twarz młodej kobiety w ohydny czepku nasuniętym na głowę i wykrochmalonym fartuchu na bawełnianej sukni. Po chwili niewidzialna ręka zatrasnęła drzwi, a wstrząśnięta Laurel pewna była, że widziała już wcześniej tę twarz.

Na tacy leżało jedzenie, ale nie tknęła niczego. Wypiła kilka łyków kawy, ale czując dziwnie gorzki smak odstawiła ją w obawie przed narkotykami. Czas włókł się nieubłaganie. Usłyszała jakiś ruch, czyjeś głosy, stłumiony śmiech, przerwany krzyk, otwierane i zamykane drzwi, całą falę seksu przetaczającą się obok niej. Ostatkiem sił powstrzymała się od gwałtownego załomotania w drzwi.

W pewnej chwili od strony półpiętra doleciały odgłosy bójk. Zamarła w bezruchu, kiedy ciężka pięść wylądowała na trzeszczących drzwiach, wyrwijąc je niemal z zawiasów.

241

- Do diabła, co się tam dzieje? - zaryczał grubym głosem jakiś pijak. - Jeśli jest to darmowa kolejka dla wszystkich, dlaczego mnie nie wpuszczacie?

Laurel wycofała się do okna przerażona, że za chwilę rzuci się na nią cała zgraja. Ale niski, charczący głos tęgiej kobiety wydał kilka poleceń, rozległ się głuchy łomot i szuranie, kogoś ciągnięto po korytarzu, potem zapadła cisza. Przysiadła na skraju łóżka rozdygotana. Nikt jej nawet nie tknął, a jednak czuła się pohańbiona, zbrukana, upokorzona.

Do świtu dom uspokoił się. Laurel leżała na łóżku, szczelnie owinięta peleryną, by nie dotknąć pościeli ani narzuty. Zapadła w lekką drzemkę, z której obudziła się gwałtownie. Wstawał dzień, a jej pokój musiał wychodzić na ulicę, gdyż usłyszała stukot końskich kopyt i podjeżdżającą dorożkę. Zerwała się z łóżka, ale przez okno zobaczyła niewiele, tylko wysiadającego mężczyznę, który wszedł szybko w boczny zaułek prowadzący do dyskretnie ukrytych drzwi.

Niedbałym ruchem Laurel nalała wody do miski i opłukała twarz. Obok wisiał ręcznik, ale brzydziła się dotykać czegokolwiek w tym pokoju, więc osuszyła twarz chusteczką. Z pewnością zauważono już jej zniknięcie i powiadomiono policję.

Próbowała nie wpadać w panikę. Taca zjedzeniem stała nietknięta. Laurel poczuła się słaba i wyczerpana. Kroki na schodach przyciągnęły jej uwagę. Obróciła się w stronę drzwi. Otworzyły się i do środka wszedł jakiś człowiek. Zatrasnął je za sobą i stanął przed nią. Nie wierzyła własnym oczom. Barton.

W pierwszej chwili pomyślała, że w jakiś niezwykły sposób odkrył jej zniknięcie i przybył na ratunek, ale na widok jego uśmiechu słowa wdzięczności zamarły jej w gardle.

- Dzień dobry, Laurel - odezwał się przymilnym tonem. - Mam nadzieję, że spałaś dobrze.

Nie miała już wątpliwości, że to Barton uknuł ten spisek, że to przez niego przyprawiono ją do tego obrzydliwego miejsca.

Wbiła w niego wzrok.

- A więc to twoja sprawka. To ty przekupiłeś Cindy, by ukradła Marika, to ty mnie tu uwięziłeś, ale

dlaczego, dlaczego?

Wodził po niej oczami, a ona świadoma była swych potarganych włosów i wymiętej sukni. Potem zaproponował łagodnie:

- Może usiądziemy?

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, przysiadła na rogu łóżka, a on chwycił jedyne w pokoju krzesło i przysunął się bliżej. Jego kołtuńskie, pewne siebie spojrzenie doprowadzało ją do wściekłości. Z trudem powstrzymywała się od obrzucenia go wyzwiskami, wiedziała, że nie wolno jej tego uczynić. Nie mogła okazywać słabości. Zacisnęła do bólu dłoń i próbowała zachować kamienną twarz.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przerwała ciszę.

- Chciałem dać ci nauczkę. Pomyślałem, że już czas, abyś się dowiedziała jak żyje druga połowa tego świata.

- Nie wierzę ci - stwierdziła pogardliwie. - Nigdy cię nie obchodziło, jak żyją inni.

Wystarczyła mi wizyta w fabryce.

- Ach, tak. Fabryka. Próbowalaś mnie pouczać, ale teraz moja kolej.

Wstał zdenerwowany, jego twarz tryskała nienawiścią, choć nadal panował nad głosem.

- Żaden bękart jakiejś nędznej dziwki nie będzie mi wydawał poleceń i ograbiał mnie z pieniędzy zarobionych ciężką, uczciwą pracą. Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie oddasz mi tego, co mi się prawnie należy.

- A co na to George?

- Och, George! - machnął pogardliwie ręką. - George przypomniał sobie nagle, że ma zasady. Ten głupiec myśli, że jest w tobie zakochany. To nic nowego, prawda? Bawi cię to, ale i on przyjdzie po swoją część, bądź tego pewna.

Trzęsła się, ale stawiała mu opór.

- Nie boję się twoich gróźb. Nie możesz mnie tu trzymać. Z pewnością mnie już szukają. Powiedziałam policji, dokąd idę.

- O nie, nie powiedziałaś. Nie próbuj mnie okłamywać. Już dawno by tu byli. Tutejsi ludzie znają mnie i zrobią, co im każe. Jedno moje słowo, a znikniesz na zawsze. To się przytrafia młodym kobietom, nawet tym bogatym, kiedy stają się niewygodne. Ale ty będziesz rozsądna, prawda? Nie chcę wszystkiego, jedynie twoich udziałów w Rutland Tea Importers, domu na Arlington Street i pieniędzy, które tak wydajesz bez opamiętania. Nie zostaniesz przecież zupełnie bez grosza.

Bezczelność tego żądania zaparła jej dech w piersiach.

- Ty oszalałeś... Jesteś szalony, jeśli przypuszczasz, że oddam ci to, co należy do mnie. Gdyby dziadek chciał, aby to wszystko było twoje, zmieniłby testament. Kiedyś d współczułam, ale to już przeszłość. To mój majątek i nie zamierzam się z nim rozstawać. Prędzej wszystko utopię w morzu niż dam ci choć pensa.

Barton zupełnie niespodziewanie stracił nad sobą kontrolę. Chwycił ją za ramiona, postawił na nogi, przysunął twarz do jej twarzy, aż poczuła gorący oddech na policzku.

- A teraz słuchaj. Wiem coś o tobie, moja panno, a to bardzo śliczna historyjka. Ayishamowie nie są tacy wszechmocni. Wiem wszystko o Justinie Ayishamie, który musiał uciekać z kraju, zanim oskarżyli go o morderstwo, i który powrócił, by poślubić własną

244

nieślubną córkę. Wiem wszystko o jego synu. Co by pomyśleli pacjenci Jethro Ayishama o swoim przystojnym, młodym chirurgu, gdyby dowiedzieli się, że sypia z własną siostrzenicą? Nie próbuj zaprzeczać. Wiem, jak zakrada się do twojego domu w Londynie i Westley. Żadnej innej profesji skandal nie zniszczy tak łatwo. Zrobię to, przysięgam na Boga, że was upokorzę, zrujnuję, jeśli nie oddasz mi tego co moje, rozumiesz, moje. Nic mnie nie obchodzą fanaberie chorego starca.

Wypluł z siebie potok słów, a potem nie panując nad sobą uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na łóżku, dotykając jedną ręką posiniaczonego policzka, zaszokowana bestialstwem ataku. Popatrzył na nią przez moment i odwrócił się do okna. Wyjął z kieszeni chusteczkę, starannie przyłożył ją do ust i spojrzał w jej kierunku.

- Jaka jest twoja odpowiedź?

- Nie zrobisz tego - szepnęła. - Nie ośmielisz się.

Nikt ci nie uwierzy.

- Ależ uwierzą. Nic tak nie bawi wyższych sfer jak pikantny skandal. I ty też masz wrogów. Ci, którzy tobie zazdroszczą, z radością ściągną cię z twojego małego piedestału, moja droga Laurel. Kiedy się z wami rozprawię, nie zaznacie spokoju. Zaplotła dłonie, prześladowana myślami o Jethro, wściekła na siebie, że nie odprawiła Cindy, nie zachowała dyskrecji i dała się tak łatwo oszukać.

Barton opanował się. Stał nieruchomo; mały, pewny siebie człowieczek.

- To proste - oznajmił. - Przygotowałem dokumenty, musisz tylko podpisać.

Jej duma nie była przyzwyczajona do uległości, ale czy mogła pozwolić, by zniszczył Jethro i jego pracę, którą lekarz cenił sobie ponad wszystko, ponad nią, ponad własne życie.

245

- Jeśli podpiszę te papiery - rzekła stłumionym głosem - jaką mam gwarancję, że mnie nie zrujnujesz?

- Masz moje słowo.

- Słowo łajdaka i kłamcy - stwierdziła z pogardą. Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Daję ci wybór, ale pamiętaj o konsekwencjach.

Rozejrzał się po pustym pokoju.

- Każę przynieść pióro i atrament. Za chwilę będzie po wszystkim i odejdziesz wolna.

- A mój pies?

- Pies jest bezpieczny - rzucił obojętnie. - Spełnił już swoje zadanie.

Barton triumfował, a Laurel poczuła mdłości na widok jego łatwego zwycięstwa. Nic jednak nie mogła zrobić. Nie chodziło już o pieniądze - tała się nawet ciężarem - miała świadomość, że razem z Jethro wpadła całkowicie w jego sidła.

Barton podszedł do drzwi, otworzył je i właśnie w tej chwili powstało zamieszanie. Usłyszała krzyki i wrzaski, odgłosy bójki, trzask drzwi. Policja, zaświtała w niej nadzieja, to na pewno policja.

Na korytarzu zaspane, na wpół rozebrane dziewczyny wyglądały poirytowane zza drzwi, zaniepokojone hałasem. Ktoś przebiegł po schodach i nakazał doniosłym głosem:

- Z drogi, przeklęty motłochu, dajcie mi przejść! Z końca korytarza wyłonił się Jethro. Laurel odetchnęła z ulgą, odepchnęła Bartona i pobięła mu na spotkanie. Jethro chwycił ją w ramiona.

- Dzięki Bogu, odnalazłem cię. Nic ci nie jest?

- Nie. Och, Jethro!

Słowa utkwily jej w gardle, przez moment tulił ją mocno do piersi. Seth wraz z innymi kobietami i mężczyznami tłoczą-

246

cymi się w korytarzu odciął drogę ucieczki Bartonowi, który wycofał się do pokoju.

Jethro podążył za nim. Promień słońca padał na twarz Laurel i Jethro dostrzegł ślad bestii w rzuceniu. Z furią rzucił się na

Bartona i chwycił go za ramię.

- Ty szczurze! - wrzasnął. - Ty fałszywy, plugawy

szczurze! Zamachnął się na Barton. Barton zrobił krok w tył, trzymając dłoń przy rozciętej wardze, a Jethro uderzył go raz jeszcze Powalając na kolana. Laurel nigdy wcześniej nie widziała go w takiej wściekłości, ale scena ta uradowała ją, choć jednocześnie ponura mina Jethro górującego nad Bartonem przeraziła

ją. Chwyciła go za ramię.

- Nie - szepotała - Nie. Zostaw go. Nie jest tego wart.

Prze? chwila nie docierały do niego żadne słowa,

potem uspokoisie.

- Masz rację - wydusił z odrazą. - Nawet szczury mają

więcej godności - Zamknij drzwi, Laurel, przełoń ten motłoch. Załóżmy to przy drzwiach, bez świadków.

Na zewnątrz tłum ciekawskich przepychając się do przodu przyglądał się widowisku.

Gruba kobieta, ubrana w czerwony szlafrok i koronkowy czepek

przekrzywiony na rudych włosach, przebiła się na czoło gawie - Laurel zatrzasnęła drzwi i oparła się

o nie plecami.

- Czegoś od ciebie? Szantażował cię?

- zapytał Jethro.

Kiwnęła głową a on zwrócił się do Bartona.

- Wstawaj z Podłogi, nędzna kreaturo. Co masz do

powiedzenia?

Bartonowi kociła pewność siebie. Wolno stanął na nosi i przycisł do zakrwawionych ust chusteczkę. Jeszcze trochę pożałujecie, oboje - warknął niewyraźnie. - Przysięgam na swoją honorową przysięgę z tobą, już

247

nigdy nie ujrysz żadnego pacjenta, nie wejdiesz do szpitala. Przed tobą i tą twoją ładacznicą zamkną się wszystkie drzwi Londynu. Zmrużył oczy.

- Kazirodztwo to wstrętne słowo, ale widać Ayishamowie nie mają nic przeciw niemu

- ojciec i córka, wujek i siostrzenica.

- To prawda, Jethro - szepnęła cichutko Laurel.

- On wie o nas i spełni swą groźbę. Zrujnuje cię, jeśli mu nie dam tego, czego żąda.

- Pieniądze, a więc tego chce? Pieniądzy, a kiedy je już dostanie, będzie cię nękał miesiąc po miesiącu, rok po roku, aż wyciśnie z ciebie ostatnią kroplę krwi. Przyciągnął do siebie Bartona, chwycił go za gardło i potrząsnął nim kilkakrotnie.

- A teraz mnie posłuchaj. Jeśli ją kiedykolwiek skrzywdzisz, zabiję cię, rozumiesz? Jestem lekarzem

- znajdę sposób, by się ciebie pozbyć.

- Morderca, jak twój ojciec - burknął Barton. Na kilka sekund Jethro zacisnął dłoń, a Laurel wstrzymała oddech.

- Nie bój się - odezwał się pogardliwie Jethro, zwalniając uścisk. - Nie mam zamiaru brudzić sobie rąk twoją plugawą szyją. Istnieje lepszy sposób, by cię uciszyć. Właśnie się czegoś o tobie dowiedziałem, Bartonie Grafion, czegoś, co niezwykle ucieszy twoich konkurentów w City, czegoś, co raz na zawsze zniszczy ciebie i twoje marzenia o tytule szlacheckim, o który tak zabiegasz.

Laurel utkwiała wzrok w jego twarzy i spytała z zapartym tchem:

- O czym ty mówisz?

- On wie, o czym. Prawda, Barton? To do ciebie należy ten dom i kilka podobnych. Zyski z hazardu i nierządu to nie byle co. Ale tobie to nie wystarczało.

248

To dlatego chciałeś pieniędzy Laurel? Aby zainwestować w występki i rozpustę?

- Nie masz żadnych dowodów - parsknął Barton.

- Znajdę je. Mam jeszcze przyjaciół i wpływy. Myślałeś, że nikt o tym nie wie, nawet twój brat, ale niektóre z tych biednych istot, które wykorzystywałeś, są gotowe zeznawać. Spróbuj tylko tknąć Laurel lub oczernić ją, a dopilnuję, aby cały świat dowiedział się o tobie. Masz szczęście, że pragnąc uchronić ją przed skandalem, nie przyprowadziłem tu policji. Długo patrzyli sobie w oczy. Barton załamał się

pierwszy i odwrócił się do nich plecami.

- Niech was piekło pochłonie - zazgrzytał zębami.

- Wynoście się stąd. Zostawcie mnie w spokoju.

- Z przyjemnością - Jethro otoczył Laurel ramieniem. - Chodź, moja droga. Im szybciej opuścimy to zgniłe miejsce, tym lepiej.

Otworzył szeroko drzwi. Ta sama gromada nadał okupowała korytarz. Gruba kobieta otworzyła w proteście usta, ale Jethro uciszył ją jednym gestem.

- Lepiej załatw to ze swoim pracodawcą - poradził zjadliwie - i ciesz się, że nie kazałem was wszystkich

aresztować za porwanie. Przepchnął się przez tłum, ciągnąc za sobą Laurel.

Za nimi podążył Seth. W hallu Laurel przystanęła gwałtownie.

- Mój pies! - wykrzyknęła. - Gdzie jest mój pies?

Nie ruszę się bez Marika.

Po raz pierwszy Jethro wybuchnął gromkim śmiechem, rozładowując napięcie.

- O mój Boże, zupełnie zapomniałem o psie. Seth, odbierz go. Musi tu być gdzieś przywiązany.

Na zewnątrz czekała już dorożka. Wsiedli do środka. Laurel przytuliła się do swego wybawcy, a uczucie ulgi i wdzięczności ustąpiło miejsca ciekawości.

249

- Jethro, skącf się dowiedziałeś, gdzie jestem? Kto ci powiedział?

- To był przypadek. Przeraza mnie myśl, że wszystko mogło się potoczyć inaczej. Czy nie poznałaś

służącej, która przyniosła ci kolację?

- Było tak ciemno. Twarz wydała się znajoma, ale nie miałam pewności.

- To była Liz. Pamiętasz tę biedaczkę ze straszliwą poparzoną twarzą. Uroda była kiedyś jej jedynym atutem. Kiedy wyzdrowiała, nie miała nic, wędrowała więc od domu do domu wykonując najgorsze prace, aż trafiła do Kate na Leicester Square. Już wcześniej słyszała o planach porwania. Rozprawiano o tym w kuchniach, obracano w żart, ale do końca nie miała pojęcia, kim była rzekoma ofiara. I w niej tli się isierka dobroci. Bała się poinformować policję, nie wiedziała gdzie mieszkam, poszła więc do Stepney, zbudziła Olivie Winter i spytała o mój adres. Jakiś handlarz podwiózł ją do Albany, pojawiła się wczesnym rankiem i opowiedziała mi całą historię. Pojechałem na Ariing-ton Street, aby się upewnić, czy nie powróciłaś. Cała służba szalała z niepokoju, zabrałem ze sobą Seta, a resztę już znasz.

- Ach, Jethro. Biedna Liz!

Laurel poczuła się winna, że uczyniła tak niewiele dla dziewczyny, która za drobny podarunek zaryzykowała wszystko co miała, by ją ratować.

- Jak mogę się jej odwdziżyć? Przecież już nie może wrócić do tego domu. Barton znalazłby sposób,

by ją ukarać.

- Na razie nic jej nie grozi.

- Może zamieszkać na Ariington Street - zaproponowała spontanicznie Laurel.  
- O, nie. To dobra dziewczyna, ale w twoim domu czułaby się jak ryba bez wody.  
Służba nigdy by jej nie

250

zakceptowała, okazując swe oburzenie. Porozmawiam z Olmą Winter. Coś dla niej wynajdzie.

Kiedy przybyli, w hallu przywitał ich Franklin. Za nim pojawiła się reszta służby.

- Kiedy pani wyszła i nie wróciła, nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, co robić - odezwał się zatroskany lokaj. - Już miałem poinformować policję, kiedy

pojawił się doktor Ayisham.

- Już po wszystkim - zakomunikował Jethro. - Na szczęście pannie Rutland nic się nie stało, ale całe to zajście było bardzo przykre. Będę wdzięczny, jeśli powstrzymasz służbę od niepotrzebnych plotek.

- Oczywiście, sir. To był straszny incydent.

- Seth przyprowadzi psa. Dopilnuj, aby go jak najszybciej wykapano.

- Dobrze, sir. Czy Madam życzy sobie śniadanie?

- Teraz? - spytała zmęczonym głosem Laurel. - Zadzwoń, kiedy będę głodna. W jadalni zrzuciła z ramion pelerynę i poprawiła potargane włosy.

- Potrzebuję kąpieli bardziej niż Mank - stwierdziła ponuro. - Czuję na sobie brud tamtego miejsca. Chcę, aby spalono to ubranie, każdą jego część. Jak to dobrze, że nie ma tu Jane. Miałabym za swoje,

- I słusznie. Zaslugujesz na to - przerwał jej Jethro.

- Czy to nie głupota uganiać się za zaginionym psem?

Dlaczego nie zabrałaś listu na policję?

- Zagrozili, że poderzną Marikowi gardło, jeśli to zrobię - wyjaśniła. - Nie mogłam na to pozwolić. To było okropne. Do głowy mi nie przyszło, że Barton maczał w tym palce.

- To przebiegły łajdak - wycedził Jethro. - Szalony i nieobliczalny. Czekał na okazję, by cię upokorzyć i opracował plan szantażu i gróźb.

i<i

- Prawie mu się udało. Gdyby nie ty, oddałabym mu wszystko.

- I to mnie martwi.

- Jak się o nim dowiedziałeś?

- Liz opowiedziała mi wiele ciekawych rzeczy. Służba w takich miejscach wie więcej, niż się tego spodziewają pracodawcy. Ale Barton ma rację. Nie mogę niczego udowodnić. Mam nadzieję, że wystarczająco go postraszyłem, ale nie ufaj mu, Laurel, ani jego bratu.

- George nie miał z tym nic wspólnego.

- Możesz być tego pewna?



- Nie wiem... a jednak jestem pewna. Taka podłość to nie w jego stylu. Nie jest święty, ale jest uczciwy.

- Lubisz go, prawda?

- Tak... na swój sposób.

- Wystarczająco, by go poślubić?

- Jethro, jak możesz tak mówić?

- To niezłe rozwiązanie.

- Rozwiązanie czego?

Badał ją wzrokiem, szukając w myślach właściwych słów.

- Spokoju nie daje mi myśl, że jesteś sama, bez wystarczającej opieki.

- Dam sobie radę.

- Właśnie się przekonałem, że tak nie jest - uśmiech- | nął się blade.

^

- Zawsze mogę przyjść do ciebie.

- Mnie tu nie będzie.

- O czym ty mówisz? - poderwała się. - Dokąd się wybierasz?

- Miałem zamiar ci powiedzieć. Zgłosiłem się na ochotnika do Wojskowego Korpusu Medycznego. Potrzebują chirurgów, zwłaszcza młodych, znających nowoczesne metody leczenia. Za miesiąc wyruszam do Konstantynopola.

252

To było jak cios. Serce zamarło jej w piersiach.

- Ale ty nie możesz wyjechać, nie teraz, nie po tym, jak... Jethro, to niesprawiedliwe. Kiedy wiem, że jesteś tu, w Londynie, niedaleko, kiedy mogę widywać cię od czasu do czasu w przytułku, to ma dla mnie ogromne znaczenie. Gdy wyjedziesz... w nieznane... na wojnę...

- nie zniosę tego, po prostu nie zniosę...

Odwrócił ku niej twarz. Jego szare oczy wypełniał smutek i ból.

- To właśnie dlatego, Laurel. Nie mogę tak dłużej

- toczyć beznadziejną walkę z własną słabością. To musi się skończyć. Tam

przynajmniej na coś się przydam

- podczas wojny nie ma czasu na myślenie...

- Uciekasz ode mnie! - krzyknęła z goryczą. - Tak jak kiedyś.

- Czy ty tego nie rozumiesz? - rozpaczał. - Po tym, co wydarzyło się zeszłej nocy, nie mogę tu zostać. Wiesz dobrze, jak plotkują ludzie, jak szybko rozchodzą się takie wieści. Jeśli opuszczę Anglię, wcześniej czy później wszystko ucichnie.

Ale ona nie słuchała racjonalnych argumentów.

- Nic cię nie obchodzi. Myślisz tylko o sobie.

- To nieprawda...

- Ależ tak - zaatakowała. - Zapomniałeś, co się wydarzyło w Nowy Rok? A gdybym była w ciąży? Co byś zrobił? Kazałbyś mi się jej pozbyć?

- Laurel, nie mów tak - zmienił nagle ton. - Mój

Boże, to niemożliwe! Nie jesteś w ciąży?

- Nie, nie musisz się obawiać, ale szkoda, bo bardzo

bym chciała. Wtedy musiałbyś mnie stąd zabrać. Moglibyśmy wyjechać za granicę, gdzie nikt nas nie zna. Czy to takie trudne? Proszę, Jethro. Kocham cię, chcę z tobą być, dlaczego mi nie wierzysz?

- Ależ wierzę ci. I to jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

253

Powietrze między nimi zawirowało i jeszcze chwila, a daliby się ponieść swej zagrożonej miłości, gdy w korytarzu rozległy się jakieś głosy, a do pokoju wpadła Jane Ashe.

- Spotkałam właśnie Seta z Marikiem. Opowiedział mi straszliwą historię o tym, jak próbowałaś ratować psa i ktoś cię porwał...

Popatrzyła po ich twarzach, wyczuwając napięcie.

- Co się stało?

- Nic, nic takiego - zmusił się do spokoju Jethro. - Właśnie wychodziłem. Cieszę się, że pani wróciła, Miss Ashe. Laurel miała koszmarne przeżycia i jest bardzo poruszona.

- Och, moja droga, a więc to prawda. A ja cały czas zabawiałam tych śmiertelnie nudnych krewnych i o niczym nie wiedziałam.

Jane ruszyła w stronę Laurel, lecz ta odsunęła się i spojrzała na Jethro.

- Czy naprawdę musisz nas opuścić? Wiedział, o co pyta i odpowiedział bez ogródek:

- Tak. Nie mam wyjścia, podjąłem już zobowiązania.

- Co o tym myślisz, Jane? - ciągnęła wysokim, drżącym głosem. - Jethro zgłosił się na ochotnika jako chirurg wojenny. Porzuca swych przyjaciół, swą pracę w szpitalu, wszystko. Czy to nie głupia decyzja?

- Nie - odparła ciepło Jane. - Myślę, że to wspaniale. Potrzeba nie lada odwagi, aby się tego podjąć.

- Czasem przychodzi taki moment, że nie ma wyboru - dodał cicho Jethro. - Przyjdę się pożegnać przed wyjazdem, Laurel.

- Och, nie rób sobie kłopotu - odpowiedziała tym samym delikatnym tonem. - Mam własne plany. Będę zajęta, ty pewnie też. Możemy pożegnać się już teraz.

254

- Świetnie. Jeśli tego sobie życzysz - zawahał się, a potem podszedł do niej i ucałował jej dłoń. - Do widzenia, moja droga. Pamiętaj, co ci powiedziałem.

- Proszę o nią dbać. Miss Ashe - skłonił się w stronę Jane.

- Nie ma obawy. Do widzenia, doktorze Ayisham, niech pana Bóg prowadzi. Będziemy o panu myśleć. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, odwróciła się do Laurel.

- Moje drogie dziecko, wyglądasz strasznie i ta twarz - co ci się stało? Co wydarzyło się ubiegłej nocy i co ma z tym wspólnego doktor Ayisham?

- Proszę, Jane, nie teraz. To był mój głupi błąd - odparła znużona. - Opowiem ci wszystko później, bo teraz czuję się taka brudna. Marzę tylko o kąpeli.

- Jeśli sobie życzysz - Jane spojrzała na nią z niepokojem - każe służącym przygotować gorącą wodę.

- W porządku. Sama im powiem.

Jakie ukojenie znalazłaby w ramionach Jane, jak bardzo chciała opowiedzieć jej całą zagmatwaną historię, nie tylko minionej nocy ale i bolesnej miłości do Jethro. A jednak nawyk milczenia zwyciężył. Przez całe życie była sama, z nikim nie dzieliła się swymi kłopotami, samotnie toczyła wszystkie bitwy. Już jako dziecko nie mogła liczyć nawet na matczyną otuchę. W szkole zazdrościła swym rówieśniczkom szczęśliwych układów rodzinnych.

Podeszła do drzwi i zatrzymała się.

- Proszę, zrób coś dla mnie, Jane. Chcę, abyś zwolniła Cindy. Daj jej miesięczną odprawę, ale niech odejdzie natychmiast. Nie chcę jej tu więcej widzieć.

- Nie mogę powiedzieć, aby było mi przykro

- stwierdziła Jane ze zdziwieniem w głosie. - Tyle razy mówiłam, że nie lubię tej dziewczyny, ale jaki powód mam podać?

255

- Już ona będzie wiedziała. Litowałam się nad nią, a ona mnie oszukała. Brała udział w zuchwałej kradzieży Manka i... gdyby nie Jethro, nie wiem, co by się stało...

Z trudem chwyciła powietrze i szybko wyszła z pokoju, zanim Jane zdążyła ją zatrzymać.

Tego samego ranka, wykąpana i czysta, usiadła przy toalecie, czesząc mokre włosy.

Obok leżało ubranie, które miała na sobie ubiegłej nocy, gotowe do wyrzucenia. Nagle na dole ktoś trzasnął gwałtownie drzwiami. Odłożyła szczotkę i podeszła do okna.

Szalejący wiatr zalewał deszczem chodniki i targał rozkwitającymi gałęziami platanów posadzonymi wzdłuż ulicy. Na schodach pojawiła się Cindy z trudem ściskając koszyk zawierający cały jej majątek. Dziwny smutek emanował z tej małej postaci w lichym, czarnym płaszczku i lekkim, kwiecistym kapeluszu, który Laurel wyrzuciła przed miesiącem. Już otwierała okno, by ją zawołać, ale wewnętrzny głos ostrzegł ją przed okazywaniem słabości. Cindy zdradziła ją i prawdopodobnie uczyniłaby to ponownie, a mimo to Laurel czuła się winna, że ma tak wiele, a ona nic. Być może zrobiła to dla swego ukochanego, może kochała Jacka Webba tak jak Laurel kochała Jethro.

Laurel oparła czoło o zimną szybę, czując rozpaczliwy gniew. Wyjeżdżał nie wiadomo dokąd, na wojnę, z której mógł nie powrócić. A może na to liczył. Po wspólnie spędzonej styczniowej nocy \*tliła się w niej nadzieja, ale teraz pozostała tylko pustka.

On się nigdy nie zmieni. Miotła ją złość, świadomość odrzucenia, bezgraniczny smutek. Gdyby rzeczywiście ją kochał, przeszłość nie miałaby znaczenia, wziąłby ją w ramiona, na przekór boskiemu prawu. Rozejrzała się po sypialni z pogardą dla jej luksusowego uroku. Wszystkie pieniądze świata nie zastąpią ukochanego mężczyzny. Postanowiła wykorzystać je w inny sposób.

Nigdy nie poddawała się z uległością, nie czekała biernie na radości życia. Jeśli on jej nie chciał, byli jeszcze inni mężczyźni, jeśli pojawiły się obrzydliwe plotki na temat ostatniej eskapady, najlepszą bronią było śmiałe stawienie im czoła i udawanie, że nic

się nie stało. W gniewie i niepokoju zrzuciła szlafrok i nałożyła suknię. Zeszła pewnie po schodach i zamówiła powóz, zaskakując swą decyzją Jane. Nikt już nie powie, że Laurel Rutland wstydy się pokazać swą twarz na porannym spacerze w Hyde Parku.

### Część 3

#### Krym

14

Minęło kilka dni, zanim wiadomości o ostatnich wydarzeniach dotarły do uszu George'a Graftona. Huzarzy wypłynęli już z portu Płymouth do Konstantynopola. Lord Cardigan nie towarzyszył swym żołnierzom, wybierając wygodniejszą podróż przez Paryż. George, jego ulubieniec, otrzymał zadania specjalne u boku głównego dowódcy. Dopilnował odprawy swego oddziału na transportowcu i powrócił do Londynu, by usłyszeć przedziwne historie o Laurel. Krążyły plotki, że została porwana przez jakichś brutalnych szubrawców, żądających ogromnego okupu, ale zdołała uciec w ostatniej chwili i nic jej się nie stało. Inną wersję, rozpowiadaną w oficerskiej mesie i klubowej palarni, usłyszał George z ust lorda Lowhursta, zapalonego miłośnika sportów, którego nie darzył zbyt dużym szacunkiem. Kiedy wszedł do klubu, ujrzał wysoką, masywną postać rozkraczoną przed kominkiem, z cygarem w jednej dłoni, kieliszkiem brandy w drugiej, rozprawiającą przed pełną zachwyty gromadką przyjaciół.

- Nigdy w życiu nie przytrafiło mi się coś tak osobliwego - opowiadał. - Stała tam, piękna jak anioł, dojrzała do zerwania, a jednak nie mogłem jej nawet dotknąć. Najdziwniejsza sytuacja w jakiej

261

się znalazłem. Dużo bym dał, aby się dowiedzieć, któremu szczęśliwcowi przypadła w udziale, ale Kate nie pisnęła ani słowem. Potem nastąpiło straszne zamieszanie, o czym tylko słyszałem. Straciłem okazję - ubolewał - a K-ate milczy jak głaz. Niech się tylko o tym dowie policja, a jej drzwi zatrzaskną się raz na zawsze. Ale nie wierzyłem własnym oczom, kiedy następnego ranka ujrzałem tę dziewczynę w parku, beczelnie powożącą parą gniadych koni, jakby nigdy w swym rozkosznym życiu nie była w burdelu. Uchyliłem przed nią kapelusza. To ci dopiero rasowa żrebica.

Na twarzach słuchaczy pojawiła się zachłanna żądza, radość z poszarganej niewinności. George poczuł w sobie narastającą wściekłość.

- Czy wolno mi zapytać, lordzie, kim jest owa dama? - odezwał się lodowato.

- A czemuż nie? To żadna tajemnica. Któż inny jak nie prześliczna Laurel, „Królowa i łowczym”, bez skazy, ale i bez dziewictwa.

Dokoła rozległ się rubaszny śmiech, a George zmarszczył brwi i zrobił krok naprzód.

- Cofniesz to, mój lordzie.

- Co mam cofnąć? - spytał niedbale Lord Lowhurst.

- Te oszczerstwa plamiące honor damy. Chcę, aby pan wiedział, że Miss Rutland jest moją kuzynką, kobietą, którą niezwykle szanuję.

Lord Lowhurst zmrużył oczy.

- Niczego nie cofnę - mruknął wyniośle. - Żadna dama, nawet taka, którą darzy pan względami, nie opuszcza domostwa Kate bez uszczerbku na honorze.
- Nie obchodzą mnie okoliczności, cofnie pan te słowa albo się policzymy.
- Nikt nie będzie mnie nazywał kłamcą - odparował wyniośle lord - a już z pewnością nie syn jakiegoś

262

handlarza, który wykupił sobie pozycję w szanowanym towarzystwie.

Te słowa zapiekły George'a do żywego. Staął naprzeciw Lowhursta i z całą świadomością wymierzył mu siarczasty policzek.

- Może pan przysłać swych sekundantów, mój lordzie. Spotkamy się w wybranym przez pana miejscu i wybranej porze - rzucił ponuro i wolno opuścił salę.

Doskonale wiedział, że prawo surowo zabrania pojedynków, a w przypadku żołnierza, zwłaszcza w służbie czynnej, było to poważne przestępstwo grożące więzieniem. Nie dbał o to. Nie zrezygnował. Ustalono szczegóły - Wimbledon Common, godzina szоста następnego dnia, ale kiedy lord Cardigan dowiedział się o zajściu, natychmiast posłał po George'a.

W przeszłości wybuchowy charakter lorda wpakował go w podobne tarapaty i tylko jego ranga uratowała go przed karą, ale teraz patrzył na swego młodego oficera z wyraźnym niezadowoleniem.

- Chciałbym ci przypomnieć - zaczął oziębło - że toczymy wojnę z Rosją. Lowhurst jest doskonałym strzelcem, a ja nie zamierzam stracić właśnie teraz jednego z moich najlepszych oficerów.

- Ja też nieźle strzelam - oświadczył twardo George - i proszę pamiętać, lordzie, że chodzi o honor damy.

- Hm - chrząknął Cardigan. - Czy mogę wiedzieć, kim jest ta dama?

- Wolę nie wymieniać jej imienia, choć mam nadzieję, że pewnego dnia zostanie moją żoną.

- Naprawdę? Czy jesteś zaręczony?

- Jeszcze nie.

- A więc lepiej pośpiesz się, mój drogi przyjacielu.

Wkrótce wyruszamy i Bóg jeden wie, co się wydarzy. Bez względu jednak na powód, stanowczo zabraniam tego pojedynku. Twoje życie należy do tego kraju i nie

263

możesz go poświęcić dla jakiejś banalnej sprawy. Jeśli już musisz walczyć, rozpraw się z Lowhurstem po powrocie.

- A tymczasem w każdym londyńskim klubie nazywać mnie będą tchórzem - rzucił z goryczą George.

- Rozprawię się z każdym, kto nazwie mojego oficera tchórzem - zagroził lord Cardigan. - Nie lubię Lowhursta, nigdy go nie lubiłem. To obrzydliwy facet, ale przysięgam na Boga, że jeśli któryś z was będzie się upierał, każę was obu aresztować. To nie są żarty.

Surowa twarz lorda Cardigana wyrażała absolutny rozkaz i George nie miał żadnego wyboru. Ze wstrętem wysłał krótki list do swego przeciwnika i jedynie całkowite poparcie dowódcy ukoilo nieco jego rozżalenie. Podczas klubowej kolacji Lowhurst nazbyt głośno krytykował młodych dżentelmenów, którzy jedynie dużo mówią, a w decydującym momencie unikają konfrontacji. Po tym wywodzie spotkał się z płomiennym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu i komentarzem, że dżentelmenowi, który w środku krwawej wojny ukrywa się w Anglii, nie przystoi kwestionować odwagi żołnierza.

Jeszcze tego samego dnia George przypisał cały ten obrzydliwy incydent Bartonowi. Coś niecoś wiedział o ciemnych interesach brata i powiązaniach z domami gry i rozpusty, ale przymykał na to oko. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał; tajemniczą historyjkę o służącej i zaginionym psie, kiedy nagle przypomniał sobie listopadową rozmowę. Pod wpływem impulsu złapał dorożkę i udał się na Fenchurch Street, tylko po to, by się dowiedzieć, że Barton wraz z rodziną wyjechał do Bath, rzekomo w odwiedziny do matki. George nabrał podejrzeń, czując, że Barton przed czymś ucieka. Wycisnął nieco prawdy z Jacka Webba i powrócił do koszar, nie kryjąc wstrętu i pogardy dla brata, który

264

swym niegodziwym występkiem zabił w nim ostatnią nadzieję.

Jego własna, gwałtowna reakcja zaskoczyła go. Przeżył dwadzieścia sześć lat, łatwo i pogodnie, w specyficznym stylu i cynizmie, ani lepiej ani gorzej niż inni młodzieńcy, aż tu nagle odkrył ku własnemu zdumieniu, że tkwią w nim głębsze uczucia, tylko nie potrafił się z nimi uporać. Na myśl, że bezdenna głupota Bartona mogła raz na zawsze zniszczyć jego wizerunek w oczach Laurel dostawał gęsiej skórki. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak bardzo pokochał tę dziewczynę, wiedział, że wkrótce opuści Anglię, nie wiadomo na jak długo, a może na zawsze. Głęboko nieszczęśliwy, głowił się, jak udowodnić jej swą niewinność w tym spisku, choć duma nie pozwalała mu na przeprosiny. Nagle pewnego ranka spotkał ją przypadkowo w parku, galopującą na Lucyferze. Spozrzęła go pierwsza i przytrzymała konia. Kilka dni wcześniej dotarły do niej wieści o zatargu z lordem Lowhurstem, przemówiła więc bez ogródek.

- Miałam nadzieję, że cię spotkam, George. Dziękuję ci za tak rycerską obronę.

- Mógłbym zrobić znacznie więcej, aby to udowodnić - odrzekł zasmucony. -

Chciałem stanąć naprzeciw tego wulgarnego bydlaka z pistoletem w dłoni, ale żołnierz nie ma wyboru. Cardigan stanowczo się temu sprzeciwił.

- Tak się cieszę - dotknęła odruchowo jego dłoni. - Wiem, że jesteś wspaniałym strzelcem, ale nigdy nic nie wiadomo, a ja nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdyby ci się coś stało.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Laurel. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Oczywiście, że tak - uśmiechnęła się.

265

- Nadal nie znam całej prawdy - ciągnął niezręcznie - ale przekonany jestem, że to sprawka Bartona. Tak mi wstyd.

- To niepotrzebne - rzuciła spontanicznie. - Już po wszystkim i nie chcę do tego wracać. Ty nie miałeś z tym nic wspólnego. Byłam tego zawsze pewna.

- Wdzięczny ci jestem za takie zaufanie. Od całego zajścia minął zaledwie tydzień i Jethro odszedł z jej życia prawdopodobnie na zawsze. Była zaniepokojona, zła i nieszczęśliwa. Zerknęła na towarzyszącego jej młodzieńca. Przez ostatni rok, pomyślała, George zmienił się nie do poznania. Nabral powagi, troszczył się o innych, godny był zaufania. Poczwała do niego gorący przypływ sympatii za sposób, w jaki ją obronił, ryzykując własnym życiem za jej honor.

- Słyszałam, że twój pułk już odpłynął - odezwała się.

- Zgadza się. Udałem się do Plymouth, by dopilnować odprawy. Lord Cardigan nie wyjedzie do maja, a ja będę mu towarzyszył jako adiutant.

Wpatrywała się gdzieś przed siebie, słysząc słowa Jethro: Lubisz go, prawda?

Wystarczająco, by go poślubić? Czemu nie? To prawda, że lubiła go bardziej niż innych młodzieńców kręcących się dokoła. Nie pokochałaby nikogo bardziej niż Jethro, ale istniało jeszcze przywiązanie, i tyle łączyło ją z George'em. Oboje uwielbiali brawurę, którą ona odziedziczyła po swym zmarłym ojcu-żołnierzu, śmiało odpowiadali na wyzwania, kochali zabawę. Gdyby go poślubiła, wyjechałaby z nim na Krym, jak wiele innych młodych żon. Fanny Duberły, która wyszła za pułkowego skarbnika, wypłynęła już ze swym małżonkiem. Ogarnęło ją podniecenie.

Udowodniłaby Jethro, że i ona potrafi podejmować bolesne decyzje i odważnie stawiać czoła

266

problemom. Ale nie wiedziała, od czego zacząć. Może George przestał się nią interesować? Przez chwilę jechali w milczeniu.

Nie tylko jej brakło słów. George również zmagał się z głosem serca. Postępek brata odebrał mu odwagę. Spróbował więc okrężnej drogi.

- Cardigan chciał poznać imię damy.

- Powiedziałeś mu?

- Oczywiście, że nie. Ale wspomniałem, że mam nadzieję, iż dama ta zostanie pewnego dnia moją żoną.

- I co on na to?

- Kazał mi się śpieszyć, bo niewiele czasu zostało na miodowy miesiąc w Paryżu.

- Czy nie wspomniałeś przed chwilą, że Cardigan opuszcza Londyn w maju?

- Tak.

- To dopiero za miesiąc - ciągnęła poważnie Laurel. - Wystarczy, by dostać specjalne zezwolenie na ślub. Spojrzał na nią, nie wierząc własnym uszom.

- Laurel, czy ty...

- Czy nadal chcesz, by dama ta została twoją żoną?

- Wiesz, że tak, teraz bardziej niż kiedykolwiek, ale nie śmiałem nawet marzyć.

Laurel, proszę, nie żartuj sobie. Nie potrafię się z tego śmiać.

- Ja się nie śmieję.

- To znaczy, że to prawda... wyjdiesz za mnie?!

- Jeśli tego chcesz.

- Och, moja kochana! - chwycił ją za rękę. - Jesteś pewna? Czy obiecujesz?

- Obiecuję.

Chciał jak sztubak podrzucić z radości kapelusz i wykrzyzczyć swoją radość, ale Hyde Park pełen jeźdźców nie był odpowiednim do tego miejscem.

- Ścigamy się do końca alejki - zaproponował spontanicznie.

- Zgoda - uśmiechnęła się.

Musnęła batem Lucyfera, a rumak ruszył z kopyta. Pędzili obok siebie, kończąc wyścig łeb w łeb. Przechylił się w siodle i na moment usta ich spotkały się w przelotnym pocałunku.

- Pasujemy do siebie - oświadczył wesolo. - To takie cudowne. Moja najdroższa, moja kochana, wciąż nie mogę uwierzyć. Tyle trzeba zrobić, a ja nie wiem od czego zacząć. Powiedz mi, kogo mam poprosić o twoją rękę?

- Oficjalnie, chyba lorda Parna i doktora Townsen-da. Zgodnie z wolą dziadka są moimi kuratorami, ale ja decyduję za siebie. Nikt nie będzie mi mówił, co wolno, a czego nie wolno. George, czy przez jakiś czas możemy zatrzymać to w tajemnicy? Nie chcę zamieszania, nie teraz.

- Wszystko, o co poprosisz, ukochana, o ile nie zmienisz zdania.

- Nie zmienię, obiecuję.

Stało się, i Laurel nie wiedziała, czy postąpiła mądrze czy też bardzo głupio, ale poczuła nagłą ulgę, stawiając sobie jasny cel. Postanowiła poświęcić się dla szczęścia George'a i wyruszyć z nim na spotkanie najwspanialszej przygody. Uporczywie odrzucała myśl o zagrożeniach, jakie miała przynieść przyszłość. Tyle było do zrobienia w nadchodzącym miesiącu, nie mówiąc już o wybraniu odpowiedniej garderoby. Mówiono, że latem panują w Turcji piekące upały, a zimą siarczyste mrozy, i Bóg jeden wiedział, czego należało się spodziewać. Każdy wyrażał przekonanie, że wojna zakończy się w ciągu kilku miesięcy, ale nigdy nic nie wiadomo. Przez kilka następnych dni nie pisnęła ani słowem

268

o swych zamiarach, trochę przestraszona swym spontanicznym postanowieniem. Musiała upewnić się sama, czy postępuje słusznie, a dopiero potem stawić czoła światu.

Pamiętając o jej gorącej prośbie, George nie pojawiał się na Ariington Street, ale cieszył się z każdego spotkania podczas porannej przejażdżki po parku. Każdego dnia przysyłał jej kwiaty, a jego radosne zachowanie podczas służby nie uszło uwagi ordynansa.

- Zapamiętasz moje słowa, jego dostojność coś szykuje - klarował swojemu przyjacielowi nad porannym kuflem beczkowego piwa.

- Jakaś nowa kobietka?

- Żadnej by nie przepuścił, ale od miesiący żyje jak mnich - znacząco poklepał się po nosie. - Coś poważniejszego, ja to czuję.

- Ślub? I on się tym zaraził. Połowa pułku ma to już za sobą. Żenią się w pośpiechu, a potem żałują

- filozofował jego kompan.

- Ale nie nasz kapitan. Jeśli się na coś decyduje, to nie ma odwrotu.

Było jednak coś, czego George nie mógł zignorować. W ciągu ostatniego roku prawie wcale nie kontaktował się z matką. To Barton był zawsze jej ulubieńcem, ale teraz czuł się w obowiązku powiadomienia jej o planowanym ślubie. Któregoś ranka udał się do Bath i kiedy wprowadzono go do bawialni, wpadł w gniew na widok brata.



Nigdy nie wybaczył mu skandalicznego potraktowania Laurel, ale kłótnia w obecności matki nie miała sensu.

- A więc raczyłeś nas w końcu odwiedzić, George

-zauważyła cierpko, gdy pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Długo kazałeś na siebie czekać.

- Przepraszam, mamó, ale musisz zrozumieć, że w pułku przygotowującym się do wojny nie miałem przez ostatnie miesiące na nic czasu.

269

Czem11 zawdzięczamy zatem tę wizytę? Nie tak wyobrażał sobie rozmowę z matką, chciał być bardziej taktowny, ale na widok Bartona z małpim uśmiechem z trudem krył swą irytację.

- Moet6111 r^pi^ć, ^s wolałem powiadomić cię osobiście. Biorę ślub-^,p,.Q\$towała się gwałtownie.

- Ślub?

- Tak i to wkrótce. Laurel obiecała zostać moją żoną.

Jei real^B zaskoczyła go. Nigdy nie kryła swej wrogości ^° Laurel, ale spodziewał się pewnego zadowolenia. ^ czasu pogrzebu Sir Joshuy, wielka fortuna iak^ przypadła Laurel nie dawała jej spokoju.

Wstała- Twarz miała bladą i wychudzoną.

- TV g^PGze^ ty skończony głupcze! - zasyczała - Czemu nie widzisz, co ona z tobą robi?

\_ ^g nie widzę - odparł lodowato. - Wręcz przeciwnie2' uważam się za szczęśliwca, gdyż mogła wybrać t^zin innych. Bierzymy ślub w maju, a potem jedziemy razem do Turcji•

A ^y więc to dlatego przyjęła twe oświadczenia

- zaszyd^ Barton.

Targał3 nlm wściekłość, że to jego beztroski i nierozważny br^1 zdobył tak pożądaną nagrodę, podczas gdy ieeo orz^^y spisek zawiódł całkowicie.

- Ona c1? wykorzystuje, mój drogi. Przypuszczam,

że jesteś W świadomy. Georg6 wyprostował się. ^[jg mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz. opadłeś w jej pułapkę - wtrąciła jadownicie matka

- tak iak twój biedny wuj Bulwer. Zniszczy cię, jak jej nierządu21 ""^ zniszczyła jego.

Ach)na miłość Boską - wrzasnął George, zapomi-

naiac ze^08010 d°brych manierach. - Czy nie możecie zaDomni60 te) cholernej przeszłości? Ona już nie ist-

270

nieje. Po co się w tym grzebać? Kocham Laurel, a ona zgodziła się poślubić mnie.

Powiadomię was o dacie ślubu. Nie musicie przyjeżdżać, do diabła z wami!

Ruszył do wyjścia, nie bacząc na wyciągniętą dłoń matki i błaganie w jej głosie.

- George, nie odchodź. Posłuchaj, co Barton ma ci o niej do powiedzenia.

- Nie powie mi nic, czego nie wiem. Wybaczyła mu

to, co jej uczynił. Poinformowałem was i na tym koniec. Nie będę wysłuchiwał oszczerstw pod adresem mojej przyszłej żony. -Wyszedł z pokoju, zatraskując drzwi; rozwścieczony, ale bardziej zaniepokojony. Co takiego wiedzieli o Laurel? Czy Barton potrafił zrozumieć jego szczęście, radość zdobywcy?

Ale jednocześnie jadowite słowa matki zasiały w nim ziarno niepokoju. Kiedy dotarł do Londynu, postanowił jak najszybciej zobaczyć Laurel. Zatrzymał dorożkę i kazał się wieźć na Ariington Street.

Laurel siedziała sama w saloniku, kiedy Franklin wprowadził go do środka. Zdziwiła się nieco i wstała mu na powitanie.

- George, co za niespodzianka.

- Spotkałem się z moją matką.

- Boże mój - zrobiła kwaśną minę. - Obawiam się, że nie przepada za mną.

- To nie ma znaczenia.

Stał przez moment nieruchomo, pozerając ją wzrokiem, a potem podszedł bliżej, chwycił ją w ramiona i przycisnął mocno, błędząc ustami w jej włosach.

- Nic się nie zmieniło, prawda? Naprawdę mnie poślubisz.

- Oczywiście. Co za idiotyczne pytanie.

- Przestraszyłem się, że zmieniłaś zdanie - spojrzał jej w oczy. - Ale nie zmieniłaś, prawda?

271

- Głuptasie - pogłaskała go delikatnie po policzku - Ależ nie. Kiedy coś obiecuję, dotrzymuję słowa.

Potem weszła Jane, a George opuścił ich towarzystwo uspokojony, wymazując z pamięci złośliwe słowa matki. Dlaczego jej uraza czy zazdrość Bartona miałyby zakłócić spokój jego duszy?

\* \* \*

Pod koniec tego samego tygodnia, kiedy Laurel i Jane spędzały leniwe popołudnie w domu, pojawiła się Rosemary. Ta łagodna, nieśmiała dziewczyna tryskała takim szczęściem, że obie damy zapytały o powód, a ona zaklaskała w dłonie, speszona i promienna jednocześnie.

- O, Boże, czy to się rzuca w oczy? Chciałam, abyście się dowiedziały pierwsze. Jestem zaręczona.

Czy to nie cudowne?

- Cudowne - powtórzyła z uśmiechem Laurel. - To oczywiście Charles.

- Jak na to wpadłaś?

- Kochana Rosemary, nie trudno było zauważyć, że coś się święci. Tak się cieszę.

- To dzięki tobie. To ty mnie przedstawiłaś - Rosemary rzuciła się Laurel na szyję i ucałowała ją.

- Oczywiście, nie możemy się pobrać od razu, bo Charles jest taki biedny. Papa i mama woleliby kogoś znaczącego i bogatego, ale na szczęście polubili go, gdy w

Nowy Rok przyjechał do Ravensley. Tak się składa, że jego cioteczny dziadek to Sir Giles Townsend z Thorney Manor, straszny starzec, tak twierdzi Charles, ale to dodaje mu trochę powagi.

- To wszystko brzmi wspaniale - odezwała się Jane.

- Czy będziesz szczęśliwa jako żona lekarza?

- O, tak. Mam nadzieję, że okażę się pomocna. Widzicie, Charles będzie się specjalizował w leczeniu

272

matek i niemowląt. To Jethro podsunął mu ten pomysł i być może tak jak on, będzie musiał wyjechać za granicę, nawet do Wiednia. Wtedy weźmiemy ślub i pojedę razem z nim, bez względu na to, co powie papa, nawet jeśli przyjdzie nam mieszkać na strychu!

Mówiła i mówiła bez tchu, zaginęło gdzieś jej ciche „ja”, a Laurel pomyślała, jak szybko zapomniała o Sethie i tak bolesnej, pierwszej miłości. Żałowała, że sama nie potrafi odrzucić przeszłości tak beztrudnie.

Podano herbatę. Kiedy Jane zajęła się rozlewaniem, Rosemary spojrzała na nie przepraszająco.

- Jestem taka samolubna. Opowiadam tylko o sobie i na śmierć zapomniałam o najważniejszym. Jethro opuszcza Anglię w następnym tygodniu. Rozmawiał o tym z papą. Najpierw jedzie do Francji. Chce się dowiedzieć czegoś więcej o ich misjach medycznych. Ich system jest znacznie lepszy, twierdzi, i nadzorowany przez Siostry Miłosierdzia. Charles, ja, Robin i Tom zamierzamy go pożegnać w Dover. Czy pojedziesz z nami, Laurel? A pani, Miss Ashe? Zorganizujemy przyjęcie.

- Bardzo bym chciała - ożywiła się Jane. - Co ty na to, Laurel?

- Nie jestem pewna - padła odpowiedź. - W następnym tygodniu będę bardzo zajęta. Tak się składa, że

sama wychodzę za mąż. Obie wbiły w nią pełen zaskoczenia wzrok.

- Za mąż? Nie wspomniałaś o tym ani słowem

- wykrzyknęła Rosemary. - Nie jesteś nawet zaręczona.

- Zdecydowaliśmy się kilka dni temu i nie ma czasu na zaręczyny, bo on wyjeżdża z kraju na początku maja.

- Czy to George Grafion? - spytała cicho Jane.

- Tak.

273

- Kapitan Grafion? - powtórzyła Rosemary. - Ale to twój kuzyn, prawda?

- Daleki kuzyn. Czy dlatego nie może zostać moim mężem? - uśmiechnęła się blado Laurel. - Nie gapię się tak na mnie. Mówię poważnie. George przez rok prosił mnie o rękę i w końcu powiedziałam „tak”. Nie mam nic więcej do dodania.

- Jestem zachwycona - oznajmiła szczerze Rosemary. - Życzę wam wiele szczęścia. Ale czy ślub, a potem konieczne rozstanie nie będzie zbyt bolesne?

- Nie będzie żadnego rozstania. Jadę razem z nim.

- O, nie! - przeraziła się Jane. - Nie możesz tego zrobić, Laurel!

- Dlaczego nie? Pani Duberły już wyjechała i pozostałe żony też. George mówi, że mogę zabrać Lucyfera i jeszcze jakiegoś konia. Mam nadzieję, że Seth pojedzie z nami, aby się nimi opiekować.

- Jeśli upierasz się przy czymś tak nadzwyczaj nieroztropnym, to będę ci towarzyszyć

- zdecydowała Jane.

- Nie w czasie naszego miodowego miesiąca - roześmiała się Laurel. - To by się nie spodobało George'owi.

- Dołączę do was później.

- Nie. To miło z twojej strony, ale jest to całkowicie niemożliwe. George, jako członek sztabu lorda Car-digana, będzie podróżował wraz z nim. Niełatwo będzie przekonać go, by zaakceptował mnie jako żonę George'a. Dostałby apopleksji, gdyby się dowiedział, że chce z nim jechać jeszcze jedna kobieta. Chcę sprawiać jak najmniej kłopotu, zrezygnuję nawet z pokojówki.

- To najśmielsze przedsięwzięcie o jakim słyszałam - podnieciła się Rosemary. - Szkoda, że Charles nie zgłosił się na ochotnika jak Jethro, wtedy pojechalibyśmy razem.

274

- Ktoś musi zostać, by opiekować się niemowlętami w Anglii - uśmiechnęła się Laurel.

Kiedy Rosemary wyszła, Jane zwróciła się do Laurel.

- Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak absurdalnego. Nie możesz wyjść za George'a Graftona.

- Dlaczego nie?

- Doskonale wiesz, dlaczego. Po tym, co zrobił jego brat, jest to tym bardziej niemożliwe. Och, wiem, że nie powiedziałaś mi nawet połowy tego, co się zdarzyło tamtej nocy, ale pewna jestem, że Barton maczał w tym palce. Nie mam pojęcia, jak kapitan Grafion mógł być na tyle bezczelny, by ci się po tym wszystkim oświadczyć.

- Prawdę mówiąc, nie zrobił tego. To właściwie ja mu się oświadczyłam.

- Dlaczego, Laurel? Na miłość boską, dlaczego?

- Lubię go - upierała się. - I zmęczyły mnie ciągle odmowy.

- Lubię! Nie bądź śmieszna, to nie są żarty. Czy to z powodu tych idiotycznych plotek, które krążą po mieście? Jeśli tak, możesz o nim zapomnieć. Wkrótce ludzie przestaną gadać.

- To nie z tego powodu.

Jane wbiła w nią wzrok i zapytała przebiegle:

- Coś się za tym kryje, prawda? To z powodu Jethro Ayishama?

- Nie, oczywiście, że nie - Laurel zaczęła gwałtownie ustawiać filiżanki na srebrnej tacy.

- Laurel, nie kłam. Nie jestem głupia. Widziałam was razem. Jethro miał miłość w oczach, choć próbował to ukryć. Nie odzywałam się, bo nie chciałam się wtrącać, ale teraz muszę. Co się między wami wydarzyło?

- Nic.

275

- Nie poznaję cię - nalegała Jane. - Czy masz coś

przeciwko niemu?

- Nie, mylisz się. To nie moja wina - zaprzeczyła żarliwie Laurel. - Kocham go, poszłabym za nim wszędzie, spełniłabym każde jego żądanie. Ale to Jethro nie chce mnie widzieć.

- Ale dlaczego? Nie wierzę, że mu nie zależy.

- Och, zależy. Zależy bardzo.

Tama została przerwana, a Laurel nie potrafiła zatrzymać potoku słów.

- To się zaczęło w Rzymie, od chwili pierwszego spotkania - nie potrafię tego wytłumaczyć, ale to zawsze we mnie tkwiło. Wtedy nic o sobie nie wiedzieliśmy, nie znaliśmy przeszłości, która tak pogmatwała nasze losy... Och, Jane, gdybyś wiedziała, jaka byłam nieszczęśliwa, jak cierpię teraz. Dlaczego właśnie mnie musiało się to przytrafić? Dlaczego, dlaczego?

Rzuciła się na sofę, rozpaczliwie waląc ręką w poduchę.

Jane przysiadła obok.

- Opowiedz mi wszystko, kochanie. Nie tłamsz tego w sobie. Zawsze łatwiej jest podzielić się z kimś kłopotami.

- Chciałam, Jane - czułam się taka samotna - ale nie miałam odwagi obarczać cię moimi problemami. Widzisz, to wszystko zaczęło się dawno temu, zanim przyszłam na świat. Opowiadałam ci o mojej matce i ojcu Jethro, o jej romansie z kapitanem Rutlandem, moim ojcem, ale nie powiedziałam ci, że poślubiając moją matkę Justin Ayisham ożenił się z własną nieślubną córką.

- Ach, nie! - wykrzyknęła Jane. - To nie może być prawda.

- On o tym nie wiedział, niczego właściwie nie udowodniono, ale gdy umarł w męczarniach na bag-

276

nach, wszystko wyszło na jaw. To był straszny skandal, dlatego mój dziadek zabrał matkę do Włoch.

- Ale jeśli niczego nie udowodniono...

- A jakie to ma znaczenie, jeśli Jethro w to wierzy? Widzisz, Jane, już jako chłopiec cierpiał z tego powodu, w szkole przeżywał męczarnie, pogardę, wyzwiska. Miał przecież macochę nie lepszą od dziwki i ojca splamionego morderstwem i kazirodztwem. Dla niego to rzeczywistość, od której nie potrafi się uwolnić, moja matka była jego przyrodnią siostrą, a ja jestem jego siostrzenicą. Myślałam, że umrę, kiedy dowiedziałam

się wszystkiego od Margaret.

- A więc to Margaret? - zamyśliła się Jane.

- Nienawidzi mnie z powodu Robina, ale to prawda. Musiałam poznać prawdę. Wtedy podjęłam decyzję, którą potem odrzuciłam. To wydarzyło się tak dawno temu, chciałam, aby i on zapomniał... - przerwała na chwilę i dodała śmiało - pamiętasz, jak Moggy złamał sobie nogę w Nowy Rok i pojechaliśmy mu z pomocą? Potem wróciłam z Jethro do Westley...

- Czy zostaliście kochankami? - spytała delikatnie Jane.

- Tak. Wiem, że to błąd, ale niczego nie planowaliśmy, to się po prostu stało. Było cudownie, czułam się taka szczęśliwa, bo wiedziałam, że mnie kocha tak jak ja jego. Ale teraz ... - zasmuciła się. - Teraz pewna jestem, że nienawidzi siebie i mnie za to, co się wydarzyło.

- Nigdy w to nie uwierzę.

Laurel nie uroniła ani jednej łzy. Siedziała wyprostowana, wpatrując się przed siebie.

- Ale on mnie opuszcza, prawda? Ucieka na koniec świata i nie obchodzi go, co się ze mną stanie.

- Wyjeżdża, bo kocha cię nade wszystko - szepnęła Jane.

277

- Chciałabym w to uwierzyć.

- A ty wychodzisz za George'a Graftona, bo chcesz być blisko Jethro.

Nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą, zaprzeczyła więc z całego serca.

- Nie, nie, to nie tak. Nie przyszło mi to nawet do głowy.

- Czyżby? Pewna jestem, że tak. Nie wolno ci tego zrobić, Laurel. To nieuczciwe względem George'a i ciebie samej.

- Obiecałam i nie mogę złamać obietnicy. Uszczęśliwię przynajmniej jednego mężczyznę.

- Jesteś pewna? Myślisz, że się nie połapie, że się nie dowie? i

^

- Nie oszukałam go. Nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham.

- To on okłamuje samego siebie. Jak większość mężczyzn, ale gdy sobie zda sprawę, że się pomylił, cała wina spadnie na ciebie.

- To na nic, Jane. Podjęłam już decyzję i nie zamierzam niczego zmienić.

Słowa Jane nie wywarły na niej żadnego wrażenia. Upierała się przy swym postanowieniu, nawet kiedy lord Palmerston i doktor Townsend próbowali przekonać ją, że dwadzieścia lat to za mało, by podejmować tak pochopną decyzję. Pan Jolly z firmy Jolly, Black i Henderson pokiwał z powątpiewaniem głową i mruknął coś o specjalnej klauzuli w testamencie Sir Joshuy przygotowanej na wypadek takiej sytuacji.

- Proszę robić to, co do pana należy - poleciła prawnikowi Laurel.

- Sporządźcie umowę małżeńską zamrażającą mój

kapitał, jeśli taka była wola dziadka. Kapitan Grafion nie wniesie sprzeciwu.

I choć trudno w to uwierzyć, tak się stało. George, dla którego kiedyś ślub z Laurel oznaczał spełnienie wszystkich ambicji, zapomniał całkowicie o pieniądzach. Zdobył ją, gdy stracił już ostatnią nadzieję i na kilka tygodni przed ślubem uważał się za najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Na początku maja wzięli cichy ślub w kościele Św. Jerzego na Hannover Square. Nieszczęśliwy miesiąc dla nowożeńców, szeptano, gdy podchodzili do ołtarza. George wyglądał tak olśniewająco przystojnie w swym wspaniałym mundurze, że wszystkie młode damy zieleniały z zazdrości. Jane przyglądała im się na małym przyjęciu wydanym przez lorda Pa-Imerstona w Cariton Gardens. Laurel miała na

sobie przepiękną suknię ślubną z błyszczącej satyny, ale nie była sobą. Udawała wesołość, chichotała z byle czego, lecz nadwerężone nerwy zwiastowały rychłe załamanie nerwowe. Kiedy wraz z druhami zniknęła na chwilę, by przebrać się w strój podróżny, Jane zerknęła na Robina. Jego blada twarz wyrażała roztargnienie i rozpacz.

- Dlaczego to zrobiła? - odpowiedział nieoczekiwanie na pozdrowienie Jane. -

Dlaczego, Miss Ashe? Przecież go nie kocha.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- On zawsze chciał tylko jej pieniędzy, wiedziała o tym. Sama mi to mówiła. Uważała, że to zabawne, wyśmiewała się z niego.

- Być może tak było kiedyś, ale ludzie się zmieniają - oznajmiła poważnie Jane. -

Myślę, że kapitan Grafton jest rzeczywiście zakochany.

- Nigdy w to nie uwierzę - ciągnął monotonna Robin. - To wszystko przez tę gorączkę wojenną.

I Laurel dała się w to wciągnąć. Przecież to skończony łobuz... Nie miałbym nic przeciwko, gdyby to był Jet...

- Nie opowiadaj głupstw, Robin. Przecież to nie było możliwe - wyrosła jak spod ziemi Margaret. Poproszono ją na druhenę wraz z Rosemary i Jessiką, ale odmówiła. Jej blada twarz o ostrych rysach otoczona burzą czarnych, lśniących włosów promieniowała z zadowolenia, niczym pyszczyk małego, niebezpiecznego kota zakradającego się do śmietanki.

- Czy wyobrażasz sobie Laurel w roli małżonki zapracowanego doktora?

- Tak - odparowała szczerze Jane. - Bardzo mu pomogła w przychodni.

- To ona tak uważa. Ja słyszałam co innego. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Laurel wyjeżdża, a my wszyscy odetchniemy z ulgą.

- Jak możesz mówić takie ohydztwa - wrzasnął Robin. - Laurel samą swą osobą, tym, że żyje, może uszczęśliwić wiele osób.

- No, to teraz będzie uszczęśliwiać swego męża i pozostałych oficerów podczas podróży do Konstantynopola lub gdziekolwiek - parsknęła złośliwie Margaret.

- Dlaczegoż by nie? To lepsze niż gnębienie ludzi, ale to już twoja domena - odparował mściwie Robin.

- Dlaczego się nie przyznasz, że jej zazdrościsz?

- Zazdrość? O Laurel? - zaśmiała się piskliwie. - To niedorzeczne.

- Tak? Oddałbym wszystko, by z nią tam pojechać.

- Bzdury. Jak? Nie jesteś żołnierzem.

- Zawsze mogę się zgłosić na ochotnika.

- Nie. Wujek Oliver nigdy by na to nie pozwolił

- ogarnięta przerażeniem chwyciła go za ramię.

- Jestem wystarczająco dorosły, by podejmować własne decyzje - zniecierpliwił się, odpychając jej dłoń.

- Na Boga, zostaw mnie w spokoju, Margaret!

Następnego wieczora Laurel i George jedli kolację w paryskim Hotelu Europa. Mieli dla siebie tylko kilka dni. Potem musieli przyłączyć się do ekipy lorda Cardigana i razem wyruszyć do Marsylii, gdzie czekał już statek „Asian Star” płynący do Turcji. Seth i ordynans George'a wyjechali wcześniej z końmi i bagażami.

Podróż z Londynu do Francji nie należała do najprzyjemniejszych. Ich kajuta na promie z Dover była tak mała, tak ciasna i cuchnąca, że Laurel z pulsującym bólem głowy i napiętymi nerwami postanowiła spędzić noc na pokładzie. George przyzwyczajony do kobiecych fanabeń okazał zrozumienie i uprzejmość. Podróż pociągiem z Boulogne do Paryża spędzili na drzemce. W przedziale pierwszej klasy nie było nikogo. Laurel nie bronila się przed pocałunkami George'a i zasnęła z głową na jego ramieniu.

Wszystko się zmieniło. Cieszyły ich wspólne kolacje, kelnerzy czekający na każde skinienie uroczej pary nowożeńców, ale Laurel zdawała sobie sprawę, że George nie jest już radosnym kompanem, posłusznym jej kaprysom. Był jej mężem, a ona jego żoną. Obowiązek, którego podjęła się tak beztrzesko, okazał się nagle ciężarem. Poślubiła go, ale ciało i duszę oddała innemu. Zadrżała, budząc jego niepokój.

- Chyba nie przeziębilaś się tam na łodzi?

- Nie. Czuję się świetnie. Jestem trochę zmęczona, to wszystko.

- Położymy się wcześniej do łóżka. Napijesz się kawy z koniakiem?

- Z przyjemnością.

Liczyła, że to ją uspokoi, jak niegdyś w Rzymie. Zdawało jej się, że minęły wieki, inne życie, a George

281

nie był Ugo Falcone. Postanowiła zapomnieć o przeszłości raz na zawsze.

Kiedy wchodzili po schodach do bogato umeblowanego apartamentu, z trudem opanowała narastającą panikę. Wypakowali niezbędne rzeczy i rozwiesili je w szafie. Na wyprawę do Turcji Laurel wybrała bardzo praktyczne stroje, ale z myślą o kilku dniach w Paryżu nie pożalowała pieniędzy na ekstrawaganckie suknie.

Kiedy George wrócił z łazienki, czesała przed lustrem włosy. W matowym świetle lampy migotały rudozłotym blaskiem. Cienki, jedwabny szlafrok zdobiony koronkami uwydatniał szczupłą figurę i George chwycił głęboko powietrze, wciąż nie mogąc uwierzyć w swe szczęście. Zdobył wreszcie tę delikatną dziewczynę, której pragnął od tak dawna. Podszedł bliżej, otoczył ją ramionami i położył dłonie na jej piersiach. Subtelny zapach perfum odurzył go, musnął ustami po jej włosach i pocałował ją w szyję. Wyjął jej z ręki szczotkę i obrócił do siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem - wymamrotał, szukając jej ust.

Wzdrygnęła się ze wstrętem i przyłgnęła do niego.

- Kochana, kochana! - szeptał, przesuwając ustami po jej szyi, piersiach, dotykając jej ciała, aż w końcu wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Obudziła się bardzo wcześnie, nie rozumiejąc co robi w tym dziwnym łóżku. Wróciła jej pamięć, usiadła gwałtownie, rozglądając się po pustym pokoju. Przeraziła się na moment, ale po chwili pojawił się George, zasuważąc za sobą balkonowe drzwi.



- Co się stało? - spytała szybko. - Coś nie tak?

282

- Wszystko w porządku. Było tak gorąco. Potrzebowałem powietrza.

- To wszystko? Która godzina?

- Po szóstej.

- Za wcześnie na śniadanie. Może wrócisz do łóżka? Przeszedł kilka kroków, nie spuszczać z niej wzroku, trzymając ręce w kieszeniach swego szlafroka.

- Pewna jesteś, że chcesz mnie przy sobie?

- Oczywiście. Co za dziwaczne pytanie? George wiedział, jak postępować z kobietami, ale nie był brutalnym. Nigdy nie kochał się z dziewczyną wbrew jej woli. Doskonale znał różnicę między biernym posłuszeństwem a płonąca namiętnością. Laurel rozczarowała go gorzko, uraziła jego dumę.

- Nie zależy ci na mnie, prawda?

- Co za głupie pytanie. Przecież wyszłam za ciebie.

- Tak. I zaczynam się zastanawiać dlaczego. Kogo naprawdę kochasz, Laurel?

Próbowała zbyć jego pytanie.

- Och, George, nie męcz mnie. Ja też cię mogę zapytać o te wszystkie kobiety, które ci się podobały. Zapomnijmy o przeszłości. Zaczynamy razem nowe życie.

- I dlatego podczas pierwszej nocy odwróciłaś się ode mnie?

- Przepraszam - usprawiedliwiła się szybko. - Musisz być cierpliwy...

- Cierpliwy, o tak - ciągnął - nawet jeśli we śnie szepcesz czyjeś imię. Kto to jest, Laurel, kto? Odwróciła głowę.

- Nikt.

Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Niech cię diabli, nie uciekaj przede mną. Mnie nie oszukasz. Żonaty, prawda? A może mu nie zależy?

- Jego głos nabrął skrajnej goryczy. - Dlaczego tak niespodziewanie zgodziłaś się na ślub? Jesteś w ciąży?

283

nie byłUUGo Falcone. Postanowiła zapomnieć o przeszłości raz na zawsze.

Kiedy wchodzili po schodach do bogato umeblowanego apartamentu, z trudem opanowała narastającą panikę. Wypakowali niezbędne rzeczy i rozwiesili je w szafie.

Na wyprawę do Turcji Laurel wybrała bardzo praktyczne stroje, ale z myślą o kilku dniach w Paryżu nie pożalowała pieniędzy na ekstrawaganckie suknie.

Kiedy George wrócił z łazienki, czesała przed lustrem włosy. W matowym świetle lampy migotały rudozłotym blaskiem. Cienki, jedwabny szlafrok zdobiony koronkami uwydatniał szczupłą figurę i George chwycił głęboko powietrze, wciąż nie mogąc uwierzyć w swe szczęście. Zdobył wreszcie tę delikatną dziewczynę, której pragnął od tak dawna. Podszedł bliżej, otoczył ją ramionami i położył dłonie na jej piersiach. Subtelny zapach perfum odurzył go, musnął ustami po jej włosach i pocałował ją w szyję. Wyjął jej z ręki szczotkę i obrócił do siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem - wymamrotał, szukając jej ust.

Wzdrygnęła się ze wstrętem i przyłgnęła do niego.

- Kochana, kochana! - szeptał, przesuając ustami po jej szyi, piersiach, dotykając jej ciała, aż w końcu wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

\* \* \*

Obudziła się bardzo wcześnie, nie rozumiejąc co robi w tym dziwnym łóżku. Wróciła jej pamięć, usiadła gwałtownie, rozglądając się po pustym pokoju. Przeraziła się na moment, ale po chwili pojawił się George, zasuwając za sobą balkonowe drzwi.

- Co się stało? - spytała szybko. - Coś nie tak?

282

- Wszystko w porządku. Było tak gorąco. Potrzebowałem powietrza.

- To wszystko? Która godzina?

- Po szóstej.

- Za wcześnie na śniadanie. Może wrócisz do łóżka? Przeszedł kilka kroków, nie spuszczać z niej wzroku, trzymając ręce w kieszeniach swego szlafroka.

- Pewna jesteś, że chcesz mnie przy sobie?

- Oczywiście. Co za dziwaczne pytanie? George wiedział, jak postępować z kobietami, ale nie był brutalnym. Nigdy nie kochał się z dziewczyną wbrew jej woli. Doskonale znał różnicę między biernym posłuszeństwem a płonąca namiętnością. Laurel rozczerowała go gorzko, uraziła jego dumę.

- Nie zależy ci na mnie, prawda?

- Co za głupie pytanie. Przecież wyszłam za ciebie.

- Tak. I zaczynam się zastanawiać dlaczego. Kogo naprawdę kochasz, Laurel?

Próbowała zbyć jego pytanie.

- Och, George, nie męcz mnie. Ja też cię mogę zapytać o te wszystkie kobiety, które ci się podobały. Zapomnijmy o przeszłości. Zaczynamy razem nowe życie.

- I dlatego podczas pierwszej nocy odwróciłaś się ode mnie?

- Przepraszam - usprawiedliwiła się szybko. - Musisz być cierpliwy...

- Cierpliwy, o tak - ciągnął - nawet jeśli we śnie szepczesz czyjeś imię. Kto to jest, Laurel, kto? Odwróciła głowę.

- Nikt.

Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Niech cię diabli, nie uciekaj przede mną. Mnie nie oszukasz. Żonaty, prawda? A może mu nie zależy? - Jego głos nabrął skrajnej goryczy. - Dlaczego tak niespodziewanie zgodziłaś się na ślub? Jesteś w ciąży?

283

- Nie - wpadła w złość. - Jak śmiesz tak do mnie mówić? Ja nie oszukuję.

Wbił w nią wzrok. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Pragnął chwycić ją w ramiona, zadać jej ból, kochać się z nią namiętnie, ale wiedział, że jeśli to uczyni, zabije odrobinę uczucia, jakim go darzyła.

Laurel odezwała się cicho.

- Powiedziała ci, że bardzo cię lubię, George. To prawda...

- O, Chryste. Co to znaczy? Wierzyłem ci, miałem nadzieję...

Przypomniała sobie słowa Jane i zdała sobie sprawę z popełnionego głupstwa. Nie chciała tego, nie wiedziała, jak naprawić swój błąd. Podciągnęła się na kolana i objęła go za szyję.

- Wynagrodzę ci to, George. Przysięgam. Mam pieniądze, zabawimy się...  
- Pieniądze! - warknął. - Myślisz, że tego chcę. Nie jestem Bartonem. Do diabła z twoimi przeklętymi pieniędzmi!  
- Nie złość się, George. Błagam cię, nie złość się. Spojrzał na jej piękną twarz, łyzy w fiołkowych oczach i przeklął się za własną naiwność, która wpędziła go w tę pułapkę. Odrzucił ją silnie i odszedł.  
- Zamówię śniadanie - oznajmił. - Mamy tylko dwa dni do przyjazdu Cardigana. Wykorzystajmy je jak najlepiej.

Dwa tygodnie później Laurel stała obok George'a na pokładzie, kiedy „Asian Star” wpływał wolno w cieśninę Bosfor. Było bardzo gorąco i tylko delikatny wietrzyk muskał jedwabny szal na jej ramionach. Prawdziwa wojna jeszcze tu nie dotarła. W Marsylii odniosła wrażenie, że udają się na piknik. Francuzi sprawili im wspaniałe pożegnanie, ofiarowując kosze z owocami, skrzynie pełne wina i bukiety kwiatów. Teraz po drugiej stronie brzegu, w lekkiej mgie majowego wieczoru, wyrastał Konstantynopol; czarujące miasto, raj kolorowych domów, białych kopuł i zdobionych minaretów wymieszanych z barwnymi kwiatami i krzewami na tle morza i wysokich, ciemnych cyprysów. To było tylko złudzenie, krótkotrwała iluzja, ale Laurel uległa magii chwili i poczuła dreszczyk podniecenia, kiedy dłoń George'a dotknęła jej dłoni.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się - na dobre i złe.  
Po pierwszej wspólnie spędzonej nocy zawarli pokój, a gdy tylko przyłączyli się do lorda Cardigana i jego ekipy, George był tak zajęty, że na intymne spotkania nie było czasu. Cardigan to dziwny człowiek, pomyślała Laurel, dobiegał sześćdziesiątki, ale wciąż był przystojny, szczupły, długonogi. Wymagający służbis-ta wobec swych podwładnych, zawiadaczający szarmanckimi wobec kobiet. George denerwował się i bawił jednocześnie, kiedy widział, jak łatwo ulegał wdziękom Laurel, gdy grała na poobijanym pianinie w okrętowym salonie i śpiewała sentymentalne, włoskie ballady. Cardigan podkręcał wtedy węża i rzucał jej zabójcze spojrzenia.

- Nie ufaj mu - poradził jej pewnej nocy w kabinie. - Nie ciesz się najlepszą opinią.  
- Co takiego zrobił? Oczarował kilka wiejskich dziewczek? Nie bądź głupi, George. Przecież chcemy, aby stanął po naszej stronie. To może się przydać.  
- Nie chcę, aby moja żona pomagała mi w robieniu kariery.  
- Nie myślałam o tobie, ale o sobie - zachmurzyła się Laurel.  
Już wtedy wiedziała, że żony oficerów nie były tolerowane w armii, a nie chciała, by oddzielono ją od George'a i pozostawiono z nudnymi, gderającymi kobietami w jakimś dusznym hotelu Konstantynopola lub zapluskwanym apartamencie.  
George zdawał sobie sprawę, że jest obiektem zazdrości wszystkich mężczyzn na pokładzie, mając za żonę kobietę piękną i bogatą, choć nadal czuł się oszukany. Podczas całej podróży zbliżyli się do siebie tylko raz. Jako kawalerzysta przyzwyczajony był do transportu koni drogą morską, ale Laurel doznała szokującego odkrycia. Gdy tylko „Asian Star” wypłynął z Marsylii, natychmiast udała się do ładowni, gdzie trzymano Lucyfera i Browne. W ciemnościach dostrzegła jedynie szeregi boksów, w których stały konie zabezpieczone linami i pasami. Odurzający skwar wymieszany z oparami amoniaku i ostrym odorem octu przyprawiał ją o mdłości, ale nie zwolniła kroku, dopóki nie znalazła Seta z Lucyferem i Brow-niem.

Każdy przechył statku rzucał ich w przód, ciskając o koryta. Przychodziła tu każdego dnia, uspokajając je i klepiąc po grzbietach. Prawdziwy horror rozpoczął się wraz z nadejściem sztormu.

Kiedy statek mijał greckie wyspy, wpływając na Morze Egejskie, rozszalała się wichura. Laurel położyła się wcześniej do łóżka, gdy nagle gwałtowny wstrząs

286  
rzucił ją na środek kabiny, z półek spadały bagaże, pudła i przybory toaletowe. Podniosła się z podłogi i w pierwszej chwili pomyślała o koniach. Narzuciła na siebie płaszcz i po omacku ruszyła w stronę boksów, przewracając się kilkakrotnie, to znów się podnosząc, mocno uczipiona lin, chłostana strugami deszczu. W ładowni rozgrywały się istic piekielne sceny. Przerażone konie wierzgały zadem i stawały dęba. Ich szalone, ogłuszające ryki mieszały się z okrzykami ludzi próbujących je uspokoić. Niektóre z nich padały na podłogę, pociągając za sobą inne. Seth polewał nozdrza Lucyfera octową wodą.

- Nie powinna była pani tu przychodzić, Madam - krzyknął do Laurel - to zbyt niebezpieczne. Proszę wracać natychmiast, zanim coś się stanie.

- Nie. Chcę ci pomóc - odkrzyknęła. Lucyfer wyczuł, że była blisko i parsknął podniecony. Przepchnęła się do niego, wypowiadając swe magiczne słowa otuchy. Stajenni ze zdziwieniem obserwowali małą, przemoczoną postać przesuwaną się bez strachu między przerażonymi, wierzgającymi bestiami, cudem unikającą ich twardych kopyt. George, przeszukawszy cały statek znalazł ją uczipioną grzywy Lucyfera i szepcząc mu do ucha tajemnicze słowa miłości. Kategoriecznie odmówiła powrotu do kabiny, więc został z nią, ciesząc się jej niezwykłym towarzystwem, szczęśliwy, że choć trochę może ulżyć cierpieniom biednych zwierząt, które tak wspólnie kochali.

Opuścili statek przy drewnianym moło w Scutari, po azjatyckiej stronie Bosforu. Ziemia była popękana, nierówna, pokryta śmieciami i odpadkami, gdzieś wznosiły się poszarpane namioty z zasłonami ze starych worków. Tu żony kawalerzy stów próbowały znaleźć schronienie. Dokoła, na małych ogniskach

287

gotowały się kociołki, dzieciaki wpatrywały się nieruchomo w nowych przybyszów, niemowlęta płakały, a bezpańskie, wygłodniałe psy czyhały na resztki jedzenia.

- Czy nie ma dla tych kobiet lepszego miejsca - spytała zaszokowana i wyczerpana Laurel. - Dlaczego nikt nie pomyślał o właściwym zakwaterowaniu?

George wzruszył ramionami.

- Pułk zapewnia im podróż, jeśli chcą towarzyszyć swym mężom. Potem zdane są tylko na siebie.

- Przecież to nieludzkie.

- Takie są pr/episy wojskowe.

Niedaleko od nich migotał w zachodzącym słońcu okazały, trzypiętrowy budynek otoczony wysokimi wieżami.

- Co to za pałac? Czy nie mogą tam zamieszkać?

- Kiedyś był to jeden z pałaców sułtana, teraz służy za koszary - rzucił lakonicznie George, zaaferowany przeglądem bagażu i załatwianiem transportu koni z Sethem i swoim ordynansem.

Postanowił także wynająć kaik od hałaśliwych, żywo gestykulujących przewoźników. Weszli do wąskiej, rzeźbionej łodzi i choć poduchy były brudne, a purpurowa koszula i bryczesy przewoźnika poplamione, to jego wesołe, czarne oczy i złote kolczyki w uszach miały w sobie coś romantycznego. Uśmiechał się z podziwem do Laurel, kiedy płynęli po błyszczącej wodzie do starożytnego miasta.

Brakowało kołowego transportu, ale jakimś cudem George zdobył zdezelowany powóz i zabrał ją do hotelu d'Angleterre, gdzie mieszkało już kilka angielskich dam. Hotel, podobnie jak i całe miasto, raził krzykliwą tandetą. Zajęli elegancką sypialnię wyłożoną czerwonym pluszem i złoceniami, ale Laurel obudziła się w środku nocy, słysząc pisk szczurów grasujących

288

po ich bagażu. Pościel pokrywały stada pluskiew, a o świcie armia karaluchów popędziła na poszukiwanie bezpiecznych szpar i szczelin.

George wyszedł o brzasku na służbę, zostawiając Laurel w towarzystwie oficerskich żon. Wysłuchawszy ich narzekań na upał, jedzenie, twarde łoża, muchy, pchły, zuchwalstwo tureckiej służby, smród i niemożność zdobycia żelazka do wyprasowania wygniecionych sukien, Laurel podjęła dwie decyzje:

nigdy nie skarżyć się na najgorsze nawet warunki i wyjechać z George'em na wyprawę wojenną, nie zważając na kurz i upał, byle jak najdalej od tego przygnębiającego towarzystwa. Po śniadaniu, ubrana w najchłodniejszą suknię z lawendowego muślinu i szeroki kapelusz, uzbrojona w białą parasolkę, wyruszyła na zwiedzanie

Konstantynopola. Ku własnemu przerażeniu odkryła, że baśniowe miasto nocy było jedynie iluzją. Malowane domy rozpaczliwie domagały się naprawy; wąskie, cuchnące alejki straszyły dziurami. Dokoła wznosiły się sterty nieczystości i zwłoki szczurów, psów, kotów, a nawet osła. Panował nieznośny skwar, ścisk i wrzawa. Turcy z zacięciem gapili się na szczupłą Angielkę w chłodnych muślinach, tak inną od otyłych, za-woalowanych Turczynek w ciężkich, ciemnych dra-periach. Wytrzymałym na brud i nędzę miasto oferowało sklepiki pełne wschodnich jedwabów, fascynującej biżuterii i przeróżnych osobliwości. Nie miała odwagi zatopić się w mrocznym bazarze, ale sam rynek otoczony był piramidami smakowitych owoców i barwnych kwiatów. Kiedy George powrócił wieczorem, wyczerpany i spocony w ciężkim mundurze, zastał pokój przepelniony aromatem róż. Laurel, wystrojona na przyjęcie w ambasadzie przypinała właśnie bukiet szkarłatnych różyczek do stanika

289

białej sukni z jedwabiu. Falbaniaste halki na szerokiej krynolinie podpięła kokardami ze srebrnej wstążki.

- Może być? - zapytała, dygając lekko.

- Ależ tak. Żona ambasadora i jego córki wydrapią ci oczy - uśmiechnął się.

- Dobrze. Chcę, abyś był ze mnie dumny.

- Więc trochę ci na mnie zależy - wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie.

- Troszeczkę - odcięła się. - Nie teraz. Musisz się wykąpać i przebrać. W przeciwnym razie spóźnimy się, a lord Cardigan ze swą manią punktualności wpadnie we wściekłość.

Lord Stradford de Redcliffe, ambasador na dworze sultana, należał do ludzi bogatych i prowadził wielko-pańskie życie. Dokoła jego wspaniałego pałacu roztaczały się tarasowe ogrody z mirtem, azaliami i mozaiką pachnących krzewów. Z gigantycznych doniczek wysypywały się kaskady róż i pnączy. Niełatwo było zdobyć zaproszenie na przyjęcie wydane na cześć lorda Cardigana i lorda Lucana, szwagrów, choć jak głosiła plotka, raczej śmiertelnych wrogów. Ci, którzy nie zostali zaproszeni, z goryczą obserwowali, jak George wsadza Laurel do lektyki, nieco staroświeckiego środka transportu, ale bardzo popularnego w mieście, gdzie powozy należały do rzadkości. Gdy u boku George'a weszła do sali balowej, wszystkie głowy obróciły się w jej stronę. Dygnęła przed gospodarzem, a jej rude włosy migotały złotem w świetle okazałych żyrandoli. Naczelnym Dowódcą Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, podstarzały lord Raglan, który stracił ramię w czasie bitwy pod Waterloo, przywitał ją uprzejmie i już po chwili oficerowie jego sztabu z Cardiganem na czele obiegli ją, prosząc choć o jeden taniec. Spojrzała uroczo na George'a, czekając na pozwolenie, a on zgodził się

290

niechętnie, widząc pożądanie w oczach innych mężczyzn, przepojony zazdrością, która do tej pory była mu obca. Gdyby tylko mógł jej zaufać!

Od dnia ślubu Laurel próbowała wyrzucić Jethro ze swych myśli, ale w chwili gdy dotarli do Turcji, zaczęła lustrować każdą twarz na zatłoczonych uliczkach i nawet teraz, choć się do tego nie przyznawała, jej oczy szukały wśród zaproszonych gości wysokiej postaci o czarnych włosach. Spotkała go zupełnie przypadkowo. Wyszła, by podpiąć falbankę zerwaną przez ostrogę partnera w skocznym mazurku i kiedy wracała długim, białym korytarzem obwieszonym girlandami bluszczu i szkarłatnym pnączem, mężczyzna przed nią wydał się dziwnie znajomy. Zatrzymał się przy drzwiach, by ją przepuścić. Jethro. Miał na sobie prosty, granatowy mundur służbowy oficera Korpusu Medycznego. Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zaskoczenie na jego twarzy zmieniło się w srogą minę.

- Laurel, co tu robisz u diabła?

- Towarzyszę mojemu mężowi.

- Mężowi? - chwycił głęboko powietrze. - Nic nie rozumiem...

- Nie wiesz? Myślałam, że Rosemary opowiedziała ci wszystko. Na początku maja poślubiłam George'a Graftona.

- Dlaczego, na Boga, dlaczego?

- Sam to zaproponowałaś. Nie pamiętasz?

- George Grafton, litości! Nie kochasz go przecież. To niemożliwe - ogarnął go nieuzasadniony gniew.

- Bardzo go lubię - szepnęła.

- A on, jak mi się wydaje, przywiózł cię tu ze sobą. Nie ma prawa tak postępować, żadnego prawa.

- Wprost przeciwnie - odparła chłodno. - Jest moim mężem i jestem gotowa towarzyszyć mu wszędzie.

291

w

Jethro otworzył drzwi i weszli do małego przedsionka z boku sali balowej.

- Nie masz pojęcia, co tu się może wydarzyć - zirytował się. - Czy myślisz, że tak właśnie wygląda wojna

- przyjęcia, bale i pikniki? Mylisz się - wojna to brud, krew, choroby i śmierć.

- Rozumiem - nie poddawała się. - Nie musisz mi tego tłumaczyć. Nie jestem sama. Są i inne kobiety.

- Czekają na sensacje, słodkie idiotki. Dla nich to wymarsz ołowianych żołnierzyków na bitwę jak w dziecięcej zabawie - podniósł głos. - Wspaniałe przyjęcie w pałacu ambasadora okraszone krótką bitwą, jakie to ekscytujące.

- Nie mam pojęcia, dlaczego cię to denerwuje. Przecież sam zostałeś zaproszony do pałacu.

- Nie dla własnej przyjemności, zapewniam cię. Jestem tu tylko w jednym celu: przekonać sztab ambasadora, by zrobił coś z koszarami w Scutari.

- Widziałam je, kiedy tu przybyliśmy - zdziwiła się.

- O co ci chodzi? To takie piękne miejsce.

- Rzeczywiście piękne! - powtórzył z sarkazmem.

- Pałac sułtana przypominający dół kloaczny. Obejrzałem go wraz z moimi współpracownikami. Czy zdajesz sobie sprawę, że od lat nikt tam nie sprzątał? Podłogi pokryte są grubą warstwą brudu i gnijących odpadków, ściany rozpadają się od wilgoci, szczątki zwierzęce, szczury i robactwo mieszają się ze stosami śmieci, a zatkanie od stu lat ścieki wydzielają trujące wyziewy w całym budynku. Trudno opisać panujący tam fetor, a przecież to ma być nasz główny szpital dla kalek i rannych. W tych murach zdrowy człowiek może przeżyć kilka dni, chory - parę godzin.

- Czy nie można tego oczyścić? - szepnęła przerażona.

- Na to potrzeba armii, a nikt tu i gdziekolwiek indziej nie uważa, że jest to sprawa pierwszorzędnej

292

wagi wymagająca przemyślenia. Poczekają, aż urosnie sterta martwych ciał, a potem wykopią głębokie doły na zwłoki. Nikt się nie kwapi, aby zdobyć niezbędne pełnomocnictwa.

W swym gniewie zapomniał na chwilę o jej obecności, ale przerwał, widząc jak bardzo jest zaszokowana.

- Przepraszam, Laurel. Nie powinienem ci tego opowiadać, ale od tygodnia walę do wszystkich drzwi, lecz nikt nie słucha, nikogo to nie obchodzi.

Nie zrozumiała wszystkiego, ale dostrzegając jego frustrację, wyciągnęła instynktownie dłoń.

- Musi być jakieś wyjście...

- Jeśli tak, niech Bóg pomoże mi je znaleźć, zanim będzie za późno - zachmurzył się. Przyciągnął ją do siebie.

- A teraz muszę pomyśleć o tobie. Nie zostawaj tu, Laurel. Wracaj do Anglii.

- Nie.

- Musisz - nalegał gwałtownie. - To niedorzeczne. Jaki tu z ciebie pożytek?

- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę.

- Nie dopuszczam myśli o tym, co cię tu może spotkać. Proszę, Laurel, wysłuchaj mnie...

Stała tak blisko niego. Chciała się odsunąć, ale nie mogła. Magiczne zaklęcie trwało nadal, dotyk jego dłoni rozpałił w niej krew. Pochyliła się w jego stronę, gdy nagle otworzyły się drzwi i pojawił się George z dwójką swych kompanów. Dostrzegł ich bliskość, choć Jethro natychmiast puścił jej rękę. Podszedł bliżej, panując nad głosem.

- Laurel, czy ja znam tego dżentelmena?

- Spotkaliście się kiedyś - rzekła niepewnie. - To Jethro Ayisham. Pracuje w Korpusie Medycznym. George przesunął wzrokiem po skromnym mundurze.

- Ach, tak. Pamiętam. Chirurg, o ile się nie mylę. Cóż, sir, będzie pan miał pełne ręce roboty, kiedy

293

oddziały ruszą do akcji. - Odwrócił się do Laurel. - Chodź, kochana. Szukałem cię wszędzie. Lord Rag-lan właśnie nas opuszcza. Chwycił ją za ramię, ale Jethro powstrzymał go.

- Kapitanie Grafton, próbowałem nakłonić pańską żonę do powrotu do Anglii. Wojna w kraju takim jak ten to nie miejsce dla tak młodej damy.

- Rzeczywiście. Kiedy będę potrzebował pańskiej rady, doktorze Ayisham, na pewno się do pana zgłoszę.

- Jest pan tu od niedawna - nalegał - i nie ma pan pojęcia o koszmarnych warunkach socjalnych, a te wkrótce jeszcze się pogorszą.

- Nie wpadam łatwo w panikę - odparł chłodno George. - I sam potrafię najlepiej ocenić postępowanie mojej żony. Idziemy, Laurel.

Pociągnął ją za rękę i wyprowadził z pokoju, pograżając Jethro w rozpacz. Nie miał prawa do zazdrości, a jednak czuł, że pragnie nie tylko uchronić ją przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, niewygodą i chorobami. W głębi duszy marzył, by rozstała się z człowiekiem, którego wybrała na męża.

W drodze do hotelu George nie odezwał się ani słowem, a gdy przygotowywali się do snu, wymieniając ploteczki z przyjęcia popadł w dziwnie niespokojny nastrój. Było gorąco i duszno jak przed burzą. Laurel z ulgą ściągnęła balową suknię i halki, wślizgując się w chłodny batyst nocnej koszuli. George narzucił szlafrok, nalał sobie kieliszek brandy i odstawił go. Podszedł do okien i otworzył je szeroko na czarne, bezgwiazdne niebo. Gdzieś w oddali rozległ się głuchy grzmot.

- Czy już pada? - spytała.

- Nie, jeszcze nie. Ochłodzi się po deszczu. Dostaliśmy już rozkazy - zmienił temat. - Armia wyrusza do Warny. To mały port w Bułgarii, nad Morzem Czarnym - jakieś sto trzydzieści mil stąd.

- Kiedy jedziesz?

- Pojutrze. Popłyniemy morzem. Konie i bagaże wypływają jutro.

- W takim razie płynę z tobą.

George obrócił się.

- To może być niemożliwe. Oba skrzydła kawalerii podlegają dowództwu lorda Lucana, a ten zabronił wyjazdu wszystkim żonom oficerów.



- W takim razie pójdę do lorda Cardigana - zapewniła. - Nienawidzi swego szwagra, zwłaszcza teraz, kiedy oficjalnie podlega jego rozkazom. Zrobi wszystko, by go zirytować, nawet w tak drobnej sprawie jak ta. Zobaczysz, wysłucha mnie, a jeśli nie, to i tak pojedę. Nic mnie nie powstrzyma, nawet jeśli będę musiała wynająć konie i przebyć samotnie sto trzydzieści mil.

George zmusił się do uśmiechu, słysząc zapał w jej głosie i odezwał się cicho:

- Długo nad tym myślałem. Być może byłoby lepiej, gdybyś wróciła do domu.

Rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie miałem pojęcia, w jak trudnych warunkach przyjdzie ci żyć.

- To żaden powód. Czy uważasz, że przebyłam tak długą drogę tylko po to, by przy pierwszej niewygodzie zwinąć manatki i wziąć nogi za pas? Wszyscy pękaliby ze śmiechu - przerwała, wpatrując się w jego twarz.

- To z powodu słów Jethro?

- Być może.

Nagle nie wytrzymał i stracił nad sobą panowanie.

- Ten przeklęty doktorek jest w tobie zakochany, prawda?

- Nie...

- Nie kłam, Laurel. Nie jestem ślepy. Widziałem was razem. Czy to z jego powodu wyszłaś za mnie? Czy szukałaś wymówki, aby tu do niego przyjechać?

- Nie, mylisz się.

Odwróciła głowę, ale dwoma susami znalazł się przy jej boku i objął dłońmi jej twarz.

- Myle się? Tak? Odpowiedz mi, Laurel? Nagle ujrzeni blask błyskawicy i usłyszeli grzmot pioruna. George wpadł we wściekłość. Ścisnął jej ramiona i boleśnie zanurzył palce w delikatnej koszuli.

- Byliście kochankami, prawda? Próbowła się wyrwać.

- Puść mnie. Sprawiasz mi ból.

- Niech cię diabli, odpowiedz. Chcę znać prawdę. Przekroczył wszelkie granice i uderzył ją w twarz. Sponiewierana, położyła dłoń na posiniaczonym policzku i padła na łóżko. Burza przybierała na sile. W świetle błyskawicy ujrzała jego twarz. Łomot pioruna wstrząsnął całym budynkiem. Jej oczy błyszczały wyzywająco.

- Tak, kochaliśmy się, tylko raz, aleja go kocham, słyszysz, kocham go, kocham...

- Masz śmiałość mi to mówić...

- Chciałeś prawdy, teraz ją znasz. Rób, co ci się podoba.

- O mój Boże!

Patrzył na nią, targany wątpliwościami i zazdrością, przerażony własnym postępkiem. Żałował, że zabrał ją ze sobą.

- Jeśli tak jest - wydusił z siebie - dlaczego poślubiłaś mnie, a nie jego?

- Są powody...

296

- Jakie powody?

- Nie mogę ci powiedzieć. To osobista sprawa...
- Mam prawo je znać.
- Nie.

Wzburzenie znów dało o sobie znać.

- I co u diabła teraz zrobimy? Usiadła, dumnie podnosząc głowę.
- Nic się nie zmieni. Jestem twoją żoną, George i jadę z tobą do Warny lub gdziekolwiek. Dzielę z tobą życie, na dobre i na złe, nawet jeśli ci się to nie podoba.
- Mówisz poważnie?
- Tak.

Popatrzył na nią przez moment. Na zewnątrz szalała burza, błyskawice i pioruny, a do pokoju przez otwarte okno wlewały się strugi deszczu. Miotły nim sprzeczne uczucia, pasja miłości i chorobliwa zazdrość. Zrzucił szlafrok i chwycił ją w ramiona.

Krzyknęła, ale nie zwrócił na to uwagi. Tej nocy kochał ją szaleńczo, próbując wymazać z jej pamięci myśl o innym mężczyźnie. Nie stawiała oporu. Kiedy leżał wyczerpany trzymając ją cichą i spokojną w ramionach, wiedział, bliski rozpaczy, że choć posiadał jej ciało, nigdy nie zdobył jej duszy.

\* \* \*

Pod koniec sierpnia słońce paliło swymi promieniami Meni-Bazaar, suchą, pozbawioną drzew równinę na którą przeniosła się armia w daremnej ucieczce przed cholera siejącą spustoszenie w Warnie. Lord Cardigan, który wiedział, jak zadbać o własną wygodę rozstawił swój namiot pośrodku małej oazy otoczonej drzewami, ze źródłem zimnej wody. Dwa wielkie namioty dla jego kucharzy, stajennych i służących zajęły prawie cały zacieniony teren. Seth ustawił

297

zielony namiot George'a na pagórku, a z pniaków i gałęzi stworzył swoiste schronienie przed prażącym słońcem.

To tu przysiadła pewnego popołudnia Laurel. Podpięte klapy namiotu wpuszczały odrobinę świeżego powietrza. Otworzyła paczkę żywnościową od Jane, która dotarła do nich po wielu trudach. Starannie zapakowana przez firmę Fortnum i Mason zawierała herbatę, kawę, kakao, czekoladę, cukier, ser i herbatniki. I choć peklowana szynka, podobnie jak bażant, zjełczała, cała reszta okazała się wspaniałym uzupełnieniem monotonnej diety opartej na solonej wieprzowinie, kościstych kurczakach i jęczmiennym chlebie, twardym jak skała. Były i listy, krótki od Jane, gruby pakiet od Rosemary i mała paczuszka. Zadrzała na widok charakteru pisma i odłożyła ją na bok. Zagłębiła się w lekturze, zastanawiając się, czy ci, którzy pozostali w domu, mieli pojęcie jak spędziła ostatnie trzy miesiące.

Lord Cardigan nie zawiódł jej zaufania. Wściekły na samą myśl o wypełnianiu samowolnych rozkazów swego szwagra, z dziecinną radością zignorował jego sprzeciw i Laurel wsiadła na statek, witana uśmiechami i radosnymi okrzykami oficerów. Tylko nieliczne kobiety odważyły się stawić czoła niewygodom i choć George nie odezwał się ani słowem, wiedziała, że jest z niej dumny. Doskonale pamiętała ich pierwszą noc w Warnie; prześliczny, biały dom, w którym się zatrzymali. Wraz z zapadnięciem ciemności rozpoczął się prawdziwy horror. Na dźwięk odgłosów przypominających szmer deszczu zapalili w pośpiechu świecę, odkrywając potężną armię robactwa wylazącą z podłogowych klepek, atakującą łóżko

i pościel, opadającą ze ścian i sufitu. Nic z wyjątkiem światła nie było w stanie ich odstraszyć, więc tej nocy, jak opowiadała chichocząc Laurel, wyglądali jak królewskie zwłoki

298

wystawione na widok publiczny, otoczone świecami. Następnego dnia George wysłał Seta po namioty i obozowy sprzęt. Zdziwiająco szybko przyzwyczaili się do twardego, prostego życia. Największy problem stanowiły konie. Jedynym praktycznym schronieniem był specjalnie wykopany dół, gdzie stały uwiązane z wilgotnymi bandażami na oczach i szmatami na grzbietach chroniącymi przed dokuczliwymi muchami. Pewnej nocy obudziło ją kopanie i rumor dochodzący od strony parowu. Brownie zdechł z wyczerpania i Laurel gorzko opłakała jego śmierć, ale Lucyfer ocalał, więc każdego ranka i wieczora, kiedy było chłodniej objeżdżała na nim obozowisko. Dla żołnierzy, znudzonych i przygnębionych w tym skwarowym, zakurczonym miejscu Laurel była jak maskotka, zwiastun szczęścia i pomyślności. Pozdrawiali ją serdecznie, oferując nieśmiało drobne podarunki:

dojrzałą brzoskwinie, kilka twardych jabłek, naręcz róż z tureckiego ogrodu.

Pierwsze tygodnie w obozie przypominały desperacką walkę o przetrwanie i Laurel nigdy nie dałaby sobie rady, gdyby nie Poiły Cobb. Poiły była radosną dziewczyną z londyńskiego East Endu, żoną szeregowca Cobba, wielkiego, niezdarnego młodzieńca, prawie niemego, ale pracowitego i podobnie jak Seth, zakochanego w koniach.

Małeńka Poiły, energiczna i nieugięta, gadała za ich dwoje. Domagała się bezwzględnie, aby jej mąż otrzymał lepsze zakwaterowanie i lepsze wyżywienie niż pozostali kawalerzyści i nic nie było w stanie jej zrazić. Dzień, w którym ujrzała Laurel zmagającą się bezradnie z tabunem wielkich, czerwonych mrówek niszczących wszystko po drodze, stał się zaczątkiem ich trwałej przyjaźni.

- Gorąca woda, madam, tylko gorąca woda, dużo wody. Nie powstrzyma ich na długo, ale dzień lub dwa to też nieźle. Pomogę pani. Ja się na tym znam, robiłam

299

to wcześniej. A ten tam - wskazała głową na obóz Cardigana - nie dba o ludzi, nawet jeśli mrówki zjedzą ich żywcem!

Rozprawiła się z mrówkami i popatrzyła na chaos, z którym mężnie radziła sobie Laurel.

- Pani powie słowo, a przyjdę pomóc, w praniu lub czymkolwiek. Mój Fred świata nie widzi poza kapitanem i panią, madam. Popatrz, mówi do mnie którejś nocy, popatrz, ta śliczna dama chciała tu przyjechać, nie po to, by się pokazać jak inne...

Poiły odmawiała przyjęcia zapłaty, ale z wdzięcznością akceptowała smakołyki z paczek żywnościowych, trochę herbaty i kakao, pół butelki starannie przechowywanego wina. Kiedy ponure widmo cholery przetoczyło się przez obóz, zgony stały się tak częste, że zabroniono wojskowych pogrzebów, a ofiary grzebano potajemnie nocą, Laurel przyjęła to ze stoickim spokojem, pomagając tym, którzy potrzebowali pomocy. Wtedy właśnie przypomniała sobie słowa Jethro wypowiedziane w przytułku.

Gdybym tylko zdołał nauczyć tych biedaków, jak ważna jest czystość - mówił. - Nie wyleczy ona choroby, ale pozwoli opanować infekcję. Gdyby zawsze gotowali wodę,

nie jedli surowych potraw, niemytych warzyw i owoców. Nie wiem jeszcze, dlaczego tak się dzieje, ale z pewnością zapobiega to rozszerzaniu się choroby.

Skrupulatnie przestrzegała tych prostych zasad, wymuszając podobną higienę na Poiły. Na początku częsta śmierć budziła jej przerażenie. Zdrowi, silni mężczyźni umierali nagle, niespodziewanie. Z niepokojem żegnała George'a każdego ranka, ale szybko nauczyła się z tym żyć. W przeciwnym razie groziło jej załamanie nerwowe i ucieczka do domu, a tego, zgodnie z własną przysięgą, nie mogła zrobić.

300

Ułożyła poduchy na obozowym łóżku, oparła się wygodnie i otworzyła list od Rosemary, w którym ta opisywała, strona po stronie, Charlesa i pracę, której się podjął; Jessikę, która trzykrotnie odrzuciła oświadczenia; wszystkie przyjęcia, bale i letnie pikniki w Ravensley. Przez ułamek sekundy w tym gorącym, bezdusznym miejscu Laurel poczuła chłód bagiennego wiatru i zapach polnych kwiatów rozkwitających wzdłuż śluz. Zastanowiła się, czy kiedykolwiek zabierze George'a do Westley, jednak wiedziała, że to niemożliwe. Magiczny urok Moczarów należał do Jethro. Powróciła do listu.

Czy spotkałaś już Rabina? - czytała. - Zgłosił się na ochotnika do Brygady Strzelców. Papa okrutnie się zdenerwował, a biedna mama wpadła w rozpacz. Wiesz, w przyszłym roku skończy dwadzieścia jeden lat, planowano wielkie przyjęcie. Kto wie, czy do tego czasu skończy się wojna? Papa rozmawiał z wujkiem Harrym z Ministerstwa Wojny. Obaj próbowali go powstrzymać, ale Robin nie podał swego prawdziwego wieku i wysiano go za granicę. Nic nam o tym nie powiedział, a ja myślę, że to z powodu ciebie i Jęta. Tak bardzo was podziwiał, że nie mógł znieść myśli o beczynnym pozostaniu w Anglii, podczas gdy wy jesteście w wirze wydarzeń...

O Boże, pomyślała przygnębiona Laurel, co ja narobiłam? Nie namawiałam go do tej idiotycznej decyzji. Przecież jest jedynym synem lorda Ayishama. Pewnie myśli, że przyjazd tutaj jest cudownym, heroicznym wyczynem. Ale to nieprawda. Sama się o tym przekonałam. Cała armia siedzi beczynnie i pada od chorób, a George szaleje z bezradności.

Westchnęła i podniosła gęsto zapisane kartki.

301

...Oczywiście Margaret rozpacziała straszliwie. Myślę, że gdyby mogła, ruszyłaby za nim, ale zamiast tego zrobiła coś niebywałego. Dotarła do Miss Nigh-tingale, ubiegając się o posadę pielęgniarki!

Najśmieszniejsze jest to, że jej nie przyjęli. Przyznaję, że wyśmiałyśmy ją z Jess. Wiem, że to niegrzecznie, ale była taka pewna, taka wyniosła, a dostała po nosie! Przez chwilę Laurel współczuła Margaret z powodu gorzkiego upokorzenia. Otarła spoconą twarz i czytała dalej.

...A teraz, najdroższa Laurel, wiadomość, która właśnie dotarła do moich uszu, a jest ona tak niezwykła, iż postanowiłam ci ją przekazać, gdyż dotyczy ciebie i Jethro. Jakiś tydzień temu, kiedy Charles bawił przez kilka dni w Ravensley, opowiedziałam mu naszą rodzinną historię. Pomyślałam, że powinien wiedzieć, jako że niebawem będzie jednym z nas. Opowiedziałam mu o występny wuju Justinie, twojej matce i całym tym ohydny skandalu, a on spojrzał na mnie dziwnie i rzekł: „Lepiej będzie, jak

porozmawiasz o tym z moim ojcem". Oczywiście, moja ciekawość zwyciężyła, dręczyłam go pytaniami, aż w końcu wszystko mi powiedział.

Zanim twój dziadek zabrał twoją matkę do Włoch, udał się do doktora Townsenda i poprosił go o przysługę. Poinformował go, że uzyskał pozwolenie na przeniesienie z nie poświęconego grobu dała młodej kobiety o imieniu Alyne Leigh i złożenie go w kościele w Westley, gdzie spoczywali pozostali członkowie jej rodziny. Pragnął, aby doktor obecny był przy otwarciu trumny. Tak też się stało. W trumnie znajdowały się szczątki młodej kobiety z dzieckiem w ramionach.

302

Całą akcję przeprowadzono bardzo dyskretnie, a ciało pochowano w rodzinnym grobowcu. Zapytałam Char-lesa, dlaczego nikt nie wiedział o przeniesieniu zwłok, a on odpowiedział, że takie było życzenie Sir Joshuy. Sama wiesz, jak daleko jest Westley, jak odcięte od reszty Moczarów. Rodzina Leigh opuściła rezydencję, a wielki dom zamknięto na trzy spusty. Okoliczni wieśniacy nie mieli pojęcia, że otwarto trumnę. Czuli jednak, że sprawiedliwości stało się zadość, a tragiczna kobieta, która odebrała sobie życie, znalazła wreszcie miejsce spoczynku.

Rozumiesz, co to dla ciebie znaczy, prawda? Twoja matka nie była córką Justina Ayishama. Dziecko utonęło wraz z matką i tyle osób niepotrzebnie wycierpiało z powodu tego potwornego skandalu i nieszczęść, jakie spowodował...

List zadrżał w dłoni Laurel, słowa zamazały się przed jej oczyma, ale nie przerwała lektury.

.. Myślałam, że bardzo lubicie się z Jetem i wtedy to miałyby jakąś wagę, ale poślubiłaś kapitana Graftona, więc zapewne się myliłam. Chcę jednak, abyś znała prawdę, i Jet także. Powiedz mu, jeśli go spotkasz, dobrze? Nie rozmawiałam jeszcze z doktorem Townsen-dem, bo chciałam, by papa dowiedział się pierwszy, ale Charles przysięga, że to wszystko prawda.

Laurel wypuściła list z dygoczącej dłoni. To dlatego podczas ostatniego Bożego Narodzenia nadaremnie szukała grobu. Wieści były tak niesamowite, że nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Dlaczego doktor Townsend nigdy o tym nie wspomniał? Dlaczego? Z drugiej strony, czy zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego odkrycia dla innych? Wtedy prawie nie słyszał

303

o Ayishamach i z pewnością wolał nie odgrzewać starych, zapomnianych oszczerstw. Nikt nie miał pojęcia, jakie to było ważne dla niej i Jethro, ale teraz było już za późno. Poślubiła George'a. Przrzekła mu wierność i miłość. Dlaczego tak bardzo się pośpieszyła, dlaczego dała się ponieść frustracji i cierpieniom? Dlaczego? Dlaczego? To czyste szaleństwo, za które teraz musiała zapłacić? Ostrożnie złożyła list i odłożyła go na bok. Z trudem łapała gęste, martwe powietrze. Po plecach, pod cienką, bawełnianą bluzką spływał jej strumień potu. Poiły pomogła jej uszyć kilka spódnic z szarego płótna. Jakie zgorszenie wywołałaby w Londynie oznajmiając, że pozbyła się większości halek, pozostając w cienkiej koszulce i płóciennych majteczkach. Podniosła paczuszkę od Jethro. Czy podzieli się z nim tymi nowinami przy najbliższym spotkaniu - tak czy nie - nie potrafiła zdecydować w obawie przed konsekwencjami. Drżącymi palcami rozdarła pieczęcie i sznurki. W pudełku znalazła lekarstwa, opiumową nalewkę, kalomel i inne specyfiki wykorzystywane w walce z

cholera i czerwonką, chorobami nękającymi armię. Krótki list zawierał instrukcję zażywania leków. Wzruszyła się jego troską o nią i George'a . Były i ostatnie wiadomości. Do tego odległego miejsca, odciętego od cywilizowanego świata wszystko docierało z opóźnieniem.

...Czasem dochodzę do przekonania, że nasi dowódcy cierpią na zwiotczenie mózgu - pisał - a lordowi Raglanowi wydaje się, że wciąż walczy z Welling-tonem przeciwko Francuzom, jak czterdzieści lat temu! Teraz, kiedy Rosjanie wycofali się z Turcji, moglibyśmy spakować manatki i wrócić do domu, ale to zbyt proste. Wiarygodne źródła podają, że podjęto decyzję o inwazji na Krym, zniszczeniu Sewastopola

304  
i rozbiciu rosyjskiej/loty na Morzu Śródziemnym, a to wszystko, mój Boże, przy pomocy armii nękanej chorobami, pozbawionej wszelkiego morale. Chciałbym, aby ci ograniczeni zarozumiałcy przeszli się po oddziałach cholery w Scutari...dostaliby nauczkę! Wyrazy szacunku dla ciebie i małżonka.

Za sztywnymi słowami kryła się pasja i złość. Czytała list po raz drugi, kiedy do namiotu wtoczył się śmiertelnie wyczerpany George. Jego mundur pokrywała gruba warstwa kurzu. Odpiął szablę i zabrał się za rozpinanie wysokiego kołnierza. Odłożyła list, zeskoczyła z łóżka i pośpieszyła mu z pomocą przy zdejmowaniu ciężkiego płaszcza z galonami.

- Jeśli Cardigan chce nas pozabijać, to jest na dobrej drodze. - Sapał ze zmęczenia. - Nieustanna musztra, ciągle marsze, bezsensowne parady w palącym słońcu, surowe kary za najdrobniejsze przewinienia: nie zapięty guzik, zakurzone buty - dwóch moich ludzi zasłabło podczas dzisiejszego przeglądu.

- Cholera? - spytała przerażona.

- Bóg jeden wie. Może tylko udar słoneczny. Wierz mi, sam o mało co nie upadłem! W takim stanie batalion wykończy się, zanim zdołamy uderzyć na Rosjan.

- Być może nie będziecie musieli długo czekać. Zdaje się, że podjęto już decyzję o inwazji na Krym.

Spojrzał na nią znad miski wody, w której płukał twarz.

- Skąd o tym wiesz?

- Dostałam list.

- Od kogo, na litość boską? Zawahała się. Upał i wyczerpanie doprowadzały go do rozdrażnienia i niepoohamowanej złości.

- Od twojego kochanka - chirurga, przypuszczam. Ile razy napisał tu do ciebie?

305

- Tak się składa, że to pierwszy list od niego - odparła z godnością. - Przesłał nam lekarstwa, których możemy potrzebować i najświeższe wieści. Przeczytaj, jeśli chcesz. Podała mu list.

Odsunął go.

- Nie mam zamiaru wtrącać się do twojej korespondencji. Powiedz mi, co pisze.

- Tylko tyle, że w końcu Rada podjęła decyzję o inwazji na Sewastopol.

- Dzięki Bogu. Tak bardzo nam tego potrzeba.

- Jethro uważa, że to bardzo nierozsądne przy takim wyczerpaniu armii.

- To opinia cywila. Żołnierze nie posiadają się z radości. Wiem co mówię, bo czuję to samo. Im szybciej, tym lepiej. Modłę się, aby miał rację. Z ulgą opuścimy to piekło.

Jethro nie mylił się. Po kilku dniach przyszły rozkazy powrotu do Warny. To była długa, upalna i niewygodna podróż. Laurel jadąc na Lucyferze pomyślała ponuro, że niczym nie różni się już od opalonych, zahartowanych kawalerzystów George'a. Po jedenastu godzinach dotarli do Warny, wyczerpani i głodni. Czekwały na nich niepokojące wieści: żony nie mogły towarzyszyć swym mężom na Krym. Tym razem nawet lord Cardigan okazał się bezradny i Laurel po raz pierwszy straciła odwagę, wybuchając płaczem. Warny stała się miejscem chorób i śmierci. Nie mogła znieść myśli o samotności. George okazywał współczucie, ale nie mógł złamać wojskowych przepisów. Z pomocą przyszła dopiero Poiły Cobb.

- To dotyczy tylko żon oficerów, madam, a nie nas. Jeśli włoży pani na siebie moją suknię i zawinie stary szal wokół głowy, jak to robią Turczynki, możemy zabrać panią na wóz. Nikt się nie domyśli. Przemycimy panią na pokład, a gdy statek znajdzie się na morzu, co mogą pani zrobić? Przecież nie zawrócą.

306

George stanowczo przeciwstawił się temu pomysłowi.

- Moja żona w towarzystwie jakichś obdartusów, połowa z nich nie lepsza od zwykłych dziwek - nie, to niemożliwe, Laurel. Co sobie o mnie pomyślą? Zabraniam ci. Być może przyplynieś później, na innym statku.

Nie słuchał jej protestów, a Poiły oświadczyła rezolutnie:

- Proszę mu nic nie mówić, madam. Znam się na mężczyznach. Nie chce kłopotów, ale będzie zachwycony, kiedy wślizgnie się pani do jego kajuty. Niech Seth potajemnie przeniesie na statek pani bagaże, a ja zajmę się resztą.

Obserwowała George'a wchodzącego ze swymi ludźmi na pokład. Potem drżąc z podniecenia, narzuciła na siebie najlepszą suknię Poiły, wysmoliła twarz, obwiązała głowę starym, czarnym szalem i wskoczyła do wozu wiozącego pozostałe kobiety. W doku przeżyła moment niepewności, kiedy oficer pokładowy rozpoczął sprawdzanie przepustek, ale Poiły wykorzystała okazję. W jednej chwili wdała się w sprzeczkę ze stojącą z tyłu kobietą, inne przyłączyły się do kłótni. Zaniepokojony oficer pozwolił stadu piszczących i podekscytowanych kobiet wsiąść do łodzi, oddając je pod opiekę nieszczęśliwego kapitana. Przewoźnicy podплыли do statku. Wspinaczka po rozkołysanej drabince zajęła jej trochę czasu, ale w końcu bezpiecznie dotarła na pokład.

Przez dzień i noc statek pozostawał w porcie. Siedziała skulona pod pokładem, w upale, zaduchu i smrodzie, z kobietami, które otwarcie ją obrażały. Przetrwała tylko dzięki śmiałości i stanowczości Poiły. Statek wypłynął na Morze Czarne. Laurel zdecydowała się wyjść na pokład. Zapadał zmrok, jedynie okrętowe latarnie rzucały strumienie światła. Marynarze obserwowali ją z zainteresowaniem, jako że kobiety miały siedzieć razem w ładowni, i uśmiechali się

./^

307

przebiegle, gdy zapytała o drogę do kajuty George'a. Otworzyła ostrożnie drzwi, zastając go leżącego w koi. Dostrzegł rozczochraną, niechlujną postać przemycającą się do środka. Niektóre kobiety gotowe były sprzedać się oficerom za kilka szylingów.

- Idź do diabła! - zniecierpliwził się. - Nie interesują mnie twoje wdzięki.

- Miło mi to słyszeć - oświadczyła, ściągając szal. Nie wierzył własnym oczom.

- Laurel, na Boga! Jak się tu dostałaś?

- Nie cieszysz się?

- Czy się cieszę?

Podskoczył na równe nogi, wciągnął ją do kajuty i zamknął drzwi.

- Ty mała diablico! Jak ci się udało?

- Przybyłam z pozostałymi kobietami.

- Co u licha powiem Cardiganowi?

- Czy wyrzuci mnie za burtę?

- Niech tylko spróbuje! Na Boga, ale mi się trafiła żona! - wybuchnął śmiechem.

Przytulił ją do siebie, całując ze śmiechem. Tej nocy nie czuli się samotni, przetrwali co najgorsze. Zapanował między nimi pokój i odrobina szczęścia, którego tak bardzo potrzebowała.

16

Czternastego września statki zacumowały w Calamita Bay, a oficerowie i reszta pasażerów zgromadzili się na pokładzie, by podziwiać Krym. W ostrym słońcu bielilo się prześliczne miasteczko Eupatoria, dokoła rozciągały

308

się pokryte zieloną trawą stepy sięgające odległych gór i rzeki Alma, przez którą musieli przepłynąć się po drodze do Sewastopola. Dziesięciodniowa podróż była wyjątkowo przyjemna, słoneczne dni i chłodne, pachnące noce, podczas których przepływające obok staki tworzyły szlak kolorowych, błyszczących gwiazd - romantyczne interium-dium z domieszką makabry. Pewnej nocy zasiedli do kolacji z ponurą świadomością, że tuż za parawanem umiera na cholerę przyjaciel George'a. Podano szampana, wystrzeliły w górę korki, ale przygnębiona Laurel nie była w stanie przełknąć ani kęsa.

Podczas zamieszania towarzyszącego wyładunkowi i niespodziewanej burzy pozostała na pokładzie. Żołnierze pozbawieni namiotów i jakiegokolwiek schronienia przespali tę noc w przemoczonych szynelach, skuleni pod wozami i lawetami. Tydzień później armia ruszyła w drogę.

Laurel, cała podniecona, z sercem w gardle, obserwowała maszerujących kolumnami żołnierzy przy akompaniamencie muzyki wojskowej wygrywanej przez pułkową orkiestrę, rzeniu koni i stukocie lawet armatnich. Wczesnym rankiem pożegnała się czule z George'em, patrząc jak odjeżdża na czele swego oddziału, wystrojony w wiśniowo-purpurowo-niebieski mundur i futrzaną pelisę haftowaną złotem.

Gwardziści maszerowali w czapach z niedźwiedziego futra. Zdawali się niezwykle wysocy w szkarłatnych mundurach i oślepiająco białych pasach. Słońce odbijało swe promienie w mosiężnych hełmach, bagnetach i lancach. Świat zdawał się jaśnieć kolorami, blaskiem złota i wypolerowanej stali.

Wydano rozkaz zabraniający kobietom udziału w wyprawie, ale Laurel nie miała zamiaru zostawać w tyle. Seth czekał już na nią z Lucyferem, zapasowym koniem i jukami wypełnionymi żywnością, kocami

309

i brezentem przytroczonymi do siodeł. Szczerze zatroskany o bezpieczeństwo swej pani, pomógł jej wsiąść na konia i pokłusowali za maszerującą armią. Za nimi ruszyły wozy z co odważniej szymi kobietami, którym przewodziła Poiły Cobb.



Jethro, zamykając pochód maszerującej armii z grupą lekarzy i chirurgów, miotał się między wdzięcznością za rozpoczęte działania a przerażeniem, że ten wspaniały pokaz to tylko zwykła blaga. Podobnie jak i Sztabowego Chirurga, doktora Alexandra, niepokoił go brak wyposażenia. Statki z Warny nie zdołały przewieźć wszystkich ludzi wraz z końmi, więc szpitalne namioty, apteczki, nosze, kuchnie polowe i składy zaopatrzeniowe pozostały na drugim brzegu. Trzydzieści tysięcy żołnierzy wyruszało na bitwę bez noszy, wozów, jakiegokolwiek środka transportu dla rannych. Już po pierwszej godzinie ludzie wypadali z szeregów, zmożeni chorobami, powaleni upałem i wyczerpaniem. Słońce, skowronki śpiewające na tle bezchmurnego, błękitnego nieba, pachnące tymiankiem łąki pod stopami - wszystko to zdawało się kpić z ich położenia. Orkiestra przerwała granie, zapadła grobowa cisza, a żołnierze stąpali ciężko po miękkim gruncie. Spojrzał w górę i ze straszliwym przeczuciem dojrzał sępy krążące nad ich głowami. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnego wroga. Od czasu do czasu na odległych wzgórzach pojawiał się jakiś Kozak, by po chwili zniknąć znowu. Nocą, gdy rozbili obozowisko, dostrzegli ogniska Rosjan płonące na drugim brzegu Almy. Długie przedpiersie na jednej z grani jeżyło się armatami, nieco dalej wznosiły się mniejsze wały obronne - Wielka i Mniejsza Reduta mające pod obstrzałem szlak, którym Brytyjczycy mieli pokonać rzekę.

O godzinie pierwszej następnego dnia trąbki zagrały sygnał natarcia i piechota ruszyła ramię przy ramieniu prosto na rosyjskie armaty. Laurel znajdowała się zbyt

310

daleko, by cokolwiek dostrzec. Noc spędziła w jednym namiocie z Poiły Cobb. Rano obudziła się bardzo wcześnie, ale podniecenie i niepokój zabiły jej apetyt. W niebo wzbily się wirujące kłęby dymu, zaciemniając całą akcję, wdrapała się więc na niewielki szczyt obok miejsca, gdzie na swym koniu siedział nieruchomo lord Raglan w otoczeniu swego sztabu. Jeden z oficerów, którego poznała na statku z Warny, rozpoznał ją od razu. Wskazał ręką na linię piechoty w czerwonych mundurach maszerującą naprzód z zadziwiającą precyzją, ulegającą jedynie śmierci.

- Niech pani patrzy dobrze - poradził podekscytowany. - Niech pani patrzy, pani Grafton. Sama królowa Anglii wiele dałaby za taki widok!

Laurel zaczerpnęła głęboko powietrza. Ołowiane żołnierzyki maszerujące na wojnę - nie mogła uwierzyć, że to wszystko jest prawdziwe, strzelające działa czyniące spustoszenie wśród nacierających, to działa się naprawdę. Cud sprawił, że tu była, stanowiła część tego widowiska, a jednak nie zdawała sobie sprawy, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić. Przez cały dzień front przesunął się to w przód, to w tył, a wieści, które do niej docierały, były sprzeczne i pogmatwane. Posłańcy kursowali między Raglanem a dowódcami oddziałów w natarciu. Kiedy jeden z nich przejeżdżał obok, krzyknęła głośno:

- Czy możesz mi coś powiedzieć? Kawaleria, lekka brygada, czy wkroczyli już do akcji? Mężczyzna pokiwał przecząco głową.

- Czekają w rezerwie, madam.

- Dzięki ci Boże za twą łaskę - szepnęła żarliwie Poiły.

Kiedy kilka tygodni potem dotarły do Londynu pierwsze wieści, społeczeństwo brytyjskie pęczniało z dumy czytając o bohaterstwie swoich oddziałów,

które wzięły szturmem wzgórze Almy, maszerując pod miazdzącym ogniem wroga jak podczas parady w Hyde Parku. Rozrywał ich grad kul, kartaczy i szrapneli, padał żołnierz za żołnierzem, ale nie zwalniali kroku. Zmuszeni do chwilowego odwrotu odzyskiwali siły i atakowali od nowa. Grenadierzy, pułk górali szkockich, brygada strzelców rozgramiali nieprzyjaciela. Za górami zachodziło już słońce, kiedy nieugięta szarża, nieprzejednana, nigdy nie tracąca animuszu zakończyła się zwycięstwem. Zanim Rosjanie poddali się, zdobyto Wielką Redutę, a potem Mniejszą. Wróg zawrócił i salwował się ucieczką z nieziemskim płaczem rozdzierającym serce. Napięcie minęło w jednej chwili. Radość ze zwycięstwa i pierwszy moment wytchnienia ustąpiły miejsca obliczaniu strat.

Tej nocy armia biwakowała na zboczach przy rzece, pośród zabitych i umierających. Wielu żołnierzy nie miało już siły zrobić najmniejszego kroku. Wyczerpani, zapomnieli o solonej wieprzowinie i twardym, jęczmiennym chlebie. Męczyło ich pragnienie, rany dawały o sobie znać, a gdy zapadła noc, nad polem walki rozhulał się lodowaty wiatr.

om\*

Było jeszcze ciemno, kiedy Jethro opuścił prowizoryczną stację polową. Godzinami pracował w niewyobrażalnych warunkach, amputował zmiażdżone kończyny, tamponował i bandażował szkaradne rany żołnierzy, których odwaga nie miała sobie równych, a którzy nie mieli szans przeżycia do następnego ranka. Ze zmęczenia kręciło mu się w głowie, ale kolejka nieszczęśliwców czekających na pomoc nie malała. Skończyły się bandaże, wykorzystywali więc wszystko, co mieli pod ręką: szmaty, ręczniki, koszule. Nie mieli już szyn, morfiny, eteru i chloroformu.

312

Robiło się późno, kiedy doktor Alexander powiedział:

- Odpocznij trochę. Nie można pracować bez przerwy.

Z ulgą wciągnął haust chłodnego powietrza, zapomniał na moment o zapachu krwi, fetorze śmierci. Oddychał głęboko, ale rozpaczliwe jęki rannych i umierających na stoku wzgórza nie dawały mu spokoju. Czuł się całkowicie bezradny, ale mógł podać im wodę i ugasić ich pragnienie. Chwycił lampę i zawiesił na ramieniu butelki z wodą. Wschodzący księżyc nadawał twarzom żołnierzy zielonotrupią bladość. Poruszał się między nimi ze słowami otuchy, obiecując przeniesienie do stacji polowej tych, którzy mieli jeszcze szansę przeżycia.

Dokoła krążyli w mroku inni ludzie, którzy podobnie jak on, nie mogąc zasnąć, przynosili wodę swym rannym towarzyszom. Martwi Rosjanie leżeli obok Anglików, twarzami w ziemi, na klęczkach jak do modlitwy, z powykrecanymi nogami. Jeden z nich, prawie dzieciak, leżał na plecach z martwym wzrokiem wbitym w niebo. Jethro litościwie zamknął nieruchome oczy, a mały, biały pies warujący przy zwłokach zawył cicho. Zaskomlał, gdy Jethro próbował go przepędzić i przysiadł bliżej swego martwego pana.

O świcie, chwiejąc się na nogach z wyczerpania wracał do obozu, kiedy zatrzymał go czyjś głos.

- Tutaj, jeśli jesteś lekarzem. Ten facet nie jest chyba stracony.

Z wysiłkiem obrócił się i upadł na kolana. Dłoń i ramię młodego mężczyzny krwawiły obficie, a on sam spojrzał na Jethro wielkimi, przerażonymi oczami.

- Witaj, Jet.

- Robin! - Jethro znieruettomiał ze zdumienia. - Co ty tu robisz?

313

- Czy Rosemary nie napisała do ciebie?

- Byłem w ciągłej podróży. Nie dostałem listów.

- Nie stracę jej, prawda Jet? Mojej prawej ręki. Nie teraz, kiedy jesteś przy mnie?

- Jeśli tylko uda mi się zahamować ten diabelny krwotok.

- Weź to.

Żołnierz klęczący po drugiej stronie Robina podał mu kawałek jedwabiu, kobiecy szal. Jethro spojrzał na niego przytępionym wzrokiem i powiedział:

- Znam go. Należał do Laurel.

- Tak - potwierdził krótko George. - Weź go, może zahamuje krwawienie.

Jethro obwiązał szczelnie ramię. Razem z George'em postawili Robina na nogi i poprowadzili do punktu opatrunkowego. Ranni leżeli tam w szeregach, bez dachu nad głową, niektórzy już martwi, inni drżący w gorączce i na zimnym, nocnym powietrzu.

- Brakuje nam koców, lekarstw. Bóg jeden wie, skąd weźmiemy wozy, które zabiorą ich do Eupatorii - wybuchnął Jethro. - A nawet jeśli się tam dostaniemy, wątpię, czy znajdą się statki, które przewiozą ich do Scutari.

George nie odezwał się ani słowem, ale pomógł mu ułożyć Robina w wygodnej pozycji. Jethro przykrył go własnym szynalem, a chłopak chwycił z całej siły jego dłoń.

- Musiałem tu przyjechać - wyszeptał. - I ty, i Laurel już tu byliście. Nie mogłem zostać w domu jak tchórz.

- Ty głupcze! - stwierdził cicho Jethro. - Co cię skłoniło do takiego szaleństwa? Co na to twój ojciec?

- Oczywiście wpadł w szal. Ale na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Tak, to prawda - westchnął Jethro. - Spróbuj trochę odpocząć.

314

Kiedy wyszedł na zewnątrz, zastał George'a opartego o jeden ze słupków podtrzymujących wystrzępioną kotarę.

- Myślałem, że ten chłopak to fajtłapa włącząca się za Laurel, ale trzeba nie lada odwagi, by zgłosić się na ochotnika i walczyć tu.

- Och, Ayishamom nigdy nie brakowało śmiałości - odpowiedział oziębłe Jethro.

Lustrowali się wzajemnie przez chwilę. Dla nich obu wojna była nowym doświadczeniem, zawiązała się między nimi nić sympatii. W migoczącym świetle lampy Jethro zauważył plamę krwi na rękawie George'a.

- Jest pan ranny. Niech no spojrzę.

- To nic takiego. Nawet zabawne. Rosjanin, któremu chciałem pomóc zaatakował mnie znieacka - poruszył się niespokojnie, kiedy Jethro poluzował mu marynarkę. -

Boże drogi, jaka głupia jest ta wojna! Gdyby pozwolono kawalerii kontynuować natarcie, Kozacy musieliby się wycofać. Była szansa na zdobycie Sewastopola, ale Raglan zabronił. Myślałem, że Car-digan oszaleje z rozpacz. Siedzieliśmy tam na koniach i patrzyliśmy jak pobita armia czmycha z pola bitwy, zostawiając za sobą działa, sztandary i proporce. Dogonilibyśmy ich w ciągu dziesięciu minut. Mogliśmy odnieść głośne zwycięstwo, dać im raz na zawsze nauczkę, a pozwoliliśmy im uciec.

Wszystko trzeba będzie powtarzać. To najbardziej haniebna zniewaga!

- Moim zadaniem jest ratowanie życia, a nie jego niszczenie, ale oddałbym pięć lat za jedną szarżę u pana boku - zapewnił szczerze Jethro.

Podwinął rękaw koszuli George'a i zbadał ranę.

- Ma pan szczęście. Kość nie została naruszona, ale muszę wyciągnąć kulę, bo w przeciwnym razie dojdzie do infekcji. Nie mam jednak nic na uśmierzenie bólu, nawet kropli brandy.

315

- Nic nie szkodzi. Inni cierpieli jeszcze bardziej, to jak ukłucie szpilki.

- Proszę usiąść.

George przysiadł na jednej z drewnianych skrzyń służących za stoły i zacisnął zęby, kiedy Jethro wbił się w ranę i przetarł ją tamponem. Cisnął na bok wydobytą kulę.

- Skończone. Powinno się dobrze zagoić. Czy ma pan chusteczkę? Wykorzystałem już wszystkie. Podarł batystę na wąskie pasy i obwiązał ranę.

- Niech ktoś wkrótce zmieni panu opatrunek. George podniósł płaszcz i zarzucił go na ramiona.

- Czy wraca pan z rannymi do Eupatorii?

- Jeśli będę mógł. Musimy w jakiś sposób zdobyć sprzęt medyczny, aby pomóc tym biedakom.

- Jeśli przypadkiem spotka pan moją żonę, proszę jej powiedzieć, że jestem cały i zdrow. Fred Cobb też. Poity Cobb to nieoficjalna służąca Laurel. Ucieszy się na wieść, że jej mąż nie jest ranny.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- A co z młodym Ayishamem?

- Lekko ranni pojedą z armią. To dla niego większa szansa na przetrwanie niż w Scutari.

Na wschodzie wstawało słońce rzucając złotawopur-purowe promienie. Dźwięki trąbki budziły wyczerpanych ludzi.

- Śniadanie - oznajmił George. - O ile mamy szczęście.

Zasalutował przed Jethro i dostojnym krokiem ruszył w stronę obozowiska kawalerii.

Ktoś zaparzył kawę. Jeden z ordynansów przyniósł ją Jethro, a ten przyjął podarunek z wdzięcznością. Gorąca, mocna i czarna, pokonała całonocne zmęczenie i pomogła mu stawić czoła nadchodzącym obowiązkom. Z filiżanką w dłoni odwiedził Robina.

316

Godzinny wypoczynek przywrócił mu nieco sił. Zapomniał o utracie krwi, szoku i znużeniu, z młodzieńczą werwą gotów był wrócić do swej jednostki.

- Jestem szczęśliwy, że przyjęli mnie do brygady strzelców. To by się nigdy nie wydarzyło, gdyby batalion nie był tak wyczerpany. To wspaniali wojacy, dzielni jak lwy.

Jethro otoczył go ramieniem.

- Uważaj na siebie, chłopcze. Robin pobawił się przez chwilę prowizoryczną szyną skonstruowaną przez Jethro.

- Czy zobaczysz się z Laurel?

- Niby dlaczego, u diabła?

- Jeśli ją zobaczysz, pozdrów ją serdecznie.

- Ona jest mężatką, Robin. Nieosiągalna dla ciebie. Robin podniósł wzrok.

- A to pech - dla nas obu, prawda?
- O czym ty mówisz, nierozsądny dzieciaku? Jesteś zbyt młody, by rozpaczać z powodu Laurel. Są jeszcze inne panny.
- Ale nie takie jak ona.
- Nonsens.

Robin w zielonym mundurze obrócił się na pięcie i mimo nocnego cierpienia zdobył się na kilka podskoków. Jakim zrzędzeniem losu spotkali się na tej wojnie wszyscy trzej, by po kilku godzinach rozejść się w przeciwnych kierunkach? Jeśli Robin przetrwa, zostanie prawdziwym mężczyzną... Jeśli przetrwa. Jethro nie chciał nawet o tym myśleć. Tyle było jeszcze do zrobienia.

Z trudem zabrali się do układania rannych na zarekwirowanych wiejskich wozach i w południe ruszyli wolno w powrotną drogę do Eupatorii. Ordynans przyprowadził mu konia, i właśnie w tym momencie Jethro zauważył małego, białego psa. Ktoś musiał

go

317

przyprowadzić do obozu. Biegał jak oszalały między żołnierzami, aż zatrzymał się u jego stóp piszcząc żałośnie. To śmieszne, ale nawet w samym środku tej rzezi i cierpienia nie mógł oprzeć się psiemu błaganu. Podniósł zrozpaczone stworzenie i wcisnął je pod pachę.

- Czy mam go czymś walnąć, sir? - spytał ordynans.
- Ależ, nie. Znajdź lepiej jakiś koszyk - rób, co ci każe - warknął na osłupiałego wojaka.

Kiedy przyniesiono kosz, wsadził psiaka do środka i przywiązał go do siodła. Wielokrotnie zatrzymywali się po drodze. Wtedy Jethro ze swoimi pomocnikami roznosił po wozach wodę, łagodząc śmiertelne pragnienie żołnierzy. Leżeli ściśnięci, mdlejąc z bólu przy każdym wstrząsie na twardych deskach. Zaklął pod nosem, bo tak niewiele mógł im pomóc. Nie był nawet w stanie zasłonić ich przed palącym słońcem. Podczas jednego z postojów dostrzegł Laurel. Towarzyszyła gromadce kobiet, które rzuciły się pędem do wozów lustrując ze strachem twarze leżących tam mężczyzn. Odciągnęła Lucyfera na pobocze drogi, robiąc im przejście. Zgubiła gdzieś swój kapelusz, zauważył że słońce rozjaśniło jej złotorude włosy. Podjechał bliżej.

- Niezbyt miły widok, prawda?
- To okropne - trzęsła się cała, a złota opalenizna nie zakryła nagłej bladości. - Nie myślałam... Nie wyobrażałam sobie, że...
- Mówiłem ci, że wojna to nie zabawa.
- Och, Jethro, to coś gorszego... o wiele gorszego... Zbierała się do płaczu, kiedy ścisnął jej dłonie, dodając otuchy.
- Co ty tu właściwie robisz? George mówił( że zostajesz w mieście.

318

- A zatem on żyje...?
- Oczywiście, że żyje - zapewnił pokrępiąco. - Ma się dobrze, niewielka rana, to wszystko. Prosił mnie, aby ci przekazać, że i Fred Cobb nie został ranny.
- Dzięki Bogu! Poily bardzo się ucieszy.
- Armia prze naprzód, ale nie wiadomo w jakim kierunku. Nie podjęto jeszcze decyzji. Najlepiej jak zawrócisz do miasta i tam zaczekasz na wiadomości.

- Czy mogę pojechać z tobą? Zawahał się, a ona rzuciła mu błagalne spojrzenie.
- Proszę cię, Jethro. Nie sprawię ci kłopotu. Niczego się nie boję, już nie. Może nawet okaże się pomocna.
- Oboje nie możemy wiele tu zdziałać, ale jest coś dla ciebie. Możesz zająć się tym stworzeniem - wyciągnął psa z koszyka. - Jego rosyjski pan zginął. Myślę, że będzie wdzięczny za odrobinę ciepła. Zajmiesz się nim?
- Oczywiście - rozpromieniła się.

Minął już pierwszy szok wywołany widokiem rannych, pierwsza świadomość wojennych okropności. Uspokoila się, bo teraz dzięki Jethro miała się już o kogo troszczyć.

Jechali obok siebie, a podczas kolejnego postoju pomagała przy roznoszeniu wody, unosząc głowy tym, którzy mogli pić, zwilżając popękane usta tym, którzy byli zbyt słabi. To wystarczyło; widział, jak jaśnieją im oczy, jak jeden z nich dotknął jej dłoni, jak mimo bólu zdobywają się na uśmiech i jego serce wypełniło się radością.

Kiedy Brytyjczycy wylądowali w Eupatorii, większość jej mieszkańców uciekła w popłochu. Seth znalazł mały, biały domek i dogadał się z przestraszonym właścicielem. Domek składał się z pustego pokoju o bielonych wapnem ścianach, dwóch maleńkich sypialni na piętrze i kamiennej przybudówki służącej za prymitywną kuchnię. Po Warnie i Meni-Bazaar dla Poily Cobb był to istny raj.

319

Ze swą zwykłą starannością wyszorowała każdy cal, a następnie udała się na rynek w poszukiwaniu żywności. Tam właśnie Jethro zostawił Laurel, a sam spędził dzień i na noc na zdobywaniu pożywienia i schronienia dla rannych, którzy padali jak muchy, gdy coraz więcej wozów wjeżdżało z turkotem do miasta i portu. Walczył z ospałymi władzami o koce, lekarstwa, statki, które miały przewieźć poszkodowanych do szpitala w Scutari. Nikt nie miał czasu, by go wysłuchać, ale on nie poddawał się, przekonany iż natarczywością zrealizuje swój cel, choćby połowicznie.

Zapadał wieczór, kiedy odnalazł drogę do małego domku. Poily zdobyła kurczaka i teraz gotowała go ze wszystkimi warzywami, jakie udało jej się znaleźć.

- Pachnie apetycznie - pochwalił, schylając się w niskim przejściu.
- Wyglądasz jak pół żywy. Kiedy jadłeś ostatni posiłek? - spytała Laurel.
- Bóg raczy wiedzieć. To był potworny dzień - rozejrzał się dokoła. - Miałaś szczęście, że znalazłaś ten dom. W mieście roi się od przybyszów z Anglii ciekawych ostatnich wydarzeń.
- Wiem. Spotkałam już niektórych.
- Rozmawiałem z dziennikarzem z „The Times”, Irlandczykiem o nazwisku Russell. Podaliśmy mu wszystkie możliwe informacje. Jeśli uświadomi rządowi, jaka odbywa się tu rzeź, może wreszcie ktoś się tam obudzi. Trzeba wysadzić w powietrze Ministerstwo Wojny, by im udowodnić, że to rok 1854, a nie 1815!
- Jestem pewna, że zrobiłaś co w twojej mocy. Zjesz z nami?
- Mogę? Nie pasuję do tak przyzwoitego towarzystwa. Przyszedłem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

320

- Nie musisz się o mnie martwić. Mam się nieźle, a tu jest znacznie wygodniej niż w namiocie. Jedzenia wystarczy dla wszystkich.

Kiedy zasiedli do kolacji, rzucił jej pochwalne spojrzenie. Mimo upału, ciągłego pakowania i rozpakowywania, jej biała bluzka i szara spódnica pachniały świeżością. Czyste włosy przewiązała wstążką jak uczennica, taką właśnie pamiętał ją z Rzymu. Czy to zaledwie dwa lata temu? Miał wrażenie, że minęły całe wieki. Podczas posiłku opowiedział jej o Robinie.

- Czy wiedziałaś, że się tu wybiera?

- Nie, dopóki nie dostałam listu od Rosemary. Gdybym wiedziała, próbowałabym go powstrzymać za wszelką cenę.

- Ten chłopak cię kocha, Laurel.

- Czy to moja wina? Jego matka nienawidzi mnie za to.

- To nieprawda, ale Robin jest jej jedynym synem.

- Wiem - zasmuciła się. - Czuję się winna. Nic mu nie będzie, prawda?

- Zuch z niego, wkrótce stanie na własnych nogach. Kiedy Poiły zebrała talerze, przysiedli przy trzaskającym ogniu rozpalonym z oliwnych gałązek. Po intensywnym skwarze dnia nadchodziła chłodna noc. Po pełnym zamieszania dniu zapanował spokój, odpłynęły gdzieś problemy. Jethro zasnął nad szklaneczką wina ocalałego z zapasów George'a. Laurel wyjęła mu szklankę z dłoni i przez moment wpatrywała się w jego twarz. Przez ostatnie trzy miesiące schudł bardzo, a bezsenne noce pogłębiły cienie pod oczami. Odgarnęła mu z czoła czarny kosmyk włosów i wróciła na krzesło. Mały psiak wskoczył jej na kolana. Przywiązał się do niej i na nikogo innego nie zwracał uwagi.

Było już późno, kiedy Jethro obudził się lekko oszołomiony i potarł dłonią twarz.

321

- Przepraszam. Zdrzemnąłem się. Która godzina?

- Dochodzi jedenasta.

- Dobry Boże! Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Potrzebowałeś snu. Byłeś wyczerpany.

- Tak czy inaczej - podniósł się - muszę już iść.

- Znalazłeś już jakiś nocleg?

- Nie pomyślałem o tym - wyznał. - Tyle było do zrobienia. Nie przejmuj się. Coś wymyślę. Podziękuj ode mnie Poiły. To był wspaniały posiłek.

- Dlaczego nie zostaniesz tutaj?

- Moja droga, jak to sobie wyobrażasz?

- Dlaczego nie? Trwa wojna. Kto teraz myśli o przyzwoitości? Poza tym są tu Poiły i Seth.

Uśmiechnął się do niej, kiwając przecząco głową. To była cała Laurel, dziewczyna, którą przywiózł z Włoch, która nie przejmowała się tym, co pomyślą ludzie, kobieta, którą kochał, a która nigdy nie mogła do niego należeć.

Odmówił tej nocy, ale potem, kiedy czekali na statki i wiadomości o armii, przyszedł kilkakrotnie na kolację. Dwukrotnie zrobiło się tak późno, gdy skończyli, że przespał kilka godzin w fotelu przy kominku i wyszedł o brzasku.

Laurel nie mogła uwierzyć, jak bardzo czuła się szczęśliwa. Przez ten krótki okres nie było między nimi żadnych nieporozumień. Jak kiedyś, podczas wspólnej pracy w domu opieki społecznej. Chciała towarzyszyć mu w czasie obchodu po prowizorycznym szpitalu w dokach, ale nie wyraził zgody. Cieszył się, że ktoś chciał

posłuchać o jego problemach. Martwił się nieco, bo jego szczerą krytyką złościła zawodowych oficerów nie przywykłych do ingerencji cywilów, ale nie zaprzestawał walki o lepsze warunki dla swoich pacjentów.

Któregoś dnia zabrał ją na przejażdżkę do greckiego kościółka i starożytnej wieży, gdzie po szarych murach

pięły się róże, a pośród splątanego, dzikiego wina zwisały ciężkie kiście muszkatelowych winogron. Przespacerowali się po cichym, słonecznym ogrodzie ulegając złudzeniu pozornego spokoju. Raz czy dwa miała zamiar powiedzieć mu o liście od Rosemary, ale powstrzymała się. Co by się stało, gdyby przełamali dzielącą ich barierę? Była żoną George'a, ale nie miała pewności czy to powstrzyma ją od fali namiętności, nie powiedziała więc nic. Pod koniec tygodnia otrzymali wieści, że armia opuściła Sewastopol i ruszyła w stronę portu Balaklava. Tego wieczoru Jethro powiedział:

- Przybyły wreszcie transporty. Chorych przenosi się na pokład. Jeden ze statków odpływa do Balaklavy. Podróż morską będzie dla ciebie o wiele łatwiejsza.

- A ty? Popłyniesz tym samym statkiem?

- Muszę być z rannymi.

Myśl o tak nagłym rozstaniu wydała się nie do zniesienia. Musiała uzbroić się w męstwo.

- Dziś wieczorem wchodzę na pokład, więc pożegnaj się teraz. George powinien być w Balaklavie, kiedy dotrze tam twój statek.

- Liczę na to.

Ujął delikatnie jej dłoń, a po chwili łamiąc wszelkie przysięgi przyciągnął ją do siebie i pocałował. Przyłgnęła do niego całym ciałem, a potem wyrwała się, pobiegła wąskimi schodami na górę i skryła się w sypialni. Rzuciła się na łóżko, przyciskając palce do ust, które pocałował, przerażona własną reakcją, niespokojną rozkoszą i tęsknotą.

Poiły Cobb odprowadziła wzrokiem odjeżdżającego Jethro i pokiwała z powątpiewaniem głową. Szanowała doktora Ayishama. Był uprzejmy, chwalił jej kulinarne zdolności, znalazł jej nawet maść na nieznośną infekcję skóry, ale czuła też respekt dla kapitana i to ją martwiło. Nie wspomniała o tym nikomu ani słowem.

Umiała dochować tajemnicy i nie jej było sądzić postępowanie Laurel. Ale inni uważali inaczej. Do Eupatorii przybyły już żony pozostałych oficerów, które oburzał fakt, że Laurel trzyma się od nich z daleka, pogardzając plotkami, uprzejmie odrzucając zaproszenia na pogaduszki przy herbatce czy kawie. Ma kogoś, szeptały złośliwie. Kto to taki? Pieniądze już jej nie wystarczały i jeszcze ten przystojny lekarz, szarmancki lecz chłodny, odwiedzający ją codziennie w małym, białym domku, wymykający się stamtąd nad ranem.

- Nie słyszałaś, moja droga? To prawda. Widziała go moja służąca. Była szósta rano, a kapitan Grafion przelewa gdzieś krew, może nawet kona. To nieprzyzwoite.

Gdyby ta sama służąca pisnęła coś Poiły, dostałaby za swoje, gdyż ostry jęczyczek Poiły był powszechnie znany. Ale tak się nie stało. Następnego ranka Laurel weszła na pokład nieświadoma krążących o niej plotek. Tak czy inaczej nie wywarłyby na niej żadnego wrażenia, gdyż czuła wstręt do babskich obmów. Obserwowała znikający w oddali port nad Calamita Bay i pomyślała z niepokojem o Jethro. Na statek „Kan-



garoo" przeznaczony dla dwustu pięćdziesięciu osób zapakowano tysiąc dwustu rannych i chorych na cholere. Dostrzegła ich na moment, gdy wyprzedzali przeciążony okręt. Mężczyźni leżeli w rzędach na otwartym pokładzie, jeden przy drugim, krzycząc z bólu od otwartych ran.

Niebo pociemniało, a ostry wiatr prześlizgnął się po powierzchni wody. Zatrzęsa się w cienkiej sukni i mocniej opatulila się szalem. Nawałnica stawała się coraz silniejsza. Laurel zeszła do ładowni, by sprawdzić konie przywiązane brezentowymi pasami. Zatrzymała się przy Lucyferze i przyłożyła policzek do jego szyi.

324

Zarzał cichutko. Schudł przez ostatnie tygodnie, sierść straciła połysk, ale nic mu nie dolegało. Przebył długą drogę z Anglii; poranne przejażdżki po parku, jesienne dni pachnące palonymi liśćmi ustąpiły miejsca upałom, robactwu i ciągłej atmosferze śmierci, a jednak nie żałowała tego przyjazdu, cieszyła się, że może dzielić zaszczyty i okropności wojny z George'em, Robinem i Jethro.

17

Z dalekiej odległości port w Balaklavie wyglądał niezwykle pięknie. Zatoka portowa przypominała maleńkie, srebrne jezioro odbijające przyległe skały. Róże, klematis i dzikie wino pięły się po białych willach krytych zielonymi dachówkami. Na zboczach rosły sady, u ich podnóża roztaczały się ogrody warzywne kolorowe od pomidorów, dyni i sałaty, ale gdy statek Laurel wpłynął wolno do portu, niezwykle czar prysnął. Woda zapchana była odpadkami, gnijącym jedzeniem, ciałami martwych zwierząt, a nawet wzdętymi zwłokami ofiar cholery, które niewłaściwie obciążone wypływały na powierzchnię. Wieczorny wiatr przyniósł obrzydliwy fetor rozkładających się resztek. Laurel zatrzęsa się i szybko odwróciła wzrok od koszmarnie zniekształconych twarzy unoszących się na falach.

Malownicze lotnisko uległo armii dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy i gdy następnego ranka spacerowała plażą, spostrzegła stratowane ogrody kwiatowe, połamane płoty, powyrywane róże i dzikie wino, mieszkańców miasteczka oferujących kwiaty i owoce,

\ 325

przerażonych i zaszokowanych ostatnimi wydarzeniami. Zdobycie noclegu graniczyło z cudem. Wynikiem natarczywych próśb Laurel były tylko wiadomości, że kawaleria obozuje w Kadikoi, trzy mile za miastem, na zboczach pod Sewastopolem. Przez cały ranek rozlegał się huk dział i choć ostrzegano ją kilkakrotnie, zostawiła Seta i Poity przy bagażach, a sama śmiało wyjechała z Balaklavy i ruszyła wąską, górską drogą prowadzącą stromym zboczem między dwiema dolinami.

& Oddział huzarów powracający ze zwiadu i ostrej potyczki ze zgrają rosyjskich kawalerzystów oniemiał na widok kobiety galopującej w stronę ich obozu. George rozpoznał ją, podciął ostrogami konia, krzyknął coś i dogonił, chwytając Lucyfera za uzdę.

- Laurel, co ty tu robisz, u diabła?! Mogli cię zastrzelić. Zdajesz sobie z tego sprawę? Spojrzała na niego, daleka od przerażenia, śmiejąc się i ciesząc.

- Zastanawiałam się, czy to Rosjanie. Teraz mogę uczciwie oświadczyć, że byłam pod ostrzałem!

- Moje drogie dziecko, mogli cię zabić - George wtórował jej śmiechem, zirytowany, ale pękający z dumy.

Reszta oddziału podjechała bliżej. George pomógł zsiąść jej z konia, a żołnierze zgromadzili się dokoła, zadając setki pytań, ciekawi ostatnich wieści. Piękna kobieta była rzadkością, zabiegali o jej uwagę, nie chcąc jej puścić, aż George objął ją w pasie i odciągnął na bok.

- Wynoście się. Chyba czas, abym nacieszył się własną żoną.

Popatrzyła na niego z niepokojem, dostrzegając pod opalenizną zmizerowaną i wychudłą twarz.

- Czy jest ci bardzo ciężko?

- To takie przygnębiające. Jak zwykle Cardigan i Lucan biorą się za łby, wydają sprzeczne rozkazy,

326

a my siedzimy tu beczynnie, wyszydzani przez Rosjan. Nasz dowódca nazywa nas „przeklętą zgrają starych bab”, gdyż pozwalamy sobie na to i nie ruszamy do ataku.

- Biedny George - ścisnęła go za ramię. - To niesprawiedliwe. Jak się czujesz? Jethro powiedział mi, że zostałeś ranny.

- A więc widziałaś się z nim?

- Tak. Zajmował się chorymi. Poiły była wdzięczna, że o niej pomyślałeś. Czy ramię się już zagoiło?

- Tak sobie. Słuchaj, najdroższa, nie możesz tu zostać. To miejsce jest i tak przeludnione. Dzielę namiot z trzema oficerami. Wynajmij kajutę na jednym ze statków w Balaklavie. Przyjadę, jak będę mógł.

- Nie mogę zostać na statku. Nie mogę - to nie do wytrzymania.

Przez moment oczom jej ukazał się port ze wszystkimi okropieństwami, brudem i stęchlizną. Dostrzegł prerażenie na jej twarzy i ujął jej dłoń.

- Co ci jest? Żałujesz, że tu przyjechałaś?

- Nie, oczywiście, że nie - zebrała siły. - Nie martw się. Coś znajdę. Poradziłam sobie w Eupatorii, Poiły i Seth pomogą mi. Szczęście mi sprzyja, ale ty przyjedziesz, prawda, George? Nie zostawisz mnie samej.

- To nie takie proste. Jesteśmy w ciągłym ruchu;

musztry, parady, wyprawy zwiadowcze. Brakuje nam paszy dla koni.

- Błagam cię, przyjeźdź. Tęsknię za tobą. Wspięła się na palce i pocałowała go, próbując przekazać mu odrobinę miłości, której do niego nie czuła.

- Jakoś dotrę do Balaklavy - obiecał.

- Będę czekać - szepnęła.

Wróciła do miasta, gdzie czekał już Seth z pomyslną wiadomością. Najwyraźniej w porcie mieszkali Rosjanie, którzy uciekli po przybyciu wojsk. Poiły

327

wyszukała opuszczoną willę i natychmiast ją zajęła. Nie można było znaleźć właścicieli, którzy czmychnęli w popłochu. Dom był częściowo umeblowany; na kamiennej posadzce leżały dywany z Buchary, stały wyplatane z trzciny meble, a nawet rozstrojone pianino w małym saloniku. Laurel czuła się niezręcznie korzystając z cudzej własności, ale zapewniono ją, że to część wojennej zdobyczy. Wprowadzili się natychmiast i w ciągu kilku dni dom stał się miejscem spotkań oficerów

przebywających w mieście lub leczących swe rany. Niełatwo było zdobyć odrobinę żywności, ale Laurel wraz Poiły zawsze coś wymyśliły, nawet jeśli był to tylko owczy ser czy cierpkie wiejskie wino. Każdego wieczora pojawiała się w drzwiach gromadka młodych ludzi z drobnymi upominkami. Zasiadali wspólnie w saloniku, Laurel grała na pianinie, ktoś inny śpiewał zabawną piosenkę. Oprócz Panny Duberły, która przyjmowała gości w swej kajucie na statku „Shooting Star”, Laurel była jedyną żoną oficera. Nie brakowało chętnych do towarzystwa podczas konnych przejażdżek, kilkakrotnie obecnością swą zaszczycił ją sam lord Cardigan. Martwiła się jednak, gdy na jego widok reszta towarzystwa zniknęła bez słowa. Krępowiała się, ale mając na uwadze karierę George'a uśmiechała się doń promiennie i dołożyła wszelkich starań, by podziękować mu za przesłaną skrzynkę wina.

Pewnego dnia w willi pojawił się Robin; wyższy, pełniejszy na twarzy, nie miał w sobie nic z zakochanego dzieciaka. Tak bardzo ucieszyła się na jego widok, że rzuciła mu się na szyję, całując ze śmiechem i łzami. Gdy zostali sami, oznajmił:

- Coś ci przyniosłem.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i rozwinął małą, srebrną ikonę.

328

- To zdarzyło się po Almie - zaczął swą opowieść. - Coś niesamowitego. Książę Mieczników czuł się tak pewnie, że pospraszal przyjaciół i ich małżonki na świętowanie zwycięstwa, ale musieli salwować się ucieczką, gdy wzięliśmy szturmem rosyjski obóz. Zostawili wszystko; żywność, ubrania, cały dobytek. Żołnierze zagrabili, co się dało, a jeden z nich przyniósł mi to.

Obrócił ikonę. Na odwrotnej stronie ktoś wygrawerował rosyjskimi literami imię Dmitri i datę.

- Oczywiście, nie musiała wcale należeć do księcia Malinskiego, ale słyszeliśmy, że był tam ze swoim pułkiem i pomyślałem, że chciałabyś ją zatrzymać na pamiątkę.

- Czy on nie żyje?

- Nie wiem, ale jeden z rosyjskich jeńców mówił, że został ciężko ranny.

Oczy Laurel wypełniły się łzami, kiedy spojrzała na łagodną twarz Madonny. Śmierć nie robiła już na niej wrażenia, nauczyła się z nią żyć. Tylko w ten sposób mogła przetrwać, ale opowieść Robina poruszyła ją głęboko. To absurdalne, że młody człowiek, który ofiarował jej Marika i pokochał Londyn, stał się wrogiem i leżał gdzieś ranny, może już martwy.

Minęła połowa października. Pogoda zmieniła się gwałtownie. Noce zionęły lodowatym chłodem, zapowiadając srogą zimę. Brakowało opału, a drewno osiągało zawrotną cenę. Silne ulewy przemieniły strome stoki w kleistą maź i przejażdżki na Lucyferze stały się niemożliwe. Pewnego ranka, spacerując po nadbrzeżu Laurel spostrzegła bajeczny jacht wpływający do zatoki; jego żagle przypominały skrzydła gigantycznego ptaka. „Dryad” lorda Cardigana z francuskim kucharzem i luksusem domowego ogniska. Pod pretekstem słabowitego zdrowia dostał pozwolenie na

329

pozostanie na statku, a każdego dnia jeden z jego oficerów odbywał wyczerpującą podróż do Kadikoi, przynosząc jego rozkazy. Co gorsza, w samym obozie lord Lucan biorąc odwet na swym znienawidzonym szwagrze budził wczesnym rankiem nieszczęsnych kawalerzystów i musztrował ich po lodowatym błocie; palce mieli tak

zdrętwiało z zimna, że ledwo trzymali lejce przy zagłodzonych, przemęczonych koniach.

- To godne potępienia - stwierdził ze złością George, wpadając na kilka minut do willi w drodze do obozu. - Żołnierze nie mogą się pogodzić z tym, że ich dowódca wydaje bezsensowne rozkazy spod swej ciepłej pierzyny na „Dryad”, podczas gdy oni mieszkają w warunkach urągających ludzkiej godności!

- Nie mam pojęcia, dlaczego to robi - odezwała się ze współczuciem Laurel, biorąc go pod ramię.

- Obiecał mi awans po Almie - ciągnął - ale będzie cud, jak sobie o tym przypomni. Rozejrzył się po przytulnym pokoju.

- Zuch z ciebie. Jak to robisz? Wszyscy chłopcy rozprawiają o tym miejscu z radością. Jakich czarów używasz?

- To nie czary. Przychodzą tu i rozmawiamy, to wszystko. To im pomaga.

Dumny był z jej popularności, ale jednocześnie miał jej za złe, że tak wiele daje z siebie innym, kiedy on pełnił gdzieś daleko swą służbę. Tak bardzo pragnął zostać tu dłużej, ogrzać zmarznięte kości przy kominku, kochać się z nią wolno i zmysłowo, zasnąć w prawdziwym łóżku, a nie na twardym sienniku rozłożonym na brudnej ziemi w lodowatym namiocie. Ale to nie było możliwe. Otrzymał zadanie nadzorowania rozładunku dział obłężniczych ze staków, przeniesienia ich ulicami miasta na śliskie zbocza i przygotowania do

330

ataku na Sewastopol. Wystarczyło czasu jedynie na krótki uścisk i obietnicę, że wróci jak najszybciej.

Kilka dni później przybył statek z turystami i gapiami. Weterani długiej kampanii wojennej, pamiętający cierpienia i niedostatki, z odrazą przyglądali się dobrze odżywionym, elegancko ubranym przyjezdnym. Ich statek przywiózł tony łakoci, a świeże szeleszczące krynoliny dam przypomniały Laurel o jej wymiętych sukniach, matowych jedwabiach i niestosownej opale-niżnie na twarzy i dłoniach. Ale nie przejmowała się. Czowała się jednym z żołnierzy, którzy cierpieli i umierali. Jej odmowa udziału w przyjęciu na pokładzie „Alexan-dra” wywołała oburzenie.

Rankiem dnia 17 października, a był to wtorek, obudziły ją grzmoty eksplozji, ogłuszająca siła wystrzałów i pocisków ruszająca z posad willę. Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka i ubrała się w pośpiechu. Piły właśnie herbatę z Poity, kiedy do drzwi zastukał jeden z oficerów informując je, że rozpoczęło się oblężenie Sewastopola i jeśli się pośpieszą, może uda im się coś zobaczyć. Laurel wskoczyła na Lucyfera, Poity wsiadła na konia z Sethem i pognali w stronę wzgórz, gdzie gromadzili się już turyści i miejscowa ludność. Gęsty, tłusty dym unoszący się nad równiną zasłaniał prawie całą widoczność. Po południu wymiana ognia między Anglikami a Rosjanami przybrała na sile. Laurel nie odrywała wzroku od pola bitwy, serce podchodziło jej do gardła na widok cierpienia i śmierci spowitych w czarnym całunie dymu. Pod koniec dnia nikt nie miał już wątpliwości, że obwarone miasto nie podda się tak łatwo. Po zachodzie słońca, gdy wiatr przegnał resztki dymu, widzowie ujrzeli Rosjan, kobiety i mężczyzn, przystępujących do naprawy zniszczonych umocnień i rozbitych bastionów. Wraz z nimi pojawili się popi, wznosząc ku niebu krzyże i ikony,

331

intonując religijne hymny, skraplając obrońców święconą wodą.

Nadchodzące dni budziły coraz więcej obaw przed długotrwałym oblężeniem w czasie mroźnej, rosyjskiej zimy. Żołnierzy i cywilów ogarnęło uczucie porażki. Dla rannych przygotowano szpitalne namioty, a niemal każdego dnia Laurel obserwowała turkoczące wozy transportujące chorych na statki. Nocą budził ją stukot karawanów wiozących martwych do zbiorowych grobów. Wraz z nadejściem zimy opanowano epidemię cholery, ale od czasu do czasu zbierała nadal swe żniwo. Młodzi żołnierze odwiedzający willę siedzieli posępni i milczący, umilkły głośnie, patriotyczne pieśni. George nie pojawiał się wcale, Robin zaś odwiedzał ją bardzo rzadko. Któregoś ponurego poranka przybył jeden z adiutantów lorda Cardigana, przywożąc zaproszenie na kolację. Zahałała się przez chwilę. Nie była w nastroju do przyjęcia, a i jej suknie sprawiały żalostny widok. Z drugiej strony nadarzała się okazja, by przypomnieć mu o awansie, na który tak bardzo liczył George. Przyjęła zaproszenie, mając nadzieję, że była to właściwa decyzja.

Wyszukała jedyną, reprezentacyjną suknię z ciemnozielonego jedwabiu wykończoną aksamitem, umyła włosy spinając je nad karkiem w pęk loków i ozdabiając różyczkami z maleńkiego ogrodu. Narzuciła ciepły płaszcz i w eskorcie młodego oficera wyruszyła do portu. Jacht zarzucił kotwicę przy samym brzegu, a oświetlony latarniami wyglądał niezwykle czarująco na tle wieczornego nieba. Zdziwiła się nieco, gdy zauważyła pusty pokład, ani śladu gości; pomyślała, że jest już spóźniona i wszyscy zeszedli pod pokład.

Przewoźnik czekał w łodzi, kiedy weszła na jacht. Tu powitał ją lord Cardigan, ucałował szarmancko jej dłoń i poprowadził do salonu. Wtedy przeraziła się na dobre. W środku nie było nikogo. A więc zaprosił ją na

332

kolację sam na sam, a co potem...? Serce utkwilo jej w gardle. Czyżby potraktował jej uśmiechy i radość z każdego upominku jako zachętę do uwiedzenia? Zdjął z niej płaszcz, przesuwał delikatnie dłońmi po odsłoniętych ramionach. Laurel przybrała poważną minę i ożywioną rozmową próbowała opanować panikę. Cardigan potrafił bawić dowcipnymi historyjkami, a teraz najwyraźniej brylował w towarzystwie atrakcyjnej kobiety. Kolacja przyrządzona wyśmienicie nie sprawiła jej radości.

Udając rozbawienie opowieściami gospodarza, myślała rozpaczliwie o ucieczce z tej niezręcznej sytuacji. Po skończonym posiłku odeszli od stołu, a Cardigan poprosił ją, by usiadła na sofie wyłożonej francuskim jedwabiem. Służący nalał kawę do porcelanowych filiżanek i na skinienie Cardigana opuścił salon.

- Wystąpiłem o awans dla twojego męża, moja droga - odezwał się z uśmiechem. - To nie potrwa długo. Sprawuje się dobrze, nadzwyczaj dobrze, wspaniały oficer.

Chciałbym mieć więcej takich zuchów

w swoim sztabie. Próbuje mnie przekupić, pomyślała, uważa mnie chyba za głupią gęś!

- George będzie bardzo wdzięczny, lordzie - zabrała głos. - Myśli tylko o swoich ludziach i służbie.

- Oczywiście, oczywiście, nie wątpię. Usiadł obok, rozciągając rękę na oparciu sofy tuż za Laurel. Atmosfera stała się nie do zniesienia, kiedy przysunął się bliżej.

O, Boże, zastanowiła się gwałtownie, co mam robić? Jak uciec od tego człowieka na jego własnym jachcie? Czy będę musiała wyskoczyć za burtę?

- George powinien dziękować opatrzności za tak śliczną żonę, której jak mniemam, nie potrafi docenić - zamruczał pieszczotliwie Cardigan.

333

- To nie jego wina, że prawie się nie widzimy, lordzie.

- Śliczna i odważna. Lubię, kiedy kobieta ma charakter - przysunął bliżej twarz, muskając ją po policzkach wężami.

Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu, co miała u diabła robić? Krzyczeć? Rzucić się do ucieczki? Ze względu na George'a nie chciała go urazić, ale ucieczka wydawała się jedynym wyjściem. Wyślizgnęła się z jego objęcia i wstała.

- To był cudowny wieczór - wydusiła - ale robi się późno. Powinnam wracać.

- Nonsens, jest jeszcze wcześniej - odparł pobłaźliwie. - Z pewnością może pani poświęcić kilka godzin, by zabawić starego człowieka, który tęskni za chwilą wytchnienia, za odrobiną przyjemności w towarzystwie pięknej kobiety.

Myśli, że się z nim droczę, powiedziała do siebie, bez wątpienia to go tylko rozochoci.

Cardigan wstał i podszedł do niej; wysoki, majestatyczny z bliska, na swój sposób pełen męskiego uroku. Objął ją w pasie, a ona pomyślała ze złością, że pozostało jej tylko jedno - Naczelnny Dowódca czy nie, musi powiedzieć mu wprost, że nic z tego. Przysunął się jeszcze bliżej, szukając jej ust. Odwróciła twarz, odepchnęła go, wywołując jedynie śmiech.

- Nie bądź taka skromna, gołąbeczko. To do ciebie nie pasuje.

Ścisnął ją mocniej, a gdy otworzyła w proteście usta, przyszło cudowne ocalenie.

Ktoś załomotał do drzwi i po chwili pojawił się poruszony służący.

- Co, u diabła? - spytał gniewnie Cardigan, cofając rękę. - Chyba powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzać.

- Przepraszam, lordzie, ale przybył posłaniec od lorda Raglana. 334

- Czy nie może poczekać do rana?

- Nalega, że to coś pilnego, lordzie, bardzo pilnego.

- Psiakrew! - zaklął i zwrócił się do Laurel - Proszę mi wybaczyć, służba nie drużba, ale nie zabawię długo, przyrzekam. Poczęstuj panią Grafton kawą. No, gdzie jest ten przeklęty wożak?

- Zaprowadziłem go do pana gabinetu, lordzie.

- Świetnie. Już idę.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Laurel oznajmiła pośpiesznie:

- Nie chcę już kawy. Tak tu gorąco. Wyjdę na

pokład i zaczerpnę trochę świeżego powietrza.

- Jak sobie pani życzy, madam.

Służący z obojętnym wyrazem twarzy zebrał filiżanki na srebrną tacę, ale wiedziała, że zrozumiał jej kłopotliwe położenie. Zastanowiła się, ile razy był świadkiem podobnej sytuacji i czy inne kobiety okazały się bardziej uległe.

Kiedy wyszła na pokład, panowały już ciemności.

Na niebie świeciły gwiazdy, a na policzkach czuła lodowate powietrze nocy. Opatuliła się płaszczem i rozejrzała dokoła. Nie dostrzegła nikogo z załogi, tylko przewoźnika, który oparty o nadburcie drzemał lekko. Poklepała go po ramieniu.

- Czy możesz zabrać mnie na brzeg?

Ocknął się przestraszony.

- Już, pani.

- Pośpiesz się.

Nie mogła się doczekać, kiedy opuści to miejsce,

a przewoźnik w ślimaczym tempie przeszedł za burtę, by przytrzymać rozkołysaną drabinkę. Cierpienia za przerwany sen wynagrodził mu widok długich, szczupłych nóg w białych, jedwabnych pończochach ukrytych pod rozwianymi wiatrem falbanami.

Drabinka huśtała się we wszystkie strony, a gdy w końcu Laurel znalazła

335

się w łodzi, poprosiła go, by wiosłował co sił w ramionach... prędko... coraz prędeżej. Wysadził ją na nadbrzeżu przy schodach pokrytych zielonym szlamem. Woda zmoczyła jej stopy i brzeg sukni. Przeszukała swą małą torebkę i wcisnęła mu do ręki srebrną monetę. Wrzucił ją do kieszeni z szelmowskim uśmiechem, a ona pewna była, że do rana historia ta znana będzie w całej Balaklavie, a może nawet i za granicą. Modliła się, by nie dotarła ona do George'a póki sama nie opowie mu wszystkiego i oboje potraktują ją jak dobry żart. Naciągnęła na włosy kaptur i pognęła przez doki, potykając się o bruk i rozpryskując kałuże brudnej deszczówki. Pędząc w pośpiechu wpadła na bele towarów i rozciągnęłaby się jak długa, gdyby mężczyzna nadchodzący z drugiej strony nie chwycił ją w ramiona.

- Spokojnie - odezwał się - po co ten pośpiech? Zsunęła z głowy kaptur, a on oniemiał ze zdziwienia.

- Laurel, co u diabła robisz tu sama o tak późnej porze?

- Uciekam od lorda Cardigana - oznajmiła śmiejąc się i łkając. - Och, Jethro, jaka to ulga, że to ty! - Oparła się o niego wyczerpana. - Nie wiedziałam, że jesteś w Balaklavie.

- Wróciłem ze Scutari tydzień temu. O jakiej ucieczce mówisz?

- Chyba chciał mnie uwieść. Ojej, dałam się nabrać i wciągnąć w tę głupią sytuację. Jednym tchem opowiedziała mu całe zajście, śmiejąc się z minionego zagrożenia.

- Pojęcia nie miałam, że przygotował przyjęcie dla dwojga. Pomyślałam, że pomogę George'owi schlebiając mu troszkę, ale teraz - o. Boże, wszystko popsułam. Uraziłam jego dumę, odegra się na Geor-ge'u. Co mam zrobić?

Jethro ujął ją pod ramię i ruszyli przez kałuże. 336

- Ale to mój kłopot, nie twój - podniosła wzrok. - To wspaniale, że tu jesteś. Skąd wracasz?

- Wezwano mnie na statek turystyczny. Jeden z pasażerów dostał z przejedzenia bóleści i pomyślał, że to cholera. Zaaplikowałem mu dawkę kalomelu. Jutro pożałuje, że przyszedł na ten świat.

Zachichotała.

- Ach, Jethro, jak mogłeś być tak okrutny?

- Dobrze mu to zrobi. Gdyby to ode mnie zależało, potopiłbym ich w morzu! Mamy wystarczająco dużo pracy z rannymi, by zajmować się zdrowymi.

Ścisnęła go za ramię, gdy rozpoczęli wspinaczkę wąską uliczką miasta. W jego towarzystwie czuła się pewnie i spokojnie.

- Czy bezpiecznie dowiozłeś rannych do Scutari?

- Bezpiecznie - prychnął z ironią. - Nie masz pojęcia jak tam jest. Te przerażające koszary zamieniono w szpital, jeśli w ogóle można użyć tego słowa - siedlisko zarazy, to już lepsze określenie. Ludzie przeszli piekło na statkach, ale to nic w porównaniu z tym, co tam zastali. Nie przygotowano dla nich ani odrobiny żywności. Nie przygotowano łóżek, więc leżeli rzędami na brudnej podłodze, owinięci kocami przesiąkniętymi krwią. Nie było tam kuchni, gdzie można by coś ugotować, ani jednej szklanki, ani jednego wiadra na wodę dla chorych, zapomniano o stołach operacyjnych. Doktor Menzies, Oficer Medyczny jest bliski załamania, szukając niezbędnego sprzętu, a tymczasem ludzie umierają w cierpieniu.

- To niemożliwe - przeraziła się. - Z pewnością coś da się zrobić.

- To prawda - zachmurzył się - nigdy nie byłem tak bliski rozpacz. Mam tylko nadzieję, że ktoś opowie

337

o tym w Anglii zanim będzie za późno, zanim padnie cała armia.

- A mimo to przyjechałeś tu.

- Jestem chirurgiem, Laurel. Zapowiada się na silne uderzenie. Pomyślałem, że przydam się na polu walki.

- Kiedy to nastąpi?

- Nie jestem pewien. Prawdopodobnie za dzień lub dwa.

- A więc to była ta pilna wiadomość dla Cardigana. Cóż, przynajmniej ocaliła mnie od czegoś gorszego

niż śmierć - uśmiechnęła się blado. - Chciałabym ci jakoś pomóc.

- Z tego co słyszałem, robisz wszystko, co w twojej mocy. Ludzie potrzebują otuchy.

- Staram się, ale to niewiele - przytuliła się do jego ramienia. -Przykro mi, że nie odwiedziłeś mnie wcześniej.

- Nie było czasu - odpowiedział wymijająco. - Pracujemy dzień i noc, czyniąc niezbędne przygotowania. Wydałem ostatnie grosze na wszelkie możliwe lekarstwa, jakie znalazłem w Konstantynopolu, ale to kropla w morzu potrzeb. Ambasador bezpieczny w swym wspaniałym pałacu wysłuchał mnie, ale nie kiwnął nawet palcem. Pomyślał chyba, że jestem szalony i przesadzam jak każdy lekarz. On i jego małżonka zrobili wszystko, by nie odwiedzić szpitala. Nawet ich za to nie winie. Brud i stęchliznajest tam nie do zniesienia. Ale wystarczy tych narzekań. Teraz twoja kolej. Jak się czuje twój mąż?

- Prawie wcale go nie widuję, bo kawaleria obozuje w Kadikoi, ale przypuszczam, że rana nie zagoiła się. Pewnego ranka przybył Robin, przynosząc wieści o księciu



Malinskim. Biedny Dmitri został chyba ciężko ranny podczas ataku na obóz rosyjski po bitwie nad Almą.

- To przykre, kiedy przyjaciele stają po przeciwnych stronach barykady.

338

Kiedy dotarli do willi, w oknie dostrzegli żółtawe światło lampy. Laurel zaniepokoiła się.

- To dziwne. Widać, Poily jeszcze nie śpi. Która godzina?

- Po dziesiątej.

Jakaś postać przysłoniła światło i otworzyła drzwi.

- To George - wykrzyknęła.

- Spodziewałaś się go?

- Nie. Coś musiało się stać.

Rzuciła się biegiem w jego stronę, a po chwili wahania Jethro ruszył za nią. George nie zrobił ani kroku.

- Postanowiłem na ciebie poczekać - oznajmił chłodno. - Poily powiedziała mi, że wybrałaś się na kolację z Cardiganem.

- Tak, to prawda. Kochanie, wszystko wypadło tak fatalnie. Chciałam ci o tym opowiedzieć.

Nie zwracał uwagi na jej słowa, spojrzął tylko na Jethro i zmarszczył brwi:

- Czy doktor Ayisham też został zaproszony na przyjęcie?

- Nie, to nie było przyjęcie. Byliśmy sami i to jest najgorsze. Nie miałam pojęcia, że tak się stanie. Możesz sobie wyobrazić jak się czułam.

Powiedziała zbyt wiele, ale nie przerwała, przerażona widokiem kamiennej twarzy George'a.

- Musiałam jakoś uciec i nie wiem, co sobie pomyśli, gdy się dowie, że ubłagałam jego przewoźnika, by mnie odwiózł na brzeg. Na szczęście, na molo spotkałam Jethro...

- Takie samo szczęście, kiedy po bitwie nad Almą zamieszkał z tobą w Eupatorii...

- Kto ci to powiedział? - spytała szybko.

- Nieważne.

339

Zrobił krok w stronę Jethro, a ona chwyciła go za ramię.

- Ale to nieprawda... George, wysłuchaj mnie. Wyrwał się z uścisku i nakazał:

- Uspokój się, Laurel. Doktorze Ayisham, kiedy przekazywał pan wiadomości mojej żonie, nie musiał pan ciągnąć jej do łóżka.

- George! - wrzasnęła rozgniewana Laurel.

- To niedorzeczne - odparł spokojnie Jethro. - Ktokolwiek to panu powiedział, kłamał jak najęty.

- Zaprzecza pan? Czyż nie odwiedzał pan codziennie Laurel, nie jadał z nią kolacji, nie sypiał tam każdej nocy?

- Nie zaprzeczam. Trudno było znaleźć nocleg i coś do jedzenia. Laurel ofiarowała mi swą gościnność, za którą byłem bardzo wdzięczny, ale na tym się skończyło.

George roześmiał się pogardliwie.

- Ma mnie pan za głupca? Nie wierzę w ani jedno słowo.

- Jak pan chce. Ale to prawda.

- Niech to diabli - podniósł głos George. - Gdyby nie jutrzejsza bitwa, wyzwiałbym pana na pojedynek i rozwałił tę przekłętą głowę.

- Dużo by to dało - nie poddawał się Jethro. - Jeśli nie ufa pan swojej żonie, współczuję wam obojgu. Laurel jest lojalna wobec człowieka, który nie jest wart jej małego palca. Mam do załatwienia ważniejsze sprawy niż kłótnia z kimś tak zaślepionym głupią zazdrością. Dobranoc, Laurel.

Odszedł spokojnym krokiem, zostawiając oniemiałego George'a, wściekłego i zdesperowanego. Laurel weszła do domu. Po chwili George odwrócił się i poszedł za nią.

Ostatni tydzień, od czasu nieudanego ataku na Sewastopol, był wyjątkowo wyczerpujący. W obozie w Kadikoi nie sposób było utrzymać dyscyplinę i pocieszyć żołnierzy, którzy czuli się oszukani; ich muni-

Idury rozpadły się na strzępy, buty rozleciały na kawałki ' i na nic nie mogli już liczyć tylko na długie oblężenie w czasie mroźnej zimy. Trudno było podnieść żołnierskie morale w przeciekających namiotach, na nędznej diecie ograniczonej do solonej wieprzowiny i spleśniałych sucharów. Ramię George'a ropiało. Opatrzony z grubszą przez wojskowego chirurga sprawiał przenikliwy ból, doprowadzając go do szaleństwa. Najgorszy okazał się tamten ranek w oficerskim kasynie. Jeden z przeklętych cywilów szukających sensacji przybył na inspekcję obozu i wywołał ogólne oburzenie, krytykując zjadliwie ciężkie położenie koni. Potem, popijając gwałtownie kurczące się zapasy brandy rozprawiał bez ogródek o atrakcyjnej, młodej damie w Eupatorii i przystojnym chirurgu, który najwyraźniej korzystał z nieobecności jej męża.

- Wszystkie damy opowiadały o tym przy herbacianych stolikach - ciągnął nierozważnie, napełniając sobie kolejny kieliszek. - A teraz wygląda na to, że nadal bawi się w ten sposób w Balaklavie. Nawet lord C. nie pozostaje obojętny na jej wdzięki - poranne przejażdżki, prezenciki, przytulne kolacyjki na pokładzie jego jachtu. Nic dziwnego, że odrzuciła nasze zaproszenie na przyjęcie na „Alexandrze”. George zauważył zakłopotane spojrzenia swych towarzyszy. Miał ochotę rozbić swą pięść na grubej, tłustej twarzy i raz na zawsze zamknąć usta kapiące od oszczerstw, nawet gdyby miano go zwolnić ze służby. Choć nie padło ani jedno imię, wszyscy wiedzieli o kim opowiada. Nie wierzył jego słowom, ufał Laurel, a jednak poczuł się dotknięty do żywego.

Gdy wszedł do saloniku, wciąż miał przed oczyma tamto zajście. Laurel rzuciła swój ciepły płaszcz na krzesło i stanęła przed gasnącym kominkiem; szczupła, wyprostowana, oczy płonęły jej z oburzenia. Nie czekała na jego słowa, lecz zaatakowała pierwsza.

- Jak mogłeś w ten sposób potraktować Jethro i jak śmiesz obrażać mnie tymi obrzydliwymi podejrzeniami? Czy myślisz, że świetnie bawiłam się w towarzystwie lorda Cardigana? Przyjęłam to zaproszenie, by pomóc ci w awansie, na którym tak ci zależy. Pojęcia nie miałam, że będzie sam i gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę, uciekłam.

Już miał zamiar zdobyć się na przeprosiny i zawrzeć z nią pokój, kiedy zatrzęsł się z oburzenia.

- Na miłość boską, czy kiedykolwiek prosiłem cię,

abyś się dla mnie prostytutowała? Potrafię zadbać o własne interesy.

- Powinieneś przynajmniej podziękować. Machnął niecierpliwie ręką.

- Do diabła z Cardiganem! Wiem, że nie obchodzi cię ani trochę ta wojskowa kukła.

Nie to mnie martwi. Rzuciła mu baczne spojrzenie i ciężko opadła na fotel.

- Jeśli to Jethro nie daje ci spokoju, możesz o nim zapomnieć raz na zawsze.

Powiedział absolutną prawdę.

- Gdybym miał pewność...

- Sam musisz zdecydować - oświadczyła z dumą. - W Eupatorii warunki były nie do zniesienia. Na szczęście udało nam się zdobyć trochę żywności, więc podzieliliśmy się z nim. Pracował do granic wytrzymałości, raz czy dwa po kolacji zasnął z wyczerpania, a ja go nie budziłam. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że posłuchasz jakichś głupich, znudzonych bab, które wymyślają oszczerze plotki.

- A tu, w Balaklavie? Czy odwiedza cię każdego dnia?

- Dziś wieczorem spotkałam go po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Eupatorii, zupełnie przypadkowo.

Nie mogąc podjąć żadnej decyzji przechadzał się po pokoju, aż w końcu zwrócił się do Laurel:

- Byliście kiedyś kochankami, sama mi to powiedziałaś. Miałaś czas, miejsce i sposobność.

342

Dobrze wiedział, że zdręcza samego siebie, ale nie mógł przerwać. Zbyt dobrze znał magnetyczny urok Laurel. Który mężczyzna potrafiłby się jej oprzeć, pomyślał żałośnie. Podeszedł bliżej, przysunął ją do siebie i palcem uniósł jej podbródek. Ich oczy spotkały się.

- Czy możesz mi przysiąc, że nic między wami nie ma, że nie jest dla ciebie ważniejszy ode mnie, od kogokolwiek innego? - wyrzucił z siebie łudząc się, że da mu odpowiedź na jaką liczy, nawet jeśli będzie to kłamstwo. Przyjąłby je z wdzięcznością, bo tak bardzo tęsknił za osłoda, którą mogła mu ofiarować.

Zawahała się, wciąż rozgniewana za oskarżenie o niewierność, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo ból i napięcie osłabiły jego moc. Dumna była z własnej, wewnętrznej uczciwości, więc szepnęła powoli:

- Niczego nie będę przysięgać. Nigdy cię nie okłamałam. Uwierz w co chcesz, ale nigdy nie zdradziłam cię z Jethro ani z nikim innym. Czy możemy już o tym zapomnieć?

Wyciągnęła do niego dłoń, ale odsunął się gwałtownie, pełen narastającej goryczy. W milczeniu podeszedł do krzesła i podniósł swój płaszcz.

Zaniepokojona podniosła się z miejsca.

- Dokąd idziesz?

- Wracam do obozu. Wiem, kiedy mnie nie chcą.

- Ale to nieprawda, nieprawda. Czy kiedykolwiek coś takiego powiedziałam?

Zrozumiała nagle co zrobiła i natychmiast tego pożałowała. Teraz w tym krytycznym momencie powinna skłamać, udawać gorące uczucie.

- Tak czy inaczej muszę już jechać. W każdej chwili mogą przyjść rozkazy do walki. Przyjechałam, aby ci o tym powiedzieć.

Krzyknął na Setha, by przyprowadził mu konia.

Odprowadziła go do drzwi.

- Mógłbyś zostać na trochę - godzinę, pół godziny - błagała. - Tyle mamy sobie do wyjaśnienia.

- Nie więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

- To kłamstwo.

- Tak? Dlaczego, na miłość boską, wysłaś za mnie? Dostrzegła cierpienie na jego twarzy i natychmiast

chciała mu to wynagrodzić. Dotknęła lekko jego ramienia.

- George, proszę wróć... nie odchodź w ten sposób. Odtrącił jej dłoń.

- Nie ma czasu. Kiedy będzie już po wszystkim, wyjaśnimy pewne sprawy.

Seth przyprowadził konia, a George wskoczył na siodło.

- Jeśli chcesz zobaczyć bitwę, to najlepsze miejsce jest tam, na wzgórzach.

Popatrzyła na niego, pragnąc rozpaczliwie, by jej nie odtrącał. Przez moment chłonał ją wzrokiem; jedwabiste, rude włosy opadające na odkryte ramiona, szczupłą, białą szyję. Niewierna czy wierna - kochał ją, kochał ją do szaleństwa! W mgnieniu oka zawrócił konia, spiął go ostrogami i pogalopował w ciemną noc.

18

Zaniepokojona i nieszczęśliwa długo nie mogła zasnąć. Wydawało jej się, że dopiero co zmrużyła oczy, kiedy Poły obudziła ją kilkoma szturchańcami.

- Zaczęło się, madam, już się zaczęło. Pani Butler przechodziła obok i krzyknęła do mnie. Jeśli się pośpieszymy, zobaczymy całą bitwę. Kapitan i mój

344

Fred będą w największym ogniu. Proszę się ubrać, a ja tymczasem włożę jedzenie do koszyka. Może nam się przydać.

Jakie to fantastyczne, pomyślała Laurel, naciągając

drżącymi rękoma strój do konnej jazdy i w pośpiechu czesząc włosy. Jedziemy jak na piknik, podczas gdy w tej walce zginą setki ludzi, a drugie tyle zostanie rannych.

Zrobiło jej się niedobrze i z trudem wypila jedną filiżankę gorącej herbaty. Mały, biały pies za-skamlał, gdy wychodzili do koni, wzięła go więc na

ręce, a Seth podsadził ją na siodło.

Na wzgórzach ponad doliną gromadzili się turyści, trajkocząc w podnieceniu, a kobiety przechadzały się w toaletach bardziej stosownych na wyścigi konne niż pole bitwy. Służba wypakowywała kosze pełne żywności i skrzynki szampana. Minęła ich z pogardą, znajdując cichy punkt obserwacyjny dla siebie, Poły i Setha. Pies, zaprawiony już w bojach, położył się obok z głową na łapach i uważnie obserwował zamieszanie

na pobliskich stokach. Minęła siódma. Ciężkie, poranne mgły rozproszyły się w promieniach wschodzącego słońca i nagle wszystko stało się wyraźne, jasne i kolorowe jak dziecięca książeczka. Usadowieni na wysokości sześciuset stóp nad równiną, jak z teatralnej łoży obserwowali szyk bojowy. Scena w dole zdawała się być tak nierealna. Górskie grzbiety, lśniące błękitem niebo tworzyły operową scenografię dla maszerujących szwadronów z powiewającymi na wietrze sztandarami, dla artylerii, dla górali szkockich w kiltach i mundurach jaskrawych od błękitu, szkarłatu i zieleni.

Przypominali kukielki poruszone sprawną dłonią gigantycznego mistrza i trudno było uwierzyć, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo.

Pierwszy, zaciekły napór Rosjan nadszedł od strony wzgórz wczesnym rankiem, forsując reduty i szance

345

obsadzone przez Turków, zmuszając ludzi do ucieczki i zdobywając wielkie działa okrętowe. Przez chwilę zdawało się, że Rosjanie zmiotli wszystko po drodze, ale solidna czerwona linia nie ruszyła się z miejsca. Żołnierze padali i ginęli, ale szeregi zamykały się, nie przerywając obrony. Laurel, korzystając z pożyczonej lornetki, wodziła po twarzach szukając George'a i innych młodych ludzi, których znała. Nagle zapadła głucha cisza, przerywana parsaniem koni i brzękiem stali. Rozległ się głośny okrzyk. Rosjanie ruszyli bezlitośnie wielką, szarą nawałnicą, ale kompanie ciężkiej kawalerii ani drgnęły. Oficerowie poruszali się między swymi szwadronami, bardziej przejści ich umundurowaniem niż nieuchronnym starciem. Żołnierz, nawet idąc na śmierć, musiał prezentować się bez skazy. Rozległ się przenikliwy dźwięk trąbek. Stojący na czele oddziałów major Scarlett uniósł szablę i ruszyli do przodu; wolno, szybciej, coraz szybciej, aż pognali na złamanie karku w stronę wzgórz, strzemię przy strzemienu, znikając w szarej, rosyjskiej masie.

- Są otoczeni, na pewno zginą - usłyszała czyjś głos.

- Nie - zareagowała szybko. - Nie, to niemożliwe. Nie wierzę.

Wstrzymała oddech przyciskając dłonie do piersi, przyglądając się rozkołysanej fali bezlitośnie walczących żołnierzy; szarość mieszała się z jaskrawym szkarłatem, błyskały w dłoniach szable, słychać było brzęk stali i dzikie okrzyki. Rosjanie napływali szeregami ze wszystkich stron. To, co zdawało się trwać godzinami, rozegrało się w dziesięć minut. Po chwili rozległ się nowy dźwięk, niewiarygodnie cudowny dźwięk brytyjskich okrzyków radości. Wielka, rosyjska masa spiętrzyła się i rozpadła, rzucając się do ucieczki. Powietrze przeszył dziki wrzask. Kobiety i mężczyźni ukryci na wzgórzach padali sobie w ob-

346

jęcia, śmiejąc się, płacząc, rzucając w górę kapelusze. Laurel padła na kolana, kryjąc twarz w dłoniach;

stojąca obok Poiły klaskała, a mały pies szczekał zawzięcie.

Ale do zwycięstwa było jeszcze daleko. Nie rozpoczęto pogoni. Znaczna część rosyjskiej kawalerii zdołała wymknąć się z oblężenia. Laurel dostrzegła posłańców galopujących po równinie. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Mijały minuty. Słońce świeciło wysoko nad doliną, powietrze było rześkie i czyste. Niektórzy turyści zabrali się do jedzenia i picia, czekając na następny akt dramatu. Dochodziła jedenasta, a Lekka Brygada wciąż czekała na swą kolej w bitwie. Laurel widziała, jak siedzą w bezruchu na swoich koniach, dostojni, choć ich mundury dawno straciły świeżą barwę, a mosiężne ozdoby zmatowiały od słońca i deszczu. Pomyślała o George'u, przerażona, że ich ostatnia kłótnia zmusi go do szaleńczej brawury. Wiedziała, jak dramatycznie przeżywa nieustanne oczekiwanie huzarów na udział w bitwie.

Poiły rozpakowała koszyk i podała jej jedzenie, ale Laurel nie mogła przełknąć ani kęsa. Małymi łykami wypila szklaneczkę wina. W tym momencie dojrzała oficera

zjeżdżającego po urwistym stoku / miejsca, gdzie akcji przyglądał się lord Raglan ze swoim sztabem. Rozpoznała kapitana Nolana, doskonałego jeźdźca i nieustraszonego żołnierza. Zastanowiła się, jakie rozkazy przynosił.

ii \* >n

Huzarzy, lansjerzy i dragoni tworzący Brygadę Lekkiej Kawalerii, trzymani w ryzach przez lorda Lucana, gotowali się z podniecenia i wściekłości. Czy podobnie jak podczas bitwy nad Almą pozostaną

347

w cieniu prawdziwych bohaterów? George, dosiadając konia na czele swego oddziału, poprawił się w siodle. Kiedy ostatniej nocy powrócił do obozu stwierdził, że nikt nie zauważył jego nieobecności. Nie było czasu na wypoczynek czy sen. O godzinie czwartej nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, pułk wyrwany został ze snu. Przy żółtawym świetle lamp napojono konie. Od świtu siedzieli w siodłach, bez jedzenia i picia, a mijające godziny wlokły się w nieskończoność. George próbował zapomnieć o Laurel, ale nie było to możliwe. Gorzko żałował swego nierozważnego zachowania z ostatniej nocy, ale nic już nie mógł zrobić. Być może już nigdy nie będzie miał szansy powiedzieć jej, że bardzo ją kocha, że zawsze jej ufał i że kiedy skończy się ta przeklęta wojna, zbudują od nowa wspólne życie. Usta miał suche z pragnienia, w brzuchu burczało mu z głodu. W torbie znalazł jednego wysuszonego suchara, a z manierki pociągnął łyk brandy. Wtedy to dostrzegł Nolana podjeżdżającego po raz drugi w ciągu

godziny do Lucana. Do jego uszu dotarły strzępy rozkazu.

- Lord Raglan życzy sobie, aby kawaleria jak najszybciej ruszyła na front, rzuciła się w pościg za wrogiem i nie dopuściła do porwania dział.

Doszło do ostrej wymiany zdań i po chwili usłyszał zjadliwe pytanie Lucana:

- A tak, sir? Co mamy atakować? Jakie działa, sir?

- Tam, lordzie, tam jest wasz wróg i działa. Na co czekacie?

Nolan zamachał niecierpliwie ręką, wskazując na zachodni skraj doliny, gdzie Rosjanie trzymali swe baterie, kawalerię i piechotę. George'owi przyszło na myśl, że przez atakowanie dział Raglan rozumiał przejęcie wielkich armat zajętych tego ranka przez Rosjan, ale pogardliwy ton Nolana uraził jego dumę

348

i nie do niego należało kwestionowanie poleceń. Lord Lucan na czele swych ludzi podjechał do Cardigana. Powstało spore zamieszanie i raz jeszcze zapadła przerażająca cisza zwiastująca niebezpieczeństwo.

Laurel zauważyła George'a na czele swego oddziału. Widziała, jak lord Cardigan zajął właściwą pozycję przed swym sztabem. Trąbki zagrały: naprzód, marsz! Słońce odbijało się w złotych epoletach i mosiężnych hennach, ostrogi wbijały w końskie boki, zaszeleściła skóra, zabrzączała stal i ruszyli w bojowym szyku, chłodni, zdyscyplinowani, wyprostowani, z dłońmi na lejcach. Przyśpieszyli kroku, przechodząc w kłus, a następnie galop.

Wtedy Laurel spostrzegła samotnego jeźdźca wyrrywającego się z szyku i przeciskającego przez brygadę z lewa na prawo. Był to kapitan Nolan. Obrócił się w siodle, coś krzyknął i zamachał szablą jakby próbując zmienić kierunek natarcia. Ktoś wypalił z muszkietu. Nolan zniknął w chmurze dymu, kiedy pocisk przeszył mu pierś.

Wydał z siebie wrzask tak przenikliwy, tak nieziemski, że widzowie wstrzymali oddech, a Laurel zatrzęsa się z przerażenia. Brygada nie straciła odwagi. Żołnierze posuwali się miarowo w stronę zachodniego krańca doliny, gdzie przy działach stali w bezruchu Rosjanie. Laurel nie mogła oderwać od nich oczu. Jeźdźcy zwiększyli tempo, pędzili teraz noga przy nodze, zaciskając ostrogi, szybko, coraz szybciej. Rosjanie ocknęli się z zaskoczenia na widok wspaniałych żołnierzy pędzących na spotkanie ze śmiercią i wypalili z dział; kartacze i kule poszybowały ze świstem na szarżujące szwadrony. Opustoszały siodła, samotne konie galopowały szaleńczo dokoła, ale dyscyplina została utrzymana, szeregi zwały się i ruszyły dalej.

349

Na skraju doliny George dojrzał białą chmurę dymu, z której strzelały jęzory ognia, wskazując pozycję rosyjskich dział. Wybrał jedno i śmiało pognął w jego kierunku. Strzelanina rozgorzała na dobre, śmierć zbierała swe żniwo. Kawalerzyści wpadli w obłęd i rzucili się na oślep przed siebie. Ludzie wokół niego wznosili okrzyki i wrzeszczeli. Wyszukał przerwę między dwoma działami i popędził w tamtą stronę. Powietrze przeszył przeraźliwy ryk, ziemia zatrzęsa się w posadach, Wydawało się, że pochłonął ich piekielny ogień, a w gęstym dymie nic nie widzieli. Rosjanie oddali salwę ze wszystkich dwunastu dział, kładąc trupem pierwszą linię kawalerii. Wybuch cisnął koniem George'a, a płomienie prześlizgnęły się po jego boku. Na oślep rzucił się w przód i wpadł w środek własnej baterii i swych kawalerzystów. Rąbali, cięli, zadawali pchnięcia jak w amoku. Siłą rozpędu wypadli poza pierwszą linię i gdy opadł dym, stanęli naprzeciw potężnej masy rosyjskiej kawalerii. Z bojowym okrzykiem na ustach George rzucił się na dowódcę Kozaków, wyzywając go na pojedynek i przebijając szpadą. Oślepiiony furią parł przed siebie, ale dokoła pojawił się drugi szereg Rosjan. Zrozumiał, że muszą się wycofać albo wpadną w pułapkę bez wyjścia. Zebrał rozproszony oddział i powoli zaczął szykować się do odwrotu. Kiedy zawracał konia, poczuł paralizujące cięcie przeszywające jego ciało. Miał wrażenie, że zsuwa się z siodła i tylko dzięki doświadczeniu zachował wyprostowaną postawę, ściskając kolanami konia. Wtem ktoś chwycił jego konia za uzdę. Jak przez mgłę rozpoznał Freda Cobba i usłyszał jego niewyraźny krzyk:

~ Wszystko w porządku, kapitanie. Niech pan się trzyma... Jestem tu... Wszystko w porządku.

Nadal siedział prosto w siodle. Ziemia dokoła nich pokryta była zabitymi i konającymi. Ranne konie bez jeźdźców, rżące z bólu wpadały w galopie na słaniają-  
350

cych się żołnierzy. Dym zanikał, ale zrobiło mu się dziwnie ciemno przed oczami. Próbował odgonić gęstą mgłę, która przesłaniała mu widok, ale głowa opadła mu na końską szyję.

\* \* \*

Wyteżając wzrok, Laurel zobaczyła jak ostatni szereg brygady znika w gęstniejących kłębach dymu na końcu doliny. Raz po raz wznosiły się w górę szable, grzmiały działa, a potem zaległa cisza, dymy uniosły się, odsłaniając straszliwe szczątki ludzi i koni. Niektórzy oficerowie ukryci na wzgórzach, ci sami, którzy nieustraszenie maszerowali pod gradem kul nad Almą, płakali jak dzieci. Zagrały trąbki i po około

dwudziestu minutach z szarej mgły wyskoczyło kilku jeźdźców. Początkowo myślano, że to Rosjanie, ale po sekundzie Poiły szepnęła:

- Dzięki Bogu, madam, to brygada. To wszystko, co z nich zostało!

Laurel stanęła w obliczu koszmarniej prawdy. Z sześciuset żołnierzy, którzy dokonali wspaniałego ataku pozostało jedynie tych kilku żalosnych rozbitków. Podchodzili wolno, chwiejąc się na nogach, czołgając się po ziemi, kulejąc, podtrzymując się wzajemnie, kołysząc w siodłach. Wraz z nimi pojawiły się samotne konie, przestraszone i zagubione bez swych właścicieli, okaleczone, padając za żołnierzami, których niedawno wiozły do szturm. Jej oczy, szczypiące od dymu i łez, na próżno wypatrywały George'a. Bez namysłu wskoczyła na Lucyfera. Potykając się i ślizgając, zjechała po stromym stoku na poszukiwanie. Musi gdzieś tu być, z pewnością żyje. Od czasu do czasu rozlegały się sporadyczne strzały. Rosyjscy snajperzy wypatrywali tych, co ocaleli. Nie zwracała na nich uwagi. Dotarła do

351

doliny i zeskoczyła z siodła, ciągnąc konia za sobą. Upiorny widok, który ujrzała, śmiertelnie ranni ludzie, krew i ludzkie szczątki, rozszarpane konie; to wszystko przyprawiło ją o mdłości i już chciała wracać, kiedy determinacja wzięła górę nad rewulsją.

Poruszała się między leżącymi, szukając połyskującego munduru, wiśniowej pelerynki i niebiesko-złotej kurtki. Krew poplamiała jej ręce i spódnicę, kiedy pochylała się nad rannymi i umierającymi. Jeden z żołnierzy chwycił ją za rękę, błagając cicho o pomoc. Snajperska kula musnęła jej dłoń, ale nie poczuła bólu. Spostrzegła znajomego oficera, który odwiedzał ją w willi. Jechał pochylony na koniu, ręka zwisała mu nieruchomo na boku.

- Widziałem go za działami, madam, ale potem... Bóg jeden wie - z trudem poruszał głową.

Odjechał, a ona ruszyła dalej. Dokoła inne kobiety, żony prostych żołnierzy przeszukiwały stopy rannych. Zatrzymała się zrozpaczona, gdy nagle usłyszała swoje imię. Zobaczyła Freda Cobba, całego we krwi od głębokiej rany na twarzy, ale żywego i opanowanego.

- Kapitan... - spytała. - Gdzie jest kapitan?

- Tutaj, madam. Tutaj, tylko on...

Laurel wypuściła z dłoni uzdę, minęła Freda i padła na kolana przy George'u. Leżał z zamkniętymi oczami na plecach bez widocznych obrażeń. Ułożyła jego głowę na kolanach i pogłaskała po policzku.

- Jestem przy tobie, kochany - szepnęła. - Zajmiemy się tobą. Wszystko będzie w porządku.

Delikatnie otarła krew z jego ust. Otworzył oczy, ale nie poznał jej.

Fred odezwał się nieśmiało:

- Zrobiłem, co mogłem, ale dostał w plecy. Myślał o nas... próbował kryć nasz odwrót i wtedy go dostali.

352

- Musimy go stąd zabrać. Doktor Ayisham będzie wiedział, co robić.

Obok pojawiła się Poiły z Sethem. Laurel zebrała siły.

- Nie możemy go tu zostawić. Musicie go nieść. Poiły i ja przyprowadzimy konie.



Seth i Fred wymienili spojrzenia i zabrali się do pracy. Podnieśli George'a i położyli go na grzbiecie konia, podtrzymując z obu stron. Laurel chwyciła Lucyfera za uzdę. Po całej dolinie krzątali się ludzie, pojawiły się nosze do przenoszenia rannych. Na skraju doliny ustawiono punkt medyczny z prowizorycznymi namiotami szpitalnymi. Lekarze oddzielali rannych od umierających i zabitych. Jeden z nich przerwał na moment swą przerażającą pracę, spojrzał szybko na George'a i stwierdził:

- Już po nim. Połóżcie go obok zmarłych.

- Nie! - krzyknęła Laurel. - Nie, on nie jest martwy, tylko ranny.

Doktor rzucił jej zmęczone spojrzenie.

- Madam, zbyt długo jestem w tym fachu, by mieć wątpliwości. Muszę ratować tych, którzy mają jeszcze szansę przeżycia.

Odwrócił się do pokrytego krwią stołu, ale Laurel nic dawała za wygraną. Przez cały dzień winała się /i sposób, w jaki się rozstali. Teraz w szoku i rozpaczyc/owała się odpowiedzialna za jego śmierć. Nie zważając na nic, rzucił się w niebezpieczeństwo. Nie próbował. Nie nawet ratować. Ale Jethro mu pomoże. Jethro będzie wiedział, co robić. Kurczowo uczepiła się lej myśli.

- Zaczekaj tu - poleciła Sethowi. - Poszukam •lektora Ayishama.

Przeszła między rzędami cierpiących mężczyzn, myśl-lic tylko o jednym. Kiedy znalazła wreszcie Jethro,

353

opatrywał akurat mężczyznę z przeciętym do kości udem. Przymknęła oczy na widok rozszarpanego ciała i zaczęła, aż skończy bandażowanie. Jethro wyprostował się z trudem.

- Da sobie radę - powiedział. - Przynieście następnego.

Kiedy odwrócił się, by zanurzyć zakrwawione dłonie w misce wody, wzrok jego padł na Laurel.

- Laurel, po co tu przyszłaś?

- To George, Jethro. Jest ranny, ciężko ranny. Proszę, chodź ze mną.

- Nie mogę. Inni czekają.

- Wiem... wiem, ale błagam cię... Widział, że jest u kresu załamania, więc przywołał ordynansa.

- Opatrujcie dalej. Wróć za kilka minut. - Chwycił ją pod ramię. - A teraz szybko, gdzie on jest? Seth i Fred ułożyli George'a na kocu i odsunęli się, ustępując miejsca Jethro. Wiedział od razu, że nic tu po nim, ale zbadał go, oglądając miejsce, w którym lancet przeszył jego plecy i utkwiał w środku. Wolno podniósł się z ziemi.

- Nic nie mogę zrobić - oznajmił cicho.

- Ale on żyje...

- To beznadziejne. Lancet przebił mu płuco. Jeśli go wyjmę, umrze natychmiast.

- Możesz spróbować - szalała Laurel. - Musisz coś zrobić... Nie możesz pozwolić, aby umarł.

- To dla niego lepiej. Jeśli zacznę operować, nie zniesie bólu. Teraz nie czuje nic. Pozwólmy mu umrzeć w spokoju. To nie potrwa długo.

- Nie, nie... Jak możesz być tak nieczuły?! - wpadała w obłęd Laurel. - Nic cię nie obchodzi, co się z nim stanie. Chcesz, aby umarł!

354

Waliła go na oślep pięściami, ale chwycił mocno  
l jej dłonie.

- Opanuj się, Laurel. Wiesz, że to nieprawda. Gdybym mógł go uratować, zrobiłbym to, ale setki ludzi potrzebuje mnie teraz bardziej niż on. George był żołnierzem, zawsze to podkreślał - poczuł jak topnieje w niej złość i uwolnił jej dłonie. - Bądź dzielna, moja droga. Zostań przy nim, jeśli chcesz.

Odwróciła się od Jethro w milczeniu, a on przywołał  
Poity.

- Uważaj na nią. Ja muszę wracać do pracy.

- On myślał tylko o nas, nie o sobie - wybuchnął nagle Fred, zalewając się łzami. - Był jednym z najlepszych, nie tak jak inni.

Już wtedy krążyły słuchy, że lord Cardigan, cudem ocalały, opuścił szeregi i powrócił na swój jacht, nie przejmując się ani trochę swymi ludźmi, którzy tak walecznie wypełnili jego rozkazy.

- Lepiej chodź ze mną, żołnierzu - polecił szorstko Jethro. - Opatrzę ci twarz i zaszyję ranę.

\* \* \*

George zmarł wieczorem, kiedy światło październikowego dnia gasło nad wzgórzami i doliną. Rozpalono latarnie, ale rannych wciąż przybywało, więc lekarze nie przerywali swej pracy.

Laurel siedziała przy nim, trzymając go za rękę, choć wiedziała, że jej nie słyszy. Nie mogła mu już niczego obiecać, nie mogła nawet powiedzieć, jak jej przykro.

Zrozpaczona pomyślała, jak bardzo chciała być dobrą żoną, a tak bardzo go zawiodła.

Odszedł od niej w milczeniu i dopiero Poity, która pomagała przy rannych, potrząsnęła ją za ramię.

355

- On nie żyje, madam. Nie ma po co tu siedzieć.

- Tak - podniosła się cała zdrętwiała. Po zachodzie słońca ochłodziło się znacznie i Laurel zatrzęsała się z zimna.

- Co oni z nim zrobią? - zapytała szeptem.

- Jest oficerem. Nie wrzucą go do dołu wraz z innymi. Pochowają go z honorami, nie musi się pani martwić. Chodźmy.

- A co z Fredem?

- Nic mu nie będzie. Doktor opatrzył go jak trzeba, ale ślady pozostaną. Będziesz miał ładną bliznę - mówię mu. - Już nie będziesz się oglądał za kobietami! Nie żeby kiedyś to robił. Bogu dzięki. Niech się pani nie trapi. Doktor wszystkiego tu dopilnuje.

Rozprawiała pogodnie i podtrzymując Laurel pod ramię, wyprowadziła ją z namiotu.

Do willi dotarły późną, mroźną nocą. Mały piesek nie odstępował jej na krok przez cały dzień i gdy Seth przyprowadził go do pokoju zauważyła, że jego biała sierść pokryta jest krwią. Nie wiedząc dlaczego, widok ten zrobił na niej przerażające wrażenie.

- Trzeba go wykapać - odezwała się drżącym głosem.

- Proszę zostawić to mnie, madam - powiedziała Poity - Ale najpierw zajmę się panią. Rozpaliła w kominku ogień, a Laurel przykucnęła obok pewna, że już nigdy więcej nie zazna ciepła. Poity obmyła i zabandażowała krwawiącą bruzdę na nadgarstku. Laurel

odmówiła jedzenia, wypła trochę gorącej herbaty i wbiła wzrok w trzaskające polana. Nie chciała położyć się do łóżka, więc Poiły przyniosła koce, opatulila ją i zostawiła przy kominku. Pies, mokry i pachnący świeżością, przysiadł obok niej. W uszach miała jeszcze łoskot i grzmot armat, a jej sen

356

siekał krwią i okrucieństwem. Obudziła się poruszo-aa, zbyt przestraszona, by zmrużyć oczy. Kiedy po tej [ipiornej nocy nastał poranek, podjęła decyzję.

19

Poiły wyglądała na zaszokowaną.

- Pani nie może tego robić, madam. Nie może pani pielęgnować chorych. To nie przystoi takiej damie jak pani.

- Jeśli ty i pani Butler możecie to robić, ja mogę też.

- My jesteśmy inne. Nie tak delikatne i filigranowe jak pani - powątpiewała Poiły. - Poza tym chirurdzy nie będą zbyt zadowoleni.

I - Ucieszy ich każda pomoc. Widziałam jak to wygląda po bitwie nad Alną. Mogę podawać żywność i wodę tym najsłabszym. Nie ma o co się spierać, Poiły, podjęłam już decyzję.

Musiała postawić sobie jakiś cel, musiała czymś się zająć. Przypomniała sobie słowa Jethro i wysłała Seta do miasta po zakup potrzebnych artykułów. Podobnie jak wszyscy wiedziała, że żywność i ubrania dla żołnierzy przybyły statkiem, ale w tajemniczy sposób znalazły się na czarnym rynku. Wszystko było bardzo drogie, ale miała przecież pieniądze. George zadbał, by tych jej nie brakowało. Niewiele mogła uczynić, ale starała się jak mogła. Późnym popołudniem wyruszyli błotnistą drogą do Kadikoi,

I prowadząc muła dźwigającego prześcieradła, koce, mękę ararutową, zakonserwowaną zupę, szynkę, porto, galaretki, suchary, kilka butelek brandy z zapasów

357

George'a i przenośną kuchenkę - praktyczny pomysł Poiły.

- Będziemy musiały odgrzewać jedzenie, madam. Nie można polegać na tym, co tam mają.

Zarówno obóz jak i wioska nie zdołały się pozbierać po bitwie, więc nikt nie zauważył ich przyjazdu. Odkryli, że wielu rannych przeniesiono z polowych szpitalików do małego kościółka. Kościółek ociekał wilgocią i zionął chłodem, ale oferował bezpieczniejsze schronienie. Ranni leżeli w rzędach na wypełnionych słomą workach lub na kocach, przykryci szynelami. Wykorzystano każdy cal powierzchni. Laurel otworzyła drzwi i jej oczom ukazał się straszliwy widok; poczuła zapach krwi i chorób. Na moment opuściła ją odwaga. Miała ochotę zatrzasać drzwi i uciec do domu, do Anglii. Nic jej tu nie trzymało. Była wolna, od nikogo niezależna, a jednak upór i odwaga, której nie znała podtrzymały ją na duchu. Po długich, samotnych rozmyśleniach ostatniej nocy zrozumiała, że dla George'a, dla spokoju własnego sumienia powinna pomóc tym, którzy cierpieli wraz z nim. Wyprostowała się i śmiało weszła do środka. Za nią kroczyła Poiły i Seth.

W maleńkiej, bocznej kapliczce znaleźli skrawek wolnego miejsca i nie pytając nikogo o zgodę, rozłożyli swój ekwipunek. Gdyby komisja lekarska nie pograżyła się w takim

chaosie, gdyby nie musiała zajmować się tak ogromną liczbą ofiar, nigdy nie dostaliby pozwolenia na wejście do kościółka. Ale tego dnia wszyscy byli tak zajęci, że nikt nie zauważył ich obecności.

Raz po raz miała ochotę wycofać się i uciec. To co mogli zdziałać było jedynie kroplą w morzu cierpień. Na początku widok krwawiących, amputowanych kikutów, agonia umierających ludzi, wszy pełzające po brudnych, zaplamionych koszulach przyprawiły ją o takie mdłości, że musiała wychodzić na zewnątrz, by zaczerpnąć głęboko czystego, mroźnego powietrza. Cierpliwość, niema wytrzymałość żołnierzy, szeregowców i oficerów, leżących obok siebie nie pozwalały jej odejść. Ich wdzięczność za najdrobniejszą nawet przysługę rozdzierała jej serce.

Nie minęły jednak dwa dni, gdy spotkała się ze sprzeciwem i niechęcią. Klęczała właśnie nad chorym, karmiąc go z miseczki marantą przygotowaną przez Poity, kiedy nad jej głową zagrzemiał czyjś głos.

- Co u diabła robi tu ta kobieta? Wyrzucić ją natychmiast!

Podniosła wzrok i ujrzała przysadzistego mężczyznę w średnim wieku ubranego w zapięty pod szyję mundur.

- Czy nie widać, co robię? - spytała łagodnie. - Ten biedak nie może sam jeść, więc karmię go, by dostał Swą porcję.

- Od tego są dyżurni.

- Ale oni nie wypełniają swych obowiązków - odpaliła. - Stawiają tylko jedzenie obok żołnierzy, którzy 14 zbyt słabi, by usiąść lub podnieść łyżkę.

- Czy to znaczy, że krytykuje pani moje metody?

- Można by je trochę udoskonalić.

- Jeszcze raz oświadczam, że nie życzę sobie żadnych kobiet w moim szpitalu. To jest wojsko, madam, 11 nie burdel.

Laurel wstała i śmiało popatrzyła mu w twarz.

- Mój mąż, kapitan George Grafion z 11 pułku huzarów zginął dwa dni temu w kawalerskiej szarży. Ani pan, ani ktokolwiek inny nie zabroni mi pomagać 1 y m, którzy walczyli razem z nim i przetrwali. , Przez moment miała wrażenie, że korpulentna po-| ulać eksploduje. Mężczyzna poczerwieniał na twarzy, | oczy wyszły mu na wierzch, a dwaj lekarze towarzyszą-| cy mu w obchodzie przestraszyli się na śmierć, ale ona [jnie dała się zastraszyć.

- To się jeszcze okaże - odezwał się zdławionym głosem. - Jak mi Bóg miły, to się jeszcze okaże.

Z premedytacją odwróciła się do niego plecami i klękła przy chorym. Ośmieszony przez wątlę dziewczę, które śmiało sprzeciwić mu się na jego własnym terenie, doktor John Hali, Główny Oficer Medyczny ruszył ciężkim krokiem przed siebie, świadomy ironicznych uśmiezków na twarzach swych współpracowników, które zgasił jednym spojrzeniem.

Sierżant dragonów leżący obok żołnierza karmionego przez Laurel zaśmiał się cicho.

- Ma pani tupet. Miss, jeśli mogę tak powiedzieć - stwierdził z podziwem - ale proszę uważać. Ten doktor Hali to niezły drań. Nie znosi, jak mu się kto wtrąca. Uważa się tu za Boga i terroryzuje cały sztab medyczny.

- Ale ja nie dam się sterroryzować - oznajmiła stanowczo Laurel.

Delikatnie otarła usta swego pacjenta, poprawiła mu koc i przeszła do następnego. Po chwili wszyscy zapomnieli o incydencie, a doktor Hali kontynuował swą inspekcję.

\* \* \*

Zabitych grzebano w pośpiechu, tylko tych najwyższych rangą pożegnano z wojskowymi honorami. Jeden z towarzyszy George'a przyniósł Laurel jego rzeczy pozostawione w namiocie - zegarek, kilka książek, skórzany portfel. Pośród książek znalazła kwiat, który radośnie wyciągnęła ze ślubnego bukietu i wsadziła mu do butonierki. Poczerniał, zmarniał, ale przechowywany był niezwykle starannie. Wzruszyła się do łez. Poczuli się winni, gdyż szok sparaliżował ją na chwilę, a jednak nie potrafiła opłakiwać go tak jak powinna.

360

Jethro spotkała pewnego wieczoru, kiedy wyszła z kościółka, oparła się o mur i popatrzyła na tonącą w mroku dolinę. W jednym ze szpitalnych namiotów ustawiono stoły operacyjne. Jethro. pojawił się na zewnątrz, wycierając ręce w postrzępiony ręcznik

i podszedł w jej stronę.

- Szukałem cię. Jeden z moich kolegów powiedział mi, że tu jesteś i że już zadarłaś z doktorem Hallem

- zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałam, kto to taki, ale nie żałuję tego, co powiedziałam. Jeśli panujące tu warunki są jego zasługą, powinien się wstydzić.

- To prawda - westchnął Jethro. - Ten głupiec nie jest nawet prawdziwym lekarzem. Tytuł doktora otrzymał zaledwie kilka lat temu. Interesuje go wyłącznie własna kariera, a ludzi niech diabli wezmą.

Położył jej dłoń na ramieniu i pogłaskał po twarzy.

- Nie obchodzi mnie teraz doktor Hali, ale ty. Po co to robisz, Laurel? Z powodu George'a?

- Być może. Zawiodłam go, Jethro. W nocy przed bitwą rozstaliśmy się w wielkim gniewie - posmutniała.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Czy to nie śmieszne?

- K-to wie. Ale tak czuję. Oboje jesteśmy za to winni.

- Uważasz, że powinienem uczynić coś więcej, by go ratować?

- Nie wiem... - zadrżała i odwróciła wzrok. - Nie wiem.

Chciał chwycić ją w ramiona, uspokoić, pocieszyć, ale wiedział, że mu nie wolno. Za wcześnie, by poznała przyczynę. Dzielili ich przepaść, której nie potrafił pokonać.

- Czy nie byłoby rozsądniej, gdybyś wróciła do

Anglii? - zapytał delikatnie. - To tchórzostwo. Nie mam zamiaru uciekać.

361

- Nie możesz tu zostać, nie w takich warunkach. To szaleństwo, Laurel - przekonywał ją.

- To na nic. Nie wyjadę, choć wiem, że uważasz moją pracę za bezużyteczną.  
- To nieprawda. Gdybym tak sądził, musiałbym zrezygnować z chirurgii. Jeśli pomożesz przetrwać choć jednemu człowiekowi, to już jest sukces - zapewnił gorliwie. - Ale to mój zawód i dlatego tu jestem. Pielęgnowanie żołnierzy nie jest dla ciebie.  
- Teraz już jest - zaparła się. - I nie zdołasz mnie powstrzymać.  
- Dobrze - westchnął. - W takim razie muszę -| powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Wracaj na noc do r willi, uważaj najedzenie i dbaj o czystość. W ten sposób ' unikniesz infekcji. Obiecuj, że to zrobisz.  
- Czy to takie istotne?  
- Dla mnie tak.  
- W porządku - zgodziła się zmęczonym głosem i skierowała się do cuchnącego piekła zwanego szpitalem polowym. Nigdy nie przypuszczała, że tak szybko przyzwyczai się do horroru. Bez mdłości i wymiotów mogła nawet asystować Jethro przy opatrywaniu zgangrenowanych ran. Podobnie jak w domu opieki społecznej pracowali teraz razem, koncentrując się na małym oddziale, który wzięli w opiekę. Natychmiast wykorzystano wszystkie koce. Podarto na bandażę prześcieradła, a Seth wyruszył do Balaklavy w poszukiwaniu następnych. Kiedy skończyły się zapasy, Poiły ściągnęła prześcieradła z łóżek w willi, a gdy i tego było mało pocięły na kawałki swe białe, batystowe halki. Przyłączyło się do nich kilka innych kobiet, a pani Butler, której mąż służył w piechocie, zawsze znalazła sposób na uzupełnienie marnego wyposażenia. Torby po sucharach wykorzystywały na okłady, a kiedy skończyły

362  
się chirurgiczne nici i lekarze pograżyli się w rozpacz, wytopiły mieszaninę tłuszczu i nasmarowały nim szpagat, tak aby wiązał otwarte rany.

Dwa tygodnie potem, dnia 5 listopada grzmot dział wyrwał Laurel ze snu. Przyzwyczaiła się już do strzałów o każdej porze dnia i nocy, ale ten dźwięk był inny, intensywny i długotrwały. Poprzedniego wieczora padał silny deszcz i gdy jak zwykle udali się konno do Kadikoi, gęste mgły unosiły się nad dolinami, zwijając się niczym dym i pokrywając białą pierzyną wzgórza oraz stoki. We mgle dostrzegli błyski ognia, usłyszeli huk dział. Obóz był częściowo opustoszały. Wszyscy zdolni do walki mężczyźni wyjechali w pośpiechu. Jak im powiedziano, Rosjanie zaatakowali zniecka nad Inkermańską Granią i wykorzystując gęstą mgłę wzięli szturmem pikiety.

Przez cały dzień kobiety i chorzy wsłuchiwali się w odgłosy walki, ale nie widzieli niczego. Dotarły do nich zatrważające pogłoski, że rozbito całą kawalerię, a na polu walki zostały tysiące rannych. Zapadła już zimowa ciemność, kiedy do obozu zaczęli powracać pierwsi żołnierze. Opowiadali o starciu z przeważającymi siłami wroga, o walce na śmierć i życie w opatulonych mgłą zaroślach. I gdy już wszystko wydawało się stracone, błyskawiczna szarża zawróciła Rosjan pod Sewastopol i bitwa dobiegła końca. Przez całą noc przywożono rannych. Rozpłynęły się mgły, a jasny księżyc oświetlał srebrnymi promieniami zbocza gór, na których kobiety poszukiwały zaginionych żołnierzy. Laurel i Poiły nie wróciły do willi. Pomagały jak umiały najlepiej, kiedy o szóstej nad ranem wniesiono Robina.

Laurel krążyła między rannymi, uspokajając ich i zwilżając wodą popękane usta, kiedy go dostrzegła. Prawa noga roztrzaskana była na kawałki. Popatrzyła na odrażającą masę zgruchotanej kości, zadrżała

363

i przyklęknęła obok. Mimo bólu, nie stracił przytomności zdobywając się na lekki uśmiech.

- Obawiam się, że tym razem oberwałem naprawdę, Laurel. Teraz pozostanie mi tylko drewniany kołek.

- Nie mów tak - delikatnie uniosła mu głowę i przystawiła do ust kubek z wodą. Dopilnowała, aby przeniesiono go do pomieszczenia, w którym przy świetle latarni pracował Jethro. Kiedy przyszła jego kolej, a dyżurni ułożyli go na stole operacyjnym, wyciągnął trzęsącą się dłoń.

- Jeśli trzeba amputować, chcę, abyś ty to zrobił, Jet.

- Nie trać ducha, chłopcze. Może nie będzie tak źle jak myślisz. - Jethro kiwnął na swego asystenta - Czy mamy jeszcze chloroform?

- Bardzo mało, sir.

- Przynieś.

- Ja to zrobię - zaproponowała szybko Laurel. Nie mieli odpowiednich masek do zaaplikowania środka znieczulającego. Jedyne co mogli zrobić, to przytrzymać nasączony tampon przy nosie i ustach,

a Laurel nauczyła się tego asystując w przeszłości Jethro.

- Nie możesz zrobić najmniejszego ruchu - ostrzegł J'4.

Zaczął właśnie rozcinać poszarpane i splamione krwią bryczesy, gdy tuż za nim rozległ się chrapliwy głos.

- Chyba wydałem rozkazy, że nikt z mojego personelu nie może używać tego przeklętego chloroformu. Moim zdaniem ostre cięcie skalpela działa jak stymulant. Kiedy człowiek wrzeszczy z bólu, wiadomo przynajmniej, że żyje.

- Taki szok może także zatrzymać bicie serca - oznajmił Jethro, nie przerywając pracy.

- Będę

364

stosował to, co uznaję za najlepsze dla moich pacjentów.

- Czyżby? - ryknął doktor Hali. - Nie jestem przyzwyczajony do sprzeciwu ze strony podwładnych.

- Nie należę do pańskiego personelu. Przybyłem tu z własnej woli.

- A więc jest pan jednym z tych przeklętych ochotników. Z nimi są zawsze jakieś kłopoty. Mój panie, nie potrzeba nam pańskich uwag i ingerencji. Dam sobie radę z panem i tą kobietą. Wydawało mi się, że kazałem ją usunąć z obozu.

- Nie podlegam pańskim rozkazom i nie boję się tych gróźb - oświadczył chłodno Jethro. - A jeśli chodzi o panią Grafton, to gdyby nie ona i jej współpracownicy wielu ludzi umarłoby już dawno. Powinien być pan jej wdzięczny. Teraz proszę mi wybaczyć, muszę zająć się pacjentem.

Laurel ucieszyła się, słysząc tak śmiały sprzeciw, ale przestraszyła się na widok zmieszanego i wściekłego spojrzenia starszego człowieka. Doktor Hali był nie tylko tyranem, ale posiadał nieograniczoną władzę.

- Masz teraz wroga - szepnęła Laurel, kiedy Jethro pochylił się nad Robinem.

- Tym lepiej. Ktoś musi przeciwstawić się tej małostkowej tyranii. Więcej żołnierzy ginie od jego przestarzałych metod niż od rosyjskich armat - mruknął niecierpliwie, skupiając się na swym delikatnym działaniu.

Warunki operacyjne pozostawiały wiele do życzenia, ale Jethro był znakomitym chirurgiem. Każdy inny lekarz amputowałby nogę bez wahania, ale on ratował ją do końca, składając złamaną kość, zakładając szwy. Laurel nie spuszczała wzroku z ciężko oddychającego Robina do chwili, kiedy Jethro wyprostował kości.

- Uratujesz go? - spytała drżącym głosem.

365

- Dowiemy się za kilka dni, ale lepsza chroma noga niż żadna. Chyba wiem, co wybrałby Robin.

Dni rekonwalescencji Robina nabrały dla Laurel szczególnego znaczenia. Gdyby umarł, rozmyślała z rozpaczą, cierpiałabym do końca życia. Pracowała w pocie czoła i choć nie zapominała o pozostałych pacjentach, zawsze znalazła chwilkę, by przysiąść obok niego, namówić do jedzenia, pielęgnować w czasie gorączki, kiedy ścisnął jej dłoń, jakby była kotwicą utrzymującą go przy życiu i zdrowych zmysłach. Jethro przyglądając się jej, wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak wyczerpanie i szok pozbawiały ją siły, ale nie dawała się namówić na dłuższy wypoczynek. Widział, jak mizernieje w oczach; jej lśniące włosy straciły blask, przygasała promienna uroda, a on nigdy nie kochał jej bardziej niż teraz.

Kryzys nadszedł wraz z nocnym huraganem. Mieli za sobą pracowity dzień. Przesłano rozkazy, że ranni z kościoła mają być przewiezieni do portu w Balaklavie i wsadzeni na statek płynący do Scutari. Do Jethro należała decyzja, kto pozostanie w obozie. Długa, męcząca podróż na mułach stąpających po górskiej drodze i tonących głęboko w błocie mogła okazać się fatalna dla najciężej rannych. Postanowił zatrzymać Robina, by w razie najgorszego mieć go przy boku. Mimo podłych warunków panujących w kościele, był tam bezpieczniejszy niż na otwartym pokładzie statku. Późną nocą, kiedy Laurel postanowiła odwiedzić Robina, przeraziła się na śmierć, widząc go zwijającego się i bełkocącego w niespokojnej gorączce. Podniosła koc i ujrzała jego spuchnięte, rozpalone udo. Posadziła przy nim Poity, a sama udała się na poszukiwanie Jethro. Kiedy wyszła z kościoła silny podmuch wiatru cisnął nią o mur. Opatuliła się płaszczem, pochyliła głowę i próbowała dotrzeć do szpitalnego namiotu,

366  
| który Jethro dzielił z innymi lekarzami, ale nie mogła zrobić kroku. Wyjścia zawierucha przybierała na sile, przelatując niczym tornado przez obóz, czyniąc dokoła totalne spustoszenie. Żadne miejsce nie było już bezpieczne. Porywy wiatru unosiły namioty, wrywały drzewa z korzeniami, przewracały krzewy. Konie parsknęły w panicznym strachu, a ludzie biegali w popłochu, starając się ratować cenny sprzęt. Laurel przywarła do muru i skulona próbowała przedostać się do kościółka. Potknęła się i upadła na drzwi, a czyjaś dłoń chwyciła ją za płaszcz i wepchnęła do środka. To Fred, zaniepokojony o własną żonę, pojawił się przed kościółkiem. Na dramatyczną prośbę Laurel ruszył na poszukiwanie Jethro.

Powrócili obaj po godzinie. Na dworze szalała burza, padał deszcz ze śniegiem, a oni walczyli o życie Robina. W pewnym momencie wydawało się, że nie ma już żadnej nadziei. Jedyne wyjście było powstrzymanie zakażenia, w przeciwnym razie



groziła mu amputacja. Jethro otworzył ranę, odsączył ropę, wyczyścił ją i wytarł w nadziei i przekonaniu, że młody wiek Robina i jego zdrowe ciało pozwolą mu przeżyć. Nad ranem, choć życie jego nadal wisiało na włosku, stan jego nie był już krytyczny. Spadła gorączka, a Robin leżał wyczerpany, z chłodnym czołem i bez chorobliwego rumieńca na twarzy.

Poiły zaparzyła herbatę i wspólnie świętowali radosne zwycięstwo, ale gdy wyszli na zewnątrz oczom ich ukazał się obraz zniszczeń i spustoszenia. Jeden ze szpitalnych namiotów zmieciony został z powierzchni ziemi, a chorzy leżeli pod gołym niebem wystawieni na ciężkie opady deszczu ze śniegiem bądź śniegu. Nikt nie wiedział, gdzie zniknęła pasza dla koni, a droga i obozowisko zapadły się w marznącym błocie. Kolejny dzień przyniósł niepomysłne wiadomości. Kotwiczące

367

w Balaklavie statki zerwały się z cum i porozbijały o burty. Połowa z nich nie nadawała się już do użytku, a ciepłe ubrania i zapasy żywności przeznaczone dla wojska na przetrwanie mroźnej zimy zginęły.

W ciągu następnego dnia gwałtowne wichry uspokoiły się, ale śnieg padał nadal. Wyjazd do miasta lub przywiezienie prowiantu graniczyło z cudem. Warunki panujące w obozie przerażały wszystkich. Stracono tak wiele, że żołnierze nie zdejmowali nawet swych podartych, przemoczonych mundurów. Śnieg po kolana i marznąca woda wypełniały okopy, nie rozpalano ognisk, gdyż wykorzystano już każdy kawałek drewna, nawet korzenie powalonych drzew. Ludzie, którzy przeżyli Alnę i Balaklawę zamierzali na śmierć w namiotach, a przez obozowisko przetoczyła się fala samobójstw i samookaleczeń.

Laurel i Poiły nie mogąc wrócić do willi sypiały w maleńkiej kościelnej niszy, żywiąc się herbatą i sucharami. Nie zdejmowały z siebie ubrań, opatulając najmniejszym skrawkiem koca czy pledu, jaki udało im się znaleźć. Robin nadal balansował nad przepaścią życia i śmierci. Aż tu nagle pewnego ranka, cudem jakimś, wyjrzało słońce. I choć nadal ścisnął mróz, a ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, przetrwali, podnieśli się na duchu, a co najważniejsze - Robin wracał do zdrowia. Sprawy przyjęły pomyślny obrót. Pewnym wczesnym popołudniem, podczas rutynowego obchodu chorych, Jethro odwinął bandaż. Ciało goiło się szybko, ani śladu gnicia, kość zrastała się prawidłowo. Do całkowitego wyleczenia było jeszcze daleko; przez najbliższe miesiące będzie musiał chodzić o kulach, utykać zaś do końca życia, ale za to na własnych nogach.

- Ravensley czeka na ciebie, mój chłopcze. Będziesz tam szybciej niż myślisz - rozpromienił się Jethro,

368

owijając go postrzępionymi kocami. - Przygotuj się na przyjęcie urodzinowe, zobaczysz!

Robin uśmiechnął się słabo i przeniósł wzrok na Laurel.

- Wiem, komu powinienem podziękować.

- Tak, mam nadzieję. To twoja pielęgniarka, która potrzebuje mojej opieki bardziej niż ty.

Kiedy skończył swój obchód, Laurel wyszła za nini. Przy kościelnych drzwiach zapytała:

- Czy tylko pocieszałeś Robina, czy on naprawdę wyzdrowieje?  
- Jest młody i odporny. Jestem tego pewien i zrobię ^wszystko co w mojej mocy, aby komisja lekarska | Zwolniła go ze służby jak najszybciej.  
Po raz pierwszy od czasu śmierci George'a poczuła, /e kamień spadł jej z serca. Nagły blask ostrego słońca na dywanie świeżego śniegu przyprawił ją o zawrót głowy. Zachwiała się i tylko ramię Jethro uratowało ją przed upadkiem.  
- Jesteś wykończona i nic dziwnego. Możemy się już dostać do Balaklavy. Wsadzę cię na Lucyfera i zabiorę prosto do willi.  
- Nie - zaprotestowała. - Nie, nie mogę wyjechać. Iyle jeszcze zostało do zrobienia i Robin wciąż mnie potrzebuje.  
- Robinem zajmie się Poiły, a ty niczego nie zwoju-|cz jeśli sama zachorujesz, prawda? Rób to, co ci każe. fl'o polecenie lekarza.  
Napięcie minęło, nie miała sił na kłótnię. Cudem jttkimś Seth uratował Lucyfera, choć spod jego grubej, |fluitowej sierści wystawały chude żebra. | - Biedactwo - zamruczała, pocierając twarz o splą-|liiną grzywę. - Przypomina Rozynantę z „Don Kicho-l\" taka chudzina, same kości - zachichotała cicho, idy Jethro wsadził ją na siodło.  
369

Mimo wichury i zamieci willa stała nienaruszona; mocne, kamienne mury dały odpór porywom huraganu. Co dziwniejsze, nie została ograbiona. Być może sąsiedzi ratowali przede wszystkim własny dobytek. W środku panował przenikliwy ziąb, ale Jethro znalazł trochę drewna i rozpałił w kominku. Ku własnemu zdumieniu odkrył w kredensie resztki zapasów z ostatniej paczki od Jane. Zagotował wodę i przygotował dzbanek gorącej czekolady. Brakowało mleka, ale wysypali po brzegi cukru, dodali kropelkę brandy i wypili z wdzięcznością. Potem Jethro opatulił Laurel pledami.  
- Śpij - nakazał. - Tego ci potrzeba bardziej niż jedzenia, bardziej niż czegokolwiek.  
- A ty? Chyba mnie tu nie zostawisz?  
- Nie na długo. Jadę do miasta. Pewien jestem, że ci łajdacy, sklepikarze, są już w porcie, zbierając wszystko, co uratowało się z huraganu. Postaram się znaleźć trochę żywności - delikatnie pogłaskał ją po włosach. - Zamknij oczy jak grzeczna dziewczynka. Niebawem wrócę.

\* \* \*

Nie miała pojęcia jak długo spała, ale kiedy otworzyła oczy zobaczyła go rozpartego w fotelu, przyćmiony blask ognia oświetlał twarz wychudzoną i zmizerowaną od wielomiesięcznego wysiłku i niedostatku; twarz, którą kochała nad życie. Poczuła się taka szczęśliwa. Polano w kominku pękło z trzaskiem. Jethro obudził się z drzemki i wyprostował, rzucając jej radosne spojrzenie.

- Nie śpisz? Jak się czujesz?  
- Cudownie. Która godzina?  
- Druga nad ranem. Głodna?  
- Jak wilk.  
- Nie zdobyłem wiele, ale mamy jajka, bochenek chleba i butelkę wina.

370

- To uczta. Zabieramy się do gotowania?  
- Musiałem porąbać krzesło, żeby nie zgasł ogień

- przyznał się ze smutkiem. - Ale mam nadzieję, że nam się uda.  
Zapalił lampę i rozgrzebał żarzące się polana. Przyniósł patelnię, usmażyli na ogniu jajecznicę i zjedli ją z kawałkami przypieczonego chleba. Jethro rozlał do szklanek wiejskiego wina, a Laurel przypomniała sobie tamtą noc sprzed roku, kiedy zatrzymali się w Westley po wypadku Moggy'ego. Czowała, że na świecie istnieją tylko oni dwoje. Nie zapomniała o śmierci George'a, o krwi i okrucieństwach wojny, o brudzie i horrorze codziennych obowiązków, ale tu, przez moment, byli bezpieczni, ogrzani i sami.

- Jethro, muszę ci coś powiedzieć - podniosła się. Odłożył szklanekę i pogrzebał w piecu.

- Co takiego?

- Coś ważnego. Coś, czego Rosemary dowiedziała się od Charlesa Townsenda.

- Zastanawiałem się, czy ci o tym napisała.

- A więc już wiesz? - zdumiała się.

- Tak, wiem o dziecku w trumnie.

- To pewne?

- Tak, pewne. Oliver napisał mi, że rozmawiał z ojcem Charlesa. Twoja matka nie była córką Justina Ayishama, ale jakimś podrzutkiem znalezionym na Moczarach.

- Ale dlaczego nikt o tym nie wspomniał? Dlaczego to stało się przyczyną tylu cierpień?

- Myślę, że wiem dlaczego - odparł powoli.

- Laurel, pamiętaj, że kiedy zginął Justin, a skandal już wisiał w powietrzu, Oliver chciał wszystko zatuszować, zapomnieć o tym raz na zawsze. Twój dziadek zabrał twoją matkę do Włoch i na tym skończyła się jego rola. Cieszył się, że ma to za sobą.

371

- Ale dlaczego dziadek nie zrobił nic, kiedy dowiedział się o dziecku?

- Nie mam pojęcia, co czuł, ale przecież stracił syna, którego uwielbiał i pozostała mu tylko wnuczka... ty - pochylił się i ujął jej dłoń. - Wydaje mi się, że chciał tylko przenieść twą rzekomą babkę z samotnego, nie poświęconego grobu do rodzinnego grobowca, gdzie było jej miejsce. Dziecko odkryto zupełnie nieoczekiwanie i z pewnością poczuł nagłą ulgę. Rozwiały się wszelkie wątpliwości. W tym czasie jego stosunki z Ayishamami ochłodziły się, nie chciał więc rozdrapywać starych ran. Uśmiechnął się ze smutkiem.

- O mnie nie pomyślał ani przez chwilę, byłem przecież gdzieś daleko w szkole. Skąd mógł wiedzieć, co przeżywałem, a po pewnym czasie przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie - do chwili twego przyjazdu do Ravensley.

- Narobiłam tyle zamieszania. Nie powinienes być zabierać mnie z Rzymu.

- Wolalabyś tam zostać? - zażartował. Zniknęła dzieląca ich przepaść, ale wciąż nie byli sobie pewni.

- Kiedy się dowiedziałeś? - spytała po chwili.

- Po Almie, kiedy wróciłem do Scutari i tam znalazłem swoje listy.

- Więc dlaczego nic nie powiedziałeś, kiedy spotkaliśmy się tamtej nocy na molo.

- Ty też milczałaś - uśmiechnął się.

- Bałam się, co się z nami stanie.

- Ja też.

Opadło napięcie i wybuchnęli śmiechem, ale nagle Laurel spoważniała.

- Czy milczałbyś nawet gdyby George nie zginął?

- Kto to wie?

372

1

- George był o ciebie strasznie zazdrosny.

- Nie mniej niż ja o niego. Przeżywałem każdą minutę, którą z tobą spędziłem.

- Niepotrzebnie. Biedny George, skrzywdziłam go - zatrzęsła się. - Zimno mi.

- Ogień się dopala. Poszukam trochę drewna. Wstał, ale chwyciła go za rękę.

- Nie odchodź.

- Nie bój się. Idę tylko na podwórze.

- Nie odchodź. Zostań ze mną.

Ogarnęła ją ślepa panika. Nie chciała ani na moment zostać sama. Pociągnęła go, by usiadł obok i pogłaskała go po twarzy.

- Kocham cię - zamruczała.

Wiedział, że powinien oprzeć się pokusie. George nie żył dopiero od miesiąca, ale tyle przeszli, tak długo za sobą tęsknili, że nic już nie mogło ich powstrzymać. Kiedy poczuł dotyk jej ust, zapomniał o wszystkim. Odeszły na zawsze upiory przeszłości. Czuł się wolny ciałem i duchem. Przycisnął ją do siebie. Schudła strasznie, wyczuł jej kości, lekkie i delikatne jak u ptaka. A potem zatopili się w sobie, zagubieni w namiętności i czułości, zapominając o całym świecie.

20

- Musimy wziąć ślub - oznajmił Jethro. - I to jak najszybciej. Pojedziemy do Scutari.

Kapelan lorda Stradforda przygotowuje co potrzeba.

- To za wcześnie po śmierci George'a - powątpiewała Laurel. - Ludzie będą plotkować.

373

- Już plotkują - skrzywił się Jethro. - Chcę zostać twoim mężem. Chcę mieć prawo do twojej ochrony.

- Wiem, że powinnam czuć się winna, ale tak nie jest - zasmuciła się. - Czy to nie grzech?

- Tak, to grzech - szepnął. Jej całkowity brak

zahamowań i odrzucenie wszelkich konwencji zawsze wywierały na niego magiczny wpływ.

Od pamiętnej nocy w willi minął już tydzień, tydzień nieoczekiwanego szczęścia, a oni wciąż znajdowali się w wirze szaleństwa. Wyczerpującą pracą przy chorych spłacała swój dług wobec George'a, uwalniając się z brzemienia winy. Nie przerwali pracy w szpitalu, ze stoickim spokojem znosząc wszelkie okropności i fetory, wypełniając budzące odrazę zadania, by potem wymknąć się do Balaklavy i spędzić ze sobą kilka nocnych godzin. Często byli zbyt wyczerpani by się kochać, a największą radość czerpali z własnego towarzystwa. Być może w innym czasie i miejscu rozdzieliłyby ich normy społeczne, ale żyli w cieniu śmierci, cenili każdą godzinę i konwencjonalne zasady przyzwoitości nie miały dla nich żadnego znaczenia.

Wiedziała o nich Poiły, wiedział Seth, a lekarze, z którymi Jethro dzielił namiot, domyślali się przyczyny jego częstej nieobecności. Nikt nie powiedział jednak ani

słowa. Pracował tak ciężko jak oni i nie patrzyli złym okiem na jego słabość do pięknej wdowy.

Zima zapanowała już na dobre. Ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, ale zza chmur wyglądało słońce;

powietrze było suche i mroźne. Tragiczne położenie armii pogarszało się z dnia na dzień. Pewnego grudniowego popołudnia Fred Cobb przyniósł Jethro niewiarygodną wiadomość. „Avon”, szpital mający odpłynąć do Scutari, nadal cumował w zatoce. Kilkuset chorych i rannych leżało na otwartym pokładzie, przykrytych jedynie szynelami i cienkimi kocami. Opiekował się nimi jeden przemęczony lekarz. Ich 374

zatrważające położenie nappełniło Jethro bezradnym gniewem. Odnalazł jakiegoś pułkowego oficera i zaciągnął go na statek. Przerażony widokiem, jaki ukazał się jego oczom, pułkownik pogalopował do sztabu lorda Raglana. Choć dochodziła już północ, naczelny wódz posłał po doktora Halla, karcąc go surowo i żądając natychmiastowego działania.

- Znosi się na piekielną awanturę, ale przynajmniej przeprowadzą dochodzenie i coś się zmieni - oznajmił Jethro następnego dnia. - Dzięki Bogu, nie pozwoliłem Robinowi wsiąść na ten haniebny statek.

Laurel popatrzyła na niego z niepokojem. Jethro nigdy nie wahał się otwarcie krytykować warunków, w jakich pracowali lekarze i konsekwentnie ignorował polecenia mogące zaszkodzić jego pacjentom.

- Czy doktor Hali dowie się, kto udzielił informacji o statku? - zapytała.

- Bóg jeden wie. Ale jest mi to obojętne. Trzeba przede wszystkim rozprawić się z tym bałaganem i nie dopuścić, by się kiedykolwiek powtórzył.

- Ale on cię nie cierpi. Zrobi wszystko, by cię zniszczyć.

- A co może zrobić? Nie podlegam jego władzy, nie jestem jednym z tych biedaków na jego służbie.

Zmartwienie nie znikło z jej twarzy, więc ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Do diabła z doktorem Hallelijego intrygami. To nieważne. Posłuchaj mnie, kochana. Długo o tym myślałem. Robin jest już silniejszy. Za kilka dni zaczniesz chodzić o kulach. Jak tylko dostanie zwolnienie, wyjedź do Scutari na rekonwalescencję, a ty musisz jechać wraz z nim.

- Nie - zareagowała gwałtownie. - Nie opuszczę cię.

- To nie potrwa długo, a jemu z pewnością pomoże. Przyjadę do Scutari, jak tylko będę mógł. Oblężenie

375

utknęło w martwym punkcie i na razie nie ma wiele ofiar. Być może dostanę przepustkę na jakiś czas. Oprócz tego dostałem dziś rano wspaniałą wiadomość. Nie uwierzysz, ale rząd nareszcie obudził się z letargu. Sidney Herbert przysłał nam Miss Nightingale wraz z ekipą pielęgniarek. Wiesz, co to oznacza. Podobno przybyła na początku listopada.

- To dlatego chcesz jechać do Scutari - docięła mu.

- Wiem, jak bardzo ją podziwiasz.

- Zazdrosna? - poklepał ją po nosie. - To tylko jeden z powodów. Nie widziałaś jej w działaniu tak jak ja, kiedy pracowała na Harley Street. W każdej chwili rzuciłbym dla niej doktora Halla.

Nie chciała jechać. Ich szczęście było takie świeże, takie delikatne. Bała się, że wszystko przepadnie i tylko

z powodu Robina potrzebującego baczej opieki uległa namowom.

Poiły przybyła do portu, by się pożegnać.

- Proszę na siebie uważać, madam. I niech się pani

nie martwi o doktora. Dopilnujemy z Fredem, aby mu niczego nie zabrakło.

- Niech cię Bóg błogosławi - Laurel pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

Jethro upewnił się, czy Robin ma wszelkie wygody w zatłoczonej kwaterze dla chorych.

- Uważaj na siebie, mój chłopcze. Nie próbuj biegać, póki nie nauczysz się chodzić - ostrzegł.

Wyszedł na pokład, ujął dłoń Laurel i ucałował ją. Nie chcieli zbyt otwarcie afiszować się ze swoimi uczuciami.

- Będziemy razem najpóźniej na Nowy Rok - obiecał. Rozstanie sprawiło jej dużo bólu. Opatulona ciepłym płaszczem stała przy balustradzie na mroźnym wietrze, a statek torował sobie drogę na otwarte morze.

Dwa dni później doktor Hali, gotując się z wściekłości za zniewagę, jaka go spotkała, postanowił się

376

zemścić. Przypadek sprawił, że nie musiał długo czekać. Rosjanie podczas jednej ze swych wypraw łupieżczych sforsowali czołową placówkę pod murami Sewastopola. Jeden z rannych, który ostatkiem sił wrócił do Kadikoi poinformował, że pozostało tam jeszcze około trzydziestu żołnierzy i jeśli nie przetransporuje się ich natychmiast do obozu, zginą z rąk brutalnych Kozaków lub zamarzną na śmierć.

- Trzeba wysłać wóz sanitarny - zazgrzytał doktor Hali. - W przeciwnym razie znów pojawią się niesłuszne zarzuty pod adresem personelu medycznego. Wystarczająco dużo wycierpieliśmy z tego powodu w ciągu ostatnich tygodni.

Wodził oczami po zgromadzonych chirurgach i asystentach, aż jego wzrok zatrzymał się na Jethro.

- Być może jeden z naszych szarmanckich ochotników będzie miał okazję, aby dowieść swej odwagi - ciągnął z sarkazmem. - Łatwo jest krytykować stojąc na uboczu prawdziwej walki.

Nie odrywał od niego oczu. Jethro zaczerwienił się i wystąpił naprzód.

- Pojadę z chęcią, ale mogę potrzebować pomocników.

Sześciu ludzi, w tym Fred Cobb, zgłosiło się natychmiast na ochotnika, by służyć jako zbrojna eskorta. Niewielki oddział wyruszył na ciężkim, trzęsącym się wozie przez śnieg i lód na swą niebezpieczną wyprawę ratunkową.

Konstantynopol i hotel d'Angleterre, mimo ubóstwa, mdłych kuchennych zapachów i nocnych inwazji karaluchów wydawał się oazą wygody w porównaniu / ostatnimi miesiącami i zimowym rejsem z Balaklavy. Na polecenie Laurel turecka służba przygotowała kąpiel. Rozkoszowała się parującą wodą obficie skroił i ona rzadkimi pachnidłami wyszukanymi na bazarze.

377

Przybyli tu na dziesięć dni przed końcem grudnia i kiedy szcztokowała świeżo umyte włosy w lśniące loki, krytycznie oceniając w lustrze swą twarz, pomyślała o zaproszeniu lorda Stratforda de Redcliffe'a na bożonarodzeniowy bal. Być może nie powinna tak bardzo przejmować się wyborem kreacji na ten szczególny wieczór, ale wszystkie jej suknie zniszczyły się w kufrach, wystawione na upał, wilgoć i robactwo. Nie mogła zapomnieć o żałobie, ale znalezienie odpowiedniej sukni w ciągu kilku dni graniczyło z cudem. Wyciągnęła więc białą suknię, stłamszoną i pogniecioną. Potrząsnęła satynowo-koronkową kreacją, zastanawiając się, czy hotelowa pokojówka będzie mieć żelazko, kiedy usłyszała pukanie i do pokoju wkroczył kulejący Robin. Ta sama komisja lekarska, która stwierdziła niezdolność lorda Cardigana do dalszej służby, uległa naciskom lorda Ayishama i jego szwagra w Ministerstwie Wojny wysyłając strzelca R. Ayishama do domu. Robin uznał swe zwolnienie za hańbę, ale przyjął je ze wzruszeniem ramion. Miesiące spędzone w szeregach z ludźmi wszelkiego pokroju zmieniły go nie do poznania. Na początku wszystko go przerażało. Nie potrafił znieść brudu, niewygody, terroru, sprośnych rozmów, ale nie można przeżyć trzech bitew nie zauważając innych ludzkich wartości; wspaniałomyślności, prostej życzliwości, zaciętej odwagi i wytrzymałości.

- Ja to mam szczęście - zauważył cierpko, nie zważając na protesty Laurel. - Jestem tu z tobą w hotelu d'Angleterre, z całą nogą, choć boli jak licho. Nie tak jak ci biedacy wysłani do ojczyzny, która chwali ich poświęcenie, ale nie przejmuje się ich losem. Żadnego medalu, renty, opieki lekarskiej w razie choroby. Jeśli trafi mi się okazja, przysięgam, nie będę milczał.

Gdy tylko mógł, odstawiał kule, zaciskał zęby i poruszał się o lasce. Tego ranka, kiedy otrzymał

378

zaproszenie, pokuśtykał korytarzem, zastukał do pokoju Laurel i wszedł, machając kawałkiem połączanego kartonika.

- Co u diabła mam z tym zrobić? - uśmiechnął się.

- Jeśli jest to zaproszenie do pałacu, przyjmiesz je pójdziemy tam razem.

- Wielu wojennych weteranów pokrytych medalami i orderami czeka tylko, aby przetańczyć z tobą tę noc - sprzeciwił się Robin. - Szeregowy strzelec Ayisham z kulawą nogą nie będzie tam pasował.

- Tak się składa, że jesteś także Sir Robertem Ayishamem, w przeciwnym razie ambasador, ten zarozumiały snob, nigdy by cię nie zaprosił. Jeśli odmówisz, ja odmówię także - zdecydowała stanowczo Laurel.

Robin padł na łóżko z westchnieniem ulgi. Po tygodniach pielęgnacji i wspólnej podróży statkiem, ich przyjaźń stała się jeszcze silniejsza. [ - Ostatnio jesteś bardzo władczą, moja panno - zaczął imiać się. - A co na to Jet?

- A co on ma z tym wspólnego?

- Ależ Laurel! Przecież masz zamiar go poślubić, prawda? Nie odzywałem się - to nie moja sprawa - ale mam oczy.

Wstała i podeszła do niego.

- Przykro mi, Robin.

- To niepotrzebne. Będę cię kochał aż do śmierci, tle nigdy nie miałem żadnych złudzeń. Dla ciebie gawsze istniał tylko Jethro, od samego początku, prawda?

- Od samego początku - powtórzyła - nawet kiedy było to niemożliwe, a teraz... - Zakręciła się dokoła l /achichotała. - A teraz jestem taka szczęśliwa, że c/asem ogarnia mnie strach. Kochany Robinie - po-ehyliła się, całując go w policzek - cieszę się, że tu jesteś. Dodasz mi otuchy.

379

\* \* \*

Laurel udała się na bal w towarzystwie Sir Roberta Ayishama uparcie noszącego swój strzelecki mundur. W bogatym i błyszczącym tłumie wywołali nie lada sensację. W zatłoczonej sali balowej Laurel ze smutkiem dostrzegła brak wielu znajomych twarzy, ich miejsca zajęli goście z Anglii, wspaniali w swych złożonych surdutach, otoczeni eleganckimi damami w świeżych jedwabiach i sztywnych krynolinach. Ze zdumieniem i zazdrością gapili się na Laurel u boku Robina w poplamionym zielonym uniformie i na jej wyblakłą satynową suknię z koronkami niczym na godło honoru stawiające ją w szeregu z wojennymi weteranami, ich bliznami, kalectwem; niektórzy przypięli na piersiach puste rękawy mundurów, na wielu uniformach wciąż widniały ciemnoczerwone plamy.

Ale smutek nie przytłumił zabawy. Orkiestra Brygady Strzelców grała czarujące walce, a wokół Laurel zgromadził się tłumek młodych oficerów. Niektórzy z nich odwiedzali ją w willi, inni byli pacjentami w Kadikoi. Po kwadrylach i kotyliionach przyszła kolej na gry, berka i ciuciubabkę. Marynarze zawiązali oczy swojemu staremu admirałowi i jak dzieci piszczeły ze śmiechu, kiedy błąkał się po sali. Zabawa zakończyła się o północy. Całe towarzystwo zebrało się w przyciemnionym pokoju, gdzie na kominku ustawiono ogromny puchar ze śliwkami w brandy. Mężczyźni prześcigali się w zdobyciu gorących owoców. Robin pokuśtykał wraz z innymi, by chwycić jedną śliwkę i podać ją Laurel.

Kiedy pojawiła się lady Stradford w towarzystwie drugiej damy uśmiechającej się ponuro na widok bogatych antyków, w pokoju zaległa cisza. Jeden z mężczyzn, lekarz pracujący z Jethro, chwycił Laurel za rękę.

380

s

- Proszę za mną - nakazał i zanim zdążyła zaprotestować, wyprowadził ją na środek pokoju.

Niezwykle niebieskawe światło płonącego spirytusu padło na bladą twarz o pięknych, szarych oczach i kasztanowe włosy spięte pod kremowym, koronkowym czepkiem.

Prostą, czarną suknię ożywiały jedynie biały kołnierzyk i mankiety.

- Miss Nightingale - oznajmił młody człowiek szacunkiem. - Pragnę przedstawić damę, której 'szyscy winni jesteśmy dług wdzięczności. Gdyby to od nas zależało, przyznalibyśmy jej medal za to co dla nas zrobiła po Balaklavie i Inkerman. Laurel zaczerwieniła się pod naporem ciekawskich

oczu.

- Nie powinien pan tak mówić - szepnęła. - Nie /robiłam wiele.

- Ja słyszałam co innego - odezwała się Florence "lightingale. - Chorzy, jak pani wie, lubią opowiadać. potkałyśmy się już w Londynie.

- Tak, przez chwilę. W domu lorda Palmerstona. liss Nightingale - ciągnęła poważnie Laurel - zostanę t przez jakiś czas. Czy mogę pomóc pani w szpitalu w Scutari?



Florence przyglądała się uroczej twarzy. Dostrzegła 11 padnięte policzki i bladość pod cienką warstwą i ó/owego pudru. Ta dziewczyna zapracowała się już

•l o granic wytrzymałości, pomyślała.

- Nie uwierzy pani - uśmiechnęła się - ale moja hilka nie polega wyłącznie na opiekowaniu się norymi i rannymi, wojuję też z przestarzałymi za-

•dami i przepisami nałożonymi przez komisję le-Brską. Nadal pracujemy w brudzie i nędzy, ale r/ynajmniej zaakceptowano moje pielęgniarki i po-wolono im pracować na oddziałach. Czuję, że ka-Bego dnia posuwam się o centymetr do przodu

381

i nie chcę zrobić fałszywego kroku, by nie narazić się doktorowi Hallowi.

- Rozumiem, ale Jethro powiedział, że panią poprze

- wykrzyknęła spontanicznie Laurel.

- Jethro?

- Jethro Ayisham. Jest chirurgiem i pracuje na froncie.

- Pamiętam go. Pomagał mi, kiedy byłam na Harley Street. Czy to pani przyjaciel?

- Bardzo serdeczny przyjaciel. Wkrótce tu przybędzie.

- Dobrze, moja droga pani Grafion - oznajmiła Florence. - Nie mogę odrzucić żadnej oferty pomocy. Jeśli naprawdę chce pani coś zrobić, mam dla pani zadanie. Jest tu sporo kobiet, którymi musimy się zajmować; to żony walczących żołnierzy, haniebnie zaniedbane przez władze. Nic ich nie obchodzi czy te biedne istoty i ich dzieci umrą czy przeżyją. Niejaki doktor Blackett wraz z małżonką czynią, co w ich mocy, ale to nie wystarcza. Uśmiechnęła się czarująco.

- Mając tak piękną buzię, może pani pokazać im, jak się zdbi czepek. Da im pani coś, co pomoże im odzyskać poczucie własnej godności.

Laurel poczuła dotyk chłodnej dłoni i Florence wyszła cicho z pokoju.

\* \* \*

Jethro nie przyjechał na Nowy Rok, jak obiecał, a i w połowie stycznia nie przysłał od niego żadna wiadomość. Silne sztormy zatamowały całą żeglugę na Morzu Czarnym, a Laurel powtarzała sobie, że to pogoda jest powodem jego spóźnienia. Nikt jednak lepiej od niej nie wiedział jak cholera lub tzw. krymska gorączka może zabić człowieka w ciągu jednego dnia. Próbowwała odrzucić złe myśli zabierając Lucyfera na

382

codzienne, poranne przejażdżki. Pod czujnym okiem Setha jego sierść nabrała dawnego blasku. Mały, biały

, pies został pod opieką Poiły i czasami Laurel żałowała tej decyzji. Przyjemności, jakim oddawały się pozostałe damy mieszkające w hotelu: małe, zimowe pikniki, pogaduszki przy porannej kawie czy herbatce u ambasadorowej w pałacu wydawały jej się co najmniej trywialne. Wiedziała, jak szokuje ich swym zachowaniem, w niczym nie przypominając szlochającej wdowy w czarnym welonie. Zdawała sobie sprawę, że nie aprobują jej pracy w szpitalu wraz z innymi kobietami bez względu na ich pozycję społeczną i przywileje. W ich oczach była szalona, bo każdego popołudnia przeprowiała się łodzią przez Bosfor, by w szpitalnych piwnicach spotykać się z żonami żołnierzy.

- Jak pani może ocierać się o te zdeprawowane istoty, ulicznice i nierządnicę? -

zamruczała pewnego ranka żona majora spotykając Laurel przed wejściem

do hotelu.

- A gdybyśmy musiały mieszkać w takich samych warunkach jak one? - odparła Laurel.

- Coś takiego! Proszę mówić za siebie! - oburzyła się dama.

Laurel, przejęta litością, odkryła, że zmarznięte i stłoczone w piwnicach kobiety w niczym nie przypominają zdeprawowanych ulicznic. Armia zapewniła im n. insport, ale gdy tylko wylądowały w Turcji, zrzekła się wszelkiej odpowiedzialności. Niektóre z nich, bardziej zaradne jak Poiły Cobb, dostały się na krymski front, ale pozostałe, mniej zaradne i bez grosza, -harczone niemowlętami, chore lub w ciąży nie miały ich; do kogo zwrócić. Władze konsekwentnie przymusiły oko na ten niewygodny problem. Nic więc dziwnego, że ściśnięte w cuchnących, kamiennych piwnicach kłóciły się bez końca. Były brudne, zawszone,

i 383

a ich wygłodniałe dzieciaki zachowywały się jak dzikie zwierzęta. Nikt nie wyciągnął do nich przyjaznej dłoni, nikt nie zadbał, by otrzymały pieniądze, żywność i ubrania nadchodzące z Anglii. Najdrobniejsza oznaka zyczliwości spotykała się ze wzruszającą wdzięcznością.

Pewnego styczniowego popołudnia Laurel przywiozła kolekcję tanich słomianych kapelusików zakupionych

na bazarze. Przy pomocy Seta i pod nadzorem;

Robina ułożyli je w gondoli i przetransportowali na drugi brzeg. Kobiety na ich widok oszalały z radości;

Rywalizowały ze sobą przed brudnym lustrem wiszącym na ścianie, przepychając się do przodu, chwytając kwiaty i wstążki, aż Laurel przerwała harmider i zademonstrowała sposoby ich zdobienia. Po raz pierwszy to odstraszające, zimne miejsce z brudnymi ścianami i kamienną posadzką zalaną czarnym szlamem stało się świadkiem wesołych i radosnych scen. Kobiety z zazdrością przypatrywały się zręcznym palcom Laurel, kiedy przypinała różę na czubku kapelusza i zawiązywała kokardę na jego brzegu. Wsadziła go na głowę młodej dziewczyny i cofnęła się, by podziwiać swe dzieło, kiedy pojawił się jeden z pielęgniarzy.

- Miss Nightingale chce zamienić z panią stówko, madam - oznajmił.

- Ze mną?

- Tak, madam. Czeka na górze.

- Dobrze. Już idę.

Przekazała kapelusze oraz ozdoby jednej z pomocnic i wyszła za nim z piwnicy, kierując się ku schodom. Po chwili wahania Robin pokuścił się za nią.

Minęły dopiero dwa miesiące, a Miss Nightingale dokonała cudów na szpitalnych oddziałach. Wyczyściła pomieszczenia, z własnej kieszeni opłaciła opiekę medyczną, koce i żywność, ale z Krymu przybywało

coraz więcej rannych, a śmiertelność wśród chorych nie malała. Kiedy Laurel weszła na oddział, fetor okazał się nie do zniesienia, gorszy niż w kościele w Kadikoi.

Wyciągnęła chusteczkę i śmiało pomaszerowała przed siebie. Po obu stronach przejścia leżeli ściśnięci mężczyźni, cierpiący nie tylko od ran i gorączki, ale będący

ofiarami odmrożeń, niedożywienia i szkorbutu. Nigdy nie odnowiono zapasów utraconych podczas huraganu, a tylko w ciągu ostatniego tygodnia przybyło tysiąc ludzi z Balaklavy.

- Zastanawiałam się, czy pani przyjdzie - stwierdziła Miss Nightingale. - To człowiek z pułku pani męża, pani Grafion. Szuka pani odkąd przywieziono go tutaj zeszłej nocy. Laurel popatrzyła na wycieńczoną twarz pod zakrwawionym bandażem.

- Fred - wykrzyknęła - Fred Cobb! Przyklęknęła przy prymitywnym łóżku.

- Jak się czujesz, Fred?

- Nieźle, madam, dziękuję - zdobył się na uśmiech. - Tu jest o wiele cieplej niż w obozie.

- Fred, tak mi przykro, że jesteś ranny. Czy Poiły jest z tobą?

- Nie. Nie pozwolili jej zabrać się z naszym transportem, ale ja znam moją Poiły, na pewno się tu dostanie.

- Chciałeś ze mną porozmawiać, Fred - powiedziała cicho.

- Tak, madam, w rzeczy samej. Pomyślałem, że Jeszcze pani nie wie... pani tak się z nim przyjaźniła, H on był dla mnie taki dobry...

- Czy masz na myśli doktora Ayishama? Nie przyjechał z tobą...

- Nie, madam. Żałuję. Byłem z nim, kiedy to się Itało...

Zza Laurel wyłonił się Robin i pochylił się nad chorym.

- Co się stało? Mów otwarcie człowieku, na miłość boską!

- Co takiego chcesz mi powiedzieć, Fred? - ciągnęła spokojnie Laurel, dotykając jego dużej, szorstkiej dłoni. - Czy chcesz mi powiedzieć, że on nie żyje?

- Nie, madam. Przynajmniej mam nadzieję, że do tego nie doszło. Widzi pani, to było tak... ten doktor Hali zmusił go, aby wziął wóz sanitarny i przywiózł rannych pozostawionych daleko od obozu, pod murami Sewastopola. Kilku z nas poszło za nim na ochotnika, ale natknęliśmy się na bandę Kozaków, próbujących nas odstraszyć. Zabili dwóch naszych, reszta uciekła jak króliki - nie mam im tego za złe - lecz doktor Ayisham niósł jednego z rannych i nie zatrzymał się. Strzelili do niego i widzieliśmy jak upadł. Chciałem przyjść mu z pomocą, ale pojмали go, rycząc jak opętani i nic już nie mogliśmy zrobić.

Zamilkł, łapiąc ciężko powietrze. Miss Nightingale podniosła kubek wody i przystawiła mu do ust. Wypił kilka łyków i dokończył swą opowieść.

- Jakoś dotarliśmy do obozu, choć nie było to łatwe, bo padał śnieg... a potem dowiedzieliśmy się, co się stało.

Przerwał, a Robin nakazał surowo:

- Dalej człowieku, co się wydarzyło?

- Dowiedzieliśmy się, że Rosjanie oskarżają go o szpiegostwo.

- Ale to bzdura - wykrzyknęła Laurel. - Jest lekarzem. Leczył też rosyjskich jeńców.

- Tak, wszyscy to wiemy - westchnął Fred. - Ale widzi pani, kiedy dostaliśmy wiadomość, doktor Hali zaprzeczył, że doktor Ayisham należał kiedykolwiek

do jego personelu medycznego i nie miał zamiaru wziąć żadnej odpowiedzialności za to, co robił w pobliżu ich bazy morskiej.

- Ależ to hańba - zezłościł się Robin. - On nie może tego zrobić.

- Obawiam się, że może - wtrąciła Miss Nightingale. - Jeśli chodzi o sprawy medyczne, doktor Hali ma tu nieograniczoną władzę... Wiem o tym... sama doświadczyłam już jego głupiego uporu.

- Co to znaczy? - podniosła się powoli Laurel.

Koło serca poczuła nagle lodowatą bryłę.

Fred odwrócił twarz, a Robin ważył każde słowo:

- Nie ma pewności, ale wszystkich szpiegów już rozstrzelano.

- O, nie, nie...

Chłód ogarnął całe jej ciało, zatrzęsała się, a świat zawirował jej przed oczami.

Wyciągnęła dłoń i poczuła czyjś silny uścisk.

Miss Nightingale otoczyła ją ramieniem. Laurel wciągnęła głęboko powietrze i zebrała siły.

- Przepraszam, nic mi nie jest. Zachowałam się niemądrze.

- Wcale nie. To naturalne w takiej sytuacji. Proszę odpocząć kilka minut w moim pokoju, potem przyjaciel zabierze panią do hotelu.

Czując zawrót głowy, Laurel dała się wyprowadzić / oddziału zostawiając Robina z Fredem Cobbem. Po chwili znalazła się w surowym, nieumeblowanym pokoju, którego jedyne wyposażenie stanowiła wąska prycza i biurko zavalone papierami. W środku panował przenikliwy ziąb.

Miss Nightingale posadziła ją na jedynym krześle.

- A teraz, moja droga - spytała delikatnie - proszę mi powiedzieć... czy jest pani w ciąży?

- Dlaczego pani pyta?

387

- Tak wyglądają niektóre kobiety. Nauczyłam się tego podczas pracy w Londynie. Wiele młodych kobiet

szukało u mnie pomocy. Nie musi pani odpowiadać na to pytanie.

- Nie jestem pewna... może.

- Jeśli tak jest, musi pani wrócić do Anglii. Straciła pani męża, nie może pani stracić dziecka.

Laurel zadrżała, a Florence położyła jej dłoń na ramieniu.

- To nie miejsce na rodzenie dzieci. Te biedne istoty, którym pani pomaga nie mają innego wyjścia, ale pani ma. Proszę wracać do domu i jeśli chce pani dla nas coś zrobić, proszę powiedzieć im tam w Londynie, co pani tu zobaczyła na własne oczy. Tego nam potrzeba. Opinii publicznej, która zawstydzi tych drobnych tyranów myślących wyłącznie o własnych kiesach. Wie pani, moja droga, że ja nie tylko przechadzam się po oddziałach, poprawiam prześcieradła, podaję jedzenie i lekarstwa, choć jest to ważna część mojej pracy. Przede wszystkim jednak walczę o to, aby ci

biedacy otrzymali to, co im się należy, aby ta tragedia nigdy więcej nie miała miejsca. Aby dopiąć tego celu, gotowa jestem poświęcić każdego. Pewna jestem, że żaden z tych dygnitarzy nie spali

mnie na stosie jak Joannę d'Arc, ale jeśli kraj stanie za mną, zwyciężymy.

- Tak właśnie powiedział Jethro. - Przypomniała sobie nagle, co się z nim stało i szybko odwróciła twarz. - Przepraszam, że zabrałam pani czas, Miss Nightin-gale.

Dziękuję za życzliwość. Muszę już iść.

- Posłucha pani mej rady?

- Tak... Nie wiem. Zastanowię się.

- Oby nie za długo.

Laurel zauważyła jak Florence podeszła do biurka i pochyliła się nad stosem papierów. Uświadomiła

388

sobie nagle jej niezwykłą siłę woli, która prowadziła tę szczupłą, delikatną kobietę do zamierzonego celu.

\* \* \*

Robin czekał na schodach, a gdy płynęli przez Bosfor, próbował dodać jej otuchy.

- Pewien jestem, że ten wojak przesadzał z niebezpieczeństwem - pocieszał ją. - Skąd może być taki pewny? Z pewnością to pomyłka. To może trochę potrwać, ale Rosjanie muszą uwolnić Jethro.

Nie słyszała jego słów. Nade wszystko marzyła o samotności. Gdy dotarli do hotelu, chciał jej towarzyszyć, ale odepchnęła go delikatnie.

- Nie, Robin. Nic mi nie jest. Chcę się położyć, to wszystko. Nie martw się o mnie.

W pustej sypialni przyjrzała się bladej, mizernej twarzy w lustrze. Czy wyglądała inaczej? Miss Nightingale powiedziała głośno to, co sama podejrzewała i próbowała odrzucić jako niemożliwe. Jeśli to prawda, dziecko nie było George'a z całą

pewnością. Od bitwy nad Almą nigdy nie byli razem. Ojciec dziecka wpadł w ręce Rosjan, ranny, uznany za szpiega, być może postawiony już przed plutonem egzekucyjnym. Od jego pojmania minęły już dwa miesiące, a oni nie uczynili nic, nic, aby spowodować jego zwolnienie. Zatrzęsła się, nie mogąc usiedzieć w miejscu.

Przeszła po pokoju, a po jej głowie krążyły s/alone myśli - wróci do Balaklavy,

odwoła się do lorda Raglana, na kolanach ubłaga doktora Halla, pojedzie do

rosyjskiego obozu i poprosi księcia Miecznikowa o łaskę

wszystkie równie niedorzeczne. Już wyobraziła sobie ich śmiech - zwariowana kobieta błagająca o litość dla kochanka, którego znalazła sobie w miesiąc po śmierci męża.

Drżała z zimna w niedogrzanym pokoju. To t/lutego mnie to spotkało, pomyślała rozkojarzona.

389

Zostałam ukarana. Jestem nierządnicą jak moja matka. Tak bardzo pragnęłam Jethro, że nie mogłam bez niego żyć, a teraz cierpię jak ona. Myślałam, że jestem inna.

Myślałam, że jestem sobą, silna i niezależna, ale niczym się od niej nie różnię.

Padła na łóżko opętana przekonaniem, że szczęście nie było pisane ani jej, ani Jethro.

Kłątwa, dziedzictwo starej, grzesznej przeszłości wciąż wisiało nad nimi i nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Nigdy nie czuła się tak przerażająco samotna.

Długo siedziała w swej sypialni, przemarznięta do szpiku kości, aż nagle odezwał się w niej głos rozsądku. Szok mijał powoli. Nie miała powodu, by rozpaczać nad Jethro. Być może zaszła pomyłka, jak utrzymywał Robin. Wiedziała jednak, że nie może spokojnie wrócić do Anglii i czekać w nieskończoność na rozwój wypadków. Doceniała intencje Miss Nightingale, ale Floren-ce nie znała wszystkich faktów. Laurel postanowiła wrócić do Balaklavy. Nie przewidywała żadnych trudności. Za kilka dni wyruszał tam kolejny statek - słyszała, jak czyniono ku temu przygotowania. Była przecież wdową po żołnierzu, który zginął w słynnej szarży; szarży, która stała się synonimem heroizmu. Pozwolenie na powrót mogła uzyskać w każdej chwili. Uspokoila swe nerwy. Stawiła czoła trudnościom i pokonała je. Spotkała się z Robinem, rozproszyła jego wątpliwości, ale ani słowem nie wspomniała o swoich zamiarach. Kiedy następnego dnia usłyszała w szpitalu, że Fred Cobb zmarł w nocy, nic nie było w stanie zmienić jej decyzji. Opłakała jego śmierć tak jak nigdy nie opłakiwała śmierci George'a. Był potężnym, prostym żołnierzem, ale czułym i delikatnym człowiekiem. Na myśl o Poity Laurel poczuła klucie w sercu. W tajemnicy przed wszystkimi przygotowała swój wyjazd i następnego ranka, w towarzystwie Seta

390

i Lucyfera, wyslizgnęła się do portu. Zostawiła prawie cały swój bagaż i list do Robina. Nie miała wątpliwości, że chciałby ją powstrzymać lub nie puścić jej samej. Podczas tygodniowego rejsu szalony, nieprawdopodobny plan nabrał realnych kształtów. Trzymała się z dala od pozostałych pasażerów, pozwalając im wierzyć, iż nadal pogrążona jest w żałobie. Rejs nie należał do najłatwiejszych, większość dam nie opuszczała swych kabin, więc i na nią nikt nie zwracał uwagi. Kłopoty zaczęły się po przybyciu do Balaklavy. Lord Raglan zachował się niezwykle uprzejmie i potraktował ją z należyтым szacunkiem, ale nie pozostawił większej nadziei. Rozumiała jego obawy. Był starym, zmęczonym człowiekiem zajęтым wyłącznie przetrzymaniem swej armii przez jedną z najgorszych zim stulecia i strata jednego człowieka wobec tysiąca nie robiła na nim żadnego wrażenia. Skąd miał wiedzieć, że to jedno życie ważniejsze jest dla niej niż cały świat. Nie poddała się. Wierzyła, że Jethro żyje jeszcze i być może to nowe, rodzące się w niej życie dodawało jej tyle siły i otuchy. Nie zbadał jej żaden lekarz i czasami nachodziły ją takie mdłości, że gotowa była ustąpić bez słowa, ale jakaś wewnętrzna siła pchała ją naprzód. Próbowwała dotrzeć do doktora Halla, ale ten unikał spotkań. Szpitalny lekarz dyżurny również odprawił ją y. kwitkiem. Pozostało jej jedno - dotrzeć do obozu Rosjan, Na Krymie nadal panował silny mróz, ale było sucho i wyboistą, błotnistą drogę do Kadikoi pokrywały teraz twarde koleiny. Armia cierpiała katusze z powodu głodu i odmrożeń, ale w Balaklavie czarny rynek prosperował znakomicie. W jednym ze sklepików Laurel kupiła kozuch z kapturem, który z pewnością należał do jakiegoś pojmanego oficera rosyjskiego i dopasowała go do własnej figury. Mimo protestów

391

pozostawiła Seta na statku, nie informując go o swych zamierzeniach. Wczesnym rankiem osiodłała Lucyfera i pognęła znanym górskim szlakiem. Po drodze musiała zjechać na bok, by ustąpić miejsca długiej, wolnej kawalkadzie mułów wiozących

chorych i rannych. Na ten godny litości widok wciągnęła głęboko powietrze. Ujrzała bowiem trupioblade twarze, przepełnione bólem oczy, rozwarłe usta, rozszarpane kończyny. Przejechali obok, a ona ruszyła dalej. Z mieszanymi uczuciami wracała do miejsca tyłu wspomnień. Niektórzy mężczyźni wybiegli jej na spotkanie; wynędzniałe postacie w podartych mundurach, zapadnięte z głodu twarze, obwiązane szmatami nogi. W mieście wykupiła cały nielegalny zapas czekolady. Wyciągnęła paczki przytroczone do siodła i ze łzami w oczach obserwowała ich wzruszającą wdzięczność. A więc tyle pozostało po wspaniałej brytyjskiej armii;

tragiczne postacie, zmizerniałe i przymierające głodem? Zapytała jednego z nich o panią Cobb, a on wskazał na mały, brązowy namiot ustawiony pod kościelnym murem. Przywiązała Lucyfera i kiedy zbliżyła się do namiotu. Poiły odchyliła klapę. Zaniemówiła z wrażenia, a potem podbiegła do Laurel, śmiejąc się i płacząc.

- Och, madam, kochana pani Grafton. Tak się cieszę, ale nie trzeba było przyjeżdżać - to zła pora.

Chwila wahania i obie kobiety padły sobie w ramiona nie zważając na klasową przepaść; dwie kobiety, które straciły tak wiele. Weszły do namiotu.

Poiły rzuciła jej niespokojne spojrzenie.

- Coś z Fredem, prawda?

- Tak. Niestety, tak. - Umarł?

Laurel nie odpowiedziała, ale otoczyła ramieniem roztrzęsioną Poiły i przytuliła do siebie.

- Widziałam go - szepnęła. - Miał w szpitalu dobrą opiekę.

- Ale to nie pomogło?

- Nie.

- Przeczuwałam coś, choć wciąż miałam nadzieję. Szkoda, że nie pozwolili mi jechać razem z nim. Byłabym przy nim, kiedy... - słowa utkwily jej w gardle, odwróciła twarz i dodała stłumionym głosem - Tak

się martwił z powodu doktora Ayishama. Czuł, że powinien był mu pomóc.

- Wiem. Opowiedział mi o tym. Poiły. Dlatego tu 'jestem. Nikt mnie nie słucha, nikt nie ma zamiaru

sprawdzić, co się z nim stało. Sama pojedę do rosyjskiego obozu.

- Nie może pani. To niemożliwe. Nie taka dama

I juk pani.

- Właśnie. Nie wysłuchają mężczyzny, ale może posłuchają kobiety. Muszę spróbować.

- Ale to potwory - bez serca. Mogą panią skrzywdzić.

- Wiem, ale muszę pojechać. Widzisz, ja go ko-rham, Poiły - wyznała szczerze.

- Ale kapitan...

- Był moim mężem, lubiłam go, ale Jethro to całe moje życie. Nie mogę go teraz opuścić.

Twarz Poiły wyrażała zwątpienie, więc Laurel dotknęła jej dłoni.

- Spróbuj zrozumieć. To bardzo długa historia. Być ftioże pewnego dnia wszystko ci opowiem, ale dziś nie mu czasu. Muszę jechać, zanim ktoś się domyśli i spróbuje mnie zatrzymać.

Laurel przywiozła ze sobą trochę zapasów: herbatę, ' likier i suchary. Biały pies, chudy jak patyk, wskoczył ii'j na kolana. Rozwazyły strategię działania. Poiły ugotowała wodę i w dwóch wyszczerbionych kubkach podała herbatę.

393

- Zmiana pikiet odbywa się w połowie dnia - poin-; formowała niepewnie. - Może się pani do nich przyłączyć za obozem. Nikt nie będzie miał do nich pretensji, jeśli pojedzie pani ich śladem.

Poiły użyła wszelkich argumentów, by odwieść ją od tego szaleńczego zamierzenia, ale Laurel postawiła na swoim. Strach pobudzał ją do działania i utwierdzał w przekonaniu, że postępuje słusznie. Wiedziała, że mogą ją napastować, upokorzyć, nawet aresztować. Żołnierze rosyjscy znani byli ze swej brutalności. Będzie musiała przejść przez ich ręce zanim dotrze do dyżurnego oficera, a jednak nie poddała się. Czekał ją trudny sprawdzian, ale musiała odkupić swą winę.

Trzymała się ściśle opracowanego planu. Jeźdźcy, ostrzeżeni przez Poiły, wiedzieli, że Laurel podąża ich śladem, ale nie zatrzymali się ani na chwilę, nie obejrzeliby się za siebie. Dopiero późnym popołudniem podczas postoju, młody porucznik jadący na czele zawrócił w jej stronę. Jego ciekawość nie miała granic. Intrygowała go ta niewątpliwie piękna kobieta w grubym kozuchu, z twarzą ukrytą w futrzanym kapturze, , przedzierająca się do obozu wroga, by ratować człowieka, który dla wielu był już martwy.

- Jeśli pojedzie pani tym szlakiem na lewo - wskazał głową - trafi pani na silnie strzeżone bramy miasta.

Tam musi pani spróbować swej szansy. W razie kłopotów...

- Muszę sobie radzić sama - wpadła mu w słowo.

- Nie chcę, abyście przeze mnie znaleźli się w niebezpieczeństwie.

- Żaden szanujący się żołnierz brytyjski nie pozostanie bierny wobec cierpienia damy z rąk wroga

- oświadczył cicho młody człowiek. - Będziemy obserwować.

- Dziękuję. 394

Podała mu dłoń, a on ku własnemu zdumieniu ujął ją i ucałował.

- Powodzenia - dodał chrapliwym głosem. Pognała naprzód, trzęsąc się na myśl, że oto nadeszła właściwa chwila. Nagle w oddali dostrzegła działa, które poczyniły takie spustoszenie wśród atakującej armii brytyjskiej. Milczały teraz, a mroźne powietrze przepojone było martwą ciszą. Zmrok zapadał szybko. Dotarła do bram i zatrzymała się przed zdumionym strażnikiem, który wyszedł jej na spotkanie. Odezwała się po francusku, żądając spotkania z dowódcą, ale oni gapili się na nią z tępym wzrokiem na chłopskich twarzach. Mimo zdenerwowania zauważyła ich długie, szare szynele i futrzane czapy; już na pierwszy rzut oka byli lepiej wyposażeni od Anglików. Jeden z nich próbował ją popchnąć, wskazując na stronę z której przybyła, ale ona potrząsnęła głową i przemówiła ponownie. Zatrątkotali coś po rosyjsku, a następnie któryś z nich wszedł do środka i przyprowadził starszego mężczyznę, sierżanta, jak się domyśliła. Mówił po francusku z twardym akcentem, oniemiały na widok eleganckiej młodej kobiety na wspaniałym wierzchowcu, która z uporem żądała spotkania z samym księciem Miecznikowem. Nigdy wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji. Zdarzali się co prawda dezercerzy i obozowe dziwki, prosząc o otwarcie bramy, ale ktoś taki?



W końcu kiwnął głową. Otworzono bramę i wpuszczono ją do środka. Zeskoczyła z siodła i z niepokojem zauważyła, jak zabierają gdzieś Lucyfera. Ktoś wepchnął ją do pomieszczenia wyglądającego na pokój strażników. Przy zaśmieconym stoliku siedziało w niedbałych pozach około sześciu mężczyzn.

- Proszę zaczekać - nakazał sierżant i zniknął. Siadła przy zakratowanym oknie, jak najdalej od żołdaków i mocniej opatulila się kożuchem. Mijały minuty. Nagle zdała sobie sprawę z głupoty własnego

395

postępuku. Siła, która pchała ją do działania, przemieniła się w zwykłą rozpacz. Poili miała rację. Dlaczego miałoby jej wysłuchać? Co by pomyślał Jethro wiedząc, że tym szalonym przedsięwzięciem naraziła życie ich dziecka? Zapadał mrok. Od rana nie miała nic w ustach. Dostała mdłości i zawrotów głowy. Jeden z żołnierzy wstał od stołu, zapalił lampę i przetoczył się przez pokój. Stał naprzeciwko niej, chwiejąc się na nogach. Laurel domyśliła się, że jest pijany.

- Czego tu szukasz? - spytał łamaną francuszczyzną. - Jedzenia? Tego chcą wszyscy, jedzenia i picia. Czy Anglicy padają tam z głodu? Jedzenia... a może i buziaków. Niech ci się przyjrę.

Pochylił się i ściągnął jej kaptur.

- Ładniutka. Jeżeli upatrzyłaś sobie księcia, to masz pecha. Ekscelencja ma własne dziwki. Ty będziesz musiała zadowolić się takimi jak my.

Wyciągnął ręce i postawił ją na nogi. Poczula zapach alkoholu i próbowała się wyrwać, ale ścisnął ją jeszcze mocniej. Ktoś odezwał się po rosyjsku, a jej oprawca parsknął śmiechem. Na swój sposób był nawet przystojny z szopą kręconych włosów i zuchwałym uśmiechem.

- Chcesz ze mną walczyć? W ten sposób nie dostaniesz tego, czego chcesz, moja panno.

Przycisnął ją do siebie i z brutalną siłą pocałował w usta. Wpadła w panikę. Uwolniła rękę i z całej siły walnęła go w twarz. Zaklął, ale nie zwolnił uścisku.

- Dzika kotka, co? Polowałem już na takie. Pozostali żołnierze ryczeli ze śmiechu.

Wiedziała, że prośba o pomoc nie ma sensu. Już otwierała usta, zbierając się do krzyku, kiedy brudna dłoń

wylądowała na jej twarzy. Jaka byłam głupia, pomyślała, jaka głupia!

Szamotała się z nim, kopiąc mocno kolanem, gdy nagle rozległ się chłodny, ostry głos.

Nie zrozumiała

396

ani słowa, ale efekt był piorunujący. Uścisk zelżał gwałtownie; prawie upadła na podłogę. Wszyscy mężczyźni poderwali się z miejsc, wygładzili mundury, stanęli na baczność i spuścili wzrok. Stojący w drzwiach młody oficer skarcił ich, a następnie zwrócił się do Laurel.

- Proszę wybaczyć, madam, zachowanie moich ludzi. Siedzą tu sami od wielu miesięcy. Pani pozwoli za mną.

Zebrała się w sobie, poprawiła kożuch i wyszła za młodym oficerem na ulicę. Stanęli przed wysokim, ciemnym budynkiem zatrzymani przez wartownika. Weszli do środka, schodami w górę i w głąb korytarza. Otworzył drzwi i poprosił, by weszła.

- Młoda dama, ekscelencjo - oznajmił i wyszedł. Znalazła się w skromnie urządzonej sypialni, ale ogrzanej ogniem z kamiennego kominka. Przy oknie stał tyłem jakiś mężczyzna. Po przeżyciach ze strażnikami nie pozbyła się strachu. Jak rycerze byli rosyjscy oficerowie? Czy znalazła się na łasce człowieka, który bez skrpułów zabawi się jej kosztem? Stała nieruchomo, wstrzymując oddech. Po chwili mężczyzna westchnął i odwrócił się. Miał na sobie prosty, ciemnoniebieski mundur z krzyżem wysadzonym drogimi kamieniami. Prawy, pusty rękaw przypięty był na piersi, ale jasne włosy, pomarszczona i warz ze śladami niedawnej choroby należała do I) mitriego Malinskiego.

Oboje zaniemówili z wrażenia. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Laurel zrobiła krok naprzód.

- Myślałam, że nie żyjesz - wybuchnęła. Uśmiechnął się.

- Prawie, ale nie całkowicie - wyszedł jej na spotkanie. - Laurel, nie mogę uwierzyć, że to ty. To chyba ,ien. Co tu robisz, u diabła?

397

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Drżysz z zimna. Podejź do ognia - poprowadził ją przez pokój.

- Kiedy Laski poinformował mnie, że jakaś młoda kobieta prosi o spotkanie z dowódcą, pojęcia nie miałem, kto to taki.

Ulga i nagłe ciepło przyprawiły ją o zawrót głowy. Zachwiała się, a Dmitri posadził ją w fotelu.

- Jesteś wyczerpana. Nie mamy wiele do zaoferowania, ale może napijesz się brandy? Potrząsnęła głową.

- Nie, nic mi nie jest.

- Zamówię herbatę. To ci doda sił.

- Nie teraz, może potem - wyprostowała się, poprawiając rozwichrzone włosy. - Och, Dmitri. Tak się cieszę, że to ty!

Widział jej przerażenie i zdenerwowanie.

- Czy potraktowali cię niewłaściwie? Niech ich diabli! Zostaną ukarani.

- Nie, proszę. Nic się nie stało.

Nie odrywał od niej wzroku, zaskoczony ale nadal uprzejmy. W Anglii wydawało mu się, że jest zakochany, ale minęły chyba wieki...

- Powiedz mi, co tu robisz na Krymie? - zapytał cicho. - W czym mogę ci pomóc?

- Przyjechałam z moim mężem - George'em Grafionem.

- Rycerski kapitan... a więc poślubiłaś go.

- Tak. Zginął w szarży kawaleryjskiej pod Balaklawą.

- Przykro mi. Byłem w szpitalu, gdy się o tym dowiedziałem.

- Ale nie dlatego tu jestem - pochyliła się do przodu. - Dmitri, dwa miesiące temu, na początku grudnia grupa żołnierzy, która zbierała rannych, została zaatakowana pod Sewastopolem. Jednego z nich, Jethro

398

Ayishama, pojmano i oskarżono o szpiegostwo, ale to absurd. Jest lekarzem, chirurgiem. Spotkałeś go w Londynie, musisz go pamiętać. Malinski zmarszczył brwi.

- Jeśli jest lekarzem, to powinien być zwolniony.

Taki jest nasz układ z wrogiem.

- Ale tak się nie stało. Widzisz, on jest ochotnikiem, nie należy do wojskowego personelu medycznego. Od tamtej pory nie ma o nim żadnych wieści, nic. Dlatego tu przyjechałam. Muszę wiedzieć, gdzie on jest. Zrozumię, to nie szpieg, ale doskonały chirurg. Nawet Rosjanie nie chcieliby zastrzelić kogoś takiego.

- I tak się składa, że przy okazji znaczy dla ciebie bardzo wiele - zauważył uszczypliwie Malinski.

- Tak, to prawda - zapomniała o rozwadze. - Jest mi droższy niż ktokolwiek na świecie.

- Rozumiem - zamilkł na moment. - Szczerze mówiąc, nie wiem, jak ci pomóc. Żałuję, że mnie tu nie było. Dopiero niedawno wróciłem na służbę. - Wskazał na pusty rękaw.

- Goiło się dłużej niż oczekiwano. Mogę popytać, ale to zajmie mi trochę czasu. Tymczasem poproszę mojego adiutanta, aby podał herbatę, zgoda?

- Tak. Będę ci wdzięczna.

- Doskonale. Zobaczę teraz, co się da zrobić. Zostań tu i odpocznij.

Dotknął jej dłoni i wyszedł z pokoju. Już po wszystkim; opadło napięcie, poczuła ulgę i wewnętrzny spokój. Do drzwi zapukał adiutant i wniósł tacę z herbatą, cukrem, wysoką szklanką i plastrem cytryny. Niczego im nie brakuje, pomyślała. Pociągnęła łyk i zjadła kilka migdałowych ciasteczek, które wyciągnął z szuflady biurka.

Minęła godzina zanim Dimitri wrócił. Siedziała z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłem płynącym z płonących polan.

399

- Widzę, że podano herbatę - odezwał się. - I ciasteczka mojej mamy. Biedactwo, wciąż przysyła mi paczki żywnościowe. Nadal wydaje jej się, że chodzę do szkoły. Laurel uśmiechnęła się na wspomnienie rodzinnego domu.

- Są znakomite. Czy mogę nalać ci herbaty?

- Nie, dziękuję.

Stanął tyłem do kominka, nie odrywając od niej oczu. Dostrzegł delikatne kości na bladej twarzy oświetlonej różową poświatą ognia. Musi kochać tego człowieka do szaleństwa, skoro tyle dla niego ryzykuje, pomyślał.

Poczuł nagły przyływ zazdrości.

- Obawiam się, że moje informacje nie są zbyt obiecujące. Wyprostowała się, mocno splatając dłonie.

- Czy to znaczy, że nie żyje?

- Nie, został ranny, ale to nic poważnego. Problem polega na tym, że wraz z innymi wysłano go do Rosji na dalsze przesłuchania. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale to wszystko, czego się dowiedziałem. Musisz zapamiętać jedną rzecz, Laurel. Jeśli jest chirurgiem, jak twierdzisz, może pracować w szpitalu więziennym lub gdziekolwiek. I nas, podobnie jak Brytyjczyków, dotknęła cholera. Mamy wielu rannych. Zginęło tylu wspaniałych ludzi.

- Czy zatrzymają go do końca wojny? - miała wrażenie, że oznacza to wieczność.

- Kto to wie? Mam chyba na to jakiś wpływ. Mój wuj odpowiada za jeńców. Jeśli będę mógł przyspieszyć jego zwolnienie, zrobię co w mojej mocy.

- Niech cię Bóg błogosławi. Jestem ci wdzięczna, tak bardzo wdzięczna. Nie wiem, jak ci się odpłacę.

Zrzuciła z siebie ciężki kożuch i wstała; szczupła, zgrabna, piękna, w czarnej spódnicy i dopasowanym

400

żakiecie. Błyszczące oczy, rude, kręcone włosy. Wyciągnął zdrowe ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Gdybym był jak moi przodkowie - zamruczał - podałbym cenę. Jedna noc ze mną za życie ukochanego.

- To brzmi jak tani melodramat - zaśmiała się, ale zauważył cień strachu w jej oczach.

- Nie bój się. Nie jestem prostakiem jak oni, a jednoręki mężczyzna nie ma szans u pięknych kobiet.

Pochylił głowę i pocałował ją w policzek. Odwróciła niespodziewanie głowę i ich usta spotkały się. Delikatna pieśczoła rozpała ich namiętność, ale Dmitri wypuścił ją z objęcia.

- Teraz musimy się zastanowić, co z tobą zrobić.

Nie możesz tu zostać, ze względu na swoją reputację i moją. Z drugiej strony będzie lepiej, jeśli książę nie dowie się o twojej wizycie.

- Pojadę - zdecydowała szybko. - Nie boję się ciemności. Nasza pikietta stoi tu niedaleko. Zapewnią mi bezpieczny powrót.

- To mi się nie podoba - zaniepokoił się. - Samotna kobieta nie jest bezpieczna. Wyślę dwóch ludzi, by cię eskortowali do obozu.

- Nie chcę, abyś miał przeze mnie jakieś problemy.

- Tym żołnierzom mogę zaufać. Nie obawiaj się. W ciągu pół godziny przygotował ochronę i od-i prowadził ją do bram miasta. Laski i elegancki, młody oficer, który okazał się jego adiutantem czekali już na komach. Malinski wsadził Laurel na Lucyfera i poklepał go po szyi.

- Widzę, że przetrwał nawet niewygody Krymu.

- Tak, ale to nie było łatwe - pochyliła się i pogłaskała go po policzku. - Nie zapomnij o swej obietnicy, Dmitri.

- Nie zapomnę. Bóg z tobą. Młody porucznik z brytyjskiego obozu dostrzegł nadjeżdżających Rosjan i wzmógł swą czujność. Na

401

widok Laurel odetchnął z ulgą. Zatrzymali się w oddali, Laurel ruszyła w stronę obozu. Gdy podjechała do porucznika, zawrócili konie i pokłusowali do cytadeli.

- Czy powiodła się pani misja? - spytał.

- Tak. Spotkałam przyjaciela. Jakie to szczęście! Miał ochotę zadać więcej pytań, ale wyraz jej twarzy powstrzymał go. Powiedział tylko: „a.

- Wracamy za godzinę. Czy da pani radę? Ze zmęczenia z trudem utrzymywała się w siodle, ale kiwnęła głową.

- Będę gotowa.

Kiedy wyruszyli w powrotną drogę, przysypiała w siodle. Niepokój i zdenerwowanie powoli mijały. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, wszystko, czego od niej oczekiwano. Uspokoila niespokojnego ducha Ge-orge'a, odkupiła swe winy. Poity czekała na nią w Kadikoi. Laurel z ulgą weszła do maleńkiego namiotu. Tej nocy spały obok siebie na twardym sienniku, przykryte kozuchem. Nie pozostało jej nic innego jak wracać do Anglii i czekać na narodziny dziecka Jethro.

Następnego ranka wyjechała do Balaklavy, by uzyskać pozwolenie na powrót do Scutari. Jak na ironię już pierwszej nocy na morzu statek na milę minął się ze statkiem wiozącym grupę dam z Mary Staniey, siostrą dziekana Westminsteru, na czele. Ku ich niezadowoleniu Miss Nightingale uznała je za całkowicie niezdatne do pracy w szpitalu. Wśród nich była i Margaret, dumna, że w końcu osiągnęła swój cel i udowodniła Robinowi, iż potrafi być dzielna i zdecydowana tak jak Laurel.

402

21

- Jeśli jeszcze raz będę musiała wysłuchiwać młodych kobiet recytujących patriotyczne wersety Tenny-sona, wstanę i zacznę wrzeszczeć - zaczęła Laurel, wchodząc do saloniku na Ariington Street któregoś ciepłego, czerwcowego popołudnia, zrzucając jedwabny szal i zatapiając się wygodnie w fotelu. - Koncert w Cariton Garden na rzecz Fundacji Nightingale był chyba najnudniejszym wydarzeniem na świecie. Co gorsza Robin nie mógł powstrzymać się od chichotów, a i ja z trudem zachowywałam kamienną twarz.

- Najwyższy czas, abyś przestała brać udział w tych koncertach i spotkaniach - ostrzegła Jane. - Zamęczasz się na śmierć. Fundacja Nightingale da sobie doskonale radę bez ciebie.

- To nie chodzi o pieniądze, choć tak bardzo ich tam potrzeba. Chcę, aby ludzie dowiedzieli się jak naprawdę jest na Krymie.

- Czy lady Emiły poprosiła cię o odczyt?

- Tak, a teraz kiedy stary Pana jest premierem, nie śmiałam odmówić. Robin, zdrajca, wykręcił się bolącą nogą.

Wyprostowała się.

- Wiesz, Jane, oni niczego nie rozumieją.

Choć kul wichura siekła, W cwał szarża ich zaciekła Szła Śmierci prosto w kły, Szła prosto w paszczę Piekła.

To kochają. Te słowa brzmią tak bohatersko. Klaskali bez końca ze łzami w oczach i zastanawiam się, czy przynajmniej jeden z nich miał mgliste pojęcie, jaki to

403

był koszmar - okrutny, obrzydliwy i całkowicie niepotrzebny.

- Wiem, co czujesz moja droga - szepnęła Jane. - Ale jeszcze rok temu sama byś się tak wzruszała jak oni.

- Tak przypuszczam - westchnęła Laurel. - Boże! Wystarczy niewielkie doświadczenie i wszystko wygląda inaczej! Obiecałam Miss Nightingale, że zrobię co w mojej mocy, aby społeczeństwo dowiedziało się okrutnej prawdy. Nie mogę zrobić wiele, ale winna to jestem George'owi.

- Ale nie za długo, kochanie. Musisz myśleć o sobie i o dziecku.

- Wiem - wstała i przeszła niespokojnie po pokoju.
- Chciałabym gdzieś wyjechać. Co powiesz na kilka tygodni w Westley?
- Czy to rozsądne? Chyba nie powinnaś teraz podróżować?
- Och, będziemy bardzo ostrożne.
- A jeśli dziecko tam przyjdzie na świat? To tak daleko, a doktor Townsend jest tu, w Londynie.
- Nic się nie stanie. Mam jeszcze sporo czasu
- zniecierpliwiła się. - Muszę wyjechać. Duszę się w tym gorącym mieście. Jane przyjrzała się jej podejrzanie.
- Dobrze się czujesz? Mam zamówić herbatę?
- Nie, dziękuję. Pójdę na górę i przebiorę się w coś lekkiego. - Zatrzymała się przy drzwiach z figlarnym uśmiechem: - Rosemary powiedziała mi dziś coś zabawnego. Margaret wróciła do domu. Wiesz, pojechała na Krym z grupą Mary Stanicy. Ich delikatne żołądki nie wytrzymały. Większość z nich wróciła z Margaret.
- Laurel, jesteś złośliwa.
- Czyżby? To przecież takie zabawne, nie uważasz? Takie były nadęte i zarozumiałe, zasłużyły na ostrą odprawę.

404

Śmiech ucichł, kiedy wchodziła po schodach w towarzystwie Manka. Od chwili powrotu pies nie opuszczał jej ani na krok. Poglaskała go bezwiednie i pomyślała o Malinskim. Z Rosji nie dotarły żadne wieści. Nie wiedziała, czy Jethro żyje jeszcze i czasami ogarniało ją śmiertelne przerażenie. Nikomu, nawet Jane, nie powiedziała, kto jest ojcem jej dziecka. Gdyby Jethro nie powrócił, dziecko nosiłoby nazwisko George'a, a ona wyczekałaby na właściwy moment, by wyjawić prawdę. Nie chciała, aby jej dziecko wyrastało w nieświadomości i jak ona, przeżyło szok niespodziewanego odkrycia.

Spółeczeństwo brytyjskie wyrwało się wreszcie z letargu i uświadomiło sobie ogrom cierpienia, jakim poddawana był armia brytyjska na Krymie. Dramatyczne depesze Williama Russella zamieszczane w „The Times” i opowieści żołnierzy zwolnionych do domu zrobiły swoje. Oburzenie społeczne pobudziło rząd do działania. W ciągu dwóch tygodni powstały towarzystwa zbierające fundusze na zakup odzieży, żywności, lekarstw i sprzętu. W grudniu opublikowano heroiczny poemat Tennysona zainspirowanego szarżą lekkiej brygady. W oddziałach rozprowadzono tysiące kopii, a na bankietach i w salonach przemawiała Laurel Grafion, młoda, piękna wdowa po zmarłym bohaterze, która sama była świadkiem słynnej szarży i na polu bitwy klęczała przy umierającym mężu. Od chwili przyjazdu do Londynu zapraszano ją niemal wszędzie. Towarzyszył jej Robin, młody, dzielny mężczyzna, który jako ochotnik służył w wojskowych szeregach. Robin kulał poważnie i wyglądał na więcej niż dwadzieścia jeden lat. Wszystkie panny mdlały na jego widok i umierały z zazdrości o Laurel, bo na nie nie wracał najmniejszej uwagi. Laurel nie traktowała ich poważnie, a czasami odnosiła wrażenie, że jej słowa Irafiają w pustkę.

405

- Nie uwierzysz - oznajmił tego popołudnia Robin

- ale jakiś przedsiębiorczy oszust organizuje wycieczki, pięć funtów od osoby za podróż do Konstantynopola i na pola bitew, a przecież wciąż trwa wojna! Ciekawe, co by na to powiedział Jethro.

- Potopiłby ich w morzu. Proszę nie mów o nim jak o zmarłym.

- Nie chciałem, Laurel - Robin uściskał jej rękę.

- Nie rozpaczaj. Nawet Rosjanie nie pozbędą się tak łatwo starego Jęta.

- Och, Jethro, Jethro - mruczała do siebie z rozpaczą, zdejmując kwiecistą suknię z jedwabiu i muślinowe halki. Przesunęła dłonią po zaokrąglonym brzuchu i narzuciła szlafrok. - Jak mam spędzić bez ciebie resztę mojego życia?

George nigdy nie dzielił z nią tego pokoju. Choć nie było tu nic z jego rzeczy, wciąż wydawał się obecny. Pod koniec marca, tuż po powrocie do Anglii, Laurel wysłała list do Bartona i Alice Grafton, informując ich o jego bohaterskiej śmierci, wyrażając gotowość do odesłania niektórych po nim pamiątek. Nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Zignorowali jej list, podobnie jak zignorowali ich ślub, więc wzruszyła ramionami i postanowiła o nich zapomnieć. To co wydarzyło się następnego popołudnia, przeszło jej oczekiwania.

W saloniku zebrała się grupka kobiet, omawiając podział pieniędzy i podarunków dla żołnierzy, których odesłano do domu - kalek i ślepców, gnieźdzących się w zapchanych szpitalach, zebrzących na ulicach, pozostawionych bez grosza na łasce losu. Laurel pewna była, że poradzi sobie sama z Jane, ale damy z komitetu chciały czuć się potrzebne i zaangażowane. Wypiły herbatę i już zbierały się do wyjścia, kiedy do saloniku wkroczył Franklin pytając, czy Laurel przyjmie nieja-

406

ką panią Grafton nalegającą pilnie na spotkanie. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Alice Grafton odepchnęła go i jak burza wpadła do pokoju. Od stóp do głów odziana była w czerń. Odrzuciła czarny welon i przeszła szarymi oczami liliowe muśliny Laurel i śliczny, ozdobiony kwiatami salonik.

- A więc to tak oplakujesz mojego syna - rzuciła gorzkie oskarżenie.

Laurel wolno podniosła się z miejsca.

- George umarł osiem miesięcy temu, pani Grafton

- rzekła cicho. - Są jeszcze inne sposoby wyrażania żalu oprócz żałoby i izolacji.

- Takie jak wystawianie się na pokaz publiczny. Wiem, czym się zajmujesz i napawa mnie to wstrętem, ale tego tylko można oczekiwać od kobiety, która doprowadziła mego syna do śmierci.

Jane wyprowadziła z salonu zaszokowane damy. Żałowały, że ominęła je tak interesująca scena i w korytarzu, nakładając czepki i szale, chciwie nadstawiały uszu.

- George nigdy nie postępował wbrew własnej woli

- ciągnęła spokojnie Laurel - był żołnierzem i słuchał rozkazów, a ja jako jego żona towarzyszyłam mu wszędzie.

- Czyżby? Czy to był jedyny powód? - Alice zrobiła

krok naprzód wykrzywiając twarz. - Barton opowiedział mi o tobie. Poślubiłaś George'a, by znaleźć się bliżej swego kochanka, który cię porzucił.

- Nie - zaprotestowała cicho Laurel. - Nie, pani się myli.

- Zaprzeczasz?

- Tak. Zawsze bardzo lubiłam George'a.

- Lubiłam, lubiłam! To wszystko, na co cię stać? Czyje nosisz dziecko? Odpowiedz mi. George pisał do mnie. Gdyby dziecko było jego, powiedziałaby mi.

407

- Przed jego śmiercią, jeszcze nie wiedziałam o dziecku.

Frontowe drzwi zamknęły się za ostatnimi gośćmi i Jane szybko wróciła do saloniku, obserwując z niepokojem bladą jak ściana Laurel. Jedną dłonią trzymała się stołu, ale nie straciła panowania.

- Co jeszcze napisał George?

- Chciałabyś wiedzieć, co? Tak, kochał cię, głupiec. Najlepsza żona na świecie, pisał bez końca - załamała się nagle i pogrążyła w smutku. - Nie mogę znieść myśli, że umarł tam samotnie w tym okropnym miejscu.

- Nie był sam. Ja byłam z nim - zaoponowała delikatnie Laurel. - Pochowano go ze wszystkimi honorami. Dlatego wystawiam się na widok publiczny jak to pani nazywa. Chcę, aby ludzie znali prawdę, by inni tak jak on nie ginęli na darmo.

Wyciągnęła dłoń.

- Jeśli mogę coś dla pani zrobić...

Alice Grafton podniosła gwałtownie głowę.

- Niczego od ciebie nie chcę, niczego. Już pierwszego dnia, kiedy weszłaś do tego domu, przyniosłaś ze sobą kłopoty. Opętałaś mego wuja tak samo jak opętałaś George'a. Niczym nie różnisz się od swojej matki. W takich jak wy nie ma odrobiny dobra.

- Jeśli przyszła pani tylko po to, by obrażać Laurel - wpadła w złość Jane - muszę panią prosić o opuszczenie tego domu.

- I tak już wychodzę, proszę się nie martwić - oznajmiła z pogardą Mrs. Grafton, nie odrywając wzroku od Laurel. - Chciałam się tylko upewnić. Możesz zwodzić cały świat, ale mnie nie oszukasz. Pewnego dnia ludzie dowiedzą się kim jesteś, a ty dostaniesz to, na co zasługujesz.

Odwróciła się i wyszła z pokoju zatraskując drzwi. Jane chciała pójść za nią, ale Laurel powstrzymała ją.

408

- Niech idzie - stwierdziła znużonym tonem.

- Franklin ją odprowadzi.

Nagle opuściła ją odwaga. Trzęsąc się opadła na fotel i skryła w dłoniach twarz. Jane przyklękła obok.

- Nie denerwuj się. Ona jest tylko zazdrosna, bo

George cię kochał. W końcu był jej synem. Laurel patrzyła przed siebie przerażonym wzrokiem.

- To nieprawda, co powiedziała. Nie kochałam go, ale chciałam, aby był szczęśliwy. Naprawdę próbowałam...

- Ależ tak - Jane otoczyła ją ramieniem i przytuliła mocno.



Choć Laurel nie powiedziała jej ani słowa, domyśliła się wszystkiego, zdając sobie sprawę z jej strachu i niepokoju.

- Wyjedźmy stąd - szepnęła Laurel - jak najszybciej, nawet jutro. Nie chcę zostać w Londynie

ani chwili dłużej. Jane pogładziła ją delikatnie po włosach.

- Kiedy tylko zechcesz, moja droga.

\* \* \*

Od dawna marzyła o ucieczce z Londynu. Tam, w Westley spędziła tego wspaniałego lata wiele spokojnych dni. Postanowiła instynktownie nie martwić się o Jethro do czasu narodzin dziecka. Od czasu do czasu wpadała Rosemary z Charielem, rozprawiając radośnie o swych małżeńskich planach. Jessica przywoziła ze sobą jakiegoś nowego młodzieńca, poza tym był jeszcze Robin. Nie było prawie dnia, żeby jej nie odwiedził, przynosząc kosz truskawek z Ravensley czy świeżą rybę od Moggy'ego. Czasami zabierał ją na przejażdżki łodzią po kanałach pełnych dzikiego ptactwa, pachnących tawułą, bagiennym mirtem i wodną miętą.

409

Któregoś dnia wybrała się do starego kościółka i ujrzała małą, mosiężną płytę umieszczoną dyskretnie w kaplicy rodu Leigh przez lorda Ayishama. Poświęcona była Alyne Leigh i dziecku, które utonęło razem z nią. Poczuli na ciele ciarki, jakby lodowaty palec z grzesznej przeszłości dotknął jej skóry. Na chwilę powróciły mroczne wspomnienia. W tej dzikiej, opuszczonej okolicy czuła się silnie związana z Jethro i ignorowała delikatne uwagi Jane na temat powrotu do Londynu przed narodzinami dziecka.

W sierpniu w Ravensley odbyło się przyjęcie na rzecz Fundacji Nightingale i Laurel z oporami przyjęła zaproszenie. Siedziała na tarasie obserwując uczniów z wiejskiej szkoły prezentujących na trawniku swe ludowe tańce. Dokoła ustawiono różnego rodzaju kramiki, a Tom oferował najmłodszym przejażdżki na kucyku. Jessica przemykała się między gośćmi, a Rosemary z Charlesem zajmowali się podawaniem owoców i lodów. Robin siedział u stóp Laurel, wykręcając się kalectwem od wszelkich pracowitych czynności, wywołując tym samym oburzenie swych sióstr. Zaśmiewali się z czegoś, kiedy Laurel odniosła nagle wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Podniosła wzrok i kilka jardów dalej dostrzegła Margaret. Ubrana była w prostą, ciemnoniebieską suknię, a spięte po bokach czarne, lśniące włosy podkreślały bladą twarz. Było to ich pierwsze spotkanie od powrotu z Krymu i przez ułamek sekundy Laurel poczuła lodowaty chłód, co w tak upalny, letni dzień było czystym absurdem. Margaret zniknęła, a na trawniku pojawiła się Jessica z herbatą na tacy.

- Chyba widziałam przed chwilą Margaret - odezwała się od niechcienia Laurel, biorąc w dłoń filiżankę.

- O, tak. Kręci się tutaj, rzucając zły urok na kogo popadnie.

410

- O, Jess! Jak możesz tak mówić?

- To prawda. Ostatnio zachowuje się bardzo dziwnie. Przypomina chmurę gradową. Ciotka Cherry twierdzi, że to z powodu tych okropności, które zobaczyła na Krymie,

ale przecież ty i Robin odebraliście to zupełnie inaczej. Wydaje mi się, że jest po prostu zazdrosna.

- Zazdrosna? - powtórzył Robin. - O co zazdrosna, na miłość boską?

Jessica wykrzywiła twarz.

- Jakbyś nie wiedział! - Przybrała dramatyczną postawę. - „O, strzeż się mój panie zazdrości. To zielonooki potwór pogardzający jedzeniem, którym się żywi”. To „Otello”. Papa czytał nam kiedyś fragmenty - zachichotała. - Muszę iść. Pomagam mamie przy podawaniu herbaty.

- Jess to postrzelona dziewczyna - rzekł z zażenowaniem Robin. - Nie zwracaj na nią uwagi.

Ale mylił się. Jessica trafnie oceniła swą kuzynkę. Margaret opętała szaloną zazdrość, gorzka zawiść, które przez ostatni rok przerodziły się w obsesję. Pewna była, że gdziekolwiek się uda, cokolwiek zrobi, Laurel uprzedzi ją we wszystkim, zdobywając popularność i uznanie. To Laurel winna była za jej niepowodzenia na Krymie, niemożność pokonania przerażenia i odrazy, obojętność Robina, jego zniecierpliwienie i szorstkość przy każdym spotkaniu. Pałące poczucie niesprawiedliwości nie dawało jej spokoju. Dlaczego wszyscy mężczyźni adorowali tylko Laurel? Inne kobiety w ciąży nie pokazywały się w towarzystwie, ale nie Laurel - o, nie. Siedziała tam w delikatnych muślinach, piękna jak zwykle i nawet cała rodzina dała się oszukać podziwiając jej odwagę, wyrażając wdzięczność za uratowanie życia Robinowi. Rozmyślała nad tym bez końca, aż wściekłość zebrała się w niej. niczym

411

gorąca fala. Tego wieczoru, kiedy wyszli już prawie wszyscy goście, a rodzina wraz z najbliższymi przyjaciółmi zebrała się przy otwartych oknach w salonie, doszło do eksplozji. Iskrę wzniciła zupełna błahostka.

Jessica i Tom przeliczyli pieniądze z kramików, by z radością ogłosić wyniki.

- Przyda im się każdy pens\* - zauważył lord Ayisham. - To obłężenie ciągnie się w nieskończoność. Czasami zastanawiam się, czy nasza armia kiedykolwiek zdobędzie Sewastopol.

- Czy są jakieś świeże wieści? - spytała nagle Laurel. - Czy przyszły jakieś listy?

Pocztę dostarczano do Ravensley każdego ranka, ale gdy oczekiwano czegoś ważnego, jeden z chłopców stajennych wsiadał na kucyka i pędził na stację, by odebrać przesyłkę z popołudniowego pociągu.

Robin podniósł się z miejsca.

- Pojadę i dowiem się, dobrze? Wiedział z jakim pożądaniem czeka na listy, które nigdy nie przyszły. Podniosła na niego wzrok.

- A co z twoją nogą?

- Do diabła z nią!

Uśmiech, jaki mu posłała, ich wzajemna zażyłość tak zirytowały Margaret, że nie mogła powstrzymać się od kąśliwego komentarza.

- Dalej, Robin. Biegnij i rób, co ci każe. Trzyma cię na smyczy, prawda? Pokojowy piesek Laurel. Czego jeszcze cię nauczyła? Czy stajesz na dwóch łapach i prosisz o ciasteczko?

Robin zmarszczył czoło.

- O czym ty mówisz?

- Doskonale wiesz o czym. Poczwała nagłą potrzebę ranienia i niszczenia. Z ust wylał się gorący potok słów.

- Wszyscy uważacie, że ona jest taka wspaniała, prawda? Klęczała przy umierającym mężu, pielęgn-

412

nowała chorych - anioł miłosierdzia, ale w Balaklavie ludzie mówią co innego.

Spotkałam ich. Słyszałam, co o niej mówili tam i tutaj, w Londynie - rzuciła

piskliwym głosem. - Zapytajcie, czyje nosi dziecko;

dziecko, które przyjdzie na świat dziwnie późno. Zapytajcie ją o mężczyzn, których zabawiała w swojej willi każdej nocy, podczas gdy George walczył na froncie...

- Przestań! Przestań powtarzać te ohydne kłamstwa! - Robin pobrał z gniewu.

- Mówisz tak, bo i ciebie zauroczyła, ale to nie są kłamstwa.

- Zamilczcie oboje - nakazał surowo lord Ayisham.

- Nie pozwolę na takie zachowanie w moim domu.

Margaret odwróciła w jego stronę twarz. Oczy jej błyszczały, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

- Wiemy i o tobie, wujku Oliverze. Szalałeś za jej matką, a teraz szalejesz za nią.

- To niedorzeczne - wykrzyknęła Ciarissa. - Margaret, czy postradałaś zmysły?

Przeproś natychmiast

Laurel i swego wuja.

- Nie oczekuję przeprosin, lady Ayisham - Laurel

podniosła się z fotela.

Była blada, ale pewnie trzymała się na nogach. W jednej chwili dość miała tych

wszystkich wykrętów i udawania. - Margaret ma rację. Chyba powinniście znać

prawdę. Ojcem mojego dziecka nie jest George,

ale Jethro. Zapadła niezręczna cisza. Rodzina instynktownie

zebrała się razem, a goście i sąsiedzi wymknęli się po cichu, żałując że w ogóle tu przyszli.

Lord Ayisham wolno cedził słowa.

- Jeśli to prawda, Laurel, to dlaczego, na Boga,

Jethro zrobił coś takiego? Laurel uśmiechnęła się lekko.

413

- To prawda, ale ja w równym stopniu ponoszę za to winę. - Zająknęła się na moment i ciągnęła spokojnie. - Nie zrozumiecie tego, to prawie niemożliwe, ale to stało się kiedy pracowaliśmy razem w szpitalu, po śmierci George'a, po wypadku Robina. Nie wstydzę się tego, ani trochę. Chcieliśmy się tam pobrać w Nowy Rok, ale Jethro nie przyjechał do Scutari... - zabrakło jej powietrza.

- O Boże, ślub - tak zaraz po...

- Wiem, że to panią szokuje, lady Ayisham. Zawsze byłam wierna swemu mężowi, ale Jethro i ja - to trwało tak długo i oboje byliśmy tak nieszczęśliwi - żyliśmy w otoczeniu śmierci - chwytaliśmy minuty szczęścia nad skrajem przepaści. Wiem, co pani o mnie myśli, więc będzie lepiej jak sobie pójdę.

- Nie wolno ci tak myśleć. Ten dom był zawsze domem Jethro. Czy jest jakieś lepsze miejsce dla narodzin jego dziecka?

- Dziękuję, lordzie Ayisham. To miło z pana strony, ale lepiej będzie jak wrócę do Westley. Jane ruszyła w jej stronę, a Laurel dodała szybko.

- Nic mi nie jest. Nie martwcie się o mnie. Pójdę na górę i przyniosę nasze szale. Czy ktoś może zamówić powóz?

Poczuła gwałtowną potrzebę ucieczki. W korytarzu dostała zawrotu głowy, chwyciła głęboko powietrze i nagle ogarnęło ją uczucie ulgi. Wolno ruszyła schodami w stronę sypialni. Właśnie zbierała jedwabne szale, kiedy usłyszała stukot kopyt. Wyjrzała przez okna i dostrzegła listonosza wjeżdżającego na podwórze z depeszą specjalną. Ogarnął ją dreszczyk emocji i już ruszała do wyjścia, gdy w drzwiach wyrosła nagle Margaret. Zatrzasnęła je za sobą i stanęła przed Laurel.

- Pewnie nienawidzisz mnie za to, co dziś powiedziałam.

414

- Nie, dlaczego? Jesteś taka jaka jesteś i już się nie zmienisz.

- Powiedziałam prawdę - broniła się.

- Nie przeczę.

- Możesz być pewna, że każdy się dowie. Ci na dole rozpowiedzą wszystkim.

- Nie zależy mi. Kocham Jethro. Cieszę się, że urodzę jego dziecko. Nie wyraziła skruchy ani niepokoju i to doprowadziło Margaret do ostateczności. Miała ochotę uderzyć, zmiażdżyć tę łagodną uległość, ale nie wiedziała jak.

- Czy pozwolisz mi wyjść? - spytała Laurel.

- Nie, dopóki nie obiecasz, że zrezygnujesz z Robina.

- O czym ty mówisz? Robin może robić, co mu się podoba. Ja nie mam nad nim żadnej władzy.

- Oczywiście, że masz i szcycisz się tym - Margaret poniosły nerwy. - Chcesz go zatrzymać przy sobie na wypadek, gdyby Jethro już nigdy nie powrócił.

- Nie opowiadaj głupstw. Nigdy nie poślubię Robina, nigdy. I on o tym wie.

K-toś zawołał na dole, a Laurel spróbowała odepchnąć Margaret.

- Muszę już iść. Jane czeka już na mnie.

- Nie wyjdiesz, dopóki mi nie obiecasz.

- To śmieszne. Co mam zrobić? Zaryglować przed nim drzwi?

- Możesz go przekonać, że nie jest mile widziany.

- Nigdy czegoś takiego nie zrobię.

- Gdyby nie ty, miałabym go dla siebie.

- Nigdy! - straciła cierpliwość Laurel. - Nigdy! Robin cię nie kocha. Nigdy cię nie kochał.

- Kłamiesz. Kiedyś mnie kochał. Wiem, że tak było. Margaret chwyciła ją w pasie i potrzęsła ją jak opętana. Po raz pierwszy Laurel wpadła w panikę.

415

- Zwariowałaś? Puść mnie!

- Nie.

Szamotały się przez chwilę. Robin pokrzykiwał coś za drzwiami i nagle Margaret zwolniła uścisk. Otworzyła na całą szerokość drzwi.

- Niech cię diabli! Wracaj do niego! - pchnęła ją z całej siły.

Robin wchodził właśnie na piętro, ściskając w dłoniach list.

- Laurel, jesteś tam? Wspaniale, znakomite wieści. Jethro wraca do domu.

Nie wiadomo, czy poślizgnęła się sama, czy też wskutek popchnięcia przez Margaret, Laurel straciła równowagę na wypolerowanej podłodze i spadła po schodach głową w dół. Robin starał się ją zatrzymać, ale sztywna noga utrudniała mu ruch, a Laurel stoczyła się, uderzając o stopnie, na sam dół.

Wszyscy usłyszeli hałas i wybiegli z saloniku. Na początku była trochę oszołomiona. Pamiętała, jak lord Ayisham klękał obok, widziała Charlesa i przerażoną Jessikę, czuła jak Rosemary otacza ją ramieniem. Pozostali patrzyli jak podnosi się z trudem.

- Nic mi nie jest - zamruczała i nagle coś zaświtało jej w głowie.

Spojrzała na Robina.

- Czy to prawda, czy to rzeczywiście prawda?

- Tak. Uwolniono go. Wraca do domu. Zamknęła oczy. Radość jej nie miała granic, pokonała zawrót głowy i brak tchu.

- Dzięki Bogu. Teraz mogę wracać.

- Nie, moja droga - zabrała głos Ciarissa. - Nie wracasz do Westley, nie po takim upadku. Zostajesz z nami.

Rozejrzała się bezradnie dokoła.

- Jak do tego doszło?

416

- Potknęłam się. Taka jestem niezdarna... - nagle przypomniała sobie Margaret i zamilkła.

- Potknęła się! Widziałem jak to było. - Twarz

Robina zwiastowała burzę.

Pokuśtykał po schodach. Próbowwała go zatrzymać, ale było za późno.

Przez moment zastanawiali się, co z nią zrobić. Lord

Ayisham zaniósł Laurel na górę. Jane i Ciarissa pomogły jej zdjąć suknię i położyć się do łóżka. Protestowała, że nie jest ranna, jedynie trochę posiniaczona, ale z przyjemnością zatopiła się w chłodnej, pachnącej lawendą pościeli. Późnym wieczorem poczuła pierwsze bóle, tak gwałtowne i tak niespodziewane, że krzyknęła, budząc siedzącą obok Jane. Jane przyprowadziła Ciarissę, po chwili pojawił się Charles, uspokajając ją łagodnie.

- Nie martw się. To trochę potrwa. Musisz być cierpliwa.

Jak mężczyzna! pomyślała z kwaśną miną, zła, że to

stało się akurat w tym domu, gdzie nic nie było przygotowane. Zebrała jednak resztki sił i postanowiła nie poddawać się.

Ale wypadki potoczyły się własnym tokiem. Podczas wyczerpującej nocy, między atakami paraliżującego bólu próbowała ratować się wspomnieniami o Jethro, ale mijał dzień, a ona traciła powoli siły. Charles nabrał uzasadnionych obaw, choć ani słowem nie zdradził się przed Laurel. Jane nie opuszczała jej na krok, ocierając spocone czoło wilgotnym ręcznikiem. Pokój przepelniony był gorącym, sierpniowym powietrzem; otwarto wszystkie okna w nadziei na najmniejszy nawet podmuch wiatru. Pod wieczór ból przybrał na sile. Zagryzała usta, by powstrzymać się od krzyku. Widziała ich jak przez mgłę; Jane, Ciarisę, Charlesa i Patty Starling, po którą posłano do Copthorne. Rozmawiali nad jej głową, ale nie rozumiała ani słowa. Zapadł

417

zmierzch. Zapalono lampy, zostawiając pokój w lekkim półmroku. Ból nie ustawał, zastanawiała się nieprzytomnie, czy to już śmierć; wiedziała, że nie może umrzeć, nie przed powrotem Jethro. Po kilku godzinach usłyszała przytępiony stukot kopyt, czyjeś szybkie kroki, stłumione lecz podekscytowane głosy. Ktoś jeszcze był w pokoju. Widziała mglistą sylwetkę w złotawym świetle lampy, wysoką i bardzo szczupłą; ktoś pochylił się nad łóżkiem.

- Trzymaj się, najdroższa. Jestem tu -jestem z tobą.

- Jethro - szepnęła z niedowierzaniem - Jethro... Pewna była, że to tylko sen, ale poczuła dotyk silnych dłoni; dłoni, które znała i kochała nade wszystko.

Głosy nie milkły, były ciche lecz zdecydowane.

- Nie możesz tego zrobić - to niebezpieczne.

- Jest wyczerpana. Jeszcze trochę, a będzie za późno.

- To zbyt wielkie ryzyko dla dziecka.

- Na Boga, mogę uratować ich oboje. Nie sprzeczasz się ze mną, Charles. Rób, co ci każę. Odpowiadam za wszystko.

Jethro raz jeszcze pochylił się nad łóżkiem.

- Oddychaj głęboko, kochana. Nie bój się, wszystko będzie w porządku. Będę przy tobie przez cały czas.

Intensywny, znajomy zapach chloroformu przywołał wspomnienia z Krymu, szpitalną makabrę, krew i umierających żołnierzy - ból stawał się coraz słabszy. Odchodził gdzieś w dal. Powoli zanurzała się w ciemnościach.

Tego samego wieczoru Margaret wymknęła się z domu. W uszach dzwięczały jej gorzkie, oskarżyciel-skie słowa Robina.

418

Z trudem wgramolił się na półpiętro, gdzie stała oszołomiona upadkiem Laurel, przerażona własnym postępkim. Podeszedł do niej i spojrzał jej prosto w twarz.

- Mogłaś ją zabić - szepnął chrapliwie. - Czy tego chciałaś, na to liczyłaś?

Nienawidzisz jej, bo jest piękna, oddana, życzliwa. Nigdy nie będziesz taka jak ona.

Jeśli cokolwiek stanie się Laurel lub dziecku, przysięgam - dopilnuję, aby wszyscy się dowiedzieli, rozumiesz, wszyscy! Nigdy ci tego nie wybaczę, do końca życia!

Zaprzeczyła, błagając o zrozumienie, ale odepchnął ją, nie mogąc nawet znieść myśli o jej dotyku. W panice zdała sobie sprawę, że przez ułamek sekundy rzeczywiście chciała zabić Laurel. Czerwona mgła przepłynęła jej przed oczami, zamroczyła jej umysł. Po chwili czuła jedynie chłód i dreszcze, ale co uczyniła w tej jednej, jedynej sekundzie?

Przez całą noc i następny dzień wszyscy domownicy rozprawiali tylko o Laurel, a jej własna matka, ciotka Ciarissa, Rosemary i Charles wyrażali obawy i niepokój.

O, Boże, pomyślała, jeśli Laurel umrze lub coś stanie się z dzieckiem, to ja będę wszystkiemu winna, a przecież nie chciałam tego, przysięgam, że nie chciałam!

Pod wieczór myśl ta stała się nie do zniesienia.

Wybiegła z domu i dotarła nad rzekę. Nikt jej nie widział, nikt nie dostrzegł jej nieobecności. Na przystani cumowała łódź. Weszła do niej i chwyciła za wiosła. Nadal panował nieznośny upał. Trzciny wzdłuż brzegu, turzyca i trawy sterczały nieruchomo pod ospałym niebem. Milczały ptaki, a moczary, które tak kochała od dziecka, wydały się teraz ponure i groźne.

Wiosłowała powoli, dryfując łódką po wąskich kanałach, aż nagle podniosła wzrok i ujrzała Spinney

419

Mili. Wyrastał dumnie, posepny, mroczny i opuszczony. Podpłynęła do brzegu i spojrzała na ciche wody, w których utopił się Ram Lali i gdzie zginął Justin Ayisham z rękami wroga zaciśniętymi wokół jego szyi. Czuła, że zło, którego się dopuścił przylgnęło teraz do niej i zapragnęła nagle rzucić się do stawu, głęboko w jego mroczną, spowitą zielskiem toń. Może wtedy będzie im przykro - a Robin uświadomi sobie, że to jego odmowa doprowadziła ją do okrutnej śmierci. Przywiązała linę do drewnianego pała i zeszła na brzeg. Zielona, spieniona woda zapluskiała u jej stóp. Stała nieruchomo, wciąż niepewna, kiedy wraz z zapadnięciem mroku coś przerwało martwą ciszę, trzciny i trawy zakołysały się ukradkiem. Dokoła niej toczyło się życie obojętne na jej troski i kłopoty. W jednej chwili wiedziała, że nie zrobi tego. Zabrakło jej odwagi.

Poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i zadrżała gwałtownie jakby duchy topielców wynurzyły się z mulistej wody po jeszcze jedną ofiarę. Ale to nie było żadne widmo, tylko Robin; żywy, serdeczny i troskliwy. Chwycił ją w pasie i odciągnął od brzegu, a ona cała w dreszczach padła mu w ramiona.

- Jess nie mogła cię znaleźć przed kolacją - oznajmił - więc wyruszyłem na poszukiwanie. Spojrzała na niego zdumiona.

- Skąd wiedziałeś dokąd poszłam?

- Nie wiedziałem, ale Moggy powiedział mi, że widział łódź.

- A Laurel?

- Nie wiemy. Ale Jethro wrócił do domu. Rozplakała się bezradnie, a Robin stał nieruchomo, głaszcząc jej włosy, pełen zrozumienia jakiego nigdy w nim wcześniej

nie dostrzegła. Podczas ostatniej nocy pełnej niepokoju zapomniał o swej wściekłości i kiedy nie mogli jej nigdzie znaleźć, przypomniał sobie drobną  
420

twarz, bladą i zrozpaczoną po jego brutalnym ataku. Z bijącym sercem przecesał moczary. Kryjąc przed nim twarz, szepnęła:

- Po co tu przyszedłeś? Myślałam, że ci nie zależy...

- Na miłość boską, Margaret, przecież nie jesteśmy śmiertelnymi wrogami, prawda? Jedziemy na tym samym wozie - problem nasz polega na tym, że oboje zakochaliśmy się w niewłaściwych osobach: ja w Laurel, a ty we mnie. Nie możemy tego zmienić, musimy to zaakceptować i jakoś z tym żyć. Są na świecie straszniejsze rzeczy.

Nauczyłem się tego na Krymie.

Rozłożył swą marynarkę na wilgotnym torfie i poprosił, by usiadła przy nim. W gorącym mroku letniej nocy rozmawiał z nią łagodnie, aż przestała drżeć. Ustąpiło napięcie, wrócił dawny spokój. Po chwili podniósł ją z ziemi.

- A teraz zabieram cię do domu. Gdy dotarli do Ravensley i zacumowali łódź, wstawał już świt. Zaczęło mżyć, ale nie chciała z nim wracać.

- Zmokniesz - zaniepokoił się.

- Nic mi nie będzie. Chcę się trochę przejść. Wrócę później. Zrzucił jej na ramiona swoją marynarkę.

- Wracaj szybko.

Odprowadziła go wzrokiem, wciąż wstrząśnięta, ale już podniesiona na duchu.

\* \* \*

Laurel płynęła pośród mgły i przypiływów mdłości, aż wszystko minęło i obudziła się w pełni świadomości. Wstawał ranek. W nocy padało, ale teraz słońce zaglądało do pokoju przez rozsunięte kotary, a ptaki śpiewały radosną pieśń przeskakując z drzewa na

421

drzewo. Odwróciła głowę i zrozumiała, że to nie sen. Jethro spał obok w fotelu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni budząc go.

- Jak się czujesz?

- Lekka jak piórko. Gdzie jest reszta?

- Posłałem ich do łóżek i zostałem z tobą sam. Nadal czuła lekkie oszołomienie.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Myślałam, że to sen.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- To nie sen, już po wszystkim. Masz córkę.

- Czy mogę ją zobaczyć?

Dostrzegła drewnianą kołyskę, którą przynieśli z dziecinnego pokoju na dole; kołyskę, która od pokoleń służyła dzieciom z Ravensley. Jethro delikatnie wyjął śpiące maleństwo i włożył je w ramiona matki.

Popatrzyła na maleńką twarz, prosty nosek, kosmyk czarnych włosów i uśmiechającego się do niej mężczyznę. Z wrażenia zabrakło jej tchu, nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nagle w otwartych drzwiach pojawiła się Margaret;



długie, czarne włosy opadały na marynarkę Robina, a jej letnia suknia pokryta była grudami błota.

- Dobry Boże - wykrzyknął Jethro - co ty z sobą zrobiłaś?

- Byłam na moczarach - Margaret nie odrywała oczu od Laurel. - Pomyślałam...

Powiedzieli mi, że ty...

- Witaj Margaret - Laurel wyciągnęła z uśmiechem dłoni. - Mam wspaniałą córeczkę.

Chodź i zobacz. Margaret wolno podeszła do łóżka.

- Chciałam przeprosić - szepnęła. - Przeprosić za wszystko, co powiedziałam.

- To nieważne. To nie ma już znaczenia, kiedy Jethro jest ze mną.

422

- Tak się cieszę!... O, Boże, nawet nie wiesz jak bardzo się cieszę! - Margaret zachłysnęła się i wybuchnęła płaczem. Potem odwróciła się szybko i wybiegła z pokoju.

- Co to wszystko u diabła znaczy? - zapytał Jethro.

- I co ona sobie wyobraża, biegając z samego rana po bagnach, przemoczona do suchej nitki?

- Chyba wiem - Laurel spojrzała na niego nieśmiało, niepewna jego reakcji. - Ciarissa nic ci nie powiedziała?

- Nie powiedziała? - przysiadł na brzegu łóżka.

- Co to za tajemnice i co ma do tego Margaret?

- To nic, nic ważnego. To nie dotyczy nas - przerwała. - Jak nazwiemy naszą córeczkę? Zmarszczył czoło.

- Naszą córeczkę?

- Myślałam, że się domyślisz.

- Naszą córeczkę... - doznał nagle olśnienia i stanął na równe nogi. - To znaczy, że...

- Tak. To twoja córka, Jethro.

- A ja myślałem, byłem przekonany... O, mój Boże, to moje dziecko, a nosić będzie nazwisko George'a!

- Nigdy nie będzie znała innego ojca niż ty.

- To ci dopiero niespodzianka! Bawiło ją jego zaskoczenie.

- To piętno Ravensley. Chyba nie da się przed nim uciec. Najpierw moja matka, potem ja. Wierzyłam, że jestem inna. Tylko ja miałam więcej szczęścia niż ona

- zdobyłam ciebie.

- Och, Laurel - zaczął poruszony jej słowami - byłaś sama przez tyle miesięcy, a ja nic o tym nie wiedziałem. Kochana, co mam ci powiedzieć?

- Mamy to już za sobą. Przeszłość też.

- Próbowałem wysyłać listy, ale to nie było możliwe. Trzymano nas z dala od cywilizacji i pojęcia nit

421

mam, co się z nimi stało. Znalazł mnie dopiero Malinski i uzyskał zwolnienie. Jego wuj opowiedział mi, jak przedostałaś się do rosyjskiego obozu, ty szalona zakochana wariatko. Mogli cię zabić lub zrobić coś jeszcze gorszego.

- Ale nic mi się nie stało, prawda? A on dotrzymał słowa.

- Zrobił to dla ciebie - wtrącił oziębłe. - Nie dla mnie.

- Schudłeś bardzo, najdroższy. Jak tam było?

- Nie gorzej niż w obozie w Kadikoi, a kiedy dowiedzieli się, że potrafię łątać ludzi, znaleźli mi pracę w szpitalu. I choć warunki były bardzo ciężkie, sporo się nauczyłem. Być może to jedyna pozytywna strona wojny.
- Nie wrócisz tam, nie zostawisz mnie? - zapytała szybko.
- Nie. Warunki poprawiły się nieco. Nie ma już takiej potrzeby. Oparła się ze zmęczenia o poduszki, a Jethro odebrał od niej dziecko.
- Wiele przeszłaś, muszę cię mieć na oku. Dostrzegła dumę i czułość na jego twarzy, kiedy trzymał w rękach ich córeczkę.
- Czy jestem jednym z twoich królików doświadczalnych? - uśmiechnęła się.
- Królików doświadczalnych? - powtórzył zdumiony.
- Pamiętam, co powiedziałeś mi na statku, kiedy opuszczaliśmy Włochy. Pewnego dnia - stwierdziłaś - zaczniemy stosować chloroform ułatwiając kobietom poród. Pomyślałam wtedy, że jesteś wspaniały i bardzo odważny. Czy jestem pierwsza?
- Nie. Nigdy bym na tobie nie eksperymentował. Ale w końcu pokonamy uprzedzenia. Tyle jest jeszcze do zrobienia, Laurel. Jedno życie to zbyt mało.
- Dla nas będzie wystarczająco długie - pogłaskała go po policzku, a on ujął jej dłoń. Złota obrączka obracała się luźno na jej szczupłym palcu. Ściągnął ją i nasunął ponownie.
- Ale najpierw muszę to zastąpić czymś innym.
- Nie ma potrzeby, wystarczy, że dodasz coś od siebie. Lubiłam George'a. Chyba nie masz mi tego za złe?
- Jakże bym śmiał, kiedy jestem takim szczęściarzem? Żyję, mam ciebie i córkę. Czego jeszcze może pragnąć mężczyzna?

YERBY

FOXOWIE Z HARROW